

**MACIEJ KUCZYŃSKI**

# **Tajemniczy płaskowyz**

ISKRY • WARSZAWA • 1981  
Obwoluta według projektu  
JANUSZA GRABIAŃSKIEGO  
opracował JERZY MALARSKI

Redaktor  
BARBARA KACZAROWSKA

Redaktor techniczny  
ELZBIETA KOZAK

Korektor  
DANUTA WOŁODKO

© copyright by Maciej ISBN 83-207-0385-9  
Kuczyński, Warszawa 1981 Printed 10 Poland Cena zł 45.-

## I. YENIR

### La Guaira

Nieruchomość koi budzi Kuczyńskiego. Sięga do zegarka i stwierdza, że jest siódma rano. Nad słuchując odkrywa, że ustały wibracje silnika. Jedynie pompy dyszą gdzieś pod pokładami. Szumią i syczą też rury tłoczące do kabiny powietrze cuchnące zimną blachą.

Wstaje i wychodzi na pokład łodziowy. Białe słońce nie pozwala mu otworzyć oczu. Po omacku staje przy poręczy i opiera dłonie na drewnie obsypanym drobinami sadzy. Doznaje uczucia, że całe ciało zanurza się w letnim, słonym syropie. Powietrze wdychane do płuc zdaje się ciągnąć i lepić do nosa. Rozchyła na koniec powieki. Patrzy na obraz, nieoczekiwanie - w tej słonecznej bieli - ciemny i nasycony głębokimi barwami. Szafirowe morze, nad nim mgiełka z niebieskiego pyłu, za nią góry z zapleśniałej zieleni, wynurzające się z morza. Nieruchome, szmaragdowe kopy, senne, rozmazane, powleczone dżunglą, wypiętrzone ponad maszty statku, obwieszane strzępami oparów. Z odległości trzech mil wydaje się, że fala, karaibski granat z chryzoprazem, pluska o podnóże ściany. Zaledwie rysuje się port, iskry samochodów.

Patrzy na ten brzeg kontynentu, krawędź Ameryki, osiągniętą na koniec po przeprawie morskiej ze Starego Świata. Ogarnia go niepokój, odczuwa przyciągające działanie tej ziemi, dreszcz wywołany tym obrazem. Łowi napływające barwy i zapachy. Drewno, dziesięć, słodkie kwiaty, gnijące ryby i banany. Jednak to nie one rodzą gorączkę i oczekiwanie.

Pojmuje, iż patrzy na ląd, część świata wciąż jeszcze zdobywaną. Jeszcze tkwiącą w epoce, która w Europie tak dawno została zakończona, iż o niej zapomniano. Tutaj trwa jeszcze zdobywanie, od trzydziestu tysięcy lat nigdy nie przerwane. Jeszcze nie wyżarzyły się tutaj pożądanie, chciwość i febra eksploratorów. Od wejścia na ten ląd pierwszych azjatyckich plemion, od przybycia wyspiarzy z Pacyfiku, atlantyckich

żeglarzy, poprzez erę hiszpańskich konkwistadorów, aż do czasów imigrantów, plantatorów, podróżników, nacierzy, uczonych, biznesmenów - trwa tu nieprzerwane wchodzenie, przenikanie, odślanianie. Odkrywa się, rozgrzebuje, wydrapuje, wywleka, zajmuje, przywłaszcza. Pewność, przekonanie, że pojedynczy człowiek może mieć jeszcze władzę nad tą ziemią, olśniewa, oszałamia. Może odkryć, znaleźć, ujawnić, nadepnąć i postawić jako pierwszy nogę. Jeszcze są tu skrawki ziemi, których obraz nie odbił się nigdy w świadomości człowieka, od dwóch milionów lat przeszukującego Planetę. Toteż są one dla niego równie dziewicze i obiecujące całą nieskończoność nieznanego, jak wycinki obcego globu.

Kuczyński żywi nadzieję, że takie miejsce zostanie osiągnięte przez wyprawę. Pojmuje wyjątkowość chwili, jak i to, że sposobność może się już nie powtórzyć. Skłamią go to do postanowienia, by użyć wszelkich sił i wpływów dla przeprowadzenia planu.

Wie, gdyż wiadomość nadeszła już przed odpłynięciem z kraju, że projekt uzyskał poparcie i wstępną aprobatę generała de Paredes Bello. Głównodowodzący lotnictwa w rozmowie z prezesem Troncholim obiecał współpracę, a kompetencje polskiej ekipy wzbudziły uznanie. Jednak brak decyzji końcowej. Wiadomość nie mogła nadejść w ciągu czterdziestu dni podróży morzem, lecz teraz niepewność powinna się już skończyć lada chwila. Niezbędnym warunkiem odbycia wyprawy jest transport powietrzny. Sarisarinama to wyspa na powierzchni Ziemi, dostępna jedynie od strony nieba. Trzeba było zbudować cywilizację, wynaleźć śmigłowiec, aby podjąć myśl o lądowaniu w środku płaskowyżu.

Tronchoni dał się pozyskać dla planów, choć początkowo wskazywał łatwiejsze cele dla wspólnego działania i nadal w jego pismach wyczuć można wahanie. Być może, jest to też obawa, że jego grupa nie stanie się równorzędnym partnerem dla przybyszów zza morza. Bezpośredni kontakt powinien przełamać ostatnie opory, jeżeli istnieją. Zwłaszcza zdaje się go niepokoić dobre poinformowanie Kuczyńskiego, który zaskakuje go wiadomościami o płaskowyżu jeszcze nie opublikowanymi przez pierwszą wyprawę. Nie wie, skąd pochodzą, i domyśla się tylko ich źródeł, odciętych dla niego.

Śledząc wierzchołki Kordyliery Nadbrzeżnej, wzniesione dwa i pół kilometra nad wodą, Kuczyński cofa się myślą do swego spotkania tutaj z de Bellardem już przed trzema laty, a także wspomina dzieje dwudziestoletniej z nim korespondencji. Myśli też o latach,

kiedy przemierzał tę część świata, gdy ani on, ani nikt ze speleologów nie wiedział jeszcze nic o płaskowyżu. Jednak te inne podróże i odkrycia i ta dawna przyjaźń, teraz owocują, one zbudowały gotowość do tej właśnie wyprawy.

Wraca do kabiny i notuje w dzienniku, pod datą 11 stycznia 1977 roku, wejście na redę portu La Guaira. Niezwłocznie po śniadaniu w mesie prosi, aby z całą ostrożnością obudzono Solickiego z czterotygodniowego snu rozpoczętego po opuszczeniu Lizbony, z podręcznikiem mowy hiszpańskiej podłożonym pod krzyże, skąd wiedza rozchodzi się wzdłuż kręgosłupa i przenika do puszki mózgowej. Solicki wstaje, chwieje się, uśmiecha przez zgęstniałą brodę i nieświadom tego, jakim mówi językiem, powiada:

- Que bien he dormido! Se ha aparecido el piloto al bordo u hay que esperar todavia?  
- Znaczy to: - Jak dobrze mi się spało! Czy zjawił się pilot na pokładzie, czy trzeba jeszcze czekać?

Zawidzki objaśnia, że była rozmowa z portem przez radiotelefon. Dopiero nazajutrz, w poniedziałek, zostanie otwarte biuro agenta i wówczas wyjaśni się sprawa wejścia do portu. Jednakże przewidywania nie są najlepsze. Osiem statków na redzie leży na kotwicy przed nami, dokerzy zaś strajkują i rozładunek idzie tylko na jedną zmianę.

Uczestnicy wyprawy proszą pierwszego oficera o zezwolenie na wejście do ładowni. Przygotowują tak bagaż wyprawy, aby ten po przybiciu statku do nabrzeża, mógł być wyladowany bez zwłoki.. Spędzają dzień pod pokładem. Zostaje też spakowany bagaż przewożony w kabinach oraz przygotowana do wysyłki korespondencja, na której pisanie po wylądowaniu nie byłoby już czasu.

Następnego dnia Kuczyński obecny jest na mostku podczas rozmowy kapitana z agentem morskim przez radiotelefon i dowiaduje się, że postój na redzie potrwa co najmniej dwie doby. Przejmuje słuchawkę i uzyskuje obietnicę agenta, iż ten niezwłocznie powiadomi Tronchoniego oraz ambasadę o przybyciu wyprawy. By uniknąć bezczynnego oczekiwania na pokładzie, prosi o wynajęcie motorówki, która go przewiezie do brzegu dla załatwienia formalności portowych. Mimo dobrej woli agenta, nie udaje się tego przeprowadzić. Władze graniczne i celne wyrażają sprzeciw. Tymczasem nad pokładem łodziowym Koisar i Dyga zawieszają na bomach liny wspinaczkowe. Odbywają się ćwiczenia we wchodzeniu za pomocą jumarów. Każdy ma sposobność dopasowania uprząży asekuracyjnej i długości pętli, co pozwoli

zaoszczędzić czasu już na płaskowyżu.

Nikt nie wątpi w tej chwili, że uda mu się tam znaleźć. Nie pamięta się już o wątpliwościach wyrażanych przed kilkoma dniami i możliwych przeszkodach. Dość było spojrzenia na Kordylierę, wynurzoną z wody, by całkowicie odmienić nastroje.

Przy tych zajęciach na pokładzie, gdy nad głowami przelatują arkusze polerowanego żelaza, samoloty startujące nad wodą z lotniska Maiquetia, wspomina się też o Surdelu. Winien dołączyć do wyprawy po podróży lotniczej z kraju, przez Stany Zjednoczone. Panuje przekonanie, że wobec opóźnienia statku reżyser przebywa już od kilku dni w Caracas. Rozmowy o nim podszywa cień obawy, skrywane pytanie: czy znane fatum, towarzyszące Surdelowi w wyprawach, ujawni się też i tym razem?

W piątym dniu postoju na redzie data wejścia statku do portu jest wciąż nie określona. Kuczyński nadal znosi przy posiłkach obecność kapitana. Tylko wytwory sztuki kucharza i niezachwiany spokój stewarda pozwalają mu trwać na tym miejscu przy stole, które w zamyśle, *i* miało być uprzywilejowane. Od tygodni śledzi, jak wykształcone prostactwo, ogładzony prymitywizm wespół z inteligentną głupotą, przebrane w wymuskany mundur, usiłują upokarzać tych, którzy wszak dobrowolnie poddali się władzy, wstępując na pokład jako załoga lub pasażerowie.

Pod koniec obiadu zostaje wygłoszona wielominutowa tyrada. Nie powstrzymuje jej nawet zupełne milczenie oraz ironiczny uśmiech Kuczyńskiego, uważającego, iż treść i forma wypowiedzi aż nadto zwalniają go od zasad grzeczności, a także od potrzeby choćby zaprzeczenia.

Wysłuchuje zdań o bezzasadności wydawania pieniędzy państwowych na przedsięwzięcia o charakterze samotnych czy grupowych podróży. O wyczynach, jak na przykład żeglarzy czy wchodzących na szczyty, dla społeczeństwa mających wartość zerową. Nazywa się je szaleństwem, decyzje o ich podejmowaniu - głupotą, ba, oszustwem nawet, popełnianym na świadomości zbiorowej. Gdy tak zaciętrzewienie dochodzi do granic, a głos brzmi coraz donośniej, przybierając agresywne tony, współtowarzysz stołu, stary Niemiec, nadmiernie otyły, co utrudnia mu ruchy, nie pojmujący ani słowa z przemowy, trąca szklankę i wylewa na spódnie mówiącego wino.

Kuczyński udaje się na pokład pelengowy. Nic tam nie przesłania wspaniałości brzegu, zaś wyżej głowy są tylko flagi podrywane bryzą. Przychodzi mu na myśl inne

jeszcze przekonanie, rozpowszechnione szeroko, a dotyczące dawnych i nowoczesnych podróży. Sposobność zapoznania się z nim miał czytając recenzję swojej książki „Czeluść”, o zdobyciu najgłębszej jaskini naturalnej świata. Autor omówienia, przejęty możliwością przedstawienia swych poglądów w druku, wyraził tęsknotę za minionym czasem. Usiłował dowodzić czystości, jak pisał, i romantycznego ducha przepełniających rzekomo dawnych podróżników. W porównaniu z nimi współcześni zdobywcy gór, jaskiń, polarnych pustyń oraz głębin morza - mają być zatruci. Tam było, twierdził, wysublimowane pragnienie przeżycia, pociąg do przygody, mistyczne pragnienie wejrzenia za horyzont. To były, jak uważa, powody do ruszania w nieznane, najbardziej ludzkie i godne pochwały.

Współczesny uczestnik wyprawy ma być tego pozbawiony. Jest, według niego, przesiąknięty nagannym pragnieniem wyczynu. Chce wejść wyżej, głębiej lub pierwszy. Chce wykazać swą wyższość nad innymi. Duszę przeżartą ma obliczeniami, ćwiczy się i wprawia na różne sposoby dla uzyskania lepszego wyniku.

Być może. Lecz choćby się z tym zgodzić, dla Kuczyńskiego będzie i tak nie do przyjęcia pierwsza część wywodu. Bowiem, jak się zdaje, nikt skrupulatniej nie obliczał korzyści, niż owi żeglarze płynący po złoto, korzenie i łaskę cesarzy. Odpływali już zadłużeni, przytłoczeni myślą o konieczności zdobycia fortuny. Dowodem, że blask złota przyćmiewał im zdolność myślenia, jest choćby ich stosunek do odkrytych krajów. W tubylcach rzadko dostrzegali ludzi. Oni, ich budowle, wyroby, dzieła sztuki był to tylko surowiec, materiał, który można sprzedać lub przerobić na własny użytek. Pisma wielu wczesnych podróżników są w większości spisami towarów i oceną zasobów odkrytego kraju.

Pamięć o tym inaczej pozwala oceniać XX-wiecznego, samotnego żeglarza płynącego dookoła świata - po sławę, uznanie, dochody - to prawda, ale po uznanie nie dla kupieckich zdobyczy, lecz dla wykazanego hartu, siły ciała, inteligencji i charakteru.

Szósty dzień jeszcze nie przynosi zmiany. W nocy, nad milczącym morzem, słychać łoskot łańcucha rzuconej kotwicy. Rano, ciężko dysząca fala unosi nowy statek. Jedenasty. Wszystkie, dziobami w jedną stronę, węższą wschodnią bryzę.

Wysłana kolejna depesza do Tronchoniego, lecz brak odpowiedzi. Agent pytany zaklina się, że posłania były doręczone. Kuczyński patrzy na nadbrzeżne góry. Wie,

dość byłoby stanąć na jednym ze szczytów, by zajrzeć a drugą stroną i zobaczyć dachy wciśnięte w dolinę. Tu nic nie zdradza bliskości miasta. Trwa tam przyczajone. Z pokładu można śledzić tylko skrawek autostrady, przez zapomnienie jakby nie ukryty. Błękitne pasmo pnące się z portu na przełęcz i wchłaniane przez zieloną dolinę. Wszystkie auta, drobne jak mrówki na swej mrówczej drodze, zdają się pełzać tylko w tamtą stronę. Nikt nie wraca. Telefon nie dzwoni.

Nie może to nie wzbudzać przykrych przewidywań. Kuczyński nie dzieli się z nikim myślami, które mogłyby źle usposabiać do późniejszej współpracy. W innych latach, w tym samym porcie, a i w innych krajach wybrzeża, zawsze znajdowano sposób powitania przybyłych bez wydawania ich na niepewność i oczekiwanie.

Współtowarzyszom zebranych w kabinie Kuczyński mówi o ludziach tego kontynentu i stara się przedstawić ich usposobienie. Chcą być wszystkim dla ciebie, dopóki cię widzą. Gdy znikasz im z oczu, twe istnienie przestaje być już niewątpliwe. Dopóki patrzyłeś, jak zagryzają cygaro, jak w nos dmuchają ci dymem, dopóki byli świadomi, że czarują cię ich złote bransolety i sygnet, że wdychasz ich wodę kwiatową, że masz pełne oczy ich czarnego wąsika i pomadowanych włosów, dopóki wiedzą, że cię omotuje ich mowa' składna i płynna, okresy hiszpańskie tak doskonałe, iż sami milkną, by wsłuchiwać się w to, co powiedzieli - dopóty masz władzę nad nimi. Możesz uzyskać każdą obietnicę, zapewnienie, zgodę. Ale gdy cię nie ma w pobliżu... Wtedy właśnie tracą pewność twojego istnienia. Tak, byłeś na pewno, dobrze pamiętają, ale kiedy to było? Czy człowiek może nadal ręczyć za coś, czy za kogoś, kogo nie może zobaczyć? Świat jest wielkim złudzeniem. Stałby się nieznośny, gdyby zwracać się do cieni zamiast do postaci z krwi i kości, gdyby wglądać w pamięć zamiast w żywe twarze. Nie odpisują ci na listy, bo jakże przemawiać do pustego arkusza? Przechowują wspomnienia o tobie, nawet powracają do nich. Lecz od chwili pożegnania utraciłeś ciało, jesteś tylko imieniem, a więc słowem. Można mówić o tobie, lecz zwracać się do ciebie?

Tak to przedstawiając, Kuczyński poprawia nastroje, lecz zdaje sobie sprawę, że nie mówi wszystkiego. Inaczej jest z tym bowiem, gdy pewien próg zażyłości został przekroczony. Gdy zostałeś uznany za brata, hermano, własną duszę, zaliczony do swoich. Wtedy dokonują nadludzkiego wysiłku, przełamują coś w sobie, przemagają swą naturę mówców, gawędziarzy, opowiadaczy i cierpiąc w milczeniu zwracają się do



arkusza, by pisać do ciebie. Tak powstają ich listy, z których każdy jest literaturą.

I siódmego dnia Miasto milczy. Ludzie tym znużeni, a także martwym kołysaniem kadłuba, jaskrawością światła, słoną lepkością pokładów, milkną sami, kryją się w kabinach i aby zagłuszyć wieczny świst powietrza w rurach, włączają głośniki. Dowiadują się z radia, że Miasto istnieje, jest tam za górami, bije z niego niemy wulkan, stały wybuch, nieustająca, milcząca eksplozja na falach radiowych. Krzyk wysyłany w nadziei, że ktoś się zlituje i włączy tranzystor - protezę, sztuczne ucho radiowe.

Lawina zgiełku wypada z milczącego eteru. Słyszą krzyk spikerów, przepętnionych radością życia, głoszących wyższość ich rozgłośni nad siedmioma innymi. Muzyka bluzga jak wrzątek potopem, głos śpiewaczki - palący aksamit, zjeża włosy i marszczy skórę na plecach. Jazgoczą reklamy, skomlenie handlarzy przymilne, ufne, zalotne, proszące, pewne siebie. Wabienie do pigulek, podwiązek, tytoniu. Polityczne stronnictwa, czopki, odwaniacze, sedesy i Kościół Jedyny.

W bitwie głosów jest jeden, który je wszystkie niby to podaje w wątpliwość. Niby buntowniczy, proletariacki, ludowy, w istocie wyliczony i wykalkulowany. Częstochowskie rymy niby to ulicznego poety: „Nie będzie dziś chlebka ani słodkiej oliwki, ani pomidora! Płać, człeku, nowy podatek na nowy wóz gubernatora"... Rozgłośnia del Sur tak przyciąga słuchaczy do swych programów reklamowych.

Nocami, gdy gasną odbiorniki, dochodzi z mostku krok wachtowych. Leżący na kojach słyszą też, jak rdza zżera blachę. Cierpka woda opłukuje kadłub, niezdrowa mgła pełza po pokładzie. Rozlega się szelest szczurzych zębów soli, nadgryzających żelazo. Rankiem marynarze odkuwają pneumatycznymi młotkami puchnącą powłokę lakieru. Zamalowują rany wyżarte pod spodem. Na palcach obliczają tygodnie potrzebne do powrotu. Kto będzie pierwszy w wyścigu? Czy morze strawi okręt, nim dopłyną do domu?

Przy podwieczorku kapitan ubrany tak jak beza z kremem, w białe skarpetki, białe lakierki z białymi sznurowadłami, białe spodnie, biały pasek z białą klamrą, bluzę z białymi guzikami, pochyla się nad białym obrusem w stronę monachijczyka, ssącego serwolatkę z ketchupem, i ponawia pytanie jak co dnia w podróży:

- Czy smakuje tak jak zdechłe konie, tam, pod Stalingradem?

Stary różowieje, mlaszcze, wyciera sos z brody i mamrocze, że owszem, że ładna

pogoda.

Senność i bezwład znikają z pokładów, gdy ze śródkręcia rozchodzi się wiadomość. Ludzie z pośpiechem gromadzą się przy trapie, spuszczone z burty nad wodę. Otaczają młodego człowieka z jasnymi włosami. Patrzą na jego suche buty i nogawki spodni nawet nie zwilżone. Zbyt jest wstrząśnięty i zdumiony tym, co sam uczynił, by odpowiadać na pytania inaczej niż szlochem. Pojmują na koniec z pojedynczych wyrazów, że jest Polakiem, muzykiem. Od tygodnia patrzył z wybrzeża na statek, którym płynie do niego młoda żona, opuszczona kilka dni po ślubie. Nie mógł dłużej czekać. Oślepiony tęsknotą zstąpił z plaży i przyszedł na okręt po spokojnym morzu. Sprowadzają dziewczynę. Ale gdy w uścisku łązy obojga mieszają się, zostaje wydane bezduszne polecenie powrotu na brzeg łodzią. Winien naruszenia przepisów, zwleczony po trapie, odpływa i ginie w szafirowej dali.

Wieczorem proszą Kuczyńskiego na rufę. Spieszy w ciemnościach obok ładowni zakrytych brezentami. Za nadbudówką maszyny sterowej, widzi żarówkę w blaszanym kołnierzu, chwiejącą się nad zwłokami rekina. Po obu stronach głowy ryby-młota, na końcach wyrostków płaskich i opływowych niby stateczniki - umęczone oczy. Niczego już tu nie można odwrócić, tułów rozcięty wzdłuż nożem.

Kilku marynarzy, proszą życzliwie między siebie. Spuszczają drut z hakiem w nieprzejrzyste morze i z innego świata wywlekają żyjącą istotę. Ciagną ją ku sobie, kotwiczka rwie ciało.

Powraca myślami do tego, co już kiedyś pisał. Człowiek jeszcze nie powstał, nie został sformowany. W przeblaskach świadomości stwarzamy go powoli. Jesteśmy zaledwie wyobrażeniem, najpierwszym zarysem istoty, o której marzymy, ale której nie ma jeszcze w naszym świecie. Na razie, dopóki czyny nie są kierowane świadomie, nadzieja na. to daleka. Człowiek pozna, że został człowiekiem, gdy zrozumie, dlaczego rwie żelazem rybę.

Ósmego dnia postoju na łańcuchu, gdy pąkle zaczynają się już osiedlać na ogniach i ukwiały budują na nich podwodne ogrody, Kuczyński gromadzi ekipę i przemawia do ludzi. Pragnie przeciwdziałać stratom, jakie może spowodować bezruch, nadmiernie już długi. Tak jak chleb i woda dla ciała, szczególną potrzebą umysłu jest informacja. Trwały brak jej dopływu koroduje myśli, rozkłada psychikę. Jej odcięcie odczuwamy jako

zagrożenie. Lecz zadowala nas i sama świadomość odbioru informacji, ich treść może mieć mniejsze znaczenie.

Nie mając nowych wiadomości Kuczyński powraca do dobrze już znanych. Zaczyna od celu wyprawy, przedstawia płaskowyż jako wyspę na powierzchni Ziemi, otoczoną dżunglą w miejsce morza i wyniesioną do góry, ponad Amazonię, niemal o kilometr. Urwiska tej wysokości, zbliżone do pionu, stały się przyczyną, że nawet Indianie nie zdołali wdrzeć się na płaski wierzchołek.

Przypomina, że pierwszeństwo w tym względzie przypada wyprawie wenezuelskiej, botanika Brewera Carias, która w 1973 roku dotarła tam helikopterem i założyła obóz przy osobliwych kraterach, otworach o regularnym, jak cyrklem wyciętym obwodzie. Carias i dwaj ludzie spuścili się na dno po linach i powrócili, rzekomo z ledwością unosząc życie i zielniki. Nie wyjaśniło to w najmniejszym stopniu zagadki otworów.

Jest też podejrzenie co do natury owych niebezpieczeństw tak podnoszonych przez Carias w sprawozdaniach prasowych. Wiele zdaje się wskazywać, że jego sześć dni trwające uwięzienie w otchłani, zręcznie pozorowane, miało na celu wywołanie rozgłosu. Zwłaszcza rzekoma obecność na dnie tajemniczych, obezwładniających oparów musi budzić wątpliwości, gdy podda się głębszej analizie wypowiedzi samego Carias. Wielce niejasna jest też sprawa spadających głązów. Jednakże zjawisk tego typu niepodobna wykluczyć inaczej, jak tylko badając je w terenie.

Kuczyński wspomina o tym, co trzydziestoosobowa ekipa wenezuelska widziała w podniebnym świecie Sarisari. Używa tu skrótu imienia Sarisarinama, nadanego płaskowyżowi przez Indian Makiritare. Po powierzchni góry mają płynąć rzeki o barwie krwistoczerwonej, liczne wodospady toczą się z jednego poziomu na drugi. Dżungla pełna jest orchidei. Świat roślinny odmienny od wszystkiego, co rośnie gdzie indziej na Ziemi. Liczne rośliny owadożerne i gatunki żyjące bez gleby.

Podkreśla, iż zbadano zaledwie najbliższą okolicę dwu kraterów, lecz reszta płaskowyżu pozostaje dziewicza. Niezwykłość takiego sanktuarium we współczesnym świecie, tym większe musi sprawiać wrażenie, gdy uwzględni się jego rozmiary. Płaskowyż zbliżony jest zarysem do prostokąta o bokach 30 kilometrów na 29, a więc ma około 600 kilometrów kwadratowych. Bez wątpienia zawiera wiele niewiadomych, nie mniej wartych zbadania niż zagadka kraterów. Jednak ta ostatnia najbardziej

przykuwa ciekawość, zwłaszcza speleologów.

Koisar, ironicznym tonem, przypomina domysły dziennikarzy: ogłoszono drukiem przypuszczenia, że biorąc pod uwagę kilkusetmetrowe średnice otworów, ich pionowe ściany i znaczną głębokość, a także godną uwagi regularność obrysu, należy je uznać za miejsca startowe raket nieznanymi przybyszów z Kosmosu.

Rzeczywistym odkryciem Carias, dokonany na dnie kraterów, są wejścia do korytarzy, o nie wyjaśnionym również pochodzeniu. Zapuszczał się do nich, lecz, jak wynika z jego oświadczenia, napotkał zawałiska głazów nie pozwalające mu wcisnąć się dalej. Jedynie przewiew powietrza w szczelinach świadczył, iż otwory prowadzą, być może, do wnętrza masywu. Jakie to doniesienie wywołało spekulacje wśród ogółu czytelników gazet, nie znających natury tego typu zjawisk, nie warto wspominać. Istotną wymowę miał raport dla speleologów. W wielu krajach pojęli znaczenie problemu.

Rozumowanie szło po takiej drodze: jaskinie, a więc próżnie w skale, powstają w wyniku chemicznego rozpuszczania wapienia i jest to proces od dawna zbadany we wszystkich przejawach. Lecz Sarisariñama jest blokiem skały nie wapiennej, ale piaskowcowej, całkowicie odpornej na chemiczne działanie wody. Dotychczas nie znane są nauce jaskinie w piaskowcu, inne niż niewielkie szczeliny powstałe na skutek pęknięcia. Ale Carias widział korytarze o rozmiarach tuneli ze sklepionym stropem, a jeśli nawet nie wierzyć jego sprawozdaniom, pełnym sprzeczności, megalomanii i przesady, to jednak przywiózł fotografie.

Tak więc, powstaje nadzieja, że chodzi tu o proces dotychczas nie znany nauce. Chemiczne drażnienie piaskowca przez wody z opadów wzbogacone o niewiadomy odczynnik. Rodzi się też podejrzenie, jeszcze bardziej śmiałe, że mógł to być proces nie współczesny, lecz zachodzący może miliard lat temu, gdy inny był skład atmosfery Ziemi. Odkrycie i opisanie go dzisiaj miałyby taką wartość dla poznania najdawniejszej przeszłości Planety, jak wyprawa w czasie, jak sonda meteorologiczna zapuszczona w zamierzchłe epoki.

W ciągu jednej doby, gdy *Reuter* i *France-Press* podają fotografie kraterów i bram korytarzy, specjaliści pojmują, że czeka na nich może największe speleologiczne odkrycie stulecia. Określenie „kratery” zostaje przez nich niezwłocznie odrzucone, gdyż nie widać dowodów wulkanicznej natury fenomenu. W to miejsce wprowadza się termin

„studnia”, po hiszpańsku „sima”, angielskie „pit” i „gouffre” u Francuzów. Tym słowem od dawna są określane podobne twory na terenach wapiennych.

Nie kończy się na rozważaniach. Niebawem liczne wyprawy zostają zaprojektowane, lecz obecnie bezcelowe byłoby mówienie o tym, skoro już wiadomo, iż jedna tylko dochodzi do skutku. Zgromadzeni na statku pojmują swą wyjątkową przewagę.

Omawia się inną jeszcze stronę zagadnienia. Płaskowyż, ta góra stołowa, według polskiego słownictwa, zaś z hiszpańska „meseta”, stąd Meseta de Sarisariñama, jest pozostałością płyty piaskowcowej leżącej niegdyś na tym kraju, dziś już skruszonej, zerodowanej i wyniesionej do morza. Powstały dzięki temu twór geologiczny, ostaniec, można rozpatrywać jako Wyspę w Czasie. Podczas gdy przez miliony lat kraj cały się obniżał i zmieniał, przechodząc, wraz z opadaniem, do innej strefy klimatycznej, na niższe piętro świata roślinnego, powierzchnia płaskowyżu zostawała w górze i zarazem, jak gdyby - w przeszłości. Warunki temperatury i nasłonecznienia, promieniowanie z kosmosu właściwe dla wyżyny, tu pozostawały bez zmiany. Pionowe ściany odcięły połączenie z amazońskim lasem. Wszystko to sprawiło, że w takich warunkach, mniej podatnych na zmiany, także ewolucja mogła przebiegać w zwolnieniu. Odosobnienie i zwolnienie przemian mogło sprzyjać przetrwaniu tam dawnych rodzajów roślin i zwierząt.

A jeszcze na szczycie tej twierdzy, opierającej się wiekom, są owe otwory - studnie, wydrążone, jak się wydaje, miliony lat temu i stwarzające środowisko jeszcze bardziej odcięte od zewnętrznych wpływów, zamknięte, stałe i lepiej bronione przed wymianą z otoczeniem niż cały płaskowyż. Tutaj mniejszy byłby nacisk na zmiany, a zatem i potrzeba przystosowywania się gatunków żywych. Tak więc dno otworów mogłoby się okazać światkiem żyjącym jakby w innej epoce, kapsułką Czasu zatrzymanego pośród świata, który poszedł do przodu. Narada zostaje przerwana, gdy nadchodzi wiadomość, że nazajutrz rano, o ósmej, oczekiwane jest przybycie pilota, który doprowadzi statek do nabrzeża.

Nieco przed północą Kuczyński wygląda przez bulaj. Na czarnej wodzie odbite lampy statków i światła portowe. Z tym widokiem w oczach rozmyśla przez chwilę nad pierwotną przyczyną, prawdziwym znaczeniem tego działania ludzkiego, jakim są podróże. Sądzi, że zbyt pochopnie bywają zaliczane do tych, jak się je nazywa,

szlachetniejszych czynów, które to nas rzekomo wynoszą nad zwierzęta. Przecież poruszanie się należy do najstarszych typów zachowania, umożliwiających żywym istotom przeżycie! Zwierzę musi wyruszać ze swej nory i do niej powracać. Także w nas trwa ta najdawniejsza, najpierwotniejsza potrzeba, choć przeżycie człowieka we współczesnym świecie coraz mniej zależy od zdolności do przemieszczania się. Wciąż się temu dajemy porywać, choć właśnie pozostawanie na miejscu byłoby może dowodem przechodzenia na wyższy stopień rozwoju.

Chętnie uważamy podróż za przejaw czegoś tak nieokreślonego jak „dążenie do wyzwolenia”, czy „wolny duch człowieka” i nie dostrzegamy, jak bardzo jest to „coś” ułomne, i skarłałe. Jeśli podróż porównywać ze wzlotem, to ze wzlotem na uwięzi jedynie. Podróż z samego założenia musi się kończyć powrotem, więc rezygnacją, jakby upadkiem, poddaniem się założonym z góry, cofnięciem się w skorupę. A podróż bez powrotu tym samym przestałaby być podróżą, stając się wieczną ucieczką w nieznane. Do takiej wolności, z kolei, nie dojrzała jeszcze nasza świadomość.

### **Las Acacias**

O dziesiątej rano statek dotyka nabrzeża. Cumy zostają rzucone i opuszczony trap na beton. W pasie cienia pod murem i w bramach magazynu gromadzą się brygady dokerów. Zarazem słychać łomot pokryw stalowych już usuwanych przez marynarzy znad luków. Górne piętro nad magazynami stanowi dworzec dla pasażerów. Na tym samym poziomie wznosi się pokład pelengowy statku i skupieni na nim w oczekiwaniu uczestnicy wyprawy. Patrzą na okna poczekalni i taras kawiarniany, lecz nikt ich nie wita. Widać kilka głów nad siatkową barierą, ssących przez słomki lemoniadę. Gdy nieliczne spojrzenia śledzą obojętnie statek, a młody mężczyzna, zrazu zaciekawiony manewrami, ziewa i odchodzi, Kuczyński udaje się też do kabiny, by przygotować papiery do odprawy, pozostali zaś rozdzielają dyżury przy lukach. Mesę oficerską zajmują już celnicy, Guardia Civil oraz służby portowe.

Po kilku minutach steward puka do drzwi Kuczyńskiego i prosi o udanie się do trapu, gdzie ktoś go oczekuje. Idzie, przystając po drodze, zatrzymany za łokieć w korytarzu przez starszego celnika, który ze smutnym wejrzeniem i zgaszonym głosem pyta:

- Hay pornografia?

Wygląda przez burtę na nabrzeże, skąd, jak mu się wydaje, dobiega jego nazwisko wywoływane głośno, lecz w zniekształconej postaci. Dostrzega tylko dokerów już oblanym potem, z mokrymi ręcznikami na szyi, kichających przy wyładunku prasowanych kostek siana. Marynarz wskazuje mu kierunek rękawicą zachlapaną smarem. Dwaj mężczyźni, oparci o barierę tarasu, unoszą płasko dłonie i wołają:

- Kuczynski? Odpowiada pozdrowieniem:

- Que tal?

Wie już, nie pytając, że to Tronchoni. Starszy z dwu, postawny, słusznej tuszy, wypełnionej twarzy, o okrągłej głowie przylizanej w przedziałek, z wąsikami i nieco czerwony, w rozpiętej marynarce z tropiku, ozdobnej koszuli, jedwabnym krawacie ze spinką. Odległość jest zbyt wielka, by zrozumieć słowa, zwłaszcza że pod burtą wózki hałasują dieslami i słychać zawodzenie dźwigów. Przebija się tylko „Todo listo!” Tronchoniego i towarzyszy temu kciuk uniesiony do góry. Co naprawdę oznacza to „wszystko gotowe”, nie podobna powiedzieć.

Gestami prosi, by czekali, sam zaś, jeszcze nie uprawniony do tego, zbiega w dół po trapie i szuka w magazynie schodów mogących wyprowadzić go na górny poziom. Tam się dowiaduje, że takie nie istnieją, trzeba iść kilometr do bramy, wyjść z portu i wrócić ulicą, wiaduktem wprowadzającym do sali pasażerów. Nie mogąc korzystać z tej drogi, znajduje sposób, by uruchomić windę towarową, która wywozi go wprost do biura celnego. Nie zatrzymywany przechodzi obok biurka, podąża wzdłuż budynku i nie wzbudzając podejrzeń mija dwie kontrolne bariery.

Z pewnym niepokojem oczekiwał tej chwili, w której wyobrazenie o Tronchonie, nabrane z lektury jego listów, nałoży się na żywy wizerunek. Jest skłonny uważać go za człowieka prostodusznego. Zwłaszcza ma w pamięci ów list Tronchoniego, w którym ten, po wymianie kilku innych, tytułowanych kolejno: „Muy Estimado Señor”, „Estimado colega”, „Estimado amigo”, nagle zaczął zwracać się po imieniu. Taki obrót rzeczy odpowiada Kuczyńskiemu, podobnie odpisuje, choć owemu „ty” nie towarzyszyło słowo wyjaśnienia. A wkrótce potem jakby krok do tyłu. Listowna prośba, wyrażona z wyczuwalnym chłodem, by ekipa nie przybywała w okresie świąt zimowych, gdyż w tym kraju mają one charakter szczególnie rodzinny i spędza się je w domach, tylko z najbliższymi. De Bellard wspomina o Tronchonie nie bez pewnej goryczy lecz, być

może, wynika ona z przeżytego zawodu. Przyznaje, że wiele lat byli przyjaciółmi bliskimi, działając w Sociedad Venezolana de Ciencias Naturales, aż Tronchoni dopuścił się, jak to zostało nazwane, zdrady. Odszedł z grupą młodzieży zakładając własną Sociedad Venezolana de Espeleologia. Ta organizacja, de Bellard to Uznaje, ma dziś znaczne zasługi i wpływy, choć z jej postępowaniem nie zawsze można się pogodzić. Zresztą, to za radą samego de Bellarda Kuczyński, zamiast z jego grupą, związuje się z Towarzystwem prowadzonym przez Tronchoniego, w nadziei najskuteczniejszego przeprowadzenia swych planów.

Spotkanie odbywa się w poczekalni.

- Halo, Maczej! - mówi Tronchoni.

- Halo, Juan! - odpowiada Kuczyński, podają sobie dłonie i to jakby spina trzyletni okres przygotowań i porozumień o wspólnym działaniu, podjętym przez obu, jako sposób dojścia do swych własnych celów. Uścisk i rodzaj uśmiechów, jakie wymieniają, świadczy, iż obaj mają w żywej pamięci swą długą, papierową znajomość. Tronchoni nie wspomina o niej, choć pierwsze spotkanie bywa po temu odpowiednią chwilą. Kuczyński stąd poznaje, że ma do czynienia z człowiekiem bardziej przywiązanym do działania niż sentymentów, bardziej pochłoniętym przez zdarzenia, które właśnie się dzieją, niż rozpamiętywaniem. To dobrze rokuje.

Drugi z mężczyzn, Fernando Enrech, być może weźmie udział w wyprawie. Przysiadają na ławce pod oknem w poczekalni, gdzie bez żadnych wstępów, jakby to było spotkanie po wczorajszym rozstaniu, oznajmia Tronchoni:

- Wszystko załatwione, Maczej, nie musisz się o nic kłopotać, żadnych wizyt składać. Generał Paredes Bellowydał rozkaz przed kilkoma dniami o udziale sił powietrznych w wyprawie. Twój plan zatwierdzony, pozostają techniczne szczegóły. Dostajemy dwa samoloty transportowe, dwie awionetki oraz helikopter na miesiąc z zapasem paliwa. Za tydzień lecimy. Byłoby wskazane odbycie dziś wieczorem narady, mamy dostarczyć lotnictwu, plan lotów, potrzebny do wyboru trasy...

Fernando Enrech dorzuca wiadomość, że akcją mostu powietrznego dla wyprawy dowodzi pułkownik Hugo Bor-rell y Casa, szef lotnictwa południowej części kraju. Na koniec dodaje:

- W Caracas zamieszkacie w siedzibie Towarzystwa, mamy mały domek z miejscem



na przygotowanie bagażu.

Kuczyński postanawia udać się do miasta z Bernardem Koisarem dla odbycia narady i powrócić rta statek następnego dnia rano. Tymczasem pozostali dopilnują wyładunku bagażu, co potrwa do wieczora, i nazajutrz będzie można przystąpić do postępowania celnego.

Na tym staje, że Tronchoni i Enrech czekają, Kuczyński zaś odbywa powrotną drogę na statek, pomyślnie omijając bariery. W windzie odczytuje kartę Tronchonięgo. Pod nazwiskiem wydrukowano na niej: „gerente de produccion”, a w rogu: „Panamerica de Venezuela. Compañía de Seguros”. Dowiaduje się z tego, że Tronchoni w życiu zawodowym jest dyrektorem tutejszego oddziału tej wielkiej kompanii obejmującej ubezpieczeniami wiele krajów Ameryki. Dotychczas znał inny bilet Tronchonięgo, ze znakiem SVE, rysunkiem nietoperza i słówkiem „presidente” pod nazwiskiem. Ten bilet był dowodem zdolności do samodzielnego istnienia po wyjściu spod prezesury de Bellarda. Zaś obecna wyprawa ma wykazać zdolność do działania. Kuczyński domyśla się ambicji, które stają za potwierdzonym przed chwilą przymierzem, upatruje w nich zapowiedź korzystnej współpracy. Jednak wie, że z tej samej przyczyny nie wyjdzie ona poza określone granice. Te trzeba z góry przewidzieć.

Wchodzi znów po trapie. Na statku poznaje sekretarza polskiej ambasady, Stanisława Kowalskiego. Sekretarz przekazuje od ambasadora słowa powitania dla wyprawy i zapewnienie o wszelkiej pomocy. Podjęto już kroki, by uprościć postępowanie celne, zawile i uciążliwe. Ambasada wystąpiła o specjalne potraktowanie bagażu.

Tronchoni wyprowadza z portu swój biały oldsmobile combi, o rozmiarach spłaszczzonego mikrobusu, z tablicą wskaźników i dźwigniami na wzór kabiny pilota. Opuszczają La Guairę, jak gdyby startując do wysokiego podjazdu na przełęcz. W jednej chwili wjeżdżają na ten odcinek autostrady, który tak długo żywił spojrzenia uwięzionych na redzie.

Za przegięciem góry spotykają zator. Tronchoni hamuje i w tłoku pojazdów staje przy lewej krawędzi jezdni, o centymetry od niskiego muru oddzielającego pasma autostrady. Przed nimi długi wiraż, z przeciwnego kierunku z rzadka przebiega po nim pojedynczy samochód. Widzą w pewnej chwili, jak od zakrętu zbliża się błękitny chevrolet. Zaledwie mają czas ocenić szybkość, bliską stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, gdy wóz,

na wewnętrznym wirażu, przyciska się do muru i ścierając blachy o beton, wysyła snop iskier i dymu. Po sekundzie siła odśrodkowa unosi prawą stronę samochodu, odwraca go niewidzialną dłonią i kładzie dachem na podwójnym murze, tworzącym koryto dla kwiatów. Tym razem staje się ono prowadnicą. Pojazd w tym położeniu, nie spadając, sunie niepowstrzymanie, zarazem obracając się jak karuzela. Widzą, jak się zbliża, a przy każdym obrocie maska sięgająca w głąb jezdni ścina lusterka i rozbija szyby. Wóz Tronchonego jest bardziej od innych wysunięty w lewo, poznają więc, że odbierze całą siłę uderzenia. Pojmują, że nie ma ucieczki, gdyż drzwi w tłoku niepodobna otworzyć, decydują: „abajó!”, „na dól!” i gotują się do nurkowania ku podłodze wozu. Chevrolet jak młot obrotowy, odległy o dwadzieścia metrów, sunie wolniej już, lecz nieubłaganie. Pozostaje dość czasu na błysk myśli o tym, jak to ważność spraw może się odmieniać i jak to przypadek potrafi przerwać ciąg zdarzeń budowanych przez grupę mężczyzn dążących do założonego celu, a jedynym wynikiem ich starań jest przybycie do tego właśnie miejsca, w tym właśnie dniu oraz godzinie. Przy kolejnym obrocie maska chevroleta mija o metr przednią szybę wozu Tronchonego. Młot ustawia się równolegle do muru i przesuwając tak, że kolejne poprzeczne położenie wypada już z tyłu, nad sportowym, otwartym samochodem, tak niskim, że jego kierowca w ochronnych okularach nawet nie pochyla głowy. Niebawem chevrolet nieruchomieje, drzwi się otwierają i prowadzący go przewrotem przez głowę spuszcza nogi na beton. Spogląda na przebytą drogę i oburącz poczyna wrywać włosy z głowy.

Przecinają góry i po falujących ślimakach, rozpiętych na słupach, opuszczają się do Caracas wciśniętego w dolinę. Miasto, oglądane z góry, jawi się jak twór ukształtowany przez siły przyrody. Tak samo, jak byłoby to w pierwotnej, wśródgórskiej dolinie, dno zajmują największe bryły, tu z betonu i szklane, wyżej mniejsze bloki, na zboczach zaś, jak górski piarg, który zbyt mało waży, by się stoczyć do dołu, spiętrzone schroniska biedaków. Na ich rumowisku, jak niezdrowe badyle, krzewią się telewizyjne anteny.

W spóźnionej porze obiadowej siadają w chłodnej sali, zbudowanej wzorem gospód hiszpańskich z ubiegłych stuleci. Słupy, bielone ściany i drewniane stropy, ciężkie, rzeźbione meble. Wina, różny, witraże, drewniane talerze. Siadają nie rozsiadając się jednak, zbyt wiele jest spraw czekających na załatwienie. Rozkosze ucztowania odkłada się do innego dnia i odległej chwili.

Polacy zostają powiadomieni o niedogodnym położeniu członków SVE. Wszyscy oni pracują lub są studentami, właśnie w okresie egzaminów, i z tego powodu nikt nie może otrzymać czy też wykorzystać urlopu, dostatecznie długiego, aby uczestniczyć w całym przebiegu wyprawy. Pragnąc jednak towarzyszyć ekipie polskiej przez trzydzieści dni na płaskowyżu, ustanowiono trzy zmiany, po cztery osoby, które kolejno przylecą na górę w odstępach dziesięciodniowych. Na to kosztowne rozwiązanie uzyskano zgodę Sił Powietrznych. Zresztą jest ono czymś najbardziej oczywistym w tym kraju, gdzie niezależni pracodawcy nie widzą interesu ani też potrzeby badania odległej dżungli, zwłaszcza gdy zwalnianie pracowników im przynosi szkodę.

Kuczyński zdaje sobie sprawę, jak niekorzystny skutek mogą mieć te „relevos” - zmiany - dla ciągłości i wyników pracy. Nie może jednak się sprzeciwić i postanawia tak układać działania, by eksploracja odbywała się przede wszystkim polskimi siłami i nie wpływały na nią odloty i przyloty pozostałej grupy, której winno się powierzać zadania pomocnicze. Zarazem pojmuję, iż taki układ, ciągła obecność na płaskowyżu jego ekipy, daje też określone przewagi. Zwłaszcza pozwoli wybierać najbardziej pożądane cele. Zarazem zwiększy się odpowiedzialność grupy za wyniki całości wyprawy, lecz ten czynnik nacisku jest zawsze pożądany, szczególnie tam, gdzie chodzi o wybitne wyniki. Tronchoni uważa swą zasadniczą rolę za spełnioną.

Pośredniczył w kontakcie z Generałem, zaś swój osobisty udział w wyprawie uważa za nadzwyczaj wątpliwy. Dalsze prace przygotowawcze SVE powierzyła Franco Urbanemu, doktorowi geologii, mianując go z ramienia Towarzystwa - koordynatorem.

Tronchoni żartuje z siebie, kładzie dłoń na brzuchu i mruczy pod wąsem:

- Nie zjechałbym do studni... Kuczyński odpowiada:

- Za to, czego dokonałeś, spuścimy cię na linach. Na twarzach pojawiają się milczące uśmiechy. Wszyscy

rozumieją, że Tronchoni nie uważa już za niezbędne dotknięcia własną stopą miejsca, gdzie przed nim nie było człowieka.

- Maciej - podejmuje po chwili, zagryzając cygaro - sprawa dziennikarzy...

Nawiązuje do wyprawy Brewera Cariasa i przedstawia ją jako wielki show prasowy. Carias starał się nadać jej rozgłos ponad wszelką miarę. Z zawodu dentysta, podróżnik, amator botanik, jest to - jak się wyraża Tronchoni - osobnik o monsturalnej potrzebie

uznania. Dobrze go charakteryzuje jego powszechnie tu znane żądanie, wysunięte wobec uczestników wyprawy, by dopisywali jego nazwisko, jako współautora, w swych pracach naukowych dotyczących płaskowyżu.

Działając w tym duchu, na długo przed wyruszeniem podniecał ciekawość na wszelkie sposoby. A że większość dziennikarzy kieruje się tym samym, wkrótce doszło do publikacji wiadomości drukowanych na czołówkach wielkimi czcionkami: NA DNIE KRATERU SMOK PRZEDPOTOPOWY lub PUŁAPKA KOSMITÓW. Bzdura doszła do szczytu, gdy sześć dni spędzał na dnie, zaś w całym kraju trwało poszukiwanie drabinek sznurowych, aby go wydobyć. Wówczas, niby to zagrożony, choć zapewne komedię ułożył już z góry, nadawał z dna komunikaty radiowe, prosto do redakcji dzienników, jako raporty POCHWYCONEGO PRZEZ PUŁAPKĘ CZASU. W tak wywołanej ogólnej wrzawie, sensacji i krzyku, gdy dziennikarze wiążą zejście do studni z ukazaniem się latających talerzy nad Gwatemalą, toną i uchodzą uwagi rzeczywiste odkrycia, głównie z zakresu botaniki. Carias staje się znany, do dziś dnia chodzi w chwale, ogół czytelników nie umie i nie chce oddzielać prawdy od zmyślenia. Przeciętne wykształcenie jest niskie, gazety i telewizja to sieczka dla zapchniętej głowy, liczą się o tyle, o ile potrafią zatrzymać uwagę na sam czas czytania czy migania obrazów.

Tronchoni oraz jego grupa pragnęliby uniknąć tego. Są tu bowiem koła w stolicy i innych miastach kraju, w środowiskach uniwersyteckich, naukowych, a także rządowych, na których opinii powinno zależeć bardziej niż na tanim rozgłosie, a które właściwie oceniły działania Carias. Stąd wskazana wstrzeźliwość w stosunkach z prasą. Jest to tym bardziej konieczne, że Generał w rozmowie z Tronchonim wspominał o tej sprawie. Rząd, który finansował ową niezwykle kosztowną wyprawę, obciąża winą Carias za wywołanie podejrzeń, iż państwowe pieniądze wydano na coś w rodzaju festynu w środku selwy. Tym razem warunkiem udziału Sił Powietrznych jest zachowanie powagi.

Kuczyński nie ma zastrzeżeń do takiego postawienia sprawy. Ma własne doświadczenia z prasą tej części Ameryki. Zwłaszcza przykład z Peru: udzielił tam wywiadu, którego jedynym tematem była zachęta młodzieży do uprawiania andynizmu i sportu jaskiniowego. Nazajutrz w czołówce stołecznego dziennika przeczytał gigantyczny tytuł: STWIERDZA POLSKI UCZONY - CZŁOWIEK AMERYKAŃSKI

## NARODZIŁ SIĘ Z PODZIEMI.

Tronchoni prosi, aby się powstrzymać od wszelkich wywiadów przed wyprawą i dopiero po niej przygotować własny komunikat dla poważniejszych dzienników i zagranicznych agencji prasowych, a w najlepszym razie odbyć konferencję w Oficina Central de Información - OCI, instytucji rządowej, gdzie będą podkreślone wyłącznie eksploracyjne i naukowe osiągnięcia wyprawy.

Na tym kończą rozmowę i zjadłszy już obiad opuszczają gospodę. Pod ciężarem popielatego słońca przebijają się ku bocznej dzielnicy, w potoku gorącej blachy i brodząc we mgle spalin. Zaczynają się wspinać. Terrazas de las Acacias, Akacjowe Tarasy, to wzgórze tak strome, iż jezdnia, wcięta serpentyną, z jednej strony ma przepaść, z drugiej wille umieszczone w gniazdach wydłubanych w skale. Na wirażach auto Tronchoniego zatacza maską łuk nad dachami przylepionymi do stoku o sto metrów niżej.

Miasto zapada się i oddala tak długo, aż staje się geometrycznym wzorem. Jest tak ciche, czyste i budzące nadzieję, jak urbanistyczny model klockowy. Wsiadają niedaleko przed szczytem, gdzie srebrzy się zbiornik wodociągowy. Na małym trawniku tablica z nietoperzem w kole, zawołaniem LUX IN TENEBRIS i nazwą SOCIE-DAD VENEZOLANA DE ESPELEOLOGIA. Purpurowe bougainville przesłaniają piętrowy dom z jeszcze jednym napisem nad drzwiami: CANDORMAR. Tronchoni nie wie, co ta nazwa znaczy, SVE dzierżawi dom od zarządu miejskiego za symboliczną opłatą, jako stowarzyszenie publicznie użyteczne. Kuczyński otrzymuje klucze, bowiem od tej chwili CANDORMAR stać się ma mieszkaniem, pracownią i bazą dla polskich przybyszów.

Wchodzą do rozległego, chłodnego pokoju, połączonego z ogrodem. Liście bananowca za paskową roletą, automat z zimną wodą do picia, fotele, biurko, telefony. Obok biblioteka, wydawnictwa speleologiczne wymieniane z czterdziestoma krajami. Dalej kuchnia i spiżarnia zamienione na składy ekwipunku: liny, haki, drabinki, lampy karbidowe. Wyjście na podwórze - patio, gdzie pod dachem znajdują miejsce na osiemdziesiąt pojemników przywiezionych zza morza. I schody na taras wcięty wyżej na stoku, zamknięty spiętrzoną nad nim skalną ścianą, przeciętą jak w kamieniołomie.

Udają się na pierwsze piętro domu. Dwie łazienki. W pokojach poszczególne wydziały. Tabliczki na drzwiach wykładanych mahoniem: DEPARTAMENTO DE CATASTRO, DE

ESPELEOLOGIA FISICA, HISTORICA, BIOESPELEOLOGIA, na koniec JUNTA DIRECTIVA. Wewnątrz stoły do pracy, kreślarskie, szafy ze zbiorami, przegródki, etykiety i segregatory.

Koisar i Kuczyński nie szczędzą słów podziwu dla tak widocznego porządku i zorganizowania, szczególnie zaś dla rozmiarów i rodzaju siedziby. Trudno im nie uczynić w myśli porównania z ich własnym położeniem w kraju, gdzie trzydziestokrotnie liczniejsza niż tu grupa nie posiada w ogóle lokalu. Może właśnie dlatego bardziej jest tam cenione działanie w terenie, docieranie do miejsc niedostępnych, wysiłki w pokonywaniu przeszkód stawianych przez góry niż porządkowanie zapisów.

Podczas gdy gospodarze odbywają rozmowy przez telefon, przypominając członkom zarządu o naradzie, Koisar i Kuczyński w pokoju JUNTA DIRECTIVA siadają nad mapą rozpiętą na stole. Dobrze jest im znany tylko jej wycinek obejmujący płaskowyż. Nie jest to zresztą mapa, lecz zdjęcie lotnicze. Obejmuje, według objaśnienia metryki, Obszar Federalny Amazonas i dystrykt Cedeño stanu Bolivar, część kraju najbardziej wysuniętą ku południowi, graniczącą z Brazylią i Kolumbią. Jest najbardziej oddalona od ludnego wybrzeża, odcięta wstęgą Orinoko, zamknięta lasami, które ciągną się stąd już nieprzerwanie aż do Amazonki. Można się zdumiewać, iż dotąd nie jest skartowany szmat powierzchni Ziemi o takich rozmiarach: 650 kilometrów w kierunku południowym, 500 kilometrów równoleżnikowo. Łącznie 325 tysięcy kilometrów kwadratowych. Atlasy, co prawda, podają kształt tego terenu nie używając białego koloru, lecz rzeczywistość jest daleka od tych przybliżonych rysunków, opartych na szkicach i wyrywkowych pomiarach.

W istocie trudno się dziwić, gdy się zważy przeszkody, jakie stawia tam sama natura. Jedynymi drogami są rzeki, zresztą podzielone wodospadami, co zezwala na podróż tylko indiańskimi czółnami, nadającymi się do przenoszenia przez progi. Są też indiańskie ścieżki, uciążliwe, kręte, często ginące w bagnach i zalewach, pełzające dnem tropikalnej selwy, nasiąkniętej mgłami. Podróżnik niewiele stąd widzi.

O samych płaskowyżach - mesetach, wiedziano już i w Europie z początkiem tego wieku. Znali je dobrze Indianie, choć nie wchodząc na górę, i oglądali je z dala

podróżnicy. W wyniku pomiarów robionych bez oparcia o sieć triangulacyjną, naniesiono na mapy kontynentu łańcuch górski nazwany Sierra del Cerro Jaua.

O tym, że łańcuch ten nie istnieje jako pasmo jednolite, jest trzema oddzielnymi górami, wiedzieli dobrze Makiritarowie żyjący w puszczech dokoła. Lecz spośród mieszkańców miast pierwsi dowiedzieli się o tym piloci wenezuelscy, gdy w latach pięćdziesiątych naszego stulecia poczęto przygotowywać lądowiska w dżungli, zgodnie z rządowym planem włączenia w życie kraju tych odległych okolic. Latając nad dżunglą, spełniając zadania czysto transportowe, przewóz ludzi czy zaopatrzenia do zapadłych osad, mimo woli stali się eksploratorami. Lecz przywożone przez nich wiadomości, a z czasem i fotografie, nie są materiałem wartościowym dla kartografów. Obserwacje dokonywane są „na oko”, z kabiny, w przelocie, mimochodem. Współrzędne przybliżone, wysokości oceniane przez porównanie z wysokościomierzem maszyny, odległości mierzone czasem trwania przelotu. Znajomość kraju wciąż jest wrywkowa. Brak sposobu na zdjęcie mapy. Tak do roku 1970.

Kuczyński spostrzega, iż zazwyczaj sporządzanie mapy oznaczało koniec eksploracji jakiegoś terenu, początek zagospodarowania. Tu zdarza się, po raz pierwszy bodaj, że mapa wyprzedza eksplorację i czyni ją możliwą. By tak odwrócić porządek od wieków ustalony, trzeba było zbudować samolot, wynaleźć fotografię, radiolokację, radar i emulsje czułe na wszelkie rodzaje promieniowania. Płaskowyzę czekały nietknięte.

W 1970 roku rząd w Caracas zleca przedsiębiorstwu International Aero Service Corporation wykonanie zdjęcia lotniczego. Przyjmuje się metodę „side-looking radar” czyli „radaru bocznego wybierania”. Wiązka fal pada na ziemię z ukosa, co uwydatnia wszelkie nierówności terenu i przedstawia je z cieniami, jakby były oświetlone nisko stojącym słońcem. Stosuje się radar, ponieważ selwa często pokryta jest chmurami, a zdjęć można dokonywać i w nocy. Fale radarowe przenikają też pokrywę lasu, warstwę ściółki na dnie oraz miękką glebę, dając wierny obraz twardszego podłoża.

Przed rozpoczęciem zdjęć zostają założone stacje namiarowe, których celem jest prowadzenie samolotu po ściśle wyznaczonych liniach prostych. Samolot - elektroniczna kamera z doczepionymi skrzydłami - dokonuje kilkudziesięciu przelotów po torach południkowych, zdejmując obraz ziemi z wysokości dziesięciu tysięcy metrów, pas za pasem. Te, złożone ze sobą, każdy szerokości osiemnastu kilometrów, razem ukazują

zebrany, składny, wierny, niepodważalny i nagi kształt tego terenu.

Zarazem niepełny, daleki od tego, co dojrzałoby tam ludzkie oko. Kuczyńskiemu, patrzącemu przez szkło powiększające na zakola rzeki, podłużne piaszczyste wyspy, nasuwa się dziwne uczucie, że patrzy na kraj przezroczystych duchów. Indianie, ich chaty, ich łodzie wydłubane w pniach, drzewa, zwierzęta, rośliny, zostały na wylot przeszyte falami radaru, niezdolnymi do spostrzegania niczego, co żyje.

Trzy płaskowyże, na które rozpadła się dawna Sierra del Cerro Jaua, noszą indiańskie imiona, kolejno od wschodu na zachód: Guanacoco, Sarisariñama, Jaua. Ten środkowy ma kształt zbliżony do prostokąta o wymiarach 20X30 kilometrów i najbardziej przyciąga uwagę, gdyż na jego powierzchni czernieją liczne plamy otworów. Niektóre koliste, inne wydłużone, owalne i o kształcie nerkowym. Prócz nich osobiwe rowy lub raczej bardzo wydłużone doliny, wgłębienia o rozmiarach kanionów. Może zapadliska nad podziemnymi tunelami.

Pamiętają, że pierwszym, który wyraził takie przypuszczenie, był de Bellard. Zdają sobie też sprawę, że odkrycie tych tworów, gdyby go dokonano choćby pół wieku temu, na nic by się nie przydało badaczom. Jeszcze trzeba było wynaleźć helikopter i tak go udoskonalić, by mógł tam wylądować. Wreszcie jednak przyszła ta chwila, gdy wszystkie warunki zostały spełnione. Dwaj speleolodzy pochyleni nad mapą oceniają szczęśliwy przypadek, który dla nich właśnie ocalił ten skrawek świata i pozwolił im wziąć udział w jego odkrywaniu. Widok owej mapy, w gasnącym świetle dnia dziewiętnastego stycznia w Caracas, mówi im, że znowu, jak już tyle razy w życiu, staną na brzegu Nieznanego, powrócą na wysuniętą linię pierwszego rozpoznania, od tysiącleci przesuwaną przez ludzi. Z tyłu, za nią, pozostanie strefa, gdzie odbywa się mozolne badanie rzeczy ujawnionych, wgryzanie się w nie, wmyślanie i opisywanie. Przed nimi inaczej, od tej linii chodzi już o co innego, liczy się samo stwierdzenie: jest góra, jest otwór, jest rzeka. Wiadomość podstawowa, powołanie do życia czegoś, co dotychczas jakby w ogóle nie istniało dla cywilizowanego świata, skoro nie miało w jego świadomości żadnego odbicia.

Na obszarze objętym przez zdjęcie, równym powierzchni ich własnego kraju, widzą kilkanaście płaskowyżów jeszcze wysoko wzniesionych i niezliczoną ilość innych, rozsypanych, skruszonych, zmałych. Między nimi rzeki rozpełzające się jak żyłki na



liściu, do najcieńszych nitek, po to, by dotrzeć wszędzie i zewsząd zabierać, wysysać najdrobniejsze pyłki, ziarna skały, kamyki. Rozdrabniać piaskowcową pokrywę i roztartą na proszek wlec ze sobą z prądem, toczyć i popychać, rozwlekać po równinach, wynosić do morza, tak długo, aż pazury wody dodrapią się do granitowego podłoża. Widać je już na całym obszarze, wychynęło spod skorupy osadów. Linie długości stu kilometrów znaczą prastare pęknięcia z wylewami lawy: byłyby niewidoczne dla człowieka stojącego tam w dole, zapchane kłębami łądyg, pni, konarów, zasypane próchnicą.

Przystępują teraz do ułożenia planu lotów. Maszyny transportowe dostarczą ekipę z bagażem na sawannę Cacuri, odległą jeszcze 120 kilometrów od płaskowyżu. Stąd dwie awionetki zdolne do lądowania na przecince w lesie, kilkoma lotami przesuną wyprawę bliżej celu. Jeszcze nie dokonano wyboru: do Santa Maria de Erebató, wioski odległej 80 kilometrów od Sarisariñama, czy też na sawannę Kidisuwochi leżącą tuż u stóp południowych urwisk płaskowyżu, skąd byłby tylko kwadrans lotu do bazy na górze. Dotychczas nie ma jednak pewności, czy lądowanie w Kidisuwochi okaże się w ogóle możliwe, od dawna nie sprawdzano tam pasa i lotnictwo w tych dniach ma dokonać wywiadu.

Dalszy transport spocznie już całkowicie na helikopterze. Wiadomo, że wyprawie został przydzielony amerykański UH-4 o użytecznym udźwigu 800 kilogramów i szybkości przelotowej 80 węzłów. Opierając się na tym, wyliczają, iż w przypadku mniej korzystnym, przy starcie z Erebató, potrzebne będą cztery loty transportowe dla przetransportowania całości, licząc zaś tam i z powrotem, siedem odcinków po 45 minut. Podobnie postępując zliczają czas lotów potrzebnych na transport wyprawy po skończeniu eksploracji, dodają loty po paliwo na lądowisko w Cacuri, a także po kolejne przybywające tam zmiany speleologów wenezuelskich, sumują na koniec liczbę godzin niezbędnych dla obsługi działań na samym płaskowyżu i, wraz z konieczną rezerwą, otrzymują łączny, maksymalny czas lotu - trzydzieści godzin. Z tego wynika ilość paliwa, którą w dwustulitrowych beczkach winna wydać intendentura Sił Powietrznych Wenezueli, zaliczając wydatek w ciężar kosztów własnych lotów transportowych.

O godzinie dziewiętnastej poczynają się schodzić uczestnicy narady. Jednym z najpierwszych jest Franco Urbani.

- Jefe del Departamento de Espeleologia Fisica -przedstawia Tronchoni - y

coordinador.

Urbani wysoki, szczupły, lekko przygarbiony, o jasnych włosach, bez wąsów. Nosi okulary w drucianej oprawie przydające uczoności twarzy. Uśmiecha się z trudem, lecz widać, że nie z braku wewnętrznej pogody czy niedostatku wychowania. Wyraz twarzy i często nieruchome spojrzenie wskazują, że się namyśla, rozważa, przypomina i układa coś w głowie. Odzywa się wtedy, gdy chce o coś zapytać lub podać do wiadomości. Kiedy indziej milczy.

- Wiesz? - słyszy Kuczyński jego pierwsze słowa -

Weźmiemy dwu robotników leśnych, Indian, nie było już czasu, by was zawiadomić. To się nam bardzo opłaci. CODESUR deleguje ich do wyprawy, są tam zatrudnieni. To mistrzowie maczety i siekiery, zaoszczędzimy czasu na otwieraniu lądowisk i przebijaniu ścieżek w lesie.

- Zgoda! - odpowiada, korzyści dostrzega i, skoro rozmowa od razu dotyka spraw tak szczegółowych, pyta o radiostację. Stwierdza, że zgodnie z uprzednią umową grupa polska zaopatrzy wyprawę w radiotelefony dwóch typów. Jednak otwarta była do ostatniej chwili sprawa łączności pomiędzy płaskowyżem a stolicą.

- Zrobione! - stwierdza Urbani. Unosi kolano, opiera na nim teczkę i stojąc tak na jednej nodze, wyszukuje arkusz, by go wręczyć Kuczyńskiemu. - Dogadaliśmy się z nimi - mówi. - Obrona Cywilna wypożycza aparat nadawczo-odbiorczy, zasilany z akumulatora i o mocy dostatecznej, by móc na fonii rozmawiać z całym krajem.

Na arkuszu widnieją podstawowe dane. Częstotliwość dla rozmów i druga, alarmowa, używana tylko na wypadek zagrożenia życia. Jako znak wywoławczy radiostacji ustalono pierwsze litery nazwy Towarzystwa: SVE, które operatorzy mają wywoływać jako: Sierra -Victor -Eco. Dalej rysunek ze schematem rozpinania anteny, wskazówki co do uruchamiania aparatu, jego rozgrzewania i codziennej obsługi.

Zza otwartych okien przez paski rolet sączy się, z zimnym powietrzem nocy, stężały, słodki zapach kwiatów. Słychać podjeżdżające pod dom samochody. Wchodzą Carlos Tinoco, Marcos Sandoval, Jesus Pereira i inni członkowie Junta Directiva, a także wyznaczony do pierwszej zmiany na płaskowyżu: Miguel A. Perrera. Po krótkim powitaniu miejsca zostają zajęte dookoła stołu i Tronchoni wygłasza zagajenie.

Kuczyński, zdając sobie sprawę, iż nie jest to grono zainteresowane w roztrząsaniu

technicznych szczegółów, choć takie było zamierzenie spotkania, chwilowo odstępuje od tego i chętnie zabiera głos, gdy pada pytanie o niebezpieczeństwa wyprawy. Zarząd pragnie wiedzieć, co myślą Polacy o ryzyku, jakie kryją studnie. Były wiadomości o walących się skałach, a zwłaszcza o zalegających na dnie gazach czy oparach. SVE nie ma własnych doświadczeń w tym przedmiocie, nigdy nie prowadzono eksploracji studni tak głębokich, stąd też trudno jest mieć własne zdanie o przeszkodach opisywanych przez poprzednią wyprawę.

Kuczyński nim odpowie, wymienia spojrzenie z Koisa-rem. Obaj mają w świeżej pamięci godziny na statku spędzone na roztrząsaniu tej sprawy. Znow trzeba się odwołać do sprawozdań Brewera Carias, ale nie ma rady, gdyż jest to nadal jedyne źródło wiedzy o płaskowyżu. Podczas zejścia lub raczej zjazdu po linie do Sima Mayor, Wielkiej Studni, obok zawieszzonego w powietrzu uczestnika ekipy przeleciał olbrzymi głaz, o milimetry mijając jego ramię i z potwornym hukiem rozbił się na dole, pozbawiając śmiałków całego kurażu.

O zagrożeniu takiego rodzaju można powiedzieć tylko tyle, że ono istnieje na wszelkich urwiskach zbliżonych do pionu, a rzeczą schodzących w dół ludzi jest stała pamięć o tym i wybór trasy zjazdu wzdłuż skały możliwie jak najmniej spękanej. Stosuje się też oczyszczanie drogi pod sobą, by nad głową nie zostawiać luźnych kamieni. Zresztą one nie spadają same, lecz najczęściej potracone przez człowieka lub liną. Tę ostatnią trzeba więc prowadzić odpowiednio, a w czasie zjazdu jednego wszyscy znajdujący się w dole winni kryć się pod okapem albo odejść poza zasięg pocisków padających z góry. Przypadek w Sima Mayor bez wątpienia potwierdza regułę - został zawiniony. Niezmiernie małe jest bowiem prawdopodobieństwo samoczynnego upadku głazu dokładnie wzdłuż liny i właśnie w tych kilku minutach, gdy wisi tam człowiek, skoro wiadomo, że spychanie kamienia przez siły natury trwa czasem i stulecie.

Więcej pytań nasuwa problem gazów. Tak o tym pisano: „Trzej eksploratorzy dna studni przez sześć dni walczyli z niezmiernym osłabieniem, odbierającym im ochotę do pracy i odczuwanym nawet wtedy, gdy nocą spoczywali w śpiworach. Zawdzięczać to należy zapewne wysokiemu procentowi dwutlenku węgla zalegającego w dole”.

- Być może - stwierdza Kuczyński - to się czasem zdarza, lecz tym razem najpewniej chodziło o działanie nie gazów, lecz strachu. Upadek kamienia, odcięcie od świata na dnie 300 metrowego otworu, trudności z powrotem na górę, nawet jeśli sztucznie wywołane, to wszystko musiało wyrzucić na „schwytych w pułapkę” przygnębiające wrażenie.

Lecz przeciw koncepcji CO<sub>2</sub> świadczą także inne rzeczy. Ponad trzystumetrowa średnica otworu i rozgrzewanie dna i ścian przez promienie słoneczne, sprzyjają powstawaniu prądów konwekcyjnych i wymianie gazów. Bujna, tropikalna, kwitnąca puszcza, krzewiąca się w dole, żyje dzięki czerpaniu CO<sub>2</sub> z otoczenia i z pewnością zużywa go co najmniej tyle, ile są w stanie oddać jej własne szczątki ulegające w podłożu rozkładowi. W praktyce zużycie znacznie przekracza wydzielanie. A inne pochodzenie gazu jest trudne do pomyślenia w tym terenie z powodów geologicznych. Wreszcie liczne zwierzęta żyją bez szkody w tej właśnie atmosferze, owady, jaszczurki, węże, a przede wszystkim guacharo. Znaczne kolonie tych ptaków odkryli badacze w przydennych zakamarkach ściany. Trudno podejrzewać, by ta właśnie ich populacja, spośród setek innych w tej części Ameryki, była przystosowana do oddychania zatrutą atmosferą.

Wiarygodność obserwacji opartej tylko na „uczuciu zmęczenia” jest znikoma, ryzyko tak małe, że nie warto podejmować starań o uzyskanie górniczych aparatów tlenowych, jak pragnąłby tego jeden z członków Zarządu. Temat wyczerpany.

Zebrani chcą wiedzieć, jaki będzie plan działania. Przedstawia się im i uzasadnia opinię, że pierwszego zejścia należy dokonać do Sima Menor, Małej Studni, a to z dwóch powodów. O połowę płytsza od Wielkiej Studni, jest łatwiejsza do pokonania. Ponadto zdjęcia dna wskazują, że są tam co najmniej dwie jaskinie: otwór z wypływem wodospadu i obszerny tunel. Już samo wejście do nich zapewnia dokonanie odkrycia i możliwość zbadania jaskiń piaskowcowych, niezależnie od tego, jakie by się okazały ich rozmiary. Czysto naukowe wyniki nie zależą bowiem od długości korytarzy, a byłyby to pierwsze w ogóle badania prowadzone kiedykolwiek w jaskiniach tego typu. Tak więc, minimum programu byłoby od razu spełnione, a świadomość tego pozwoliłaby ekipie na spokojniejsze i bardziej wnikliwe przeszukiwanie terenu dla rozwinięcia eksploracji, kolejno w Wielkiej Studni, a potem w innych, nieznanach.

Zgadza się z tym Urbani, przemawia w tym samym duchu, a gdy nie ma znikąd sprzeciwów, wykorzystuje to, iż jest już przy głosie i proponuje, by z uwagi na spóźnioną porę, „nie tracić już czasu” i przejść do technicznych szczegółów.

Największej troski wymaga zapewnienie wyżywienia grupy. Jak wynika z obliczeń, na płaskowyżu będzie przebywało szesnaście osób łącznie z pilotami. Przegląda się więc spisy i przygotowuje listę dodatkowych zakupów. Konieczne też się okazuje zaopatrzenie czteroosobowej załogi helikoptera w namioty, łóżka, ciepłe śpiwory i także ubrania. Lotnictwo nie jest wyposażone stosownie do chłodnego klimatu, gdyż prócz kombinezonów bojowych, wkładanych na czas lotów na wysokim pułapie, ma tylko tropikalne ubiory.

Ustala się na koniec, że ostrożność wymaga, by w helikopterze znajdował się specjalny pakiet na wypadek przymusowego lądowania. Maszyna przewożąc na płaskowyż ludzi oraz bagaż, a potem zdejmując ich stamtąd, a także latając po zapasy paliwa do odległego o osiemdziesiąt kilometrów Erebatu, wiele godzin spędzi w powietrzu nad selwą, a ta połknęła już bez śladu niejedną maszynę. Zdarzało się, że ludzie, chociaż przeżyli katastrofę, ginęli wkrótce z głodu i wyczerpania, nie mając namiotu, konserw, za mało zapalek, żadnych leków ani też przyborów do sygnalizacji swego położenia. Zresztą, te ostatnie mały mają skutek w lesie zwykle powleczonym mgłami.

Koisar przyjmuje na siebie przygotowanie odpowiedniego zestawu, po czym powstają od stołu, już blisko północy. Podczas pożegnania pada obietnica, iż w stosownej chwili przyjadą do portu wszyscy posiadacze wozów terenowych, a jest ich kilku wśród członków SVE, aby dokonać przerzutu bagażu do Caracas.

Kuczyński i Koisar pozostają sami, napełniają powietrzem materace i kładą się na nich, by spędzić blisko podłogi resztę krótkiej nocy.

Trzy dni spędza Kuczyński między portem, biurem agenta morskiego i siedzibą La Aduana - urzędu celnego, w La Guaira. Pokoje cuchną zbutwiałym papierem, ulice gorącym kurzem. Wskakuje do powolnych taksówek, by podjeżdżać na skraju siedzenia, obok wesołych Mety-sek, na parzącej ceracie. Skóra na rękach i twarzy ciemnieje,

powleka się ceramiczną skorupą. W nosie pył startych bananów. Na Calle Sandoval odbicie słońca od polerowanej tablicy adwokata zapala smołowane sznury w marynarskim sklepie. Broczą zgniecione oponami mandarynki w rynsztokach. Krwisty sok paruje, nim zdążą do nich podbiec słaniające się muchy.

Lazurowe niebo i przeraźliwie szmaragdowa Kordyliera, świeża, cienista, chłodna, nie poznana, przyciągają spojrzenie, myśli, budzą niecierpliwość.

Po pierwszym dniu nadzieja jeszcze jest wciąż żywa. Sekretarz rozwija swą energię, wykorzystuje łatwość bycia, przenika do gabinetów. Naciski od góry nadają bieg sprawie, przyrastają papiery, pomnażają się strony, wypełniają druki, arkusze, płachty, plakaty, ciężkie od podpisów, kwitnące pieczętkami w biskupich kolorach. Wieczorem całość dokumentów jest gotowa. Ostatnia już czynność urzędowa zostaje na rano. Sekretarz, z wdzięcznością żegnany, odjeżdża na przełęcz różową o zmroku, wóz wchłaniają góry.

Nazajutrz ostatni wpis do księgi przed zwolnieniem bagażu. Ranek rześki, posadzki urzędu spryskane świeżą wodą. Celnik sięga po pieczęć „zwolnione”, starannie poi ją czerwonym tuszem, unosi, bierze zamach i - odkłada na bok. Zniechęcenie zjawia się na twarzy. Kryje oczy, odwraca twarz, przeciągle patrzy w okno, gdzie nad morzem startują z Maiquetia srebrne samoloty, tnące skosem mleozną mgiełkę, emulsję ze srebra i szafiru. Wzdycha z tęsknotą, zdejmuje okulary, dłubie z namaszczeniem w nosie.

- A, wróciłeś, Panchito! - wita się z kolegą, który wbiega wycierając pot z czoła. - Widziałeś się z Argelią? Ach! - cmoka - co ona ma w tych plecach? - rozgina spinacz i wsuwa drut do ucha. Na koniec jakby przytomnieje. Stuka palcem w papiery, ujmuje długopis i na krzyż przekreśla pierwszą stronę. - Nieważne to wszy stko - mówi. - Muszą od początku zaczynać. O, tu, niech zobaczą, pomyłony numer. Cały plik do kosza... - popycha papiery łokciem na brzeg stołu, odwraca się tyłem.

Przedstawiciel agenta morskiego drapie się po szyi, poziome zmarszczki przecinają mu czoło.

- Sacra Pepita! - mówi Kuczyńskiemu. - Numer pomyłony!

Maszynistka wypełniająca arkusze wielkości plakatów, nadała im numer jakiejś innej sprawy, właściwy dla towarów wywożonych z kraju. Nie można nawet go poprawić, gdyż

zgodnie z przepisami stawiany jest ręcznie, poprawiać nie wolno, a na domiar jest w tej chwili nie znany.

Ruszają, by poszukiwać dokumentu podstawowego i wkrótce odkrywają, że już jest przekazany do archiwum. Dziesięć godzin mija, nim zostaje wytropiony i uzyskana zgoda na jego wycofanie. W tym czasie urzędnicy wychodzą na obiady, kupują gazety, znikają w toalecie, idą spać do domu.

Zapada druga noc. Żółte lampy palą się nad keją, pokruszone siano pokrywa coraz grubiej nabrzeże. Skrzypi pod butami sproszkowany korek, sypie się złuszczone żelazo z żurawi. Statek wychodzi z wody, półrozładowany. O śrubę mlaska tłusta woda. Trap coraz stromszy, jest już jak drabina. Przy napiętych cumach gromadzą się, marynarskim krokiem wyłysiałe szczury, wywąchując, dokąd statek popłynie.

Popołudnie trzeciego dnia zastaje uczestników wyprawy w windzie towarowej ze stosem waliz i pudeł wyniesionych z kabin. Na statek nie ma już powrotu. Windziarz, posiwiasty w tej służbie, o brązowej twarzy, choć powinien być blady po życiu spędzonym w cementowym mroku magazynów, popycha pakunki kolanem, wodzi łukowatym paznokciem po nalepce i sylabizuje:

- Expedición Polaca a Venezuela... To znaczy...? - zaczyna i słyszy w odpowiedzi:
- Sarisariñama, ukryty w selwie płaskowyż...

Nie chce tego wiedzieć, opędza się dłonią przed dźwiękami, jak przed bzyzącym komarem.

- Polacos, si! - mówi - Znamy. Futbol. Mistrzostwa świata, widziałem wszystko. Mam to pudło w domu. Tak grali... - zawiesza w powietrzu dłoń płasko otwartą ku górze. - Hadocha podał tutaj, a Lubansky strzelił. To było coś! Koniec.

Nie patrząc, przyciska dźwignię windy za plecami. Wystarczą mu odruchy, by zarobić na utrzymanie przy życiu wyschniętego ciała. Myśl jest w innym świecie. Ten świat tutaj, pod stopami, jest całkiem nieprawdziwy. Selwa, nieznanne góry, samoloty? To nie budzi żadnego echa w głowie.

Gdy dwudziestotonowa winda skrzypi, zarzuca i sunie centymetrowymi skokami, dowiadują się od starego człowieka, że gonią za złudą. Naprawdę istnieje la pantalla, ekran, cienie na powierzchni szyby. To obszar spełniający konieczne wymagania, świat do eksploracji, zdolny naprawdę wabić, pociągać i karmić świadomość. Tamten przynosi

rozczarowania. Ten szklany jest posłuszny, wierny i poddany, można nad nim panować, powołuje się go i unicestwia guzikiem. Zrozumiały, w porcjach paczkowanych po tyle to i tyle minut. Zapewnia równowagę ducha, budzi pewność siebie, poczucie bezpieczeństwa i siły. Dla świadomości nie ma większego znaczenia, skąd płyną sygnały. Przy pewnym jej stanie nie jest ważne, co daje spokój. Światy są wymienne, chodzi o dopływ jakiegokolwiek wiedzy. Ciało porzucone jakoś sobie radzi, a jeśli nie, to i cóż to szkodzi duszy zajętej futbolem?

Nie patrząc na siebie, opuszczają windę jakby zagubieni. Wahają się przed wejściem na słoneczne plamy. I kiedy za ich plecami żelazne wrota z łoskotem zamykają się za siewcą zwątpienia, wysuwają stopy i próbują przed sobą twardości betonu.

O godzinie siedemnastej, dnia 22 stycznia, cały bagaż, samochód i przyczepa zostają wypuszczone za bramę portową. Telefon wzywa odsiecz z Caracas i podczas gdy landrover odbywa pierwszy kurs do stolicy, zjawiają się Miguel A. Perrera i Odoardo Ravelo, obaj toyotami. Wahadłowe jazdy trwają jeszcze do północy. Obsłudze wozów i pilnującym bagażu na placu dostarcza się coca--colę i banany. Kuczyński, jak poprzednich wieczorów, wykręca numer de Bellarda w automacie. I, jak już trzykrotnie, słyszy znużony szept opiekunki dzieci: „Państwa nie ma w domu, składają wizytę”.

Na wzgórzu Las Acacias, przed świtem, przy świetle lamp elektrycznych wabiących z uśpionych ogrodów puszyste, nocne motyle, wnoszą pakunki, skrzynie, cylindryczne pojemniki i wory do zamkniętego patio za domem. Niepostrzeżenie mógłby się tam dostać jedynie ktoś, kto by się spuścił po sznurze z owej skalnej ściany wyciętej we wzgórzu. Zakończywszy pracę, dzielą między siebie łazienki i pokoje. Leżąc na materacach, blisko chłodnej podłogi, odkrywają ciszę. Dźwięki miasta nie docierają na górę. Pustka w uszach została też po szumach pomp statkowych i buczeniu przewodów.

Kuczyński budzi się przed świtem. Leżąc z zamkniętymi oczami słucha cichej rozmowy odbitej od muru sąsiedniego domu. Zmieniają się ci w ciemnych okularach, z wypchaną tylną kieszenią, całą dobę siedzący na krześle przy willi deputowanego. Nic się nie zdarzyło w nocy. „Ciao”! Oddała się stuk obcasów i pogwizdywanie. Zostaje trzask zapalki. Krzesło poskrzypuje.

Powtórnie się budzi, gdy za oknem słońce oświetla skalną ścianę. Słucha zgiełkowej awantury i wśród kobiecych głosów odróżnia piskliwe: „Estas loca!” (Jesteś



zwariowana!) i ochryple: „Deja la, Marina” (Zostaw ją, Marina!) Gdy się to powtarza niezmiennie, jak zepsuta płyta, poznaje papugi. Ptaki, zdradziwszy tajemnicę domu, milkną wkrótce zniechęcone, by do następnego rana już nie zabrać głosu. Tylko świeży ranek, chwila przebudzenia, łądzi je w klatce przez chwilę, że w ogóle warto się odzywać.

Kuczyński wstaje, spogląda na papiery na stole, potem patrzy chwilę na gniazdo os za szybą. Na cienkiej szypułce zwisa nieosłonięty szary plaster kilkunastu komórek. Osy są niezwykle długie, jeszcze pogrążone w cieniu, przesiąknięte chłodem, ruszają się, rozginając skrzydełka i nogi, jakby uszła z nich siła.

Układając w myśli plan prac do załatwienia i porządek działań, obchodzi pokoje, budzi śpiących i przypomina każdemu jego dzienne zadanie. Widzi, jak Solicki w śpiworze siada, nie otwartszy oczu. „Tak, tak, już wstaję” - mówi i pada znów jak kłoda na materac. Kuczyński udaje się do łazienki „różowej”, bierze prysznic i wraca. Rzecz się znów powtarza, stoi więc nad Solickim, przemawiając tak długo, aż go przywróci do świadomego istnienia.

Bernard Koisar uruchamia ekspres i zapach kawy rozpełza się po domu. Rozlega się dzwonek, w drzwiach staje Miguel A. Perrera z torbą chrupiących bułek i wiązką słonecznych bananów. Ściana jest rozsunięta, z ogródka wciskają się krzewy. Ulicą zbiegają do miasta dziewczyny. Nad ciemnymi twarzami hełmy z papilotów ukrył pod tiulem. Szeleszcząc oponami stacza się jeep z ławkami, pełniący na Las Acacias rolę autobusu. Szczyt wzgórza, okolice zbiornika wodnego z posrebrzanej blachy, zajmują utrzymujący to miasto przy życiu: sprzątacze, praczki, konduktorzy, pomywacze, szoferzy, posłańcy, sprzedawczynie, windziarze. Bez nich byłoby chaosem. Toteż należy im się to miejsce, najpiękniejsze w stolicy. Caracas mają pod sobą, żyją tam na skale, jak kolonia jaskółek na półkach i gzymsach zawieszonych w przestrzeni.

Rozlega się telefon. Pierwszy sekretarz powiadamia, że ambasador oczekuje wizyty. Zawidzki wyprowadza samochód z garażu i pilotowany za pomocą planu, który niegdyś de Bellard wręczył Kuczyńskiemu, wjeżdża na Autopista del Este - Wschodnią Autostradę. Przebiegają nad miastem po słupach, śmigają nad dachami, widzą odbicia wozu w szklanych ścianach drapaczy, aż na drugim końcu staczają się w ogrody i między pola golfowe Los Naranjos, gdzie na Calle Copernico ma swą siedzibę

ambasada.

Zostają przyjęci przez Zdzisława Szewczyka, uwierzytelnionego przedstawiciela państwa przy rządzie Wenezueli. Nie są konieczne wstępne wyjaśnienia, gdyż od dawna ambasada odbiera dalekopisy ministerstwa, wprowadzające w cel i rodzaj wyprawy. Kuczyński dziękuje za podjęte starania, szczególnie zaś za osobiste spotkanie ambasadora z Tronchonim. Bez żadnego wątpienia, umocniło to w tym ostatnim przekonanie o celowości podjęcia wspólnie z Polakami najtrudniejszego zadania, jakie speleologia może stawiać w tym kraju. Zarazem stworzyło to dla polskiej strony możliwość zmierzenia się z problemem badawczym numer jeden w speleologii światowej.

W pamięci Kuczyńskiego pozostaje niedawna rozmowa z ministrem Spasowskim w Warszawie. Różowy gmach w alei Pierwszej Armii był tym miejscem właściwym, by zdać sobie sprawę, jak dalece podróżujący powinien okrawać dziś swe marzenia o odkryciu. Jakkolwiek by one wypełniały mu duszę, są już karłowate. Każdy spłacheć ziemi, nawet ten nieznan, jest skutecznie chroniony prawem własności i komuś przypisany. Obecnie odkrywa się dla kogoś i dla czegoś, a najmniej dla siebie. Jeszcze Cortez mógł marzyć, że samo przybycie na miejsce podboju w magiczny sposób napętni, go siłą i uczyni go władcą. Że kraj ujrany przez niego stanie się też jego ciałem, jego myślą, istotą i siłą. Dziś zakres odkryć jest śmiesznie zmały, miana „eksplorator” zaledwie można użyć. W miejsce imienia odkrywcy cytuje się numer rządowego programu, punkt międzynarodowej umowy o współpracy, symbol tematu uzgodnionego między resortami dwu krajów.

W ocenie dokumentów inne też są pożytki z odkrycia.

Odsłonięta prawda, sama w sobie, nie ma takiej wagi, jak to, że stała się zręcznym powodem do podtrzymania stosunków dwustronnych. Te zaś są podstawą do uzyskania tych właściwych korzyści, zupełnie odmiennego rodzaju i wyżej cenionych.

O istnieniu kontyentów z wolna się już zapomina. Nawet w ustach geografów to słowo znaczy co innego niż jeszcze pięćdziesiąt lat temu. Amazonia, będąca w dawnym rozumieniu zadrzewionym obszarem w dorzeczu tej rzeki, rozciągniętym od Andów po Atlantyk na wschodzie, na północy wrastającym w selwę Orinoko, dzisiaj jest poćwiartowana. Dzieli się na skrawki przynależne do Ekwadoru, Kolumbii czy

Wenezueli. Między tą ostatnią a Gujaną nazywa się Zona en Reclamación i jest przedmiotem sporu. W Peru nosi już miano Zona Petrolera, w Brazylii Zona do Exploracao - obszar wykorzystania drzewostanu. Inną sieć podziałów stwarzają rozdrapujący selwę misjonarze. Dziś można być nie zrozumianym, gdy się powie: terytorium Jivarów, Guaiców czy Indian Petare, zamiast: grupa misyjna Świętego Przymierza czy obszar braci protestantów Gran Sabana albo ewangeliści Cerro Roraima.

Tak więc współczesny podróżnik (i to słowo trzeba by zastąpić nowym) bardziej niż do pokonania gąszczów, rzek i bagien musi się szykować do uzasadnienia przy biurku niezbędności swojego pochodu. Gdy już to czyni, aby tym skuteczniej zdobyć zezwolenie, powinien podnosić nie tyle korzyści, jakie dać obiecuje, ile najgorliwiej udawadniać swoją nieszkodliwość, usypiać podejrzenia, udając, że jest ślepy i głuchy, gasić zainteresowanie dla swojej osoby.

Ambasador PRL w Caracas wspomina o dawnym udziale Polaków w poznaniu Nowego Świata. Jest sprawą pomyślną to, że znów w ostatnich latach, po okresie gdy wszystkie siły służyły sprawie przetrwania narodu, znowu można część ich zwrócić do powszechnego dzieła odkrywania Planety. Choć liczba białych plam niezmiernie zmalała, uwagę badaczy przyciągają jeszcze góry oraz wnętrze ziemi, niezdobyte jaskinie. A w obu tych kierunkach, także w Ameryce, Polacy mają znaczny udział. To pozwala im teraz brać udział w lądowaniu na Dachy Amazonii.

Rozmowa przybiera charakter roboczy, zostają określone sprawy, które winny być załatwione za pośrednictwem ambasady lub które ona przyjmuje na siebie. Ambasador wyraża też zamiar wydania przyjęcia dla prezydium i członków SVE oraz osobistości na różny sposób związanych z wyprawą. Jednakże to dopiero po powrocie ekipy z terenu, gdy znane już będą wyniki.

Na lotnisko Maiquetia, nad morzem, przybywa z Nowego Jorku Surdel. Wsiadając z samolotu PANAM-u spotyka bawiącego tam sekretarza, a ten przywozi go do siedziby wyprawy. Tak więc, z pewnym opóźnieniem, gdy już powstawały różne przypuszczenia, Jerzy Surdel staje między cienistymi roletami domu, z wąsem, zdaje się, obfitym, bardziej płowym i niżej obwisającym, niż to pamiętają. Nie to jednak sprowadza na witających nagłe osłupienie.

Oto w pokojach trwały pilne prace, rysowały się mapy i szkice. Nanoszono trasy powietrzne i lądowe, sporządzano spisy, wyznaczając miejsce i godzinę, gdzie i kiedy powinien znaleźć się każdy pakunek. W patio zabezpieczano pojemniki przed wilgocią, a żywność przed mrówkami i grzybem. Zliczano kalorie, tworzone rezerwy, ważono bagaże z dokładnością do gramów, by ułatwić bezpieczny załadunek helikoptera. Do tej chwili rzeczywistość, w pojmowaniu tych ludzi, była czymś, co się planuje, co można przewidzieć, opisać i rozłożyć w czasie. Czymś, co człowiek zgodnie z zamysłami kształtuje, a nie dziejącym się poza wszelkim wpływem.

I nagle każe się im pojąć, że, być może, się mylą. Choć na mgnienie oka muszą zwątpić w celowość swej pracy, w pojmowalność świata. Obecność Surdela na wyprawach zbiega się ze złym fatum. Świadczy o tym cały łańcuch wydarzeń. Wiedzą o tym od dawna i każdy musiał się z tą wiedzą uporać, odkąd stał się znany skład ekipy, a obecność Surdela uznana, dla racjonalnych powodów, za słuszną i pożądaną dla celów wyprawy.

Ze szczególną zapewne ostrością jawi się to Kuczyńskiemu. Na kilkadziesiąt dni przed opuszczeniem kraju odebrał osobliwą wizytę. Odwiedzający przybył z ostrzeżeniem, przedstawił zagrożenie, jakie zawisa nad tymi, którzy z powodu niewiedzy zezwolą, by linia ich życia przecięła się z ciągiem nieuchronnych wydarzeń w życiorysie Surdela. Ich przebieg przedstawił wspomagając swą pamięć palcami. Wyprawa alpinistów do Etiopii: z ciężarówki spada i zabija się człowiek. Międzynarodowa wyprawa na Everest: ludzie giną w południowej ścianie. Filmowanie w Tatrach: znów pod okiem Surdela lawina grzebie taterników, lecz uchodzą z życiem. Polska wyprawa na Lhotse: ginie filmujący towarzysz Surdela.

Nie można tego rozważać ani tym się kierować. Można to wypchnąć z pamięci, wiedząc, że tam pozostanie wbrew świadomej woli. A skoro tak, to można jeszcze podjąć to milczące wyzwanie, w półmyślach, niemal w ukryciu przed sobą: uznać istnienie takiej siły, uznać też coś takiego jak własne powodzenie i uznać na koniec, że ono przeważy nad ciemnym fatum Surdela. Odtąd pozostanie czekanie. Czy to coś objawi się w ogóle? A jeśli tak, to spadnie na kogo?

Przychodzi sobota i Kuczyński zastaje de Bellarda w domu. W listach obiecywali sobie, że się uścisną na nabrzeżu portowym. Jednak okoliczności sprawiły, że pierwsze

powitanie odbywa się przez telefon. Nazajutrz rano, w niedzielę, Eugenio de Bellard podjeżdża na wzgórze samochodem, trzyma go na hamulcu na stromej ulicy, podczas gdy Kuczyński wskakuje. Siedząc nie mogą się objąć, więc tylko potrzęsają dłońmi i klepią się po ramionach, obaj odnajdując, że podczas tych trzech lat niewidzenia żaden się nie zmienił.

Kuczyński wolałby w tej chwili nie być dostrzeżony przez kogoś z grupy Tronchoniego, żywi niejasną obawę, że mogłoby mu to zostać poczytane - jakkolwiek bez rzeczywistej przyczyny - Za nierzetelne postępowanie. De Bellard zwleka co nieco, odczytuje tablicę Sociedad zatkniętą w trawniku, ogląda budynek. On, być może, właśnie chciałby zostać rozpoznany, by ci, co się odcięli od niego, poznali, kto jest najpierwszym speleologiem w tym kraju, którego nikt przybywający ze świata nie może pominąć.

De Bellard wie już z telefonu, że celem wyprawy będzie jednak Sarisariñama. Podczas urywanej rozmowy, gdy wóz bierze serpentyny, wciąż do tego nawraca, by wieszować pozyskania współpracy Generała.

- Maciej - mówi - nasza wyprawa kosztowała rząd tak horrendalne sumy i przyniosła tak jednostronne wyniki, że władze nie chciały słyszeć o jej ponowieniu, gdy Brewer Carias postawił taki wniosek. A co to był za bałagan! - puszcza kierownicę i łapie się za głowę.

Eugenio de Bellard narzeka na zdrowie, ostatnio nie najlepiej się czuje. Trapi go nadkwasota. Jedną z tych dolegliwości, którymi mężczyzna płaci za zyskane zaszczyty. Został akademikiem w uznaniu tej pracy, jaką było stworzenie przez niego pierwszego katalogu jaskiń Wenezueli. Kuczyńskiemu nasuwa się przypuszczenie - głośno nie wypowiedziane - że de Bellard jest zapewne pierwszym na świecie speleologiem, który otrzymał wawrzyny za uprawianie tej właśnie dziedziny nauki. Narzeka też na reumatyczne bóle, a te, jak przypuszcza, są następstwem wieloletniego chodzenia po wilgotnych grotach.

Podjeżdżając pod dom w cichej uliczce Los Azulejos, gdzie budynki kryją się w ogrodach, a wjazdy do garaży są jak sklepienia w dżungli, skąd zwisają na szybę samochodu pnącza i kolibry polatują na dół i do góry, jak zabawki zawieszane na gumie. W podcieniu, coś nucąc, Isabel zamiata marmurowe płyty.

- Coś przygotowałam dla ciebie - mówi Kuczyńskiemu - zabierzesz ze sobą. Trochę

kawy z krzaka, który sama sadziłam, sama zebrałam owoce i suszyłam. Będziesz tylko musiał upalić ziarna na patelni do Własnego smaku.

- A jak się ma Leszek? - pyta Eugenio, gdy idą w głąb domu. Wpadają na pomysł, zresztą zapomniany po chwili, by wysłać kartką pocztową do Leszka Dziegła, grotolaza i etnografa w Krakowie. Ten już przed osiemnastu laty nawiązał korespondencją z de Bellardem i niebawem przekazał ją Kuczyńskiemu. Wszyscy trzej planowali już wówczas wyprawę, która teraz dochodzi do skutku, choć w zmienionym układzie i ma inne cele.

Kuczyński odkrywa, że parter domu, cienisty i rozległy, jeszcze rozszerzył się w stronę ogrodu, dzięki rozbudowaniu gabinetu gospodarza. Dwie szklane ściany, osłonięte okapem, tkwią wprost w świeżej trawie i dają widok na zwisające orchidee. Pozostałe ściany zakryte są księgami. Wiszą na nich zblakłe sztychy, strzały, stoją na półkach indiańskie idole i prekolumbijskie czaszki wygrzebane w jaskiniach, a także dyplom adwokacki de Bellarda. Rzecz najmniej, zdawałoby się, oczekiwana w takim otoczeniu. Niemniej jednak jest to połączenie zwyczajne w tym kraju. Doktor prawa de Bellard, przez lata związany z kompanią naftową Shella i stąd czerpiący środki na utrzymanie rodziny, niejako poza godzinami pracy dochodzi godności naukowych. Jest jednym z wielu tutaj dzielących swe życie między biuro i umiłowania badawcze. Do niedawna, uprawianiem nauki, zwłaszcza w dziedzinie przyrody, nie można było zapewnić sobie utrzymania. Łatwo pojąć, ilu to było przyczyną zawodów życiowych i nieudanych życiorysów, szczególnie tutaj, gdzie w zasięgu ręki niejako, nieustannie wabiąc, leżą obszary wciąż jeszcze tajemnicze. Na domiar złego dla miejscowych, penetrowane nieustannie przez obcych badaczy.

Na biurku spoczywa otwarty atlas Ameryki, wydany w 1860 roku. Na mapie poświęconej Wenezueli, ręcznie rytowanej i delikatnie barwionej, de Bellard wskazuje źródła rzeki Caura i, w jej górnym biegu, już zaznaczone obrysy płaskowyżów w ich częściach zwróconych ku rzece, dokładniej oddane niż w późniejszych mapach. Sięga do kartoteki i z niej wydobywa kopertę z fotografią. Rok 1954.

- Popatrz - mówi - to dokument rzeczywistego odkrycia otworów w płaskowyżu - wręcza Kuczyńskiemu zdjęcie amatorskie, nieco rozmazane, odbitkę trochę zażółconą przy brzegach przez złe utrwalenie, jednak nie budzącą wątplenia: pośród zwałonej selwy dwa koliste twory, jakby pozostałe po wbiciu dwu olbrzymich pali nierównej

średnicy. Nazwiska na odwrocie mówią, że pilotował samolot Charles Bougham. Zdjęcie zrobił z powietrza jego pasażer, górnik z zawodu, poszukiwacz diamentów i złota, Węgier z pochodzenia, Galambos A. Ervin. Zdjęcie to, ujawnione przez de Bellarda, dokument niewątpliwy, stało się ostatnio przyczyną sarkania Brewera Carias, który, jak Kuczyński słyszy, uważa się za pierwszego człowieka, który sfotografował studnie. Dokonał tego istotnie, lecz dopiero w 1973 roku. Inny jest jeszcze powód, dla którego dobre dawniej stosunki tych dwu ludzi uległy ochłodzeniu. Ujawnia się nienasycona pycha. Oto w czasie wyprawy, na wniosek ich obu, za jednomyślną zgodą reszty uczestników, nadano studniom imiona dwu słynnych uczonych. Większą nazwano Sima Alejandro de Humboldt, dla uczczenia wszechstronnego badacza, który w początkach XIX wieku, przekazał Europie pierwsze naukowo sprawdzone wiadomości o Wenezueli. Mniejszą: Sima Eduardo A. Martel na cześć ojca speleologii, Francuza. Lecz niedługo to trwało. Ledwie kończy się wyprawa i ekipa wraca do Caracas, Brewer Carias występuje z żądaniem, by Wielką Studnię nazwać jego imieniem, i w publikacjach sam tak ją poczytna nazywać. Nie baczy na wymogi skromności ani tym mniej na dekret prezydencki, który jasno mówi, że obiekty geograficzne nie mogą być nazywane imionami żyjących jeszcze osób. Brak zrozumienia ze strony de Bellarda zostaje przyjęty jako wrogość. Aby nie zaognić sporu i utrzymać namiętności na wodzy, de Bellard prosi Kuczyńskiego o używanie nazw o neutralnym charakterze, a więc Sima Mayor i Sima Menor, Wielka i Mała.

Papugi w ogrodzie zanoszą się śmiechem. „Yo soy matadero”; - nuca. Jestem matadero! Isabel przyprowadza dzieci, spokojna, jakby nieco znużona. Dwóch chłopców, cztery dziewczynki. Najmłodsze dygają. „Mamai Papa!” - proszą o pieniądze na jakiś szkolny wydatek. Isabel podchodzi do biurka, ma tam swoją szufladkę, wyjmuje monety. „Mi amor” - mówią do siebie rodzice, „mi bella” lub „mi amor” - do córeczek.

Gdy odchodzą, znów wraca temat płaskowyżu. Kuczyński, zawsze pamiętając, iż usprawiedliwieniem, jedynym dla jego wyprawy i późniejszym miernikiem oceny będzie odkrycie jaskiń drażących masyw Sarisarifiama, pragnie się dowiedzieć, jakie de Bellard daje na to nadzieje.

- Jesteś jedynym speleologiem na świecie - mówi - który widział to na własne oczy. Słyszy w odpowiedzi, iż nie ma najmniejszego wątplenia co do obecności podskalnych

tuneli.

- Gdzieś się ta woda podziwia, skoro nie wypełnia studni! A przy tamtejszych opadach do środka zlewają się miliony litrów, całe rzeki spływają pod ziemię. Od krycie jest przed tobą. Niestety, mnie od razu odsunięto nawet od próby jego dokonania... - urywa, pojmując, iż znów trzeba by wymienić nazwisko Brewera Carias.

- Nie ma na to rady! - śmieją się. De Bellard jest wstrzemięźliwy w sądach i nieskory w obwinianiu. Jednak dochodzą do wniosku, że tutaj, pomiędzy nimi dwoma, wszystko może być wypowiedziane. Kierownik wy prawy wolał zejść do Wielkiej Studni z bratem i brytyjskim alpinistą Nottem, zaś do Mniejszej z lekarzem wyprawy, niż z kimś z ekipy naukowej. Miał dostateczne powody, by zagrożenie dla swego rozgłosu upatrywać ze strony geologów, a zwłaszcza speleologa. Gdyby się bo wiem potwierdziła hipoteza o jaskiniowej naturze otworów, jedynie oni mogliby to opisywać i relacjonować w sposób naukowy, im by przypadły honory odkrycia, nie zaś dentyście-botanikowi. Odkrycia nie miał więc kto dokonać i nic nie wyjaśniono. Prócz zebrania zielnika, usprawiedliwieniem zejścia na dno stało się więc przedstawienie dla tysięcy ludzi wydane w środkach masowego przekazu. De Bellard szczęśliwie mógł odbyć kilka lotów helikopterem ponad płaskowyżem, a to mu pozwoliło dostrzec i opisać uderzające podobieństwo terenu do typowej rzeźby obszarów wapiennych drażonych przez jaskinie.

Milkną obaj i niewidzącymi oczami patrzą na rozświetlony ogród poprzez chłodną szybę. Być może, obaj zdają sobie sprawę, jakie jest ich dążenie w tej chwili, kiedy tak roztrzęsają postęпки Brewera Carias. Drażą je, dzielą, rozgryzają i trawią. Kuczyński pragnie ocalić dla siebie i grupy coś jeszcze do odkrycia, oddzielić to, co już poznane, i dostrzec tę granicę, której nikt nie przekroczył - Brewer Carias, de Bellard, piloci. Wyłuskać i określić to, co będzie jego własną zdobyczą. Na pół nieświadomie usiłuje też może sprowadzić zdobycze poprzedników do najmniejszej miary. Choćby tylko przed sobą odebrać im znaczenie i ośmieszyć.

De Bellard niewysoko musi oceniać swoje położenie, on nie ma tu już niczego do zyskania. Każde odkrycie dokonane przez innych na obszarze kraju staje się przeciwwagą dla jego własnych dokonań. Nie brak mu jednak wielkoduszności, jest z tym pogodzony, czego daje dowody. Dobrze to rozumie, że na pewnym poziomie pogłębienia wiedzy, a także szacunku dla samego siebie, badacz więcej zyskuje dzieląc



się znajomością przedmiotu, niż chroniąc ją dla siebie.

Isabel prosi do stołu. Zjadają obiad i przed kawą dziewczynki prowadzą Kuczyńskiego do ogrodu, gdzie stoją klatki pod cienistym drzewem. Niosą miękkiego banana dla prastarej papugi, pamiętającej jeszcze czasy niewolników. Niegdyś pochwycona przez handlarzy w Afryce i jak jej pan wleczone w kajdanach, do dziś nie pozwala się rozkuć przez wierne o nim wspomnienie. Łańcuszek półprzetarty po stu latach, wkrótce sam spadnie z jej sękatą nogi.

Eugenio de Bellard, nim odwiezie gościa, wręcza mu świeżo wydaną książkę o wyprawie. Tytuł: *Into the Lost World* - „Do Zaginionego Świata” - jest na okładce wpisany w zieloną fotografię Wielkiej Studni. Autor: David Nott. Kuczyński wie, o kogo chodzi. Nott jako alpinista odpowiadał za sprowadzenie na dno dwu braci, Jamesa i Charlesa Brewerów Cariasów. Jego sprawozdanie, jako człowieka oswojonego z przebywaniem w terenie podobnego rodzaju, pozwala się spodziewać rzeczowej oceny przeszkód i trudności.

Siedząc w samochodzie, Kuczyński na chybił trafił otwiera stronicę i głośno odczytuje ustęp mówiący bez ogródek o tym, jak jeden z worów ze sprzętem odczepił się od liny i świsnął koło głowy Notta, stojącego w ścianie Studni, omal go nie strącając w przepaść, na co ten kieruje upomnienie w górę, do jednego z braci: *...the idle scoundrel, who had tied the bag on and almost knocked me on the rock...* - „...leniwego łajdaka, który zamocował worek i niemal strącił mnie ze skały”.

Skojarzenie powstaje już w chwili czytania. Kuczyński pyta de Bellarda o walące się głązy, zwłaszcza zaś ten, szeroko opisywany przez prasę, który miał nieomal zabić jednego z uczestników wyprawy.

- Nic takiego nie było! - otrzymuje stanowczą odpowiedź. - Nic, prócz tego worka. Skała jest lita jak odlew z żeliwa. Dwaj dyletanci zjeżdżali po linach za Nottem. Nigdy się też nie przyznali, który z dwu źle zawiązał worek. Ale błąd wykorzystali dobrze w dziedzinie, w której są ekspertami - w reklamie.

## **Los Japoneses**

Spakowany do drogi bagaż zostaje zważony. Ograniczony do niezbędnego, lecz bezpiecznego minimum, spoczywa w dwu stosach, 1230 kilogramów ważą rzeczy

przywiezione z Polski, 420 kilogramów ekwipunek uzupełniony i zakupiony w Caracas. Pozostaje przewiezienie tego do bazy lotniczej w Maracay, skąd nastąpi odlot za dwa dni, w środę. Jest poniedziałek, godzina szesnasta. W patio kończy się ważenie, gdy rozbrzmiewa telefon.

Kuczyński podnosi słuchawkę do ucha i słyszy lekko ochryPLY, nieco jakby wysilony głos, jeszcze mu nie znany

- Tu David Nott. Señor Kuczyński, skoro mamy jechać razem, powinniśmy dołożyć starań, ażeby żyć w zgodzie...

Tak nagłe jest to ucieleśnienie się Notta z niezrozumiałym posłaniem, iż Kuczyński nawet się nie dziwi. A tak głęboko jest przekonany o zamknięciu rozdziału poprzedniej wyprawy, o odejściu na karty sprawozdań jej ludzi, tak pochłonięty sprawami własnego odlotu, że przyjmuje ten głos jak pochodzący od kołaczącego się po ziemi ducha. Najmniej skłonny jest zwracać uwagę na ton natarczywości, napięcie wyczuwalne w głosie mówiącego, które winny być ostrzeżeniem.

- Razem? - pyta.

Nott łatwo stąd odkrywa, iż zaczął niewłaściwie. Nie zbija go to z tropu, waha się zaledwie przez ułamek chwili.

- Sądziłem - podejmuje - że OCI, to znaczy, Centralne Biuro Informacji już powiadomiło... - ciągnie, coraz jawniej podszytym bezczelnością tonem: -- Na zaproszenie OCI, a więc w istocie rządowe, bawi w Wenezueli ekipa telewizji japońskiej. Mamy lecieć z wami na płaskowyż, czterech Japończyków, ja i dwie, trzy inne osoby. Moja książka wychodzi w japońskim tłumaczeniu, więc zdjęcia w telewizji będą dla czytelników dobrym wprowadzeniem. Sfilmują zejście do Wielkiej Studni. Cztery dni jedynie. Moglibyśmy wziąć z wami wspólny ekwipunek, bo po co wozić za dużo? Milknie i oddychając w słuchawkę czeka odpowiedzi. W istocie, to, co mówi, nie brzmi jak pytanie. Raczej jak świadczenie, ze słowa na słowo rozbrzmiewające coraz bezczelniejszym tonem, podszyte niecierpliwością zaledwie tłumioną, by już realizować zapowiedź wbrew wszystkim i wszystkiemu.

Kuczyński z łatwością pojmuje, że odłożenie słuchawki w tej chwili byłoby ze szkodą jedynie dla niego samego. Nie ma bowiem cywilizowanego sposobu nakłonienia

pewnych ludzi do spostrzegania istnienia innych wokół siebie. Nadto nie zna dostatecznie sprawy i, by zyskać na czasie, a pole konfrontacji ograniczyć, odpowiada Nottowi, pewny, iż ten chętnie uwierzy, iż nie ma nic przeciwko niemu samemu. Natomiast Japończycy to już inna sprawa. Są zobowiązania, których trzeba dochować wobec Telewizji Polskiej. Jej sprzęt i przedstawiciel w osobie reżysera Jerzego Surdela są na miejscu. Toteż o robieniu zdjęć przez Japończyków nie może być mowy i w tym przedmiocie żadne ustępstwa nie mogą być negocjowane.

- No tak... - słyszy z ust Notta, a po chwili: - Więc oddzielna akcja... - Nott już nie nalega i aby jakkolwiek zakończyć rozmowę, prosi o wieczorny telefon do niego. Kuczyński naciska widełki i połączenie zostaje przerwane.

Bez zwłoki wykręca numer Tronchoniego, sekretarka łączy go z szefem. Tak, już mu wiadomo. W tej chwili zakończył rozmowę z OCI. Instytucja ta próbowała uzyskać dla ekipy japońskiej niezależny transport na płaskowyż, ale lotnictwo wojskowe odmówiło. Zgoda będzie co najwyżej na wykorzystanie samolotów wyprawy speleologicznej. Tronchoni wyraża swój sprzeciw, chociaż się nie łudzi - będą dalsze naciski. Odwołuje zapowiedziany na wieczór koktajl w swoim domu i kogo tylko może osiągnąć telefonami, wzywa do Las Acacias na radę wojenną.

Rzecz, określona przez kogoś, jako „pakowanie się z kopytami w cudzą wyprawę”, wzbudza najwyższą podejrzliwość uczestników. Wzburzenie skłania ich do przypuszczenia, że Japończycy są tu tylko parawanem. Natarczywość Notta i skryte przygotowanie pola w OCI każą domyślać się innych, być może, zamiarów niż tylko filmowanie. Nie można wykluczyć, że w Wielkiej Studni pozostał problem odkrywczy, jaskinia, do której Nott nie wszedł, zanadto zajęty próbami wyrwania się z owej „pułapki”. Obecnie mógł sobie uświadomić, że zbadanie jaskini przez obcą ekipę, zwłaszcza gdyby ujawniło labirynt drążący płaskowyż, z podziemnymi rzekami, musiałoby w cień usunąć dokonania pierwszych zdobywców studni. Objawienie się Japończyków w Wenezueli dostarczałoby w takim razie sposobu na cudowne ocalenie problemu dla siebie.

Na Las Acacias przybywa Franco Urbani i inni, a wreszcie i Tronchoni. Z jego ust słyszą, iż termin odlotu został odłożony. Dowództwo Sił Powietrznych prosi o dwu lub trzydniową zwłokę do chwili zakończenia inspekcji lądowisk polowych przez gubernatora

stanu Bolivar. I druga wiadomość: za Nottem i Japończykami ukrywa się Charles Brewer Carias z bratem Jamesem. To oni są owymi „dwoma lub trzema jeszcze osobami”.

Wywołuje to wesołość zebranych, gdyż trudno byłoby wymyślić obrót sprawy bardziej groteskowy. Zarazem, po raz pierwszy, dopuszczają myśl o tym, iż ustępstwo może zostać jednak na nich wymuszone. Postępowanie Brewera Carias, tak lekko się obchodzącego z zasadami godności i męskiego honoru, każe im snuć najgorsze przypuszczenia. Nie można bowiem nie doceniać jego zdolności do skutecznego działania, a także jego wpływów, zwłaszcza w OCI. Instytucji działającej przy urzędzie prezydenta, powołanej do kształtowania wyobrażeń o Wenezueli. Zaś do tego celu Brewer Carias, obywatel kraju, jest wymarzonym człowiekiem. W oczach dziennikarzy zatrudnionych w OCI, jego nazwisko jest jak znak reklamowy, jak sygnał wywoławczy budzący wymagane skojarzenia. To człowiek znany już w świecie: ten, który-był-uwięziony-w-kapsule-czasu.

Doktor Franco Urbani, profesor Uniwersytetu Centralnego, już jakby pogodzony z daremnością oporu, lecz do głębi urażony takim przeciwstawieniem reklamy nauce, odchyła pięść, udając, że w niej trzyma swe narzędzie pracy i z włoską namiętnością, która wyrywa się spod profesorskiego spokoju, zapowiada:

- Jeśli któryś z Japończyków tylko zwróci na mnie kamerę, rozbiję młotkiem. Koniec.

Złe rokowania nabierają jeszcze czarniejszego koloru gdy zostaje przypomniany zawód Notta. Odczytuje się notatkę zamieszczoną na tylnej okładce jego książki, informującą o autorze: *...journalist, covers the north of South America, the Caribbean and Central America for the London „Daily Telegraph”, the BBC, „The Economist” and several politico-economic reviews.* Niewiele trzeba dopowiedzieć. Centralne Biuro Informacji, OCI, nie może nie liczyć się z osobą wpływającą na opinię anglosaską o tym kraju.

Powściągają uczucia, gdyż te nie sprzyjają działaniu, choć są jego koniecznym motorem. Uznaje się mimo wszystko za niezbędną interwencję w OCI. Należy uruchomić pewne siły wewnątrz Biura i naciski, zapewne tym skuteczniejsze, im mniej będzie wokół nich rozgłosu. Tronchoni telefonuje i pozyskuje pomoc Maria N., z którym razem złożą odpowiednie wizyty. Uznaje się, że we wstępnym przynajmniej działaniu, ekipa polska zostanie na uboczu. Byłoby znaczną niezręcznością, gdyby jedna grupa

cudzoziemska, bawiąca tu na zaproszenie, podejmowała kroki przeciw drugiej.

Przygotowuje się warunki do omówienia ich w OCI. W wypadku gdyby wspólny lot został jednak wymuszony, nie będzie zgody na wspólne działanie. Wyprawa, jak było planowane, rozpocznie badanie Mniejszej Studni, podczas gdy Japończycy udadzą się wprost do Wielkiej i tam mogą filmować zejście, lecz wyłącznie Notta i Brewerów Cariasów. Kuczyński przygotowuje i wręcza Tronchoniemu notatki pomocne w argumentacji jeszcze innego rodzaju. Znaczne ryzyko wynika z zamiaru zejścia do studni właśnie tych samych osób, które podczas pierwszej wyprawy zostały z niej wydobyte po sześciodniowej akcji ratunkowej i okazały znaczną bezradność, gdy przyszło do użycia lin i przyrządów wspinaczkowych. Teren kryje te same co wtedy zagrożenia i gdyby nastąpił wypadek, wyprawa byłaby zmuszona podjąć akcję ratunkową zamiast wypełniać swe cele. Należy uświadomić tę odpowiedzialność OCI, gdy tak popiera amatorską grupę.

Nazajutrz, gdy Mario N. i Tronchoni przekraczają obite bawełnianą watą drzwi w budynku OCI, na drugim krańcu miasta, na Calle Copernico, przed domem ambasady parkuje landrover, a przy nim oczekują uczestnicy wyprawy. Kuczyński jest na górze, rozmawia z sekretarzem, gdy otrzymuje wiadomość, że señior Nott jest na dole i pragnie z nim mówić. Nie spiesząc się, kończy rozmowę i schodzi do hallu, lecz Davida Notta już tam nie zastaje. Od Pawła Zawidzkiego słyszy, co się stało.

Przejeżdżający uliczką samochód zahamował obok land-rovera. Wsiada z niego człowiek niewysoki, suchy, o twarzy z blizną, bez uśmiechu. Podchodzi do stojących w cieniu i pyta, czy są speleologami polskimi. Przedstawia się, oznajmia, że mieszka tu obok i, nie zrażony chłodem powitania, próbuje nawiązać przyjemną rozmowę. Przy tym nie zdaje sobie najwidoczniej sprawy, że wyraz jego twarzy, wciąż czujny, skupiony, odbijający wewnętrzne naprężenie, jest całkiem w niezgodzie z lekkimi słowami. Oświadcza, niby to niefrasobliwie gwarząc, że wszystko załatwione, już mają ekwipunek, a jeden z Japończyków bywał w Himalajach i wie, jak się obchodzić z liną.

Chociaż nie dają mu wprost odprawy, ze wstrzemięźliwych odpowiedzi miarkuje na koniec, że nie może liczyć na ożywienie rozmowy. Chce czekać na Kuczyńskiego, siada w samochodzie. Po chwili woła, że wróci, pojedzie do telefonu, do domu. Rusza. Zjawia się z powrotem i wchodzi do hallu ambasady, niespokojny, nerwowy. Może się

wydawać, iż ulega wbrew woli jakiejś sile przyciągania. Jak winny, którego coś wabi na miejsce przewinienia lub może jak drapieżca, który okrąża ofiary, szuka do nich zbliżenia, nazbyt niecierpliwy, by dłużej utrzymać się z dala.

Obiecuje wskazać miejsce, gdzie zakłada się liny zjazdowe do Studni. Przynęty nikt nie podejmuje, więc wreszcie dociera do niego, że nie znajdzie tutaj zrozumienia. Traci cierpliwość, gwałtownie wyrzuca:

- Musimy razem lecieć! Ścieżka wokół studni jest nasza, polana pod obóz wycięta w lesie nad studnią jest nasza... - wstrzymuje się, chciał może powiedzieć, iż studnia jest też jego. Zrywa się i pod pozorem, że ma pilny telefon, skoro Kuczyński nadal się nie zjawia, na dobre odchodzi.

Geolodzy wyprawy spędzają godziny w pracowni Franco Urbaniego, petrografa, na Uniwersytecie. Pod mikroskopem przeglądają szlify skał występujących w formacji Roraima. Piaskowce, czasem kwarcyty z nielicznymi tyszczkami.

Pośród innych zajęć, urywając minuty, Zawidzki i Kuczyński na przemian czytają książkę Notta. Pospiesznie, czasem po dwa zdania, opuszczając strony. W ciągu kilkunastu godzin, jakby na marginesie uwagi, coraz pełniej objawia się ten szczególny dokument. Pisane świadectwo nie tyle odbytej wyprawy, ile tego, co staje się z dziełem, gdy piszący skupia nadmierną uwagę na zapewnieniu przyszłej, wysokiej sprzedaży. Staranie o chodliwość towaru, to określenie, które tu przystaje.

Oto jak brzmią własne słowa Anglika, którymi przedstawia się na obwolucie: „...by dokonać niebezpiecznego zejścia, potrzebowano pomocy doświadczonego wspinacza”. Jeszcze dobitniej brzmi to bez przekładu, Nott określa się mianem: „expert climber”. Podobne stwierdzenie odkryje czytelnik i na dziewiętnastej stronie, gdzie Nott pisze, iż Brewer Carias „...powierza mi, jako wspinaczowi-weteranowi pokonywanie wzwyż, w dół, czy w poprzek - każdej góry...” Po takich zapowiedziach już do końca dzieła Nott ponawia starania, by tym twierdzeniom zaprzeczyć.

Cóż bowiem, po trzech miesiącach przygotowań i ślęczenia nad fotografiami studni, ma do powiedzenia „expert climber”, gentleman, dwu ludziom, za których wziął odpowiedzialność? Zaledwie sprowadził ich w dół ściany, taką odbywa rozmowę: Jimmy do Notta: „Sądzisz, że nie możemy stąd wyjść?” Nott: „Właśnie”. Jimmy: „Słyszysz, Charles? Jesteśmy uwięzieni”.

Nic go to nie zraża, że sam pakował aparaty do wychodzenia po linie, dziecinnie łatwe w użyciu nawet dla początkującego. Odtąd cały wysiłek autora na to się kieruje, by zaprzeczać własnej dobrej sławie. Alpinista rozwija dywanik i zmienia się w skoczka bawiącego gawieź na ulicy. Straszy ją i siebie, wyciska współczucie, łaskocze, by skłonić do śmiechu. Oto doznaje złudzenia, że ściany studni już się walą na głowę, to łokciem się zasłania od napaści pterodaktyla, zdziwiony, gdy ten okazuje się ptakiem, to znów w przerażenie wprawiają go słowa z głośnika, gdyż nic jakoby nie wiedział o radiotelefonach, za chwilę gardło ściska mu groza na szmer worka spuszczanego z powierzchni na sznurze, choć na niego czekał. Takie to przeciwności, tortury oraz zaskoczenia cierpi z nim czytelnik do ostatniej, 186 stronicy.

Łatwo zresztą odkrywa, że nie wszystko zostało umyślnie podane. Rzeczywisty niedostatek kompetencji jasno się rysuje, choćby z takiego przykładu: Brewer Carias każe przysłać na dno piłę motorową, nie informując ekipy na górze, w jakim też chce jej celu. Po dwóch dniach wycinania lądowiska, wzywa pilota do opuszczenia na dno helikoptera. Dowiaduje się wtedy z rozpaczą, iż na próżno tracono czas i siły, maszyna do studni opuszczać się nie może.

Nie ma już eksploratorów! Czy też są, lecz tylko na miarę problemów? Skarlali. Alpinista brytyjski, potomek Stanleya, bez mrugnięcia okiem zmienia się w dżdżownicę wyzbytą kręgosłupa. Więc może da się uzasadnić tęsknota za zdobywcami z dawnych wieków? Przynajmniej tego nie można im zarzucić, by robili interes wystawiając się z własnej woli na politowanie.

Nie ma już radości, jaką dawał wysiłek pokonywania terenu, odkrycie nowej prawdy, osiągnięta przewaga. Nie daje zadowolenia to poczucie siły, gdy mięśnie przeciążone przecież dalej pracują i ciało pokonuje przeszkodę. Na 186 stronach uparcie są odgrywane niepewność, strach, przykre zaskoczenia, groza, czyhanie Przyrody, żarłoczność stuleci, wysysanie woli. I nieudolność wykazana na licznych przykładach. Cena wstępu dla widza: 7,95 dolara, okładka płótnowana.

Mario N. i Juan A. Tronchoni przemierzając gabinety w OCI, stopniowo odkrywają, że żadne argumenty nie będą zrozumiane, a już najmniej ktokolwiek skłonny jest do wnioskania, z dobrze tu pamiętanej akcji ratunkowej, że ci sami ludzie, których wyciągano wtedy, i tym razem mogą sprawić podobne kłopoty. Twierdzi się, że każdy

odpowiada za swe własne życie.

Dowiadują się, podczas ostatniej wizyty, w najprzestronniejszym pokoju, że OCI opłaca pobyt japońskiej ekipy i koszt jej przewiezienia na płaskowyż zwróci wojskom lotniczym. Osobistość wspomina im o racji stanu, nie zostawia wyboru, podkreśla niezbędność zgody i porozumienia, mówiąc zaś pozostaje w nieustannym ruchu, Obejmuje się za głowę, pociąga za uszy, wyciera dłonie w różne części ciała, wije się w fotelu, obsuwa, jakby w zamiarze spełnienia na dywan. Mario N. i Juan zmieszani tak straszliwym obrazem samowoli ciała, gdy się ono wymknie spod kontroli głowy, pospiesznie wychodzą. Ledwie pamiętają o naznaczonym spotkaniu z Nottem i Brewerem Cariasem.

Rozmawiając z nimi Tronchoni, w imieniu wyprawy, skoro nie można już stawiać oporu, zgadza się na wspólny przelot, ale nie działanie. I tylko do lądowiska, gdzie dotrą samoloty, dalej zaś obie grupy się rozdziela. Japońską przeniesie helikopter na skraj Wielkiej Studni, wyprawę zaś w pobliże Mniejszej. Po pięciu dniach zdejmie Japończyków, odwożąc ich do Cacuri, dokąd OCI przyśle po nich samolot.

Tak Nott dopina swego, wspierany przez Brewera Cariasę. Ten ostatni już się nie kryje za plecami, wysuwa się do przodu, choć w istocie pretekstem całej wyprawy jest książka Davida Notta. Jakby już nie mógł znieść zostawania w cieniu, czego, ze względów taktycznych, przestrzegał na początku sporu. Przemawia, nie kryjąc próżności. Cierpkoci gani urzędnika, który zanotował przy jego nazwisku „odontolog” - dentysta.

- Ja jestem biologiem - zaznacza, niebawem zaś znajduje sposobność, by wtrącić: - Studnia mojego imienia.

Nadzieja pozbycia się „Japończyków” zostaje rozwiana i trzeba się pogodzić z nowym położeniem. A także przystać wewnętrznie na inny kształt wyprawy, zubożony, zmałały. Rozstać się z żywionym dotąd przekonaniem o dokonywaniu rzeczy wyjątkowej. Jak bowiem być eksploratorem, choćby tylko we własnym mniemaniu, kiedy się wie, że o kilometr od namiotu rozbitego w głuszy, ktoś inny otwiera puszkę z piwem i brzęczy tranzystorem. Odtąd wprost niepodobna mówić o niedostępności terenu, o pokonanych przeszkodach, niezwykłości wykonanego zadania.

Polakom nic nie pozostaje lepszego, jak wyciągnąć korzyści i z przegranej. W tym celu, uspokoiwszy już ducha, przyznać, że „Japończycy”, chcąc nie chcąc, sprowadzili



rzecz do prawdziwych wymiarów. Pewna epoka minęła i najżywsza fantazja już jej nie przywróci. Wyprawa, która niegdyś oznaczała tyle, co działanie przez miesiące i lata, ludzi o silnym ciele i takiejże psychice, o twardym doświadczeniu i woli, dziś może być odbyta w ciągu kilku godzin, nawet przez kalekę, jeśli ten wynajmie pilota.

Każdego dnia rano, jadąc przez Caracas, Kuczyński dostrzega, jak urosły drapacze, przybywa pięter na biura, coraz wyżej są palmy na dachach. Przybyło tablic reklamowych, przesłaniając niebo, wzmocniły się ich kolory. Czerwień fluoryzuje, słońce przy niej jest blade. Autostrady wspinają się na betonowych odnóżach, podnoszą nad miasto, wydłużają, a ściśnięte w za krótkiej dolinie końce pasm zwijają w spirale. Widzi ludzi przypiętych do aut skrzyżowanymi pasami, zmuszonych jechać przed siebie, krążąc po ślimakach ogłaszać się hałasem, oszałamiać dymem.

Odsuwa od siebie obraz miasta - przyrzędu wzrastającego bez miary. Stara się patrzeć nań jak przez grubą szybę. Zakłada, że taka terażniejszość jeszcze nie jest życiem: to czas do przetrwania. Lub trwanie bezczasowe. Kiedyś czas znowu ruszy i da początek życiu. A stanie się to, gdy ponownie będzie można eksplorować.

Jerzy Surdel opuszczając Warszawę podejmuje się pracy filmowej zazwyczaj, powierzanej najmniej trzem osobom.

Konieczne jest jednak, by ktoś z uczestników zajmował się nagraniem dźwięku, gdy on będzie spełniał rolę reżysera i operatora. Chodzi o obsługę miniaturowego sprzętu NAGRA, najwyższej zawodowej klasy. Ponieważ nikt się dobrowolnie nie zgłasza, Kuczyński prosi na rozmowę Pawła Zawidzkiego. Przedstawia mu argumenty, ale go nie przekonuje. Wzmacnia więc nalegania i mówi, niezbyt się zastanawiając:

- Najciekawsze do nagrania rozmowy będą w czasie pokonywania ściany studni, gdy Koisar, wiszący na linie, nie będzie mógł się tym zajmować... - tak mówiąc, ma w pamięci Bernarda Koisara torującego zejście w najgłębszej jaskini Ameryki, Sotano de San Augustin w Meksyku. Nie kryją się za tym żadne powzięte już z góry plany dzielenia ekipy. Lecz Zawidzki tak to właśnie przyjmuje. Nie ukrywa, jak jest poruszony. Podkreśla swą gotowość podporządkowania się, a jednak nie może przystać na to, by niejako z góry być odsuwany z pierwszej linii ataku. Prosi, by decyzje osobowe wynikały z układów danego dnia czy chwili, z rozwoju akcji albo stanu zdrowia. Z naciskiem zaznacza, że zależy mu na tym, by mieć równe szanse z innymi w podejmowaniu

najtrudniejszych zadań. Upatruje dla siebie największą wartość wyprawy w tym, by uczestniczyć w przecieraniu nowych ścieżek.

Kuczyński to uznaje. Zajście jest przypomnieniem dla niego, jak delikatną zawsze sprawą jest kierowanie nawet małym zespołem ludzi, choćby znakomicie zgranych i współdziałających w sposób doskonały. Podobne pragnienia jak Zawidzkiego nurtują także pozostałych, jest więc tylko jedno wyjście: przeszkolenie wszystkich i tym sposobem niewiązanie na stałe nikogo.

Nauka odbywa się przed wieczorem, gdy słońce przechodzące na zachodnią stronę umożliwia rozsunięcie rolet. Wówczas już tylko purpurowa poinsettia przesiewa światło wpadające do pokoju. Kiedy pod okiem Surdela ludzie kolejno nabierają wprawy w wymianie ładunków z taśmami, Kuczyńskiemu błyska myśl, niedorzeczna zapewne, ale przecież zaistniała. Podejrzanie, iż za niechęcią tak powszechnie objawianą, kryło się, być może, podświadome pragnienie jak najdalszego trzymania się od reżysera z jego fatum.

Co rano, gdy poranek traci już swą świeżość, gdy w ciszy na Las Acacias brzmi klepanie poduszek, a mężowie dopijają kawę, gdy spoza okiennic i kamiennych murków wychylają się głowy w papilotach, gdy służba szeleści miotłami na tarasach i sennie gaworzą dzieci, nastaje dziwna chwila. Na Caracas spada terkot samolotów. Niewielkie maszyny, jedno- lub dwumotorowe, najczęściej marki Cessna, przywożą ziemskich posiadaczy i biznesmenów zamieszkałych w dalszej okolicy. Lądują w samym środku miasta, na zostawionym pośród domów polu Aerodromo Francisco de Miranda. Przez piętnaście minut wszelkie odgłosy pokrywa warkot silników schodzących nad dachy.

Na wzgórzu Las Acacias nastaje wtedy chwila pora chunków domowych. Jedyna, kiedy mimo cienkich ścian i otwartych okien, sąsiedzi nic nie mogą usłyszeć. Ruga się pokojówki, gani opieszale żony, mężom wypomina młodość straconą przy ich boku, córkom wyrzuca skutki nadmiernej swobody. Trzaskają drzwi i pękają wazon. Ląduje ostatni samolot i znowu cisza pozwala słuchać brzęku pszczoły. Mężczyźni, gryząc cygara, trzaskają drzwiczkami fordów i zwalniając hamulec, ruszają do pracy. Wśród zdyszanego milczenia tylko pilne papugi, mamrocąc pod dziobem, przepowiadają świeżo zasłyszane słowa.

Bernard Koisar nie baczy na tę porę. Cudzoziemiec, beztrosko pomijający miejscowe

układy, uważa każdą chwilę za dobrą, by równym, podniesionym głosem wyrażać swoje zdanie o tych, co porzucają nie umyte naczynia i nie schowane produkty na stole kuchennym, zostawiają fotoaparaty czy radia poza domem, zapominając schować je przed nocą, którzy ozdabiają fotele częściami ubrania lub, co wzbudza najgłębsze potępienie, doskonałą umiejętność znikania bez śladu wówczas, gdy czekają co pilniejsze prace.

## **El Coronel**

Pułkownik Hugo Borrell, który z rozkazu Generała osobiście dowodzi operacją mostu powietrznego Paño Negro - Sarisariñama, telefonuje, aby powiadomić, że w niedzielę zjawi się w siedzibie wyprawy. Na poniedziałek zwołuje ostateczną odprawę w dowództwie Sił Powietrznych, na wtorek zaś wyznacza odlot.

By nie odkładać niczego na ostatnią chwilę, już w sobotę większość bagażu zostaje załadowana do landrovera i przyczepy, a także auta Tronchoniego, i przewieziona do Maracay, miasta odległego o 110 kilometrów od Caracas, przy którym jest baza lotnicza. Do wtorku bagaż ma przeleżeć w domu Carlosa Bordona, członka SVE.

Landrover rusza przodem, prowadzony przez Zawidzkiego, pilotowany przez Dygę. Dwie godziny po nich rusza białe combi Tronchoniego. Kuczyński jako pasażer, przypięty w oziębianej kabinie pod niebieską kopułą, patrzy na odbarwione miasto zostające w dole. Smukły dziób pojazdu celuje w dymne niebo, przyspieszenie tłoczy plecy do fotela, ręce nalewa ołowiem. Wznoszą się na góry, tak obłe i olbrzymie, jak gdyby to było zgarnięte z przestrzeni składowisko globów. Każda z tych pałub okrytych krzakami mogłaby być oddzielną planetką lub księżycem.

Nie sposób nie odczuwać odświeżającego działania tej chwili, ciężka machina wyprawy znów drgnęła do przodu. Transport do Maracay to następny etap zbliżenia z płaskowyżem. Z nowo obudzoną uwagą, Kuczyński śledzi, okolicę i łatwo poznaje, że strefa eksploracji jeszcze nie tu się zaczyna. Dostrzega tylko ziemię zdobytą, łąso autostrady wgryzione w poziomice. W sieci dróg i ścieżek już nic się nie szamoce, grubiej sznury domów i węzły samotnych chat na zboczach. Chodzą po nich boso wieśniacy z maczetami pod pachą. Pod daszkami z palmy dzieci sprzedają banany ociekające złotem i mandarynki świecące jakby własnym żarem.

Dom Carlosa Bordona i Señory stoi na skraju miasta, już w pobliżu szczytów okrytych ciepłą dżunglą. Miejsce to wybrali, porzucając Caracas, by mieszkać tuż przy tropikalnym lesie, terenie łowów na owady. Carlos, inżynier geodeta, z zamiłowania entomolog, znany w całym świecie, oraz jego żona pochodzą z Triestu, gdzie podczas wojny poznali się pracując w ruchu oporu. Osiedli w Maracay z córką Liną. Sjętę spędzają w hamakach na cieniście tarasie, śpią pod moskitierami zawieszonymi u sufitu, hodują storczyki i żółwia. Dom jest wielki, zanurzony w ogrodzie, na skarpie, pełen przybudówek, tarasów, schodów i balkonów. Wodę wypuszczono z basenu, by przerwać nieustanne wizyty dzieci z dzielnicy Santa Rosa.

Carlos Bordon zawozi Polaków do dżungli. Schodzą z asfaltowej szosy i błotnistą ścieżką wspinają się pod chmury tunelem w listowiu. Wieczna mgła wisi pomiędzy drzewami, mleko skrapla się na szablistych brzościach palmowych. Przesuwają się niby w stogu waty, w który wpleciono paprocie. Z oparu wyłania się blade kielki zwinięte w pastorał. Ukryte, fikusy wysuwają tylko swe palczaste dłonie. Głucha cisza ocieka wodą jak syropem. Cielska drzew mającą czarnymi cieniami. Podparte korzeniami przyporowymi, jak trójkątne ściany, ze swą popielatą korą, podobne są do baszt betonowych, głowa zawadza o pnąca zwisające z chmury. We mgle trzeba się schylić, by dostrzec pełzające stworzenia i liście zbutwiałe pod stopami, niektóre są już tylko siateczką popielatych żyłek.

Schodzą w dół, z obłoku, znów do słonecznego świata. Z zakamarków siedziby Bordonów wyłania się staruszka i staruszek, Metysi. On wysoki, chudy, w białym płóciennym ubraniu, o tej szczególnej bieli, jaką dają niezliczone prania, cerowanym i pokrytym łatami. Łagodnie się uśmiecha, niesie grabie do ogrodu. Staruszka wspina się na taras i siedzącego Bordona obejmuje za szyję, tuli jego głowę, kołysze. Tak co dnia, pod okiem señory, wyraża swe uczucia dla Carlosa, który dwoje bezdomnych starych przygarnął na ostatnie ich lata.

Señora Bordon mówi cichym głosem, podszytym znużeniem. Już jej ono nigdy nie opuści po owych trzech latach samotnej wojny z Niemcami. Jako podstawiona urzędniczka, trwała w triesteńskim gestapo, nigdy nie pozwalając się schwytać i przekazując łącznikowi, był nim Carlos, informacje, którym dziesiątki rodzin zawdzięczają przetrwanie.

Trochę dzięki tamtym przejściom, a także dzięki europejskiemu pochodzeniu, teraz, gdy na tarasie toczą się rozmowy o wyprawie, ona jedna nie daje się oszołomić wielkości tej sprawy. Widzi plamy na spodniach i pomięte koszule. W eksploratorach dostrzega mężczyzn z dala od ich domów. Uruchamia pralkę, a potem wiatr i słońce wypijają wodę z pojaśnionych tkanin w ciągu paru minut.

Potrzebne jest spotkanie z tą starszą, siwą panią i Carlosem, każącym zaglądać do pudeł bezcennych owadów, by Kuczyński zrozumiał, jak chłodno w istocie byli dotychczas przyjmowani przez speleologów z SVE. Formalnie niepodobna cokolwiek im zarzucić, zobowiązania zostają wypełnione do ostatniej litery, ale na tym koniec. Spotkania nie wykraczają poza granice oficjalnej siedziby, rozmowy utrzymuje się z dala od prywatnej strefy. Tak jest to niezwykłe, nawet jak na Latynosów, zawsze czujnie strzegących swego domu i kobiet, tak niezgodne z dawniejszymi doświadczeniami Kuczyńskiego, że każde mu szukać szczególnej przyczyny. Dostrzega ją na koniec w małym obyciu tych ludzi z życiem na wyprawach. W braku u nich poczucia tej więzi, jaką stwarza związanie się liną. Wspólnoty, która natychmiast ożywa między dwoma obcymi, gdy się dowiadują, że obaj należą do zakonu górskiego. W przeciwieństwie do tego, wspólne prowadzenie kartotek i schludna siedziba, nie stają się, jak widać, kluczem do wtajemniczenia.

Tronchoni, jakby coś z tych myśli docierało do niego, zaprasza na wieczór do siebie, do domu, gdzie ma być kilkoro przyjaciół. Wyjeżdżają z Maracay ze szczeniakiem, którego Tronchoni otrzymał dla dzieci. Radzi się, jak go nazwać.

- Burek! - podsuwa Kuczyński.

Tronchoni zapamiętuje i kiedy wieczorem sześciu Polaków wkracza już do jego domu, w pokojach słyszą wołanie:

- Burek, Burek, do nogi!

Zostaje wniesiona taca, wielkości koła u wozu, z kopcem szafranowego ryżu. W nim kraby, głowonogi, krewetki, ostrygi, ślimaki. Zimne, białe wino. W ogrodzie małpa przykuta do konaru łańcuchem. Tak pojętna, że wykręca żarówkę wiszącą na drzewie, gdy światło ją razi. Tak sądzą gospodarze. Lecz, być może, ona robi to wtedy, gdy dość ma oglądania tych bezwłosych stworzeń, nie wiadomo w czym upatrujących swe podobieństwo z małpami. One przecież nie wynajdywałyby myślenia tylko po to, żeby

mieć dla swojej bezmyślności jakąś miarę.

W niedzielę, zgodnie z zapowiedzią, na Las Acacias zjawia się z Tronchonim teniente-coronel de aviación Hugo Borrell y Casa. Trzymając opaloną rękę pułkownika, Kuczyński ma w dłoni materialny dowód istnienia tej, dotąd mitycznej osoby. Zapewne jest więc także i Generał oraz Siły Powietrzne, to, co objawiało się dotychczas tylko w słowach i pismach urzędowych. Jest to nowy, nieznaczny wprawdzie, ale niewątpliwy krok do przodu.

Pułkownik przywozi ostatnie wiadomości z terenu, gdzie sam dokonał lotu zwiadowczego. Wysoki, zbrązowiały, inaczej niż ten miejski gatunek o przejrzystej skórze, pędzący życie w półmroku rolet, zaćmionych tarasów, nieprzejrzystych markiz, szczelnych parasoli. Czarnowłosa i o czarnych oczach, jak jego rodacy, wewnątrz potrafił się odmienić. Jest pełen spokoju. Choć krew ma tę samą i tak samo od pokoleń nagrzewaną w tropikach, zdaje się, iż zmusił ją do wolniejszego biegu. Słów z siebie nie wyrzuca, lecz je wypowiada, zawsze z opóźnieniem, nieznacznym, lecz zauważalnym, wynikającym z niezbędnej kontroli tego, co pomyślane i co można przeznaczyć do wypowiedzenia przez ośrodek mowy. Powszechna tu umiejętność gwarzenia o tym i o owym, jest mu całkiem nie znana. Słowa to informacja, służą do wymiały określonej wiedzy. Każde z krótkich zdań winno nieść nowe znaczenia. Już po chwili rozmowy Kuczyński pojmuje, iż nic bardziej od tego nie mogłoby wzbudzać zaufania do kogoś, komu powierza się swoje nadzieje.

Ci trzej i Franco Urbani, dla omówienia szczegółów, wybierają się na obiad do pobliskiej gospody, w uliczce przy uniwersytecie. W czasie jazdy Kuczyński dowiaduje się od Hugo Borrella, że ten zna dobrze Brewera Carias. - Chodziłem z nim do szkoły. Stykałem się i potem. Jesteśmy w dobrych stosunkach, chociaż nie uważam, by postępował właściwie. Generał powiedział, że nic z nim nie chce mieć już do czynienia. Otrzymałem jasne rozkazy - Wyjazd Japończyków nie może wpłynąć na waszą wyprawę. Brewer Carias już kilka lat temu dokonał wyczynu. To skoczek spadochronowy i odważny człowiek. Wynajął samolot i dowodził skokiem dziesięciu ludzi na polanę w dżungli u źródeł rzeki Erebatu. Na ziemi się okazało, że mają jedną maczetę, dwie zapałki, wygrzebane u kogoś w kieszeni, i kanapkę z serem zawiniętą w pergamin. Przeżyli, była woda. Po dziewięciu dniach trafili na indiańską osadę.

Gospoda jest zbudowana z pali wbitych w ziemię i malowanych na czarno. Podłogę stanowią maty. Także w oknach chwieją się plecionki z trzciny. U smolistych belek więźby dachu wiszą pęki bananów, tak jak zdjęte z rośliny, po. dziesięć, dwanaście słonecznych kręgów na jednej łodydze. Wyżej strzecha palmowa. Na półkach słoje szklane z sałatkami z jarzyn i owoców.

Pojawia się na stole żeliwna misa z rozżarzonymi węglami. Nakryta jest rusztem, na nim rzucony stos mięsiva, kiełbaski, kiszka związana strunami w sznur kulistych parówek. Skwierczenie, smażenie się wątróbek i nerek. Żyłki, flaczki, nadziewane i splecione w warkocze, na chrupko spieczone, kawały steku, żeberka, plastry wołowiny. Ociekają tłuszczem, dymią, pachną, syczą. Do tego w miseczkach zielona przyprawa z pestkami, jedna paląca, z utartej papryki, druga słaba i mdła, jak zgnieciony kabaczek. Przed każdym deska prostokątna, gruba, spracowana, wyłobionym owalnym zagłębieniem. Sięgają widelcami i kęski wyłowione z rusztu przenoszą na drzewo. Do mięsa jest czarna fasola w gęstym sosie i parzone w liściach żółte kluchy kukurydziane. Także gotowana juka, korzeń mączysty i przyjemnie suchy, oraz krowi ser w plastrach, nabierający ostrości na języku. W kryształowych kieliszkach lód z wodą.

Słyszą od Hugo Borrella, że lądowiska sprawdzone i wybór niejako sam się dokonał. Najbliższa płaskowyżu sawanna Kidisuwochi, pod południowymi ścianami, jest nie do użycia. Kiedy obniżył samolot i zatoczył koło, dostrzegł el tigre, jaguara, pożerającego krowę. Hałas i widok kilkakrotnie nalatującej maszyny nie skłoniły go nawet do cofnięcia się w krzaki. Nie to jest przeszkodą. Na lądowisku, założonym jeszcze w 1932 roku przez Cardonę, Indianie wbili koły. Nie pierwszy raz i nie tam tylko się to zdarza. Piloci selwy zawsze się z tym liczą, przybywając na mało uczęszczane lądowiska w lesie. Lecz co najbardziej może zdziwić kogoś z Europy, to wiadomość, iż nie zawsze jest to pomysł samych Indian, lecz równie często misjonarzy. Nieraz mają oni dobre powody, by uniemożliwić wizyty ludzi zdolnych właściwie ocenić ich starania o zbawienie drugich. Lecz to inna sprawa.

Usunięcie przeszkody wydaje się możliwe. Dość byłoby wystać śmigłowiec i oczyścić pole. To jednak spowodowałoby jeszcze kilka dni zwłoki. Zwłaszcza, iż konieczne by były rozmowy z kacykiem Sanemanów. Władze starają się zachować pozory suwerenności plemion władających ziemią, także w tym odległym terenie. Prostsze

będzie więc lądowanie w Santa Maria del Erebato, skąd do płaskowyżu pozostaną trzy kwadransy lotu helikopterem. Całość trasy już się jasno rysuje: Paño Negro - Cacuri - Erebato - Sarisariñama.

W poniedziałek, drugiego lutego, o godzinie 8.30 rano, bazie La Carlotta w Caracas, Tronchoni z Kuczyńskim hodzą do szarego budynku z metalową tablicą: „Dowództwo Transportu Lotniczego”. Pułkownik Borrell czeka w hallu, bierze ich pod ramiona i prowadząc w stronę kantyny, mówi przyciszonym głosem:

- Musimy urządzić małe przedstawienie, udawajcie, że o niczym nie wiecie. Chcemy wydobyć z OCI jak najwięcej pieniędzy za przelot. Oni płacą za Japończyków, ale spróbujemy ich skłonić, by zapłacili i za was. Oni są bogaci.

Pośród oficerów lotnictwa, sączących kawę z tekturowych filiżanek, kierują się do stolika. Z daleka poznają siedzącego przy nim Davida Notta, rozmawia z kobietą. Señorita Maruja de Lima, szef Wydziału Planowania Audiowizualnego i Publicystyki, Dyrekcji Informacji Zagranicznej OCI - dowiaduje się Kuczyński po wymianie wizytówek. Señorita Maruja ma kawową skórę, nieco senne oczy, rzęsy jak przyprawione, mówi śpiwnym tonem, a brzmienie jej głosu budzi porównanie ze słodkim budyniem.

- Tylko wy, Słowianie - zauważa - mówicie po hiszpańsku bez cienia obcego akcentu... Jak to jest możliwe?

Trzeba przywitać się z Davidem Nottem, jakkolwiek nieznacznie ma się do tego przekonanie. On czyni to skwapliwie, chociaż oczy zostawia gdzieś z boku. Za jego plecami Kuczyński z Tronchonim wymieniają spojrzenia. Obaj ulegają tej samej nikczemnej pokusie i nie próbują się jej przeciwstawić. Głowę tego człowieka uznają za bardziej baniastą, niżeli ona jest w naturze, dostrzegają na niej mniej włosów, skóra wyda im się bardziej gąbczasta i porowata, blizny bardziej odstręczające, głos bardziej skrzekliwy.

Kuczyński, który się tu zjawia z niejasnym zamiarem zadania Nottowi pytań, odnośnie sposobu, w jaki ten chce sprowadzić do studni Japończyków, rezygnuje z tego. Wprawdzie pociągająca jest myśl o przyparciu Anglika do muru cytadeli z jego własnego dzieła i łatwe wykazanie błędów popełnionych, jednak korzyść z tego wydaje się teraz znikoma. A zachwianie jego wyobrażenia o sobie samym też jest niemożliwe. Tam gdzie przeważa bezwzględne dążenie do sukcesu, zanika zarazem zdolność do



krytycznego myślenia na swój temat.

Chwilę potem następuje spotkanie z Charlesem Brewerem Cariasem. Wjeżdżają windą na górę, przecinają salę obwieszoną mapami, pełną stuku maszyn i dalekopisów i wchodzi za szklaną ścianę gabinetu, odcinając te odgłosy. Meble metalowe mają szarozielonkawy kolor. Wojskowy siedzący za biurkiem rozmawia przez telefon. Nie wstając i nie przerywając rozmowy, skłania tylko głowę i dłonią wskazuje fotele. W tej chwili zjawia się spóźniony Charles Brewer Carias. Zanim się przywita, wszystkich obdarzając dłonią wyciągniętą z rękawa, lekko zadyszany, przystaje trzymając wciąż klamkę, jakby czerpał z niej odwagę.

Średniego wzrostu, blondyn. Niebieskie bawełniane ubranko układa się na nim fałdami. Nogi wyglądają jak pałkowate. Stoi z podanym w przód brzuchem i dziwnie wypchanymi spodniami. Twarz ma długą, wąs jak u morsa, zwisający, nos też wydłużony i zakończony kartoflem z ziejącymi dziurami. Odchyła głowę i kieruje otwory jak lufę dwururki kolejno na obecne osoby. Policzki, wpadnięte głęboko, przez swoją budowę na zawsze odbierają tej twarzy zdolność do uśmiechu. Nadęta, skamieniała w najsurowszej powadze, nie twarz, lecz oblicze nadświadome swej wagi. „Charles potrafi być czarującym człowiekiem, zjednuje tym sobie poparcie wielu ludzi” - to słowa de Bellarda. W tej chwili, jak widać, Brewer Carias nie uważa za potrzebne zjednywać sobie nikogo. W istocie: on i Nott są górą.

Wojskowy zza biurka odkłada słuchawkę, wita się nie wstając i przedstawia:

- Pułkownik Socorro Parra, szef transportu wojskowego.

Spokojnym, beznamiętnym głosem, kierując słowa, jak się zdaje, najbardziej do przedstawicielki OCI, pułkownik wylicza rodzaje pomocy, jakiej Awiacja udzieli wyprawom. To ostatnie słowo użyte w liczbie mnogiej, każe Kuczyńskiemu stłumić najostatniejszą iskierkę nadziei, jeszcze tłące się oczekiwanie, że armia przywoła do porządku intruzów. Jednak kleszcz zbyt mocno wgrzyźł się w skórę. Zostaje odczytane pismo Generała. W nim czarno na białym wymienia się ekipę Japończyków jako upoważnioną do przelotu wraz z polsko-wenezuelską wyprawą.

Z rozkazu Generała, Siły Powietrzne przydzielają personel, samoloty i paliwo bezpłatnie, jedynie część kosztów tyczących helikopterów winno pokryć OCI. Pułkownik czyta z tabeli: dzień pracy tej maszyny - 1500 boiiwarów, płaca załogi, czterech osób,

400 boiiwarów, ponadto, 160 boiiwarów za delegację pułkownika Borrella. Razem wyliczono na ekipę japońską 4000 boiiwarów, a na wyprawę speleologów - 12 000 boiiwarów. Zwraca się wyczekująco do señority Maruja de Lima. Zanim ta zdąży cokolwiek odpowiedzieć, wrywa się Brewer Carias:

- Za nas - mówi, wyręczając i Notta, i Japończyków, a najbardziej señoritę de Lima - za nas OCI zapłaci więcej, bo spędzimy siedem, osiem dni na płaskowyżu!

- Przepraszam - gasi go pułkownik, podnosi dwoma palcami pismo Generała. - Tylko cztery dni macie...

- No, tak, ale... - próbuje Brewer Carias z uporem. Pułkownik znów ucina, już z wyraźnym chłodem:

- Cztery.

- OCI zapłaci cztery tysiące i więcej nie może - kończy señorita de Lima.

Pułkownik zwraca się do speleologów:

- A jak będzie z waszymi kosztami?

Tronchoni wchodzi w rolę, trze z zakłopotaniem dłonie:

- Generał mi mówił - tłumaczy - że będziemy zwolnieni od kosztów. Jesteśmy wyprawą naukową, bez celów komercyjnych, tak jak Japończycy. Señor Nott tak że się spodziewa, że film zwiększy sprzedaż jego książki w Japonii... - zawiesza głos na chwilę, by dotarła, gdzie trzeba, ta kropelka jadu.

Pułkownik celuje palcem w señoritę.

- A więc OCI zapłaci...

Przedstawicielka OCI nie jest przygotowana na taką rozmowę; nim podejmie zobowiązanie finansowe, musi

porozumieć się z biurem. Telefonuje. Niestety, nikogo tam nie ma, wszyscy na zebraniu.

- Jeśli nie polecą speleolodzy, nikt więcej nie poleci...- pułkownik uznaje, iż nadeszła chwila, by nacisk udramatyzować.

Nott i Brewer Carias zsuwają się na skraj foteli. Teraz Kuczyński zaczyna wyliczać koszty już poniesione przez wyprawę, mającą dać tyle korzyści Wenezueli: zakup ekwipunku w Polsce, żywność, opłaty za podróż morzem. Ocenia je łącznie na 20 tysięcy dolarów, co daje w przybliżeniu 80 tysięcy boiiwarów. Tronchoni dorzuca sumy na zakupy dokonane w Caracas, łóżka dla pilotów, śpiwory, jedzenie. Stwierdzają obaj,

iż niemożliwe są dalsze nakłady, przyjdzie raczej pomyśleć o zmianie celu wyprawy.

Pułkownik Socorro Parra nagle ze skupioną uwagą zaczyna gładzić wąs, którego nie ma pod nosem. „Japończycy” nie dostrzegają tego, obaj szepczą do uszu señority Maruja de Lima. Ta, choć bez przekonania - lecz najwyraźniej zmuszona, znów telefonuje za oszkloną ścianą. I to znowu nie daje wyniku. Jednak pułkownik uznaje, iż na ten dzień dopiął celu.

- Zrobimy tak - mówi - akcję rozpoczniemy we wtorek, zaś rozmowę o kosztach podejmiemy niebawem po powrocie z Brazylii Generała.

Ustala się plan lotów. Operacja zostaje wyznaczona na dzień 4 lutego, we środę. O godzinie 6.00, z lotniska cywilnego Maiquetia pod Caracas, odleci samolot wojskowy do przewozu osób, Douglas C-47, zabierając zasadniczą grupę. O tej samej godzinie, z bazy Paño Negro, wystartuje transportowiec, Boeing C-123, z paliwem w beczkach i całym bagażem. Bagaż winien zostać dostarczony do bazy tegoż dnia przed świtem, na rampę grupy transportowej nr 6. Może z nim polecieć trzech ludzi. Kuczyński podaje nazwiska: Paweł Zawidzki, Odoardo Ravelo. Nott zgłasza Jamesa Brewera Carias.

Dzień wcześniej z Caracas odleci helikopter UH-4, na noc zatrzyma się w Manapiare, skąd zabierze dwóch Indian, robotników leśnych, przydzielonych wyprawie przez CODESUR - Komisję Rozwoju Południa. Proponuje się przelot nim Kuczyńskiemu, ale ten odmawia. Uznaje za niemożliwe rozłączenie się z grupą w pierwszej fazie działania, jakkolwiek mała szybkość maszyny i podróż nisko nad dżunglą obiecują wyjątkową możliwość śledzenia krajobrazu, jakiej nie da samolot. Sposobność podchwytuje skwapliwie Brewer Carias i z dwoma Japończykami zostają zapisani jako pasażerowie helikoptera.

Wszystkie trzy maszyny około południa, dnia 4 lutego spotkają się na sawannie Cacuri. C-47 niezwłocznie powróci do bazy, C-123 zaś dokona jeszcze jednego przelotu, dowożąc paliwo w beczkach dla helikoptera. O tej samej porze do Cacuri nadlecą z bazy Caicara de Orinoco awionetki Cessna i Otter, by wraz z helikopterem dokonać wahadłowymi lotami przerzutu ludzi i sprzętu do wioski Santa Maria del Erebató. Przy sprzyjającej pogodzie loty zakończą się przed zmrokiem i obaj piloci powrócą jeszcze do Caicara. Dalszych transportów na płaskowyż dokona helikopter.

Upredzając możliwe nieporozumienia i by od razu uczynić wiadomym, że nie będzie

dyskusji w tym przedmiocie, Kuczyński zastrzega, iż w pierwszej kolejności zostanie przerwana na płaskowyż wyprawa.

### **La Ilusión**

Od kilku dni na Las Acacias panują katary, bóle głowy lub klatki piersiowej. Kolejno narzekają Dyga, Zawidzki, Surdel, źle się czuje Koisar i Solicki. Kuczyński chodzi z katarem. Próbuje leczyć się rumem lub polopiryną. Działanie tropików zdaje się nie oszczędzać także landrovera, tym gorzej je znosi, iż posunięty już w latach. Koisar ogląda podwozie i dostrzega brak jednej śruby z zamocowania wału napędowego. Patrzy z drugiej strony - brak drugiej. Kładzie się na plecach - dwie ostatnie śruby poważnie obluźnione. I to w przeddzień terminowej jazdy do Paño Negro. - Coś dzieje się niedobrego - mówi przy obiedzie spożywanym w patio - dwa dni temu odkryliśmy wyciek w tylnym baku paliwa, jeździć można już tylko na przednim. Wczoraj naprawiałem z Dyga sprężynę powrotu tylnego biegu. Poważnie pęknięta jest rama, zaś tłumik wydechu składa się w połowie z puszek po konserwach drutowanych pracowicie przez Dygę.

Popołudnie zajmują Kuczyńskiemu prace logistyczne, jak je określają chętnie Wenezuelczycy. Ustala kolejność, w jakiej ludzie odbędą loty z Cacuri do Erebató i stamtąd na płaskowyż. Rozważa, kto, gdzie i kiedy powinien się znaleźć i z jakim wyposażeniem, aby w każdej chwili, każda jednostka i grupa była w pełni samodzielna i zdolna do przeżycia. Pogoda może przerwać loty, podobnie uszkodzenia maszyny. Do pierwszej grupy na płaskowyż włącza siebie, Urbaniego oraz obu pracowników fizycznych z CODESUR-u, aby ci natychmiast rozpoczęli przecinanie ścieżki do krawędzi Mniejszej Studni. Spisuje numery pojemników do załadowania w każdym z lotów. Podczas pierwszego w maszynie musi się znaleźć radiostacja, apteka, kuchnia i paliwo, żywność i namioty, nawet woda, z którą mogą być kłopoty w pociętym szczelinami terenie.

O zmierzchu ludzie przerywają rozmaite prace. Postanawiają pójść do kina, gdy rozbrzmiewa telefon. Paweł Zawidzki, który go odbiera, przysłania dłonią mikrofon:

- Kuczyński! - szeptem. - Po angielsku, to chyba Nott dzwoni...

Jednak jest to ktoś nieznajomy. Zanim się przedstawi, dwukrotnie upewnia się, czy

mówi z żadaną osobą. Przeprasza za takie naleganie, wymienia swe nazwisko z tytułem doktorskim i dodaje:

- Ono nic partu nie powie. Przed godziną przyleciałem specjalnie z Florydy, zależy mi na osobistym spotkaniu i to w cztery oczy.

Kuczyński uzależnia swą zgodę od otrzymania szczegółów. Słyszy zapewnienie:

- Nie ma w tym nic tajnego, chcę tylko za wszelką cenę uniknąć rozgłosu. Rzecz może być w najwyższym stopniu interesująca dla pana.

- W jakim sensie? - pyta.
- Naukowym. Chodzi o jedną z hipotez pochodzenia kraterów Sarisariñama.

Nieznajomy proponuje spotkanie w mieście, ale tego Kuczyński stanowczo odmawia. Wśród kilku powodów, jakie nim kierują, szczególne znaczenie ma ten, że nic, co dotyczy wspólnej dwunarodowej wyprawy, nie powinno być omawiane poza siedzibą SVE. Budzi w nim rozbawienie myśl o możliwym spotkaniu z maniakiem, jednak to przypuszczenie porzuca już w czasie rozmowy. Szaleństwo ma swoje granice, a jeśli prawdą jest ten przylot z zagranicy... Głos należący do młodego człowieka, na pewno z wykształceniem, mówi:

- Dobrze, przyjadę do pana. Zaraz. Mam powrotną rezerwację na poranny samolot...

Kuczyński się zgadza, rezygnuje z kina i chce objaśnić drogę.

- To niepotrzebne - słyszy głos nieznajomego podszyty uśmiechem - nasz kierowca trafi.

Kończą na tym rozmowę, Kuczyński z mocnym przekonaniem, że samochód, który podjedzie za chwilę na Las Acacias, będzie oznaczony literami CD w białym owalu. - Powraca do gazet i pomaga kolegom w dokonaniu wyboru. Reklamy kinowe zajmują całe strony druku. Niedzielne wydanie w kolorze, ocieka czerwoną farbą. Słynne „Szczęki”, tu idące pod tytułem „Rekin”, reklamuje obrazek: smugi krwi w wodzie, członki odcięte zębami.

„Sekso-piła” idzie trzeci tydzień. Un pervertido - zboczeniec piłą motorową kaleczy kobiety przed zgwałceniem. Obrazek: owłosione ręce rzeźnika na uchwytych okrwawionej piły, uciekająca dziewczyna z nadciętymi udami.

„Trupi jad”, potwór ludzki zjadający zwłoki. Obrazek: paszcza pożeracza wgrzyziona we wnętrzości kobiety w czarnych pończochach.

Do obejrzenia zostaje wybrany „Afryka Kocha”, film dokumentalny, nagrodzony w Cannes, zachwalany gorąco przez Jerzego Surdela. Trzy godziny potem, gdy już wróca z kina, Kuczyński usłyszy od Bernarda Koisara:

- Krwawa jatka. Pod koniec seansu została połowa ludzi, wychodzą, bo to nie jest dla nich. Sam wolałbym do rzeźni, tam jest chyba mniej krwawo. Wszystko pokazane, obrzezanie, porody, jedzenie myszy, smażenie psa, gotowanie zupy ze skrawków ciała po męskim i żeńskim obrzezaniu... Co kto tylko lubi?

Franklin X., wchodząc do ogólnego pokoju, rzuca krótkie spojrzenie na smugę światła padającą zza nie domkniętych drzwi biblioteki. Choć poprzednio nalegał na dyskrecję spotkania, teraz nie wydaje się zaniepokojony odgłosem pisania na maszynie. Tadeusz Solicki aż do wyjścia gościa nie wychyli głowy z biblioteki. Kilka razy dotrze też przez okno na schodach pogwizdywanie strażnika sąsiedniego domu. Zresztą po kilku minutach Kuczyński się przekonuje, że jakiegokolwiek obawy są bezprzedmiotowe.

Przybyły nie tylko się przedstawia, ale pokazuje legitymację instytutu, w którym jest zatrudniony. Raz jeszcze podkreśla, że nie o tajność mu chodziło, lecz jedynie uniknięcie prasy i rozgłosu. Kuczyński się z tym zgadza, lecz uprzedza, że jego dyskrecja ma pewne granice. To, czy treść rozmowy zachowa dla siebie, czy też natychmiast przekaze ją Tronchoniemu, będzie zależało od tego, co usłyszy.

- W istocie - stwierdza Franklin X. z uśmiechem - o, czego obawiamy się najbardziej, to publicystycznych zdolności Mr. Brewera Cariasasa, choć od niego cała sprawa się zaczyna i z nim, może, należałoby odbyć tę rozmowę.

Kuczyński ukrywa swe uczucia, obudzone na dźwięk tego imienia. Spostrzega, iż już coraz łatwiej mu to przychodzi. Może po prostu jest już pogodzony ze swą rolą idącego po cudzych śladach - do czasu - ma nadzieję.

- Sprawa się zaczęła - mówi Franklin X. - gdy jeden z moich przyjaciół, geograf, zapalony podróżnik po Ameryce Południowej, przyszedł spytać o zdanie mnie, jako fizyka. Pokazał materiały. Po pierwsze pismo *El Farol* z barwnym zdjęciem, wykonanym przez Brewera Cariasasa w jaskini na górze Autana. Po drugie, artykuł prasowy o zejściu tego samego badacza do kraterów Sarisarinama, zaopatrzony sensacyjnym tytułem-pytaniem: „Czy to zrobili kosmici”?

Wyraz twarzy Kuczyńskiego jest taki, że gość pospiesznie wykrzykuje:

- Niech mnie pan jeszcze nie wyrzuca! Zaraz pan zrozumie, co tu mogło przyciągnąć fizyka i jak doszło do tego, że przyleciałem do Caracas, w końcu za zgodą i na koszt instytutu.

Kuczyński wie już, że nie ma do czynienia z maniakiem. Musi też pamiętać, że aż do tej chwili nikt nie umiał podać racjonalnego wytłumaczenia pochodzenia kraterów. Może więc dobry jest każdy sposób, by szukać rozwiązania? Może nie opierać się dłużej przed wkroczeniem na te mgliste obszary? Popłynąć myślami za granicę zdrowego rozumu, pozwolić, by zmieszał się umysł?

- Po trzecie - ciągnął Franklin X. - tego zapewne pan nie wie i nie wiedział także mój przyjaciel, ja mam materiały, które skojarzone z tamtymi, kazały mi sprawdzić hipotezę, choć i ja, i moi koledzy, szansę jej po twierdzenia uważamy za niezmiernie znikomą. Ale po kolei... - urywa i poczyna wyjmować z teczki przywiezione z sobą materiały. Rozkłada na stole pismo *El Farol-1974*, wydawane raz w roku przez Creole Petroleum Corporation, apartado 889, Caracas, numer specjalny zatytułowany „Jakość Życia 1”. W nim dobrze znany Kuczyńskiemu artykuł Brewera Carias „W poszukiwaniu początków”, opisujący jego dwie wyprawy, jedną, odbytą w 1971 roku na górę Autana, gdzie badał jaskinie, drugą w 1974, na płaskowyżu. Barwne zdjęcie przedstawia wielką, okrągłą komorę groty Autana, o regularnym kolistym sklepieniu różowego koloru, o dnie zasłanym głazami, ze stojącą na nich małą postacią człowieka.

Na drugiej fotografii Wielka Studnia Sarisarinama, kolisty otwór, ściany dzwonowato rozszerzające się ku dołowi i rumowisko na dnie, powstałe, jak się podejrzewa, po zawaleniu się sklepienia.

- A tego, co mam tutaj - stwierdza Franklin X. - raczej nie mógł pan widzieć. Teraz pojmuje pan w pełni cel mojej wizyty - dwoma palcami wysuwa z koperty barwne, błyszczące zdjęcie, z cyfrowymi danymi, odbi tymi automatycznie na marginesach. Obraca je do Kuczyńskiego i pyta: - Co to panu przypomina?

Kuczyński widzi wielką, okrągłą komorę groty, o regularnym, kolistym sklepieniu różowego koloru, o dnie zasłanym głazami, ze stojącą na nich małą postacią człowieka w śnieżnym kombinezonie.

- To mogłaby być - odpowiada - ta sama komora na górze Autana lub niezwykle podobna próżnia w jakiejś innej grocie powstałej w takich samych skałach.

- Mogłaby - Franklin X. się zgadza - lecz nie jest. To sztuczna pieczara utworzona po podziemnym wybuchu jądrowym dokonanym na głębokości pięciuset metrów pod pustynią, w stanie New Mexico.

Kuczyński zsuwa oba zdjęcia brzegami. Nie ma istotnych różnic między nimi. Barwa, skał, kształt komory i sklepienia, przebieg szczelin w ścianach, rodzaj gładów na dnie. Zaczyna pojmować przybysza. Mówi:

- Jak powstały te wenezuelskie jaskinie, odkryte przez Brewera Cariasa, tak inne od wszystkich poznanych na świecie - nie wiadomo. Ale już wiadomo, co zrobić, by w sposób sztuczny otrzymać takie same!

- Właśnie! - podejmuje przybysz. - Jak się to odbywa? Do wywierconego szybu, otworu o małej średnicy, opuszcza się rurą ładunek jądrowy. Jego wybuch pod ziemią powoduje wyparowanie wszystkiego, co się znajduje dokoła. Powstaje temperatura kilkudziesięciu milionów stopni i ciśnienie kilkuset tysięcy atmosfer. Energia wybuchu kruszy, topi i odparowuje skały. Fala uderzeniowa, wędrując od centrum wybuchu ulega osłabieniu zmienia się w drgania sejsmiczne...

Wynika z dalszego ciągu wykładu, iż w centrum wybuchu powstaje wyrwa zależna od głębokości i rodzaju skały. Zaraz po wybuchu roztopione skały poczynają krzepnąć na ścianach kulistej pieczary. Część ich spływa na dno i zastyga jako radioaktywny żużel, wkrótce przysypany odłamkami opadającymi z góry. Przy silnym pokruszeniu okolicznej skały, rozluźnione bloki opadają warstwami, tak długo, aż kulista komora przekształci się w rodzaj wysokiego komina, wypełnionego luźnym gruzem. Może on mieć kilkaset metrów wysokości i zwykle u szczytu zakończony jest półkolistą grota.

- Gdybyśmy wiedzieli - Franklin X. przechodzi już do sedna sprawy - jak głęboko sięga rumowisko w jaskini Autana lub to na dnie studni Sarisarinama, może moglibyśmy je nazwać właśnie „kominami” powstałymi w taki właśnie sposób?

- Ale kto, kiedy i po co mógłby taką rzecz zrobić? - pada nieuniknione pytanie.

Franklin X. nie chce się wdawać w takie rozważania.

- Poszukamy sprawcy - mówi - kiedy nasza próba da już pozytywne wyniki. Ale... - dodaje po chwili ze swym łatwo pojawiającym się uśmiechem - to już nie jako poza naszą rozmową, powiem panu, że spośród tysięcy poszlak zanotowanych na świecie, niektóre ze znalezisk archeologicznych w Kolumbii i Meksyku oraz fragmenty Biblii oraz



Ramajany, pozwalają nam podejrzewać, iż kilka tysięcy lat temu odbyło się na Ziemi lądowanie kosmitów. I musi pan wiedzieć, że te groty powstałe po wybuchu, to najpewniejsze, najszczelniejsze i najszybciej budowane schronienia, jakie można stworzyć! Napełnione jakimkolwiek gazem, żądaną atmosferą, mogą być wymarzoną bazą dla przybywających na obcą planetę.

Te słowa przywodzą Kuczyńskiemu jeden z owych „dowodów” widziany przez niego w Meksyku, który sam zwykł uważać za niemal niewątpliwy: grobową płytę z reliefem przekroju rakiety z pilotem.

Wewnętrznie niemal przekonany, pyta o promieniowanie związane z wybuchem. Słyszy w odpowiedzi, iż nie każda istota żywa musi się go obawiać, zwłaszcza przybyła z innego układu, a poza tym, większość promieniowania po podziemnym wybuchu nie wydostaje się poza szklisty żużel. Reszta substancji radioaktywnych ulega szybkiemu rozpadowi. Nie mówiąc już o tym, że reakcje termojądrowe, więc reakcje syntezy, są nieporównywalnie czystsze niż reakcje rozszczepienia, stosowane w pierwszych bombach atomowych.

Wkrótce kończą spotkanie. Kuczyński otrzymuje kilka wskazówek i zaleceń, co trzeba obserwować. Znalezienie szkliska byłoby najcenniejszym dowodem. Wracając do zastrzeżeń uprzednio wyrażanych, godzi się zachować sprawę w tajemnicy, jednak tylko wtedy, gdy obserwacje dadzą negatywny wynik. W razie powodzenia, zanim prześle wyniki rozmówcy, ujawni je autorytetom miejscowym.

Czekając na samochód, stoją na trawniku, przy krzaku bougainvilli obsypanym czarnymi kwiatami - tak noc odmienia czerwień. Z wysokości wzgórza widzą dwa gwiazdne przestwory. Ten w dole nie zatrzymuje ich uwagi. To światła żarówek, znaki uwięzienia. Lampa paląca się w nocy jest czymś, co zaprzecza sensowi podróży.

Ten drugi, niebo, to gwiazdziste szlaki wypraw najdalszych, absolutnych, podróży bez powrotu, zaledwie dzisiaj przeczuwanych. Myślą, iż być może, są na tropie dowodu, że podróż taka jest możliwa i oderwania się od własnego słońca ktoś już kiedyś dokonał.

Trzeciego lutego, po wczesnym obiedzie, Paweł Zawidzki pilotowany przez Roberta Herrere, całkiem nieświadomi, jakim to niesłychanym, nie podejrzewanym odkryciem może ich nagrodzić wyprawa, ruszają do Maracay landroverem z ostatnim transportem bagażu. Pozostali kończą już sprzątanie domu przed jego opuszczeniem na miesiąc.

Myje się podłogi, łazienki, zmiata tarasy. Pakują swe podręczne rzeczy do plecaków, piszą listy i ostatnie zlecenia, z tym zwykle w podobnych chwilach budzącym się pragnieniem, by jeszcze wyjazd odłożyć, gdyż zbyt wiele spraw wydaje się nie załatwionych.

O ósmej wieczorem przyjeżdża Tronchoni, chce już pożegnać ekipę, gdyż ta wyrusza wcześniej rano. Niesie z sobą plik gazet, po jednym egzemplarzu dla każdego.

- Jest coś o nas - mówi z zagadkowym uśmiechem i jakby ton ironii pobrzmiewa w jego głosie. Rozdaje kolorowe wydanie tygodnika, zapach farby napętnia pokoje. Biorą te zadrukowane stronice, by przechowywane w szufladach, poźółkłe, mogły im służyć kiedyś jako przypomnienie wyprawy. Czytają.

*7-o Dia* - „Siódmy Dzień”, Caracas, 1 lutego 1976. Tytuł artykułu: „Powrót na Sarisarinamę. Największa Przepaść Świata”. I jego pierwsze zdania: „Po raz drugi wenezuelska wyprawa podejmuje badania w tym odległym rejonie. Charles Brewer Carias powraca na płaskowyż przewodząc sześciu Polakom”.

## II. VER

### 4 de Febrero

W Maracay, o czwartej rano, czwartego lutego, dwie godziny przed świtem, Carlos Bordon szepcze przez moskitierę do Pawła Zawidzkiego:

- Czas wstawać. Kawa już gotowa.

Robią jeden kurs toyotą Carlosa i dwa landroverem z przyczepą. Na lotnisku Pało Negro mają z nim kłopoty. Silnik gaśnie 150 metrów od samolotu i nie chce zaskoczyć. Zapala wreszcie, holowany, już w ostatniej chwili, gdy przybył też Odoardo Ravelo i James Brewer Carias, a tylna kłapa samolotu opada na beton, aby umożliwić pospieszny załadunek. Trwa już rozruch motorów. Półbiegiem wnoszą bębny i skrzynki wyprawowe, spiętrzają je w stos na środku hali, jaką jest wnętrze kadłuba. Załoga narzuca sieć sznurową i przypina ją do klamer w podłodze. Carlos Bordon żegna się i opuszcza bazę landroverem. Sam zjawi się na płaskowyżu dopiero z trzecią zmianą członków SVE.

C-123 zaczyna kołować drogą dojazdową do początku pasa startowego. James Brewer Carias, młodszy brat Charlesa, jako stary bywalec, gdyż na pierwszej wyprawie odbył już ku tym typem samolotu, wyjmuje z chlebaka hamak i rozpina go między burtami. Nim się tam usadowi na resztę podróży, pod pękami przewodów, cięgieł, rur, kabli i linek niczym nie zakrytych i nadających kabinie charakter fabryki - boleśnie się krzywi, jakby udręczony hałasem. Wyszarpuje skądś rolkę papieru toaletowego, liczy wzrokiem osoby znajdujące się w pobliżu, odrywa tyleż pasków i podaje każdemu. Zapewne uważa iż to najlepsza droga do wejścia w komitywę. Gdy wahają się, nie wiedząc, co zrobić, przyjąć czy odmówić, gestami zachęca do zatkania tym uszu.

Piloci w przedniej części kadłuba siedzą na czymś w rodzaju balkonu, wysoko pod stropem. Radiotelegrafista za nimi, wisi w powietrzu, na trójkątnym wsporniku z siodełkiem i drażkiem pod stopy. Odpychając się nogą, może zatoczyć łuk w powietrzu i oddalić się od balkonu, zawsze połączony z aparaturą wysuwającym się sznurem od słuchawek.

O siódmej, na lotnisko Caracas, Maiquetia, przybywają pozostali uczestnicy wyprawy. Widzą, jak dwumotorowy C-47 z wojskowymi znakami kołuje do pompy paliwa. Czekając, przysiadają na murku u wyjścia z dworca pasażerskiego na płytę. Z Las Acacias zostali przywiezieni fiatem przez żonę Franco Urbaniego i toyotą przez brata Miguelą Perrery. Tych dwoje powraca do Caracas, do pracy, wioząc wręczony im przez Kuczyńskiego plik listów r kilkaset kart pocztowych do wysłania - plon ostatnich nocy całego zespołu - i sygnał pamięci dla tych wszystkich w kraju, którzy w różny sposób wprawiali w ruch dzieło wyprawy. Z ciężaru korespondencji można teraz ocenić, jak wiele jest ludzi skłonnych poprzeć działania innych, tylko z tego powodu, iż tamci przedsięwzięli działanie.

Widzą, jak ląduje pierwszy w rozkładzie poranny samolot. Pasażerowie opuszczają lotnisko piechotą. Najpierw mężczyźni, w garniturach z lśniącego tropiku, z pośpiechem, wydłużonym krokiem, ze swymi walizeczkami pełnymi dokumentów, okutymi dokoła, niektórzy podrzucając na dłoni klucze od samochodu zawsze już czekającego na nich na parkingu przed dworcem lotniczym. Potem kilka dam, te już bez pośpiechu, może tylko z winy ograniczających szybkość szeszudłowatych obcasów i spodni opiętych do najostateczniejszych granic, z pieskami w zgięciu łokcia. I jedni, i drugie, przechodzą obok leżących na ziemi plecaków, zaledwie musnąwszy spojrzeniem grupę ludzi opartych o murek, z ich grubymi butami, nożami przy pasach, w koszulach o zawiniętych rękawach. Ten obraz tu nie przystaje, jest czymś skrajnie odległym od doświadczeń bywalców portu lotniczego.

Wszczyzna się ruch także w drugą stronę. Pasażerowie „Air France”, „Avensa” i „Aeropostalu” podchodzą do skrzypiącego stolika i otwierają podręczne bagaże, by oddalić od siebie podejrzenie o próbę przemycenia broni, ciężące na każdym od chwili zakupu biletu. Na szczęście zadawała strażników spojrzenie w głąb toreb, bowiem przegląd twarzy musiałby wywołać opóźnienie odlotu.

Oczekiwanie jeszcze się przedłuża. Startują awionetki. Smukłe, białe torpedy, pchane dwoma odrzutowymi silnikami, nie biorąc rozpędu, wyskakują w górę jak groty wystrzelone z łuku. Ląduje biały jak łazienka samolot. Nim skończy kołować, już zza budynku dworca spływa mu naprzeciw śmigłowiec, tak błyszczący nikłami jak bateria wannowa. Siada przy prezydenckiej maszynie noszącej herb państwowy i numer na

sterach - 0111. Carlos Perez przesiada się, zaledwie mignawszy na trapie śnieżnobiałym ubraniem, i znika, porwany nad dachy.

Oczekujący patrzą na ten obraz ruchu. Na przesuwanie się ludzi, ich spadanie ku ziemi, wznoszenie się do nieba w bolidach, przejazdy mechaników autkami, przemarsze pasażerów po płycie, wspinanie się na schody. Przenoszenie ciała jest to ludzkie dążenie do wszechobecności, najdoskonalszej postaci bytowania. Budzi się nagle zrozumienie. Co za odkrycie! Tak proste, jak i nagość króla. I na cóż były te odwieczne pytania: dlaczego podróżujesz? Po co tu i tam wchodzisz? Po co wtykasz głowę? Co cię ciągnie na morze, w góry, na pustynię? Dlaczego się wspinasz, drapiesz i wczołgujesz?

Bo czy ktoś pyta nakręconego żołnierza, dlaczego maszeruje? Śmieszne! On robi to, bo ma w sobie sprężynę. My ją także mamy. Jesteśmy urządzeniem ruchomym. Nasz sposób życia polega na ruchu. W bezruchu ginimy, przestajemy być sobą.

Poruszam się, bo jestem człowiekiem i znajduję się w przestrzeni dostępnej dla ruchu. By mnie unicestwić, trzeba mnie unieruchomić. Do tego służą kajdanki i ceta. Żyję dzięki temu, że zmieniam swe miejsce w przestrzeni. A zmieniam, bo dostałem ten swój pakiet genów, chcę czy nie chcę, z wbudowaną ewolucyjnie sprężyną i wyrwać jej nie mogę. Już zanim powstałem, było zadecydowane, że zamiast tkwić jak ukwiał przyrośnięty do rafy, będę się przesuwał.

Żeglowanie jest koniecznością zadaną, nie naszym wynalazkiem ani też zasługą, nie jest wytworem rozumu, myśli czy wyższego ducha. Skoro nie można już pytać: dlaczego? - zostaje co najwyżej pytanie: co jest, a co nie jest podróżą. Jeśli pełzanie niemowlęcia zaspokaja tę samą potrzebę, co wyjazd na inny kontynent, można tylko rozważać, jakie przemieszczenie ciała oznacza już podróż, a jakie jeszcze nią nie jest.

Gdy samolot powraca na stanowisko odlotu, nadchodzi señorita Maruja de Lima z podróżnym płaszczkiem na zgięciu ramienia, z kodakiem, prowadząc kolegę, fotografa z OCI i dwóch Japończyków. Wita się z Polakami, podczas gdy jej towarzysze zostają z daleka. Mówi:

- Dwaj pozostali Japończycy polecili helikopterem, a señior Nott jest gdzieś tutaj...

Oglądają się, idąc za ruchem jej głowy, i odkrywają twarz Davida Notta z nosem przyciśniętym do szyby, kryjącego się wewnątrz hali dworcowej, z zaciętym, nieomal ponurym wyrazem. Franco Urbani mruczy:

- Boi się pokazać...

Zaś Miguel Angel Perrera podsłuchuje chwilę Japończyków, by potem móc naśladować, kiedy tego nie słyszą, ich świergotliwe głosy: „Sali-sali-njama, Sali-sali-njama"! Obaj skośnoocy, mimo upału, mają swetry zarzucone na ramiona, ociekają potem pod ciężarem kamer. Grube górskie spodnie wpuszczone do wełnianych skarpet. Można się domyślić, kto im to doradził. Wszystko tak się i odbywa z tym cholernym Brewerem Cariasem i jego ekspertem - wspinaczem.

Teraz wychodzi na jaw, że señorita Maruja i fotograf OCI lecą też do Cacuri, by dotknąć stopą sawanny i na obiad powrócić. Trzeba przełknąć tę wiadomość i zdać się na cierpliwość: godzina wyprawy jeszcze nie wybiła.

Bo cóż nadzwyczajnego można by widać w wyprawie odbytej, choćby w części, z udziałem kobiety w pełnym macquillage'u i z przyklepionymi rzęsami oraz fotografa drepcącego w sandałach? Pozbędą się tej pary dopiero w Cacuri. Na odpadnięcie Japończyków i spółki trzeba poczekać aż do Erebatu. I dopiero potem!

Sami staną na płaskowyżu: wybrana ekipa przed wybranym celem. Bez intruzów, świadków, ludzi obojętnych albo przypadkowych. Pragnąc tak oczyścić pole, zespół broni nie tylko swego wyobrażenia o wyprawie, lecz i swojego prawa wyłączności do niej. Nie chce niczym się dzielić. Wyprawa nie jest bezinteresownym działaniem. Bezinteresowne znaczy pozbawione celu. Wyruszyli po c o ś i nie mogą się zgodzić, by im choć część tego odebrano.

O 9.20 siedzą w samolocie. C-47 ma wzdłuż burt dwadzieścia foteli i przestronny środek. U początku pasa startowego maszyna czeka na swą kolej. Kuczyński wygląda przez zmacony bulaj i widzi poprzedzającą maszynę. Jet Clipper Gladiator PANAM-u. Oglądany z tyłu nie ma kształtu samolotu, lecz spłaszczonej, rozdętej żaby. Brudny, za zasłoną własnego wydechu, płat blachy, jak odwłok wleczony po betonie, dymi, kurzy, podnosi się powoli, oddala, odrywa od ziemi zad okryty spalinami, ciągnie nim nad morze, po masztach statków stojących na redzie, pochyła się na bok. Z wieży kontroli nadchodzi skrzekliwe wezwanie dla maszyny wojskowej: „Cleared for take-off!"

Odchodzą nad zatokę, zataczając koło, jakby dla nabrania rozpędu nad morzem, przed wbiciem się nad kontynent, do jego najbardziej strzeżonej dotąd głuszy. Gdy wracają nad brzeg po kilku minutach, Kuczyński dostrzega, już dwa kilometry pod sobą,

trójbarwną wstążkę wybrzeża Ameryki: pasek szmaragdowej wody, skleiony z paskiem żółtej i gorącej plaży; rozdziela je żyłka śnieżnej piany. Tkwi nieporuszony w fotelu, chociaż w innej chwili byłby to widok głęboko wsiąkający w duszę.

To, co widzi w kabinie, też zaledwie jest w stanie obudzić jakieś echa w głowie, iskierki przypomnienia, chociaż jeszcze wczoraj było motywem działania. Señorita Maruja i starania w OCI. Japończycy, konkurencja filmowa. Kręcą się po samolocie jak myszy w pudełku, przykładając nosy do każdego okna po kolei. Nott z zastygłą twarzą, cała ta sprawa Brewerów, jak dręczący liszaj...

Spycha to w niepamięć. Z głową na oparciu fotela, pozwala ogarnąć się oszołomieniu płynącemu z wibracji maszyny, warkotu, ze spadku ciśnienia, trochę z niewyspania, głodu, a także i z potrzeby odcięcia się jakimkolwiek sposobem od tego, co było. Po to, by ocknąć się już w nowym. Móc z całą świeżością, nie stępiętymi zmysłami odczuć tę wymianę światów.

Czas przelotu winien być jakby przerwą w życiu, potrzebną, by dokonać oczyszczenia. Gapienie się w tej chwili na podchodzące pod koła spłowiełe pagóry Kordyliery Nadbrzeżnej, zryte kołami jeepów, byłoby czymś bez pożytku, czymś nieomal głupim. Zagracaniem głowy, zbieraniem obrazków-rupieci z góry przeznaczonych dla tego zakurzonego strychu, jakim stanie się kiedyś pamięć emeryta.

Potrzebny jest ten czas, aby cel wyprawy mógł się, tak objawić jak kryształ zestalający się w mętnym roztworze; przez długi czas tylko przeczuwany, niejasny, rozmyty, teraz winien się odsłonić, wyodrębnić, wynurzyć, przybrać kształt jasny, jedyny i niepowtarzalny. Jaskinie Sarisarinamy i proces ich powstania.

O 10.30 lecą już nad płowym liano, obszarem trawiastym o barwie sjeny palonej z ochrowymi plamami. Pomiędzy samolotem a ziemią tkwią równo rozstawione, słupki milowe nieba, pierzaste białe chmurki, rzucające na liano popielate cienie. W godzinę później Orinoko. Rzeka-polip, wysysająca kontynent z tej wody, której Amazonka nie zdołała wypić. Brudne rozlewiska, kanały, bursztynowe plaże, złociste ławice, szarobura woda. To nie wstęga rzeki, toczącej się określonym korytem, to w ogóle nie rzeka, lecz chaos kanałów, jezior, przepływów, strumieni płynących w różne i przeciwne strony, wysp, zatok, luster, stawów i mórz śródlądowych, zakoli, gdzie prądy wiecznie kręcą się w, koło, zatorów, śluz naturalnych, ślepych dróg, przystani, dopływów. Trzeba dopiero

spojrzenia z wysokości ptaka, by wśród tego ładu zmieszanego z wodą wysledzić ów kanał, którym woda wynosi drzewa ukradzione dżungli do ujścia morskiego.

Tu kończy się liano, kraj trawy. Za rzeką zaczyna się kraina lasu. Powierzchnia drzew odtwarza kształt niewidzialnego terenu. W jednolitej, ciemnej, wełnistej zieleni, tu i ówdzie, jak plamka młodej skóry po oparzeniu, jaśniej kopułka bladego listowia.

Rzeki w selwie, przeświecające spod runa, miejscami ukryte pod dachem konarów, gdzie indziej ujęte w liściaste wąwozy. Płynący świecą jasnożółtym kolorem. W zakolach, na głębinie, woda jak czarnozielony atrament.

Kopalnia diamentów. Gliniasta rana w selwie, wryta przez spychacze. Usypiska ziemi, wały, hałdy, rowy. Rzeczka zażółcona od przemitych osadów. To tu spłynęły niegdyś te szkliste kamyki po rozpadnięciu się skał diamentonośnych na południu kraju.

Pierwsze płaskowyzę lub raczej już wspomnienie po nich. Spróchniałe pieńki. Zawsze jeden, dwa w polu widzenia obejmującym zamglony horyzont. Rozsypane, zwietrzałe, o wierzchołkach częściej pochyłych albo zastrzonych niż płaskich, w ostatniej fazie przed zupełnym rozpadem. Niektóre wznoszą jeszcze półkilometrową ścianę z różowego kwarcytu, jakby usiłując wskazywać dawny poziom tego kraju, skalistej pokrywy, tak nieodwołalnie skruszonej, zmielonej na piasek i przełkniętej przez Rzekę.

O 12.00 piloci proszą, żeby zapiąć pasy. C-47 poczyna się obniżać. Powietrzne kominy, bąble gorącego gazu, wstrząsają kadłubem. Otwiera się sawanna - skalp wycięty w lesie. Kilka dachów palmowych. Pod kołami już ziemia. Traktor, rząd niebieskich beczek, grupka jakichś ludzi. Uderzenie opon, odbicie, łomotanie kołami o skorupę gliny. Ciało ciąży na pasach. Maszyna zatacza łuk po trawie i kołuje z powrotem.

## **Cacuri**

Kuczyński wysiada z kabiny pod słońce stojące w zenicie. Kępy trawy, bez cienia, są jak wystrzyżone z szarzielonego papieru. Między nimi ziarna krystalicznej skały. Widzi pośród równiny samotną postać Pawła Zawidzkiego. Stoi wsparty pod boki, przy stosie bagaży. Podchodzi ku niemu. Uścisk dłoni, mocny, jak po długim rozstaniu, najmniej odczuty przez obu jako powitanie. Ten gest przybija, potwierdza i jakby pomaga uświadomić sobie niezwykłość położenia: już są w środku tego, już się t o zaczęło.



W oddaleniu rząd palm: pióropuszy u szczytu giętkich kijów. Żar siada na ramionach. Powierzchnia traw faluje odbłyskując słomianym lśnieniem. Łagodne wzgórza wypełnione wypłowiłym lasem. Idą ku maszynie. Pod skrzydłem samolotu shroniąc głowy w wąskim pasku cienia, stoją już Indianie. Są w obdartych koszulach, czasem bez rękawa, czasem z wyszarpiętymi przez ciernie paskami tkaniny. Z przepaskami na biodrach i z gołymi nogami. Niektórzy są w spodniach o nogawkach rozprutych do pasa. Kobiety w sukniach równie wystrzępionych, najczęściej z wydartymi gorsami, by dzieciom nie utrudniać ssania, a słońcu wygrzewania mlekodajnych źródeł. Materiały to nie żadne płótna czy drelichy w rodzaju tych, co noszą wieśniacy. Spodnie z niegdyś kremowego tenisu, dwukolorowa kurtka z gabardyny, koszula nylonowa, suknie haftowane, jedwabne, w bananowe wzory, bolerka, doszywane staniki z koronek, srebrzysty szal z lamy o spalonym rogu.

- Wiecie, skąd oni to mają? - pyta Paweł, odkrywając w oczach świeżo przybyłych to samo zdziwienie, które sam przeżywał godzinę przed nimi. - Wiem od pilotów, oni to przywożą, ogromne toboły. Rzeczy, prawie nowe, pochodzą ze zbiórek w stolicy i większych miastach kraju. Jeśli czegoś wam trzeba - zachęca - jeszcze sporo zostało z ostatniego transportu. Cały stos leży tam, w chacie... - pokazuje głową wioskę schowaną za drzewami.

Mówi, że jego samolot, po wyładunku bagażu i beczek z paliwem, natychmiast odleciał do bazy San Juan de Manapiare, skąd niezwłocznie powróci z dalszym zapasem benzyny dla helikoptera. Ten ostatni też już przyleciał z Caracas i od razu ruszył z Brewerem Cariasem i dwoma Japończykami, zabrawszy ich rzeczy, do Santa Maria del Erebató. Powinien być z powrotem o 12.30 i rozpocząć przerzucanie wyprawy. W czasie lotu ze stolicy zmieniono jego trasę. Pilot otrzymał przez radi'o wiadomość, iż może nie wstępować do Manapiare po dwu pracowników leśnych, uczestników wyprawy. Przywiezie ich awionetka Cessna.

Makitarowie stojący pod skrzydłem, nagle jakby wspólna myśl zaświtała im w głowach, robią zwrot przez ramię ku północnemu wschodowi. Mówią coś do siebie, patrzą wysuwając szyje, pokazując palcami. Są tam wzgórza, zniebieszczale w upale, już poza sawanną, ogarnięte lasem. Dżungla tak daleka, że jej widok nawet nie przychodzi na myśl wilgoci ani cienia. Trzy minuty po Indianach, także biali, wyęzając

uszy, łowią turkot turbiny. Wzrokiem jeszcze nie są w stanie wyśledzić tego odprysku czerni zgubionego w błękitach, już dawno prowadzonego ptasim wzrokiem miejscowych.

Maszyna ląduje, powietrze tłoczone ku ziemi kładzie płasko trawy i zdmuchuje kamienie. Gdy płozy, dwie rury stalowe, dotykają podłoża, a łopaty wirnika obracają się już tylko bezwładem, wyskakuje załoga. Na lewej piersi zielonych koszul mundurowych okrągły emblemat: pomarańczowy łeb kobry z paszczą otwartą do ciosu, z napisem „Cobra” i pierwszymi literami wyrazów: Grupa Powietrzna Operacji Specjalnych Numer Jeden.

Dowódca, porucznik Pablo A. Romero siedzi jeszcze w kabinie, wyłączając kolejno zespoły. Podnosi dłoń do hełmu, śląc tak powitanie przez wypukłą szybę. Drugi Pilot, porucznik Avila, także już znany Kuczyńskiemu ze spotkania w OCI, przedstawia techników: starszy sierżant technik Edgar R. Flores Lugo, starszy sierżant Jose R. Ponz Ruiz.

- Warunki lotu są dobre - stwierdzają. - Można wykorzystać pełną ładowność maszyny, osiemset kilo lub dwunastu ludzi. Pod wieczór pogoda zwykle jeszcze się poprawia. Skończymy do wieczora - mówią, oceniając na oko bagaże.

Krótką naradą z porucznikiem Romero. Postanawiają w tym locie przerzucić do Erebato trzy pozostałe osoby z grupy Brewera Carias i część bagażu wyprawy pod opieką jednego człowieka. Dla przyspieszenia odlotu Tadeusz Solicki i Bernard Koisar pomagają tankować paliwo. Podtacza się beczki i ręczną pompą przelewa benzynę. Odbywa się tymczasem załadunek pojemników, znacznie uproszczony dzięki wcześniejszemu wypisaniu ciężarów na wiekach. Przestrzega się też ściśle listy ładunkowej. Gdyby załoga musiała zostać na noc w Erebato, i ona, i wszyscy czekający w Cacuri winni mieć żywność, namioty i śpiwory. Kuczyński prosi Wenezuelczyków, aby jeden z czterech poleciał i miał pieczę nad wyładowanym bagażem. Zgłasza się Miguel Angel Perrera. Zanim wystartują, porucznik Avila wyjmując cukierka z kieszeni i podaje dziecku siedzącemu okrakiem na biodrze kobiety. Spostrzega coś przy tym. Dwoma palcami odciąga tkaninę biegnącą ukosem przez plecy małego. Skóra lepka od wybroczyn. Wrzody układają się wyraźnym pasem, wzdłuż linii, gdzie przylega lepki od potu materiał.

- Słońce, wiatr... - Avila próbuje tłumaczyć kobiecie. Dmucha, palcem naśladowując

bieg słonecznych promieni. Ona nie zna hiszpańskiego. Nie jest też w stanie skojarzyć choroby ze szmatą, suchego powiewu ze zdrową, jędrną skórą na nogach dziecka niczym nie okrytych. Cofa się z nieruchomą twarzą.

- Wiesz, kto temu jest winien? - pyta porucznik Avila - To nie ona! - mówi Kuczyńskiemu. - Misjonarze. Oni ich nauczyli owijać się w szmaty. Bo nie my, piloci, ani podróżnicy. Misjonarze tu byli przed nami. Tak samo ciemni jak ona. Nic nie skojarzyli. O, jak ja ich kocham... Jeszcze ci opowiem. W Erebatu, wieczorem, będzie więcej czasu. Pchali się tu pierwsi rzekami. Dopóki Indianin chodził nago, był zdrowy. Mokre liście w krzakach czyściły mu skórę, często wchodził do rzeki. Teraz tego unika. Noszą te ubrania, ale nikt im nie powiedział, że można je prać i zmieniać, zanim spadną same... - nabiera oddechu. - A ta sawanna dokoła - pokazuje - to też ich robota! Parę tysięcy hektarów zmarnowanej ziemi. Las już tu nie wraca, pod spodem są same kamienie i piasek. Indianie dobrze znali krytyczną wielkość poletka, nigdy nie karczowali za dużo. Ich wyręby zarastały i odnawiały się same. Tu już sprawa stracona - przybija obcasem. - Misji też już nie ma. Chcieli pokazać wzorowe uprawy, ale na takim odsłoniętym obszarze, zanim wykiełkowało ziarno, słońce już wypilo wodę. Nic tu nie zebrali. Mówię ci, latałem z komisją rządową... - urywa i uderza palcami w zegarek. - Potem! Ciao! - Wskazuje sprężyście na fotel pilota i kryje głowę w hełmie, zbyt wielkim, jak się zdaje, w zestawieniu z jego drobną postacią.

Odrywiają się płozy. Kadłub, lekko zwisający nosem, jakby przeważała zbyt ciężka kabina, lotem ważki sunie nad sawanną, unosi się, oddala. Señorita Maruja, osłaniając oczy, kiwa Japończykom. Już i ją z fotografem wzywają piloci C-47 powracający do Caracas.

Ledwie milknie warkot helikoptera, Indianie robią zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i patrzą ku północy. Jak za pierwszym razem, dopiero chwilę po nich inni też są w stanie złowić monotonne buczenie. Potem wpatrują się bez skutku w puste niebo, na którym Makiritarowie już rysują palcami drogę lądowania. I wreszcie, u końca palców, splamionych jakimś czarnym sokiem, widzą: odrywa się część pagóra u skraju sawanny, poczyną się ruszać, oddzielać, zamieniać w samolot idący tuż nad ziemią, z opuszczonym podwoziem, ciężko obwisłymi łapami. C-123 sunie, grmiąc nad trawami, olbrzymi płat metalu, wali się, obniża, ryczy i gdy dotyka już ziemi, spod kół wybuchają

wulkanem kurzawa, dwa gejzery pyłu porywane wichurą, gnane huraganem, łączone w jedną chmurę jak dymna zasłona. Zmiana tonu silników. Kadłub, dwupiętrowa skrzynia o prostokątnym przekroju, zwalnia swój pęd bezwładnej lawiny. Siada coraz niżej, przygniata podwozie. Skrzydła, nie podpierane już powietrzną rzeką, opadają, chwieją się, oklapłe wachlują jak uszy biegnącego po wybojach słonia. Dom latający zawraca i zbliża się do składu paliwa na stepie.

Indianie gromadzą się przy nim. Dobrze wiedzą, gdzie stanąć. Teraz nie pod skrzydłem, ale pod kadłubem, z tyłu, tam gdzie pod zadartym ogonem zmieściłaby się strzecha najwyższego indiańskiego domu. Coś skrzypi, warczy wewnątrz potwornego nawisu i uchyla się kłapa. Wolno opada jednym końcem na ziemię, tworząc rampę wiodącą do paszczy sezamu. Tkwiąc dwoma szpalerami, w napięciu, schyleni, próbują przeniknąć tajemnicę ziejącej mrokiem dziury.

Lekkim krokiem wybiega z niej żołnierz w berecie zsuniętym na oko. Trzyma trzcinowy fotelik, ustawia go w trawie. Za nim kilku innych i po chwili są już wyplatane stoliki, kanapa czteroosobowa z trzciny, także krzesła i gięte fotele, trzcinowe podstawki na kwiaty, taborety, łóżeczko dziecinne i na koniec bujak. Kiedy podziw Indian dochodzi do szczytu, gdyż kto, jak nie oni, potrafi ocenić przedmioty ręcznie wykonane z drzewa, kadłub poczyną wypluwać niebieskie beczki z benzyną. Franco Urbani próbując kanapy, tłumaczy Polakom: - To są zwykłe rzeczy. Wielu oficerów ma nadania ziemi, prowadzą finki czy hacjendy w odległych okolicach, praktycznie dostępnych tylko samolotem. Rząd przyspiesza w ten sposób rozwój kraju, a oni korzystają ze służbowych lotów, gdy ładowność maszyn nie jest wykorzystana. Dowożą meble, narzędzia, budulec, nawet samochody. Pułkownik Borrell też ma ziemię i hoduje krowy.

Meble wracają do samolotu. Beczki, z ich zawartością dziesięciu tysięcy litrów płynnego paliwa, muszą być odtoczone na bok. Słońce przygniata sawannę. Powietrze pochłania, pije i przyjmuje w siebie bez końca ulewę promieni. Od tego staje się tak niespokojne, ruchome, rozedrgane, przybiera postać stopionego szkliwa. Suchy wiatr przynosi jeszcze gorętsze zagony. Kuczyński zdejmuje koszulę i toczy beczkę po wyschniętych grudach, z dłońmi na palącej blasze, z plecami wystawionymi pod deszcz wrzących kropel.

Przychodzi mu na myśl pustynia, miesiące spędzone na Gobi i wspomnienie

szczególne rodzaju. Osobliwe, gdyż dotyczące nie wrażeń z podróży i nie przeżyć duchowych, ale stanu ciała. Trzeba na to pustyni, suchego upału, braku skrawka cienia.

Oczu pod zsuniętym nisko rondem kapelusza. Słońca przeszywającego na wylot. Tajemnicą przetrwania jest wówczas - być w ruchu. Pot pod powiekami, zwilgotniałe uszy. Skóra staje się szorstka, od kryształów soli. Płynne cząstki potu parują ledwo wydzielone. Wiatr wzmacnia się, smaga podmuchami z pieca. Cała świadomość służy teraz odczuwaniu ciała. Od stóp parzonych przez gorący piasek, tętnic tłoczących litry zgęstniałego płynu, do pleców wstrząsanych dreszczami. I dokonuje odkrycia: organizm przeciążony, poddany takiej próbie, nie tylko ją znosi, lecz o dziwo, zyskuje na sile, sprawności, pewności działania. Przechodzi na wyższy jakby stopień pobudzenia. Jakby zdolny był czerpać energię wprost ze słonecznych promieni.

Nie można zapomnieć już czasu spędzonego w tym nierzeczywistym wymiarze, gdzie życie ogranicza się do jednego odczucia - radości ciała znajdującego swoją doskonałość.

Prostując obolałe grzbiety, patrzą, jak C-123, już lekki, rozpędza się i wspięty na odnóża, już ledwo ziemię muskając kołami, wbiega na wypukłość leżącą w środku pasa i zapada za nią, chowa się w buchającej zza pagórka kurzawie. Za chwilę znów się zjawia - już nad żółtym tumanem winduje się do góry. Za ledwie kurz zostaje przewiany, startuje też C-47 z przedstawicielami OCI.

Wiatr wciąż się nasila. Na tyczce wbitej u krawędzi pasa ktoś przypiął kiedyś kwadrat błękitnej tkaniny, by wskazywał kierunek wiatru pilotom. Dziurawe i spłowiałe płótno stoi w huraganie, usztywnione jak blacha. Obok, tak samo jak ono spłowiała, roślina. Jedno z kilku drzewek wysokości człowieka, jakie zdołały wyrosnąć na pustkowiu trawy. Eliptyczne liście o rozmiarach dłoni. Między nimi zwisa plaster pszczeleli. Płat popielatych komórek, po których wiatr hula, ziejących opuszczeniem. Żadnego owada, wieczka oderwane. Może w czasie budowy był okres spokoju, a gdy wiatry wróciły, życie w domu nieustannie wstrząsanym okazało się nie do zniesienia?

Zdaje się, że jedyne stworzenia będące tu u siebie i na stałe, to termyty. Pochylony nad beczką przetaczaną przez kępy trawy, Kuczyński widzi na nagim gruncie kręte korytarze. Są to zbudowane z ziarn piasku i wydzieliny owadów, kręte, zasklepione łukowo chodniki. Jak macki ośmiornicy rozchodzą się promieniście od gniazda schowanego w ziemi i nakrytego niewielką kopułą. Zapewniają termitom, z ich

przezroczystymi ciałami, ochronę przed śmiertelną ulewą promieni. Wysoka temperatura widać im nie szkodzi. Ziemia promieniuje żarem. Chwilami może się zdawać, że ciepło płynie z dołu i rozgrzewa wyziębione niebo.

Jerzy Surdel i Tadeusz Solicki z plastikowymi kanistrami w dłoni, ufni, że istnieje gdzieś rzeka, wabieni mirażem nurkowania z głową, ruszają przez bezcieniową równinę. Kiedy po godzinie wracają, dźwigając pełne pojemniki, nie przynoszą już nawet wspomnienia kąpieli: oczy znów zgaszone, wiatr rozwiewa włosy bez śladu wilgoci.

W apteczce wyszukuje się pantocid, pastylki chlorowe, pozwalające uniknąć niedogodności gotowania wody. Zapach i smak tej cieczy, połączenie aromatu chloru z tchnieniem ciepłego plastyku, nie zraża nikogo, oprócz Indianina, który podstawivszy znalezioną w trawie zardzewiałą puszkę, pije, nie przeczuwając, co robi. Wywraca nagle oczy i z dźwiękiem obrzydzenia wypuszcza z ust strumień płynu, który paruje, nim dosięgnie ziemi.

Kolejne dwa lądowania nie zaskakują nikogo. Czuwa kilku Makiritarów, jeszcze nie znudzonych, choć większość odeszła do wioski, nie mając nadziei na ujrzanie czegoś jeszcze dziwniejszego niż trzciniowy bujak. Co prawda i ten ich zachwyt dla wytworu białych, choć żywo wyrażany, można uważać za uprzejmość bez większego znaczenia, odkąd wracający znad rzeki przynieśli wiadomość, że dłubanki w przystani są zaopatrzone w japońskie motory o mocy dwudziestu pięciu i czterdziestu koni. . Najpierw siada Cessna, jednomotorowa awionetka o kadłubie zaostrzonej torpedy i kabinie samochodu. Tak niewiarygodnie mała wydaje się oczom przywykłym do skali słonia transportowego, iż gotowe są brać ją za model samolotu zdalnie sterowany. Wysiada dwu lotników i dwóch mężczyzn w płóciennych ubraniach i słomianych sombreroach. Obaj z maczetami i zawiniątkami w dłoniach. Od tej chwili ekipa wyprawy ostatecznie jest skompletowana. Emilio, starszy, jest krępy i szeroki w plecach. Zaraz ujawnia swą siłę niedźwiedzia, gdy dla zatankowania maszyny, porywa i stawia jedną dwustulitrową beczkę pełną benzyny, na drugą. Jose Luis młodszy i wysoki, o szerokich ramionach, jeszcze chłopięcej twarzy, choć także jest ojcem rodziny. Obaj spokojni, małomówni, cisi. Układają tobołki na uboczu, na nich, troskliwie, maczety.

Dla tych dwu podobne loty nie są niczym nowym. Całe ich życie w służbie CODESUR-u, Komisji do Spraw Rozwoju Południa, upływa na wyprawach. Wysadzani gdzieś w

głuszy, przebijają zarośla pierwszymi od początku lasu tunelami, które nie są dziełem żyjących tam zwierząt. Oni też otwierają okna w wielopiętrowym listowiu, by wpuścić do pokładów prehistorycznego mroku słońce i helikoptery. Jest w nich spokój lasu, niewielka potrzeba mówienia. Miejskich niespokojnych ludzi śledzą nieznacznie czarnymi oczami.

Z chwilą lądowania Cessny, gdy śmigło przestaje wirować, staje w pobliżu niej Indianin. Mały, bardzo stary, chudy i szerniały, powleczone pomarszczoną skórą, podobny do żółwia wyciągniętego ze skorupy. Ubrany jedynie w spłowiata, czerwoną koszulkę bawełnianą, sięgającą do bioder. Przed sobą trzyma tyczkę, dwukrotnie wyższą od niego, opartą końcem o ziemię. Gdy nikt nie zwraca na niego uwagi, czyni szybko pół kroku i znów nieruchomieje. Po kilku minutach głowę ma już obok obudowy silnika. Jeszcze trochę bliżej. Na tym poprzestaje. Niczego nie dotyka. Zamiera. Chciał tylko tego stania bok przy boku. Jedyne znak życia, jaki odtąd daje, to zwolniony obrót łysej, żółwiej głowy, odchylonej daleko do tyłu, jakby z bardzo wysoka chciał zmierzyć otoczenie spojrzeniem spod wypukłych powiek. Tkwi dalej ze swym kijem, z policzkiem zbliżonym do blachy, nie wiadomo po co. Oczarowany bliskością latającej maszyny? Może z cichą nadzieją, że odnajdzie w niej życie, wbrew temu, co bajają ludzie? Spokojny i cichy, może tylko przeżywa swą największą chwilę, triumf własnej odwagi i siły, ujarzmienie tej potwornej rzeczy, która z nieba spadła mu pod nogi?

Nadlatuje Otter. Kadłub biało-czerwony, pękaty. Latający mikrobus ze spłaszczonym nosem. Kiedy się obniża pod linię horyzontu, patrzący nań z ziemi poznają, jak ciężko pilot musi walczyć z huraganem. Maszyna zamiata sterem to w lewo, to w prawo. Gdy idzie już długim ześlizgiem dwa metry nad sawanną, piloci Cessny zasłaniają oczy. Otter, na sekundy przed dotknięciem trawy, jeszcze jest ustawiony skosem do kierunku lotu. Nie mogąc pokonać siły wiatru, dryfuje, skrzydło jest zwrócone pod kątem 45 stopni do pasa. Gdy w tym położeniu koła tylko musną podłoże, nastąpi to, co jest nieuniknione...

Jednak nie następuje. Na ułamek sekundy przed wybuchem spod opon kurzawy, pułkownik Borrell prostuje maszynę. Równocześnie hamuje kołami i śmigłem o przestawnym skoku. Stoi. Tak lądują śmigłowce i akrobatyczni piloci.

-Uciszy się pod wieczór - mówi pułkownik. Wysiada z uśmiechem, a jego widok wnosi w

rozedrgane, świszczące powietrze Cacuri - spokój. Każdy, kto się tam znajduje, odczuwa to spotkanie jako coś przyjemnego.

- Mi commandante! - meldują się piloci salutując.

- Loty Otterem musimy na razie zawiesić - mówi - zbyt wielkie ryzyko. W Erebatu jest trudniej niż tutaj. - Przechodzi do drugiej maszyny. - Sprawdzę, co się tam dzieje. Polecę sam - postanawia. - Dajcie mi sto kilo bagażu. Wrócę za godzinę. - Dogląda rozłożenia pakunków w kadłubie, za tylnym siedzeniem, po czym zajmuje miejsce i zapina pasy. Wychyla się i prosi, by odprowadzono na bok starego żółwia z dzidą. Tajemnicze sam na sam z samolotem zostaje przerwane.

W powietrzu Cessna mija się z powracającym helikopterem. Temu wiatr nie przeszkadza. Krótkie tankowanie, równocześnie załadunek. Start, leci Odoardo Ravelo. Odtąd obie maszyny kursują jak według rozkładu. Pułkownik Borrell przywozi wiadomość, że wprawdzie wiatr jest słabszy w Erebatu, ale lądowisko wyrównuje to ułatwienie z nakładem. Nie dość, że krótki pas, otoczony wysokimi drzewami, to jeszcze przed nim góra, co razem wzięte zmusza do niezwykle stromego schodzenia ku ziemi. A tam trampolina. W połowie pasa pagórek, który ponownie wyrzuca samolot w powietrze i trudno go zatrzymać przed ścianą zarośli. Decyduje się jeszcze raz polecieć. Kiedy to wypowiada, nie ukrywane westchnienie ulgi wrywa się z ust właściwego pilota tej maszyny. Tym razem ładuje się nie bagaż, lecz do kabiny wsiadają Emilio i Jose Luis. Jest już dla nich praca. Wycięcie w Erebatu zbyt wysokiej trawy, chwytającej koła.

Słońce przechyla się ku zachodowi. Upał nie maleje. Białe chmurki nie przesłaniają błękitu. Około szesnastej rozżarzone podmuchy ciągle nie chłodnieją, chociaż wyraźnie tracą siłę. Dokonuje się drugiej wyprawy po wodę. Jerzy Surdel przepada we wsi z naładowaną kamerą. Kuczyński nie opuszcza sawanny. Tak jak w czasie lotu z Caracas nie chce i nie umie poświęcać uwagi niczemu prócz Pochodu, którego zakończeniem będzie Lądowanie. Tymczasem odbiera informacje, jak komunikaty bojowe przynoszone znad rzeki, ze wsi, z Erebatu. Woda (podobno istnieje!) jest chłodna, o barwie brązowej, czarnej na głębinie. Rzeka Ventuari spokojna, głęboka, płynie gliniastym korytem o bardzo stromych brzegach. Łodzie dłubane z pnia. Widziano jedną śmigającą pod prąd jak strzała, na przyczepnym silniku. Liany i pnącza zwisają z drzew po obu stronach, maczając się w wodzie, chwiejąc się i falując.



W wiosce jest okrągła chata o wielkiej średnicy, z boksami, gdzie niedawno jeszcze mieszkały poszczególne rodziny. Obecnie już we własnych domach. Korzenie juki zawierają mleczny sok o właściwościach trujących, przed zjedzeniem trzeba go usunąć. W tym celu w wiosce wbito rzędem pale, na których wiszą dwumetrowej długości „rękawy” uplecione z taśm łyka. Ubija się w nich ciasno jukę utartą na kamieniach, po czym do pętli na luźnym końcu rękawa wtyka się długi drąg i, oparty o ziemię, pociąga jak dźwignię. Siła jest tak duża, że rozciąga rękaw - plecionka nie pęka, gdyż jej pasma ułożone są skosem i poszczególne sploty składają się jak nożyce. Zmniejsza się jedynie średnica tej rury, a tym samym ściska miazgę i wydusza z niej trujące soki. Wyciśniętą papkę można już gotować z wodą albo suszyć na mąkę i tak przechowywać.

- Makiritarowie - donosi pilot Cessny, o niezmiernie wydłużonej i dziobatej twarzy - mają niewolników, Indian z plemienia Guaika, każą im wykonywać rozmaite roboty. Są na wyższym poziomie kulturalnym niż oni - dodaje po zastanowieniu.

- To prawda - potwierdza gorąco mechanik. - Ale są tu jeszcze dziwniejsze rzeczy. Oni żyją w komunie. Ich kacyk, czy jak się go tutaj nazywa, kapitan Izajasz, pracował w Caracas. To niegłupi człowiek, my go dobrze znamy. Wszystko, co zarobią, idzie do wspólnej kasy i wspólnie wydzielają każdemu na jego potrzeby. Praca też na tym polega, że każdy wykonuje to, co mu kazano i co najlepiej potrafi. Jeden dźbie łodzie, drugi stawia chaty, a trzeci poluje. Plotą ozdobne kapelusze i talerze z trawy, sprzedawane w stolicy. Niedawno dostali traktor. To im pomaga w uprawach, bo ludzi tu mało. Izajasz nauczył się prowadzić i nie schodzi z siodełka.

Kolejne loty Cessny i helikoptera. Jeden za drugim odlatują Surdel, spalony na czerwono, przypieczony Dyga, po nich Solicki z płomiennymi plecami. Pułkownik Borrell wobec nadchodzącego wieczoru, by nie przeciągać akcji do dnia następnego, decyduje się polecieć Otterem i zabrać Pawła Zawidzkiego. W pękatym kadłubie po usunięciu foteli udaje się upchnąć już resztę bagażu. Trochę tego za dużo, ale nic już nie zostaje w Cacuri, oprócz czterech ludzi.

- Gdy Cessna powróci - pułkownik zostawia polecenia - powiedzcie pilotowi, żeby zabrał was czterech. O jednego za dużo, ale w Erebatu nie wieje. Dacie sobie radę i dzisiaj już na tym skończymy.

Rozpędza się i ciężko odrywa podwozie. Z trudem robi wysokość. Jak trzmiel zbyt

opity nektarem, Otter buczy na najwyższych obrotach, zwisa nad palmami, jakby chciał przy sięść na której. Skręca, ma zbyt małą wysokość, by przeskoczyć wzgórze. Zatacza pętlę i mozolnie wznosi się spiralą, po czym wlatuje nad przełęcz i roztapia w oddali.

Siedzący go, ostatni pozostający w Cacuri, Urbani, Herrera, Koisar i Kuczyński stwierdzają, że warkot silnika miał cichnąć, przeciwnie, jeszcze się nasila. Zmienia się w terkotanie. Sądzą, że to helikopter. Powrót wkrótce po starcie nie zapowiada niczego dobrego. Szukają go na niebie, zdziwieni, że kilku Indian siedzących na beczkach zdaje się tego nie słyszeć. Wtedy spoza krzaków wytacza się traktor wlokący po ziemi dwie kłody tworzące jakby sanie.

- Izajasz - stwierdza Franco Urbani. - Maczej, trzeba by go poprosić o pilnowanie benzyny, chodźmy z nim pogadać.

Ruszają naprzeciw, gdy kapitan, nie zgasiwszy motoru, wysiada i bez najmniejszego pośpiechu także idzie ku nim. Nie może być wątpliwości od pierwszego spojrzenia, kto jest kapitanem Cacuri. Nie tylko z powodu okazałości postawy, wyniosłego wzrostu, wydatnego przodu - nie można powiedzieć po prostu „brzucha”, gdyż i klatka piersiowa wystaje jak puklerz - ale i za sprawą głowy. Nie tyle „jest osadzona” na masywnej szyi, ile, można powiedzieć, „rozsiała się” na szerokich ramionach, trochę w nie zagłębiona, cofnięta do tyłu, jakby zajmowała swe niiejsce na tronie.

Izajasz wysuwa dłoń, zbyt szeroką i grubą, by ją objęła ręka Kuczyńskiego. Z przymrużonymi oczami, spod nieco skośnych i wypukłych powiek, śledzi przedstawiających się przybyszów.

- Ja byłem niedawno w Caracas - oznajmia Izajasz. - I znowu polecę za miesiąc.

Słyszając to, obaj gorąco zachęcają kapitana do złożenia wizyty w siedzibie Towarzystwa. Wypisują adres na kartce z notesu, podają telefony, obiecują wyjechać po niego samochodem. Pragną tam, w spokojnej rozmowie, dowiedzieć się czegoś więcej o życiu w Cacuri i o doświadczeniach jego, kapitana, męża, który po latach spędzonych w stolicy, wybrał powrót w tę głuszę.

Wysłuchuje łaskawie, nie patrząc już na nich, lecz kierując spojrzenie nieco w bok, ponad głowy. Coś jest w jego twarzy, co przykuwa szczególną uwagę Kuczyńskiego, budzi jakieś wspomnienie. Duża, jakby lekko nalana czy obrzękła, lecz nie chorobliwie. Oliwkowa, blada, lecz taka wydaje się tylko w porównaniu z kawowymi twarzami

Makiritarów. Inna od nich, tak! To pewne stwierdzenie. Izajasz nie może się od nich wywodzić.

- Capitan! - mówi Franco. - Mamy taką sprawę. Do tych beczek z benzyną helikopter będzie przylatywał co kilka dni, żeby zabrać zapas na płaskowyż. Chodzi o to, żeby nikt tego nie ruszał... - i ostrożnie wyraża swe obawy - ludzie mają silniki do łodzi...

- Nie ruszaj! - przerywa Izajasz. - Yo les aseguro! Moje zapewnienie! - kieruje w bok głowę i wyciągnę tym ramieniem wskazuje, jak utworzyć z beczek regularny czworobok, do jakiego żaden z Indian się nie zbliży, tak jak mógłby to zrobić, gdyby jakaś beczka została na boku, niby porzucona.

To mówiąc, na dłuższą chwilę ukazuje swym rozmówcom profil i wówczas Kuczyńskiego ogarnia nagłe przypomnienie. Lepiej powiedzieć - przeszywa, tak mocne jest to odkrycie. Pojmuje, skąd zna te rysy: nos, potężny jak banan, leżący na twarzy i nie załamany łukiem przechodzący w czoło, u dolnego końca obwisły, jakby chciał się spotkać z grubymi wargami. Jest coś owczego w tym profilu. Pasuje do niego także i podługne oko, nakryte łuskowatą powieką.

Oto widzi przed sobą powołaną do życia twarz kosmonauty z reliefu na płycie grobowej z Palenque w Meksyku. Bez wątplenia, to ona! Tam też przedstawiona z profilu. Obie, ta żywa i tamta rzeźbiona, mają rysy typowe dla Majów, ludu tak wyraźnie różniącego się budową twarzy od innych indiańskich plemion.

Płaskorzeźba wyryta nie wiadomo przez kogo, około tysiąca lat temu. Pod płytą pochowano kapłana. Rysunek, według tłumaczenia archeologów, ma być symbolicznym przedstawieniem losu człowieka, umieszczonego z woli bogów pomiędzy drzewem życia a ziemią. Lecz dla tych, którzy odważą się spojrzeć na płytę bez żadnych uprzedzeń i założeń poczynionych z góry, przedstawia ona równie dobrze schematyczny przekrój rakiety. Nieco uproszczony i może zniekształcony przez rzeźbiarza, ale składający się przecież ze wszystkich elementów, jakie uważamy dziś za niezbędne dla pojazdów poruszanych siłami odrzutu. Są więc i wylatujące płomienie, i dysza, i silnik jądrowy, i zbiorniki paliwa, osłona przeciwpromienna, fotel, pilot siedzący w kabinie, jego dłonie obsługujące pokrętła, tablica rozdzielcza, dźwignie i ekrany i z przodu potężne elektromagnesy z dokładnym rysunkiem uzwojenia.

Kuczyński, odkąd zobaczył relief odkopany pod piramidą dopiero w 1952 roku, sądzi,

iż trudno go uważać za cokolwiek innego, jak poszlakę przemawiającą za odbytą niegdyś wizytą przybyszów spoza Ziemi. Nabiera to siły nieomal dowodu, w zestawieniu z innymi faktami, zwłaszcza niezwykle precyzyjnym kalendarzem używanym przez tamtejsze ludy. Lecz nie o to chodzi w tej chwili.

W wyobraźni zestawia tamtą twarz i tę, żywą, Izajasza. Rakiety z dziwnymi studniami płaskowyżu, domysły dziennikarzy z ostatnią, atomową hipotezą ich powstania. A wtedy mózg, ten przyrząd do budowania obłąkanych skojarzeń, zaczyna podsuwać swe twory. Byli. Lądowali. Izajasz strażnikiem tajemnicy pokoleń. Któryś z jego przodków mógł siedzieć w rakiecie. Zostawili rysunek rakiety dla przyszłych pokoleń, artysta majowski przekuł go w kamień. Inne przedmioty są na płaskowyżu, strzegą ich najstarsi, wiedzą o nich wybrani.

- Con mucho gusto! - odpowiada kapitan na ponowne zaproszenie Urbaniego, zwinęłą kartkę z adresem zatyka za ucho. Wraca do traktora, krzyczy coś do ostatnich kilku gapiów, a oni obsiadają wleczone po ziemi kłody i tak odjeżdżają. Jeszcze tylko dwu malców w koszulkach sięgających do pępka, z gołymi pupami, trzymając się za ręce patrzy na Cessnę schodzącą po raz ostatni ku ziemi.

- Panowie! - pilot łapie się za głowę. - Czterech!? Ludzie! Ledwo wylądowałem w Erebatu z tym waszym kolegą z tą brodą... - pokazuje oburącz jej rzekome rozmiary, z przesadą usprawiedliwioną strachem, jakby to właśnie broda Solickiego była tym największym ciężarem. Powtarza to, co już słyszeli, o wąskiej dolinie, drzewach, krótkim dobiegu. - Zatrzymałem się pięć metrów przed krzakami, są muldy na pasie i wyrzucają samolot do góry... No, dobrze... Trzeba, to lecimy!

Chwytają się tych słów i bez zwłoki upychają w kabinie, choć owo „trzeba” ma dość wątpliwe podstawy. W gruncie rzeczy jedynie niechęć do pozostania w ogonie na te kilkanaście godzin, do rana, podczas których w Erebatu i tak nic nie będzie się działo. Gdy przesuwne drzwi już szurgocą po szynie i metalicznie szczęka zamek, Kuczyński ma to niejasne uczucie, iż działanie w tej chwili wymknęło się spod kontroli rozumu. Rozum jednak nic nie czyni, aby temu zapobiec. Czymś obezwładniony, a może nadmiernie przejęty nadrzędnym nakazem pochodu? Zmęczony nadmiarem wrażeń? A w końcu - opanowany przekorą? Tu gdzie powinno decydować samopoczucie pilota i jego ocena ryzyka, wywiera się na niego nacisk i może tylko dlatego, że ujawnił obawy.

Gdy słyszy się z jego ust, że przy nadmiernym obciążeniu stromo schodząca maszyna może „przepaść” lub, jeżeli zejdzie normalnie, z kolei uderzy o drzewo, choć nie ma się wielkiego pojęcia o pilotowaniu, dostrzega się tylko opór w jego słowach i by go przełamać, choćby ze szkodą dla siebie, powołuje się na pułkownika. W istocie to, co mówił, nie było rozkazem. Wywiera jednak taki sam skutek. Podwładny nie zechce wykazać wobec dowódcy przesadnej ostrożności czy, małego ducha.

Dwóch siedzi z przodu, trzech wciska się w tylne siedzenie, gniotąc burty ramionami. Włączając zapłon, pilot jeszcze się odwraca::

- Naprawdę komendant tak powiedział? Czterech?

- Czterech! - brzmi twarda i nie wiadomo czemu zadowolona odpowiedź.

Cessna po przedłużonym rozbiegu dość łatwo odrywa się od ziemi. Dopiero w tej chwili przeciążenie daje znać o sobie. Przy pełnych obrotach z trudem robi wysokość. Nie ma nawet mowy, by od razu przeskoczyć wzgórze otaczające sawannę. Jak poprzednio Otter, musi zrobić koło, z wolna się windując.

Wreszcie widać rzekę, o której dotąd tylko się słyszało. Z wysokości stu metrów Ventuari jest podobna do sztucznego kanału, tak regularne, wyrównane i równoległe do siebie są dwa mury listowia ujmujące bieg tej czarnej wody. W lesie, w pobliżu rzeki, poletka Indian, okrągłe lub owalne, żadne nie przekracza stu metrów średnicy.

Na szkiełku busoli ustala się, po nieznacznym wahaniu, azymut 60 stopni ku północnemu-wschodowi-wschodowi. Prowadzi z Cacuri do środka pasa w Erebatu. Na tarczy wysokościomierza powolna wskazówka dosięga liczby 4500 stóp i tak pozostaje. Słońce stoi nisko gdzieś za samolotem i puszcza oświetlona z ukosa zmienia wygląd i kolor. Już nie jest, jak w południe, zaćmiona błękitem, spłaszczona, bez cieni, monotonna, zszarzała. Teraz zieleń jest czysta, bardzo zagęszczona, jak koncentrat zieleni rozchlapany na czarnym podkładzie, jeszcze mokry, soczysty i żywy. I teraz dopiero ci czterej w kabinie poznają, gdzie są przywiezieni. Nie ma miejsca na świecie, które bardziej od tego zasługuje na nazwę dzikiego, pierwotnego lasu. To właśnie tu, w dole, jest największa dżungla na Ziemi, płuca tej Planety, legendarny las amazoński - jeden z największych rozdziałów w dziejach eksploracji człowieka.

I cóż z tego! Już pokazali, że to mają w nosie, każąc się wieźć do Erebatu, jakby chodziło o przejazd taksówką w Caracas. Jedząc cukierki, gapią się na dół i widzą tam

skłębioną masę, jak kipiącą pianę. Każde drzewo jest osobną kopułą, bąblem, pęcznieje jak liściasta kula. Czasem parasol palmowy, jak wysunięty chudą ręką, wznosi się nad drzewa, czasem żółty kłęb kwiatów albo ognisko czerwieni. Ponad tym śmigają turkusowe papużki, widoczne tylko dzięki temu, że jak rybki nad dnem morskim zrywają się chmurami. Inne lecą parami, ciągnąc bażancie ogony, purpurowe jak ogień. Okna, jak studnie wybite w listowiu, znaczą szlak rzeczek płynących dnem lasu. Jastrzęb trzepoce nad czarnym otworem świecącym smugą piachu w płytkiej wodzie.

Podobno to tutaj ginęli bez śladu biali podróżnicy, białe kobiety porwane przez Indian, ta puszcza wchłaniała na zawsze wyprawy i wyprawy, które wypraw szukały. Niby wie się o tym, ale czy ktoś się czymś takim może dłużej przejmować? Już na to nie pozwala ta blaszana, fruująca skrzynia. Dla jej pasażerów trzeba stworzyć całkiem nowe opisy. Tamtej dżungli już nie ma, odkąd nikt nie chce się w nią wgryzać zębami.

Puszyste wzgórza, falujące, jakby były futrem niedbale rzuconym, idą do horyzontu przedłużone własnymi cieniami. Nad nimi pasma chmur, niezmiernie dalekie, rozciągnięte w poziomach, jedno nad drugim, smugi błękitne i białe. Coś pośród nich obcego, zatrzymuje spojrzenie. Kuczyński odkrywa linię nieoczekiwanie pionową, tak obcą w tym obrazie mglistego muślinu, jak wbita weń igła. Sądzi w pierwszej chwili, że to brzeg sinej chmury. Podnosi spojrzenie: prosta przebija i wyższe ławice, tonie w soczewce płaskiego obłoku i znowu jest wyżej! Stoi tam w niebie, ponad samolotem, niepojęcie wysoko. I nagle Kuczyński pojmuje: to północny filar płaskowyżu Jaua! Teraz widzi także jego górną krawędź utopioną w chmurach.

Tkwi jak porażony ogromem tego cienia, za ledwie widocznego ducha płaskowyżu. Milczy, bo jest to odkrycie, którym nie można się od razu dzielić. Potworny blok stoi na powierzchni Ziemi. Więc one są, istnieją na świecie! Nie mógł tylko przewidzieć, że są tak straszliwie duże. Milczy, żeby samemu uporać się ze zjawą. Zaczyna pojmować wyobrażenia Indian żyjących u stóp czegoś podobnego. „Święte Drzewo Owoców Świata”, tak Indianie Piaroa zwał inny płaskowyż - Autana, wierząc, iż jest pnem wrastającym w niebo. Coś tak wyodrębnionego od całej przyrody jak obcy glob osadzony pośród selwy, coś tak przerastającego ludzką skalę, tak przytłaczającego i tak niezdołanego - musi stwarzać mity, musi budzić pewność, że jeśli cokolwiek tam żyje, muszą to być istoty nadprzyrodzone.

Kuczyński milczy nadal, ta zjawia tkwi w nim niby coś świętego, teraz już przekonany, iż tego nie można z nikim dzielić. Jakby od utrzymania tajemnicy nie wiedzieć co zależało: może istnienie tego cienia w niebie, tej przegrody świata, rosnącej coraz wyżej w miarę obniżania się samolotu?

Na kartce z pismem maszynowym, przyklejonej w narożniku szyby, można przeczytać dane: „Santa Maria de Erebató, długość pasa - 400 m, kategoria - IV, glina, obciążenie - 10 ton, tylko w porze suchej”. Lądowisko już widać pod nimi. Pilot nie zatacza koła, podejście już poznał i chce mieć lądowanie jak najszybciej za sobą. Schodzą ku przecince tak małej, iż wydaje się luką utworzoną przez upadek drzewa. Cessna sunie w dół zarośniętego zbocza, jakby zjeżdżała na płozach. Pas widziany wzdłuż osi, w skrócie i z coraz mniejszej wysokości, jeszcze bardziej się skraca i na koniec zanika. Gdy zbocze się spłaszcza, lecą już poziomo, muskając korony drzew pędzące naprzeciw. Nagle zjawia się w dole rozmazana trawa, pilot dusi maszynę i zmniejsza obroty.

Spojrzenie w bok: palisada drzew ucieka z szybkością ekspresu. Spojrzenie w przód: do szyby już się zbliża ściana upleciona z powojów. Nie może wystarczyć pasa, koła jeszcze nie dotknęły ziemi. Wreszcie uderzają! Toczą się, wściekle szarpią kadłubem, gnając po kocich łbach trawy. Struga leje się ze skroni pilota, jego twarz skurczona bolesnym zdumieniem, bo to już połowa wybiegu, już mignął stos bagaży pod żółtymi płachtami i ludzi, a Cessna znów w powietrzu wybita przez pagórek! Zamiast hamowania, przyspieszenie w locie.

Znowu uderzenie, ruch dźwigni i śmigło przestawione, poczyną pełną mocą tłoczyć wiatr do przodu, pedał hamowania kołami wbity do podłogi. Wreszcie odczuwalna zmiana... Zwalnia, ale już przed nosem spiętrza się mur lasu, rośnie wzwyż, pochyla się nad maszyną, którą zbyt wielka masa ciągle pcha do przodu i nic nie mogą pomóc zaciśnięte pięści pasażerów ani plecy wbite w gorącą ceratę. Już wiadomo, że się nie da uniknąć spotkania, odległość tak mała, iż strumień wiatru uderza w listowie, targa nim nerwowo, rozgarnia na boki. Jeszcze tylko nadzieja, że pnie są gdzieś dalej.

Stoi pośród pierwszych krzaków. Silnik wyłączony. Podarte liście sypią się w ciszy na szybę. Spływają po niej krople zielonego soku i gęsta papka rozbitych owadów. Odsuwa się klapę i opuszcza nogi. Nie ma o czym mówić. Pilot wyciera się chustką jak

ręcznikiem. Tutaj już cień, chłód i wilgoć wieczoru, zapach zieleniny, skrzeczenie papugi w nawisach drzew nad głową. Kuczyński robi dwa kroki i znajduje w trawie białą czaszkę tapira.

- Wracam - oznajmia pilot - przed zmrokiem muszę być w Manapiare.

Pomagają mu obrócić samolot. Wsiada, jeszcze się cofa z kabiny:

- Lecąc pod słońce nic nie będę widział, trzeba umyć szybę.

Ktoś wyciąga z plecaka manierkę z chlorowaną wodą zaprawioną sokiem, chłopie, a pilot własną chustką zmywa ze szkła zwłoki. Cessna jak konik polny wyskakuje w górę, wolna od ciężaru, już w połowie pasa idzie wzwyż niemal świecą, za obrzeże kotliny. Po kilkunastu sekundach już nie słychać silnika.

Ostatni czterej z ekipy idą w stronę bagażu zwalonego w rozszerzeniu pasa. Z obu stron ściany dżungli. U podnóża zioła, nad nimi rozcapierzone paprocie, wyżej wiechcie krzaków i trzydziestometrowa kotara pnączy zwisających z konarów, jak sznurki z nawleczonymi liśćmi i kwiatami.

### **Santa Maria de Erebató**

Przy stosie bagażu kilku gapiów. Ubrani tak samo jak tamci w Cacuri, w znoszone części miejskich garniturów. Lecz jest i kilku nagich wyrostków. Można tak się ustawić, by straciwszy z oczu plecaki i żółty brezent nad nimi oraz tych ubranych widzieć jedynie gołych pod liściastym nawisem. Wówczas ich brunatna skóra, czerwone przepaski biodrowe, bransolety z włosia, proste jak drut włosy, obcięte wokół czaszki nad uszami, ich łuki z pęczkami strzał trzymane w dłoniach, na tle wysokiej trawy i kwitnących krzaków, utworzą obrazek spójny i uciszający głowę, nim ta ulegnie pokusie podróźniczej tandety: odkrycia kontrastów w życiu tego plemienia. Gotowa by nie spostrzec wtedy, że łuk i koszula lub łuk i motor do łodzi, w niczym nie kłócą się ze sobą, a jeśli, to mniej w każdym razie niż helikopter z krzyżykiem na szyi pilota, stosowanym jako urządzenie zapewniające niezawodność maszyny.

Grzebiący w swym plecaku Jerzy Surdel mówi, że pozostali są w chacie, we wsi, gdzie jest miejsce do spania i tam też zdołano już przenieść znaczną część bagażu. Pułkownik Borrell odleciał na noc do Manapiare Otterem, nazajutrz ma powrócić. O helikopter nie trzeba się pytać, wystaje nad krzaki, na polance wyrąbanej z drugiej



strony pasa, przed domkiem, w którym jest szkółka misyjna, jak określa ją Jurek.

- Zrobiliście coś do zjedzenia? - pyta Bernard Koisar.

- No, nie... - słyszy niepewną odpowiedź Surdeia - Czekaliśmy na was...

- Wiadomo - stwierdza Koisar bez żalu, z ponurym przekonaniem o niemożności wychowania ludzi według własnego obrazu. Oblicza, iż do nakarmienia po całym dniu głodówki jest szesnaście osób:

- Nas sześciu, ich czterech, czterech pilotów i dwóch maczetników.

Ustała menu: rosół, makaron z mięsem, herbata. Spalony słońcem, teraz dopiero zaczyna to odczuwać. Porusza się sztywno, szukając sposobu na uniknięcie dotyku koszuli. Po raz pierwszy zostają użyte i wykazują swą przydatność dwujęzyczne książeczki ze spisem zawartości pojemników. Zaledwie kilka minut zajmuje znalezienie produktów, naczyń i kuchni benzynowej. Idą z tym do owej chaty w wiosce.

Najpierw przez rzadkie krzaki, gdzie ziemia jest rozgrzebana przez kury i wydeptana bosymi stopami, obok chat z dragów wbijanych pionowo i oblepionych gliną. Okna otwarte, nikogo w nich nie ma, jeśli nie liczyć - co okaże się nieuzasadnionym i lekkomyślnym lekceważeniem - kostropatego koguta. Stoi, mały i rozwichrzony, na środku parapetu bezczelnie patrząc przechodzącym w oczy. Milczy i wiadomo, że myśli: „Ja wam jeszcze pokażę”.

Domy, prostokątne w rzucie, stojąc dwoma rzędami tworzą szeroką ulicę z odmieconej gliny. Nie ma na niej śmieci, śladów pojazdów ani kopyt. Chrząkanie prosiaków i gdakanie słychać spoza domów ocienionych drzewami. Tam też widać kobiety w jasnych sukniach. Rower oparty o ścianę. Druty elektryczne na słupach, izolatory na dachach i żarówki w izbach. I znowu koguty stojące na drodze, niedbałe, z każdym piórem w inną stronę, mierzące przybyszów spod zmrużonych powiek, jakby miały swoje własne zdanie o obcych w Erebatu.

Ostatnia w północnym szeregu chata jest kolista, olbrzymia, nakryta trzciniowym stożkiem o zakłębionej połaci. Wchodzą, schylając głowy, przez jedno z czterech drzwi zwróconych w cztery strony świata. Wnętrze wysokie jak sklepienie kaplicy, podparte kręgiem słupów. Kunsztowna konstrukcja powiązana łykierri. Na klepisku stoły i ławy wyciosane z bali. Piloci, Japończycy, Brewerowie, Indianie. Hamaki rozpięte na słupach, suszące się ręczniki. Hałas i chrapanie. Rozpakowane plecaki, stosy bagaży, nie

wiadomo po co tu zniesionych.

Na widok nowo przybyłych Miguel Angel i Odoardo zrywają się z ławy.

- Nosimy resztę rzeczy?

Kuczyński powstrzymuje ten zapał, nie ma żadnej potrzeby dźwigania ciężarów i nazajutrz odnoszenia ich z powrotem do helikoptera. Wenezuelczycy wyrażają obawę, że w nocy coś zginie. Kiedy się dowiadują, że nikt z polskiej grupy nie ma zamiaru spać w tej hali dworcowej, w jaką zmieniła się chata, najwyraźniej są tym poruszeni. „A deszcz? A robactwo? A mrówki? A moskity?”

Obraz bałaganu zwłaszcza Koisara wyprowadza z równowagi. Odzyskuje ją, przynajmniej częściowo, zajmując się gotowaniem na placyku za chatą. Rozpala się tam prymusy, znad rzeki donosi się wodę, przy okazji zażywając kąpieli. Kto może oderwać się od tych zajęć, dźwiga znów na lądowisko pojemniki, najpierw z własnymi rzeczami. Kuczyński wraca tam także po rozmowie z pilotami - potwierdzają wiadomość, iż nazajutrz nie mogą startować, dopóki Otter nie dostarczy benzyny. Idąc szeroką ulicą, z bębniem przygniatającym ramię, w gęstym mroku, słyszy narastający terkot agregatu. Widzi, jak włókna żarówek poczynają się żarzyć w listowiu. Widzi też koguty, jak w złowieszczym milczeniu, zamiast iść spać z kurami, zajmują stanowiska na drągach, płotach i daszkach komórek.

Nadmuchuje pneumatyczny materac i układa go w trawie, pomiędzy, dwoma bębnami, na które naciąga płachtę namiotową okrywającą bagaże i stwarza tak osłonę przed toszą dla śpiwora. Wymienia uwagi z Surdelem, pracującym z drugiej strony stosu. Ten jest najwyraźniej niezbyt zachwycony perspektywą nocy spędzonej tylko w kilkumetrowej odległości od swych towarzyszy wyprawy. Pociesza się tym jedynie, iż uniknie wenezuelsko-japońskiego chrapania.

- Chrapanie? - słyszy na to od Kuczyńskiego. - Nie znasz Latynosów! Żeby tylko chrapali! Pół nocy gadają, a budzą się przed świtem i zaczynają rozmowy z pierwszymi ptakami. W dodatku potem nie jedzą śniadania, wystarcza im naparstek kawy!

- To mogę zrozumieć - mówi Surdel. - Też nie mogę jeść rano - jego głos zduszony dobiega z głębi wora, nurkuje z latarką, otwiera pojemniki, kokosi się, przekopuje rzeczy, szeleści papierami. - Gdzie ten pieprzony repelent? - Znajduje go wreszcie i zaczyna psykać, zlewając się od stóp do głowy płynem w aerozolu przeciwko komarom.

Tłumaczy, że jest wyjątkowo czuły na ich ukąszenia. Jeszcze w Caracas nieustannym nękaniami wymusił zakup trzech butelek, a tutaj od zmroku, chociaż nic nie bżyczy, bił się już po szyi, opuszczał rękawy, uszczelniał nogawki spodni. Swój materac mości jak najdalej od ziemi, na zsuniętych pracowicie plastikowych skrzyniach, nad tym rozpina na tyczkach moskitierę. Nie daruje niczego, dla uśnięcia wszystkie warunki muszą być spełnione. Krząta się, nie zrażony tym, że i tak nie zdoła uciszyć, unieruchomić wszystkiego, co żyje, i jeszcze w szczęśliwej niewiedzy tego, co naprawdę ofiarowują noce w Erebatu.

Różni się tym od swych pięciu kolegów, gotowych byle gdzie się położyć, byle pod czym, dla których noc jest czymś, co się „jakoś przesypia”, ba, nawet szukających w takiej postawie, w niedbałym oświadczeniu: „gdzieś tam się przyłożę”, pewnego sprawdzianu własnej odporności, hartu, dzielności, a nawet odwagi. Na wykazaniu tego jak najmniej mu zależy. Wyczuwa się, że byłby nieszczęśliwy nie dopełniwszy wszystkich zamierzonych przygotowań do noclegu.

Wracając do chaty, na ścieżce pod krzakami, już w zupełnym mroku, Kuczyński spotyka Pawła Zawidzkiego.

- Idź tam prędzej - słyszy - bo draka! Oni, to znaczy Indianie, siedzą z jednej strony, nasi z drugiej i ostra rozmowa.

Gdy tak uprzedzony wsuwa się do wnętrza chaty, zrazu oślepiiony blaskiem żarówki wiszącej na słupie, słyszy głos Brewera Carias dochozący ze środka, spod ścian zaś chrząkania i szepty, a także brzęczenie tranzystora. Dostrzega całe towarzystwo, istotnie podzielone. Na dwóch ławach, naprzeciwko siebie i patrząc sobie w twarze z odległości trzech metrów, siedzą dwa szeregi mężczyzn. Na pustym klepisku między nimi, jak na ziemi niczyjej, stoi tylko Carias. Trzyma się rękami pod boki, w koszuli bez kołnierzyka, z tym wypiętym brzuchem i wypchanymi spodniami, w bezkształtnych buciorach i z obwisłymi wąsami, wyglądający na gnoma, mówi coś w kierunku pierwszego na ławie Indianina.

- To kacyk! - powiada basowym szeptem Miguel Angel Perrera. Kuczyński siada przy nim i przekonuje się po pierwszym spojrzeniu, że temu kacykowi daleko dostojeństwem postaci do Izajasza z Cacuri. Także i ubiorem. Mężczyzna w starszym wieku, o pospolitych rysach, które może i w Europie nie zwróciłyby nadmiernej uwagi, na sobie

ma kostium gimnastyczny, białą koszulkę z ramiączkami i spodenki czerwone, kończące się blisko kolan. Łokciami wspiera się o stół za sobą, kolana rozstawia, obie stopy, bose, mocno opiera na ziemi.

Kuczyński pragnie się dowiedzieć, o co tutaj chodzi, lecz Miguel Angel zbyt jest podniecony, aby zrozumieć pytanie. Ze złością mruczy coś do siebie, słowa więzną pod wąsami, profesorska głowa, zamotana w rozwichrzone włosy sięgające ramion, przeżuwa coś, co ją dotknęło.

- Chcą forsy... - szepcze Franco Urbani, a w tej samej chwili Brewer Carias dostrzega Kuczyńskiego, z którym ostatni raz widzieli się trzy dni temu w Caracas. Przerywa rozmowę z kacykiem, podchodzi z wyciągniętą dłonią i uprzejmie się wita. Zapytuje o wrażenia z lotu, ofiarowuje swą pomoc w zakupie owoców.

- Znam Makiritarów - mówi - tak jak własny palec. Oni są wspaniali. Mówię ich językiem, nie tak może jak po hiszpańsku, ale bez trudności. Jeśli na coś się przydam... - przeprasza i wychodzi z chaty.

Kuczyński, ujęty taką grzecznością, na jaką pewnie sam by się nie zdobył, musi przyznać w duchu, że jest tak, jak słyszał: przy wszystkich swych wadach Brewer Carias jest sympatycznym człowiekiem, a przynajmniej umie wywrzeć takie wrażenie.

Obie strony, mierząc się spod oka, szepczą we własnych językach. Ludzie w pierwszym szeregu odwracają głowy i naradzają się z tymi z drugiego. Kuczyński słyszy za sobą wypowiedziane półgłosem:

- Kolacja gotowa. Odpowiada przez ramię:

- Jedzcie sami, nie czekając, najlepiej poza chatą.

- Będziesz miał zimne - ktoś grozi. - Nie przejmuj się nimi.

Odmawia ruchem głowy, rzuca tylko przelotne spojrzenie za siebie na dymiący talerz makaronu z sosem i tłumi pustkę w brzuchu. Czuje, że jedząc w tej chwili uchybiłby dobremu obyczajom. W końcu, nie są u siebie. Pod okiem gospodarzy trudno zająć się jedzeniem, gdy w ogóle sprawa przebywania w chacie pozostaje w zawieszaniu.

Odkrywa coś znajomego w tym, co się tu odbywa, choć nie zna szczegółów. Odżywa wspomnienie tylu książek przygodowych, gdzie tyle razy opisano owe nieodzowne nieporozumienia między tubylczymi wodzami a białym przybyszem, który, na koniec, szczególnie zręcznym postąpieniem przełamuje wrogość, ba, zyskuje przyjaźń.

Na razie, jak się okazuje, biały postąpił jak najgorzej. Miguel Angel i Odoardo wysłani tu przodem, głównie z tej przyczyny, iż obaj często stykali się z Indianami, niezbyt się popisali. Mają odmienny pogląd na to, co się tu rozgrywa. Może jako chłopcy nie czytali tego, co by należało? Ktoś, kto ma dżunglę za swym własnym progiem, pewnie inaczej dobiera lektury. A może Miguel Angel, jako archeolog, nie umie już i nie chce odczytywać zachowań żywych ludzi?

- Indianie są obrażeni - mówi Franco. - Twierdzą, że nie zapytało się kacyka o zgodę na pobyt w Erebatu i zajęcie Chaty.

Kuczyński, aby to naprawić, postanawia wykorzystać fakt swego późniejszego przylotu do wioski i przybycia do chaty, udać, że dopiero teraz jest właściwa chwila dla przedstawienia wyprawy, powitania i pytań o zgodę. Prosi Miguela Angela, by nadal prowadził rozmowę, jednak teraz powtarzając tylko podpowiadane mu słowa. Ten, choć bez zapału, chrząka i uciska zebranych. Zwrócony do kacyka objaśnia, iż Kuczyński był dotychczas w Cacuri, a teraz, przybywszy, wita kapitana oraz jego ludzi i pragnie przedstawić prośby... Miguel Angel przerywa i daje możliwość siedzącemu obok kacyka wyrostkowi przełożenia słów z hiszpańskiego na język yecuana.

Kiedy to się dzieje, Kuczyński otrzymuje od Urbaniego wiadomość, iż kacyk sam rozumie i mówi po hiszpańsku lepiej od tłumacza, a jednak woli się nim tutaj posługiwać. To ważne stwierdzenie pozwala przeniknąć motywy kacyka. Szefowi wsi, który tak celebrował rozmowę, nie może chodzić wyłącznie o dochód. To jasne, że tyle samo lub bardziej mu chodzi o zaznaczenie swej władzy, w dodatku, że biali ją naruszyli wkraczając samowolnie do chaty. Chodzi mu też o zachowanie się takie, jakiego podwładni oczekują od swego kapitana. Właśnie w takich chwilach, przez określony rytuał w stosunku do przybyszów, potwierdza się jego władza. Uznanie jej, na oczach całej wioski, przez potężną wyprawę, przez ludzi z najdalszego świata, jest tym, na co czekają nie mniej niż na zapłatę. Do tego potrzebny jest tłumacz, każde dziecko ma usłyszeć w swym własnym języku i zrozumieć, że to biali proszą.

Zmiana tonu rozmowy od razu przynosi wyniki. Kiedy milknie tłumacz, kacyk, nie ruszając się z miejsca, lekko skłania głowę w stronę Kuczyńskiego. Otrzymałszy to samo. w odpowiedzi, poprawia się na ławie, siada wyżej, szerzej rozstawia kolana, podnosi podbródek, drapie się w udo przez materiał czerwonych spodenek i zaczyna

przemawiać krótkimi, dobitnymi zdaniami, powtarzanymi przez tłumacza.

- Przeciwno wam nic nie mamy. Ludzie z samolotów tu często bywają. My ich znamy. Jest też misja. Ale trzeba było zapytać kapitana!

- Zrobiłem to! - wykrzykuje Miguel Angel z podnieceniem. - Zapytałem jednego... - zaczyna się, poprawia okulary, odgarnia przesłaniającą twarz włosy i szuka spojrzeniem jakiegoś oblicza wśród Makiritarów, nie znalazłszy, mówi: - Spytałem jednego z was, skinął na to głową, więc uważałem, że to zezwolenie!

- Trzeba było zapytać kapitana! - zimno powtarza tłumacz.

Miguel Angel gwałtownie się porusza. Drażni go ten opór. W głębi wąsów ciska wymysłami, wciąż nie może zrozumieć, że ci przed nim to nie są Indianie z targowiska w Caracas. To lud, którego nigdy nie podbili Hiszpanie. Zapomniał widocznie, jak brzmi ich aroganckie credo: „Tylko my jesteśmy ludźmi”. Nie zastanowiło go wcale ich dotychczasowe zachowanie: owszem, kręcą się dokoła przybyszów, lecz jakby z daleka, mierzą ich łaskawym spojrzeniem, ale bez zaciekawienia.

- Przepraszaj! - naciska Kuczyński Miguela Angela. - Bardzo! Powiedz, że przybywamy do nich z wizytą. Może uda się zagrać na strunie gościnności. Obiecuj podarunek.

Gdy zostaje to ogłoszone, lody wyraźnie topnieją. Być może, nie pod wpływem tych oświadczeń, lecz bardziej dlatego, że kapitan uznał, iż w dostatecznym stopniu osiągnął swe cele. Kiwa głową kilkakrotnie, zezwala spać w chacie, za co będzie pobrana opłata dwadzieścia boliwarów od głowy.

Polacy, których wyobraźnia walutowa jest nastrojona na dolary, szybko przeliczają: ta suma to prawie pięć dolarów.

- Poszaleli! - słychać szepty z drugiego rzędu. W tym samym stopniu porusza to Wenezuelczyków.

- Loco! Wariat! - mamroce Miguel Angel. - Niemożliwe! - wykrzykuje do tłumacza. - My nie mamy tyle! - złapany za łokieć, nie daje się powstrzymać, rozpoczyna przemowę, na domiar złego także w imieniu Polaków, którzy i tak nie mają najmniejszego zamiaru spać w chacie.

- Ci señores - mówi - przybyli zza morza, z drugiej strony świata, ich rząd zapłacił za

statek, kupił im jedzenie, od rządu wenezuelskiego dostali samoloty i paliwo, ale nikt nie dał im pieniędzy, a zwłaszcza tu, w selwie, nie mają z sobą ani grosza!

Takim wyjaśnieniem nie zyskuje u Makiritarów ani cienia wiary. Przeciwnie, są wyraźnie rozbawieni sprytem,

z jakim ten brodaty, na wkroś przez nich przejrany, usiłuje im wmówić, że tak nieprawdopodobnie zasobna wyprawa w istocie jest uboga. Uznają to za wstęp do targów i z kilku stron, ze śmiechem wołają:

- Powiedzcie swoją cenę!

- Nie mamy ani grosza - powtarza Miguel Angel. Na to odzywa się kacyk:

- Zgoda, obniżamy wam do piętnastu boliwarów.

- Kiedy nic nie mamy - wykrzykuje Angel. - Nic! Nada! Nada! Nada! - i klepie się po kieszeniach, by wy kazać ich pustkę, co stoi w wyraźnej sprzeczności z widokiem kieszeni bluzy wyjątkowo wypchanych. Lecz i to nikogo nie dziwi, a tym mniej oburza. Ten, kto się targuje, ma prawo używać wszelkich wybiegów.

Jeden z Indian siedzących dalej od kacyka zabiera głos i wymachując rękami poczyną ze swadą tłumaczyć:

- To jest nasz dom. Jak ja do twojego domu przyjadę, ty też każesz mi płacić za nocleg. Mówisz swoją cenę. Jeśli tyle nie mogę zapłacić, mówię swoją. I tak dochodzimy do zgody. I tak jest dobrze. Więc teraz wy mó wicie.

Nikt z uczestników wyprawy nie marnuje czasu, aby mu tłumaczyć, jak bardzo się myli w swym wyobrażeniu o możliwości ustalania ceny, drogą przetargów, z recepcjonistą w hotelu. Zresztą takie wyjaśnienie skłoniłoby tylko Indian do trwania przy podyktowanej cenie. Ponieważ z pieniędzmi jest istotnie krucho, rozważa się pomysł zaspokojenia żądań jakimś darem rzeczowym. Może by wzięli coś z garnków, brezent, łyżki, noże? Można by im zostawić coś z tego po zakończeniu wyprawy.

W tej chwili, z ciemnego prostokąta drzwi - noc jest już czarna w Erebatu - wyłania się Charles Brewer Carias. Gładzi jasny wąs, a z ruchów jego języka wewnątrz jamy gębowej można, wywnioskować, iż zjadł właśnie kolację, kucając gdzieś w mroku, przy prymusie rozpalonym przez Notta. Anglik wciąż się trzyma z daleka. Nastąpiło więc jakby odwrócenie zachowań. Im bliżej płaskowyżu, tym bardziej Brewer Carias świeci swym istnieniem w oczy. I teraz na koniec, w Erebatu, gdzie czuje się, jak twierdzi, niby

w swoim domu, postanawia wreszcie dać się poznać intruzom i wreszcie odegrać stosowną dla siebie rolę.

Wykorzystuje chwilę panującej ciszy, zwraca się ku uczestnikom wyprawy i ofiarowuje swe usługi.

- Za moim pośrednictwem będzie łatwiej dojść do porozumienia - tłumaczy. - Są skłonniejsi do zgody, gdy słyszą własny język. Spróbuję zamiast pieniędzy ofiarować im beczki po benzynie. - Nie czekając na jakąkolwiek odpowiedź, kieruje się w stronę kacyka i zaczyna mówić yecuani, wyrzucając pojedyncze słowa. Na znajome dźwięki Indianie wlepiają w niego oczy i poczynają nad słuchiwać z uwagą. Ustają szepty i szmery. Brewer Carias czuje spojrzenia skierowane ku niemu, prostuje się, rośnie, coraz głośniej mówi, niepodobna nie odgadnąć rozkoszy, jaką mu to sprawia. Oto znowu jest górą i to on udziela pomocy wyprawie, której zdawało się może, iż dokona czegoś większego, niż on już dokonał. Teraz jego słuchają, rozbrojeni, bezradni jak dzieci, gdy eksplorator prawdziwy przemawia do Indian w ich własnym języku.

Lecz Indianie baczą pilniej na znaczenie tej mowy i nie-ledwie ze śmiechem odrzucają taki podarunek. Wypuszczając powietrze paświstują wargami, biją dłońmi w kolana, spoglądając nawzajem na siebie. Wreszcie uświadamiają przybyszów, że beczek mają już powyżej uszu, wyrzucają je wszystkie wyprawy. Na to Brewer Carias, ratując swoją powagę, jednym tchem zaznacza, że dostaną beczkę, ale pełną benzyny. Kacyk kiwa przyzwalając głową, gwar cichnie.

Rzecz zostaje przetłumaczona, na hiszpański, a wtedy z kolei Kuczyński musi się sprzeciwić. Taki podarunek obciążałby zapasy wyprawy. Za kilka dni Japończycy odlecą, wykonawszy zadanie, wyprawa zaś będzie musiała ograniczyć się do tego, na co pozwoli pozostała benzyna. W dodatku każda beczka przywieziona helikopterem z Cacuri, wymaga drugiej, spalonej na przelot w obie strony, O tym nie może być mowy.

- W takim razie - rzuca Miguel Angel - damy wam równowartość tej ilości benzyny w boliwarach.

Po żmudnych obliczeniach, prowadzonych przez obydwie strony, staje ugoda na dwustu boliwarach, płatnych po zakończeniu wyprawy. Głos zabiera kacyk, by rzecz ostatnie słowo. Siedząc, podkreśla każde zdanie równoczesnym uniesieniem obu dłoni na wysokość głowy. Brewer Carias, wciąż stojąc na środku, przekłada. Przy tym, w



swoim staraniu, by najpłynniej i natychmiast tłumaczyć każdy dźwięk, jaki wyda kacyk, pomija zasady budowy zdania hiszpańskiego.

- Silni my... jesteśmy! - uzupełnia po chwili. - Dużo nas! Jest! - dodaje. - Was z naszej ziemi usunąć możemy! Nie-pytający i nie-chcący zapłacić tutaj byli! Ich nie ma. Już. Dużo nas. Siłę mamy!

Promienny uśmiech kacyka nagle kończy tę przemowę i odbiera jej całą surowość. Kuczyński sięga za siebie, odbiera od Koisara przygotowane cztery paczki papierosów i za pośrednictwem Miguela Angela posyła kacykowi. Ten chętnie przyjmuje. Indianie powstają z ław prostując kości, mieszają się z białymi. Skrzypią słupy pod ciężarem pilotów leżących w hamakach i żujących gumę. Oni są u Indian na specjalnych prawach i sami pozostają na uboczu, nie biorąc udziału w rozmowach. Japończyk na materacu kokosi się jak ptak w gnieździe, wreszcie postanowił odlepić od mokrego ciała zimowy, górski ekwipunek. Drugi z Japończyków znajduje na kołku bębenek i podrygując zbliża się do kapitana, który umie się znaleźć i bez zniecierpliwienia wybija palcem kilka taktów na skórcie wężowej.

Kuczyński, na nic nie bacząc, pochłania talerz zimnego makaronu, gdy widzi siadającego obok siebie Brewera Carias. Daje się wciągnąć w rozmowę, a właściwie słucha monologu, początkowo z rzadka potakując, tyle ile trzeba, by nie wydać się gburem, w końcu, niepostrzeżenie dla siebie, z rosnącym przekonaniem.

- Są wspaniali - powtarza Brewer Carias - i nie zniósłbym ich skażenia przez białych. A najgorsze ze złego już się stało, dopuścili do siebie misjonarzy.

- Nie widziałem żadnego" - mówi Kuczyński.

- Pewnie! - parska Brewer Carias. - To są jakieś święte dziewice. O zmroku nie wyjdą już w krzaki. Wie pan, czego one ich uczą? Niech to jasna cholera... Idei Chrystusa, który żył na pustyni i którego koncepcja świata jest jak najdalsza dla ludzi wychowanych w lesie. Mówi się im o morzu, a oni nie wiedzą, jak to sobie wyobrazić. Baje się im o ukrzyżowaniu i zatruwa udręką i strachem, jakich nigdy nie znali. Nasza neurotyczna cywilizacja, nasze wieczne niezaspokojenie i poczucie winy, pragnienie uczynienia czegoś dla kogoś i za wszelką cenę, gdy najlepsze, co możemy zrobić dla bliźnich, byłoby pozostawienie ich w spokoju, odbiera Indianom ich „ja”, ich osobowość, niszczy ich stopniowo.

O 22.00 Polacy opuszczają chatę, stos brudnych naczyń zostaje do umycia nazajutrz.

- Pewnie psy je wyliżą - zauważa Dyga.

- Na to nie licz, stary - odzywa się Surdel. - Psy są uwiązane, na cały czas naszego pobytu. To dzikie potwory, widziałem, zżarłyby talerze i nas razem z nimi. Polują z Indianami.

- Dzień był ostry - Koisar zmienia temat - ale jesteśmy osiemset kilometrów od Caracas!

W ciemnościach wracają na pas startowy. Słychać skądś tylko terkot agregatu, nieliczne cykady i podśpiewywanie Indianki za drewnianą ścianą. Powietrze stało się mokre, prószy drobinami wody. Uczucie jest takie, jak w pobliżu kaskady padającej na skały, gdy krople, zmielone w najdrobniejszy pyłek, osiadają na skórze.

Przy świetle latarek zostaje odszukany worek z płóciennym dachem. Na czterech składanych masztach zawisa osłona, mająca chronić śpiwory. Kuczyński kładzie się po drugiej stronie stosu bagaży, gdzie już przygotował poślanie na ziemi. Wsuwa się pod płachtę ociążałą od rosy, zostawia otwór nad głową. Zbyt jest ciepło, aby wejść do śpiwora. Rozebrawszy się, leży na nim w pidżamie, patrzy w czarne niebo. Czuje bliskość mokrych źdźbeł trawy, słyszy zamierający terkot agregatu; we wsi gasną żarówki, tu się nic nie zmienia. Widzi Oriona leżącego w zenicie i diamentowe lśnienie Mlecznej Drogi. W mroku szeleszczą liście trącane ściekającą wodą i skomlą psy nad rzeką.

Oparty na łokciu, zaczyna notować przebieg dnia, oświetlając papier żółtym krążkiem latarki. Zamierają rozmowy moszczących się na nocleg ludzi, zgrzytają zamki błyskawiczne. Mur lasu, czarniejszy od nocy, przesywają świetliki. Jak samoloty, rytmicznie mrugając światłami, schodzą skośnym lotem do lądowania, gdzie w trawie pełzają bezskrzydłe samice. Miłosne życie tych owadów skazane jest na mroki. By doszło do skojarzenia się pary, niezbędne są świetlne sygnały. Wysyła je samiec, a po nim samica w określonym dla danego gatunku ścisłym odstępie czasu. Możliwe jest to tylko w nocy. W dzień niepodobna odszukać najmilszego stworzenia: po czym można by poznać, że na pewno to ono, a nie obcy żuczek? Bo właśnie tylko ciąg błysków, opóźnionych z dokładnością komputerową, jest tą upragnioną urodą, jest zachowaniem się zdolnym wywołać miłosne zamieszanie w głowie i popchnąć do spotkania z ukochanymi czułkami. A gdy do tego dochodzi, pieszczotliwe dotknięcia sześciu nóżek,

bez wątpienia mówią: „światelko ty moje...”

Zamknawszy zeszyt, zasuwaa płachtę nad głowę i broniąc się przed zaśnięciem próbuje jeszcze porządkować w głowie zadania na dzień następny. Słyszv przy tym szelest papieru, jakieś chrzęsty i szmery. Zdaje mu się chwilami, że ktoś mnie gazetę w pobliżu. Już niemal usypia, gdy dźwięki się wzmagają. Rozlega się zirytowany głos Surdela:

- Spij wreszcie, człowieku! Czego hałasujesz!

- Wyżera czekoladę... - pada podejrzenie.

- Kto? - chce wiedzieć Solicki. Tak się okazuje, że nikt nie zdołał zasnąć.

- To ty? - pytają Kuczyńskiego. By się oczyścić z podejrzeń, opuszcza posłanie i boso, w mokrej trawie, okrąża magazyn. Sądzi, że to jakieś zwierzę weszło między pakunki i usiłuje dotrzeć do zapasów. Odciąga mokrą płachtę, świeci między okrągłe pojemniki. Na koniec odkrywa. Widzi papierowy worek, do którego wsunięto łopaty. Na nim siedzi zając. Nie, nie zając... Żaba! Pochyla się niżej: osiem funtów mięsa obciążniętego śluzowatą skórą, pełną brunatnozielonych brodawek. Szponiaste palce, odpychające się od nierówności papieru, nieruchomieją w jaskrawym promieniu. To, co na pierwszy rzut oka wydawało się uszami zająca stulonymi na grzbiecie, to potworna narośl, kostropaty liszaj, obraz strasznej choroby. Nie, nie narośl, żaba! Druga.

Już wszystko wiadomo. Samczyk, jak piastka dziecka, nie większy od głowy samicy, przywarł do jej szyi. Objąwszy ją łapkami, trzyma się kurczowo. Tak tworzą amplexus, morfologiczny układ wywołany rują, trwający czasem tygodniami.

Samica z głową wciśniętą między pojemniki, z ciężarem samca na sobie, może czuje się choć częściowo ukryta, więc zamiera w bezruchu. Leczn on? Ma otwarte oczy, widzi światło, słyszy także głosy, musi wiedzieć, że nic go nie osłania przed zębami schylonych nad nim zwierząt. Czując na podczerwień skórą poznaje otaczające go ich ciepło. Mimo to ani myśli zanurkować w trawę.

Nie można się łudzić: to nie dlatego, że pragnie osłaniać samicę. Jedyne pragnienie, jakie go przenika - nie dać się jej oddalić - jest silniejsze od wszelkich odruchów, od strachu, od głodu. Pozwala się dotknąć, unieść ludzkim paluchom, tak wysoko, że razem z nim samica zostaje dźwignięta do góry. Nie pozwala się tylko oderwać, ścisła ją za szyję łapkami, tuli, jakby wiedział, przeniknięty mądrością Przyrody, że utrata jej

byłaby końcem; utrata życia jest niczym.

Okolo północy Kuczyński budzi się zaalarmowany. Odpycha mokrą płachtę z czoła. To nie o nią chodzi ani o pełznącego po uchu owada. W głębi nocy rozlega się z dziesiątka gardzieli przenikliwy skowyt. Poznaje: to łkanie psiej sfory, spuszczonej z uwięzi przez pana. Psy są niecierpliwe; już wiedzą, że mają ruszyć za zwierzyną, rwą się, szarpia rzemienie, wszystkie mięśnie grają, już chciałyby gonić. Skomleniem, płaczącym ujadaniem, jękami, przejmującym śpiewem wzywają rękę, która je uwolni z obroży.

- Słyszysz? - pyta znów Surdel.

- Słyszę - odpowiada pięć głosów i znów się wsłuchują. Psy poszły, uwolnione. Tu nie można się mylić: niskie gniewne warczenie, złowrogie bulgotanie w gardzieli, groźba, z którą sfera rzuca się do biegu. Cisza. Chwila ciszy, gdy psy jak pociski wbijają się w podszycie lasu i prując gęstwinę rwą ze spuszczonej pyskami. Pojedyncze szczeknięcie, drugie, jak stłumiony kaszel, prychnięcie zmoczonego nosa, szukającego zapachu. Nagle jeden z psów poczyną ujadać. Histerycznie, wysoko, dławiąc się i chrypiąc. Stado już wie, że znalazł, odpowiada warczeniem i zbiega się ku niemu, poszukując śladu. Drugi, trzeci wybucha szczekaniem, sfera jest już na tropie, zagłusza las ujadaniem. Zwierzyna niech słyszy, niech wie, że już zwęszona i pogoń się zbliża, niech ją spęta trwoga.

- Na co one polują? - pyta ktoś półgłosem.

- Nie wiem - dostaje niepewną odpowiedź - ale zbliżają się do nas...

Sześć par uszu wyczekuje trzasku łamanych gałęzi, jeszcze go nie słyhać, lecz to sprawa sekund. Trop stał się gorący, szczekanie dosięga zenitu. Las nieruchomieje ze zgrozy: w głosie psów pojawiają się znowu niskie, bulgocące tony, poprzedzające o sekundy wbiecie kłów w ofiarę.

- Szkoda, żeśmy nie wzięli czekanów z Caracas... - w ciemności zgrzytają otwierane śpiwory.

- Masz chociaż pod ręką ten pojemnik z gazem? - pytają Kuczyńskiego.

- Są już! - woła ktoś inny. Milknie zagłuszony potępieńczym wyciem, zgrzytaniem zębów, kłapaniem szczękami...

Cisza. Milczenie zapada, jakby uciął nożem. Znów słysząc kwilenie nocnego ptaka i szelesty wody. Przyspieszone oddechy.

- Co się z nimi stało?

Nikt nie odpowiada. Upływa minuta. Uniesione głowy znów się kryją w śpiworach. Krew ucisza się w skroniach, spokój, sen wpełza pod ołowiane powieki.

Skowyt, znów to niecierpliwe łkanie, napina nerwy jak struny. Wytężony słuch znowu łowi odgłosy spuszczonej z uwięzi sfory. Znowu się zbliżają... Kuczyński pojmuję: nikt psów nie spuszcza, nikt psom nie zdejmuję rzemieni! Sfora, dręczona nie zaspokojonym pragnieniem pokąsania przybyszów, nagradza sobie męki uwięzienia, raz po raz odgrywając scenę polowania na nich.

O trzeciej nad ranem do wioskowego ruchu oporu włączają się koguty. Noc jest najgęstsza, ciemności jak smoła spowijają ziemię. Przez senny osad w głowach wwierca się do mózgu zardzewiałe skrzypienie. Powtarza się wciąż od nowa, w odstępach tak dobrze dobranych, by nie całkiem rozbudzić i nie pozwolić też usnąć na pół zbudzonemu. Torturować, utrzymując intruzów godzinami w stanie koszmarnego ni to snu, ni jawy. Pomiędzy nadzieją, że już się skończyło, i męką, gdy skrzeczenie rozlega się znowu.

Odgłosy przy tym zaledwie są podobne do piania. Nic w nich nie ma dźwięcznego, żadnych czystych tonów. Matowe, odbarwione rżęzenie, pocieranie kamienia o kamień, skrzypienie spróchniałego konara. Ludzie leżą w śpiworach wyczerpani, udręczeni do ostatnich granic. Kostropate ptaki zbliżają się chyłkiem, ścieżkami przez krzaki, z chrypieniem coraz bardziej natarczywym. Kuczyński rozpoznaje, dałby za to głowę, głos tego koguta z bezczelnym wejrzeniem. Słyszy go najbliżej: wlał na jakiś kamień, sterczy w urągłej pozie i rozdziera gardło. Z pewnością fałszuje celowo, stara się w ten sposób znieważać i wyszydzić. Sam kogut, przedrzeźnia koguta, a wreszcie, chcąc jeszcze bardziej poniżyć, zaczyna udawać barana, zdychającą papugę, rzygającego Indianina. Nie dość mając tego, chrząka niby świnia.

Poranek piątego lutego jest cichy, ciepły, mglisty. Kłaczki mgły jak wata czepiają się po drzewach. Niebo zachmurzone. Uczestnicy wyprawy zwlekają się z postąń. Oczy opuchnięte, mroczny osad w głowach. Nie ma potrzeby pośpiechu. Helikopter zużył całe paliwo, nie wystartuje nawet do składu w Cacuri. Zaś Otter, odprowadzony na noc do

bazy w Manapiare, nie wróci, dopóki nie pękną i nie rozproszą się chmury.

Śniadanie przygotowuje się w okrągłej chacie, gdzie na noc zostały naczynia i Wenezuelczycy w hamakach. Piloci myją zęby i siadają do kawy. Miguel Angel tłumaczy niewielu ciekawym, skąd wzięła się nazwa wsi: Santa Maria. Do 1959 roku wioska nie istniała. Indianie mieli osadę w górnym biegu Erebatu, lecz po śmierci ostatniego, wielkiego ich wodza, Calomery, spalili starą siedzibę i przenieśli się tutaj. A że właśnie w tym czasie grupka misjonarzy z jakiejś kongregacji francuskiej zdołała się przy nich utrzymać, wreszcie nie przepędzana po latach sprzeciwu, pod jej wpływem nazwano wieś w nietutejszym języku i obcym imieniem.

- To jeszcze najmniejsze! - macha ręką pilot. - Miałem wam opowiedzieć, teraz mamy dość czasu... Latałem kiedyś przez miesiąc z komisją rządową. Badała działalność misyjną. Jak w ogóle do tego doszło, to osobna sprawa. Kościół ma potężne wpływy, długo temu przeszkadzał, ale skarg było tyle, że komisję w końcu powołano. No i lądujemy na wschodzie, w rejonie Canaima, gdzie działają misje niemieckich ewangelików. Wchodzimy do szkółki, uczniowie wymyśli, stoją sztywno jak kije. Pierwsi w tym rejonie Indianie umiejący czytać. Najzdolniejszy uczeń, osiemnastoletni chłopak. Pytamy: „Wiesz, w jakim państwie żyjesz?” Zastanawia się długo, wreszcie wykrztusza niepewnie nazwę stanu: „Bolivar?” „A co z Wenezuelą?” - pytamy. Nie słyszał. Wie tylko, że są jacyś tam Venezolanos, Wenezuelczycy, tak się określa, jak sądzi, wszystkich przybywających do wioski z odległych okolic. Sam nie zalicza się do nich. Czy w ogóle umie wymienić nazwę jakiegoś kraju na świecie? Umie: „Alemania!” Hmm... „A kto jest twoim prezydentem?” Nie wie, kto to taki. Podpowiadamy: „Wymień jakiegoś wielkiego, ważnego człowieka, potężnego kacyka...” Coś mu zaczyna świtać: „Bismarck!” - odpowiada.

- Tydzień później - ciągnie porucznik pilot - spora wioska w lesie. Lądujemy, nikt się nie pojawia. Zaglądamy do chat, żadnego mężczyzny, starcy, kobiety, dzieci. Odkrywamy braciszka w domu misyjnym, wyraźnie się chował. Wystraszony, udaje, że nie wie, gdzie są inni bracia, próbuje nas spławić. Mimo to zostajemy na noc. Po zapadnięciu zmroku jakiś stary podkrada się w tajemnicy do naszych hamaków i szeptem: „Chcecie wiedzieć, do czego nas zmuszają? To idźcie w dół rzeki i wzdłuż pierwszego dopływu...” Wyruszamy rano, wyraźna ścieżka, prawie droga w lesie. Po sześciu kilometrach:

szałasy, rozkopane brzegi, misjonarze ze sztucerami w hamakach. Indianie. Co robią? Płuczą dla braciszków złoto...

O dziesiątej nad Santa Maria del Erebató niebo zaczyna się przecierać. Ustala się plan działania. Pierwszym lotem na płaskowyż ruszą: Kuczyński, Urbani, maczetnik Emilio Alvis, z zadaniem pozostania na górze, założenia bazy i przygotowania miejsc pod dalsze namioty. Tam i z powrotem polecą operator Japończyków z kamerą. Pozostali członkowie ekipy otrzymują przydział do kolejnych lotów. W składzie bagażu przy pasie startowym podejmuje się prace dla wydzielenia ładunków każdej grupie. Spisy są od dawna gotowe.

W południe nie ma jeszcze warunków do lotu, choć mgły poszły w górę, rwą się i prześwituje spoza nich błękit nieba. Pali słońce przesiane przez chmury. Upał. Polacy pracują pod płóciennym dachem. Z drugiej strony pasa siedzi helikopter na polance przed szkołą. Tylko wierzch kabiny i wirnik wystają nad krzaki. Dłubią przy nim piloci. Odślaniają się wzgórza otaczające dolinę. Wyniosłe garby, fałdy i obłe pałuby. Tak by się ułożyło futro rzucone w nieładzie. Po zielonym kożuchu pełzają niebieskie plamy, to cienie obłoków.

Kuczyński handluje. Stara Indianka z plemienia Sanę-ma, półnaga, tylko w czerwonej spódnicy, tkwi pod dachem od rana. Sanemanowie, podobnie jak Guaikowie, osiedlają się pod bokiem wyżej od nich rozwiniętych Makiritarów. Często też za drobną opłatą wynajmują się im do robót na polach, przy budowie chaty albo łodzi. Stąd niezbyt prawdziwe, ale rozpowszechnione w Cafacas mniemanie, że Makiritarowie mają niewolników.

Stara sprowadza córkę, dziewczynę atletycznej budowy, o barkach siłacza, wbitą w mini-sukienkę obszytą falbankami. Na szyi sznur nasion. Kuczyński wymienia go za bolivara i chowa do kieszeni. Pokazuje na migi, że wszyscy obecni chcą kupić. Stara rusza do chaty. Tymczasem podnosi się chór głosów:

- Przeplaciłeś!
- Nie, za mało jej dałeś, więcej nie przyniesie!
- Za dużo!
- Popsułeś nam rynek!

Poruszeni do głębi tą pierwszą w życiu wymianą z Indianami, chcą ją celebrować.

Niezbędna jest im jako nowy dowód przybycia w serce egzotyki, odbywania tej podróży, która w niepojęty sposób tak łatwo powszednieje, jeśli jej niezwykłości ciągle nie podsycać. W głowach kołaczą się bezładne strzępki tej książkowej wiedzy o chytrłości dzikich, o kruczkach, wybiegach, lusterkach dla Murzynów, o tym, jak nie zdradzić przedmiotu pożądanego... Tu nie ma znaczenia, że towar i cena są wartości groszowej, jak pusta butelka czy pudełko zapalek. Chodzi o to, by sądzić, że się przechytryło drugiego.

Młody Makiritare, całkowicie po miejsku ubrany, przynosi łuk i trzy piękne strzały. Surdel daje mu za to niemodną białą nylonową koszulę. Solicki jest niepokieszony, też chce mieć łuk do zawieszenia na ścianie; narzeka, że Surdel wyśrubował cenę. Ten broni się:

- Miałem mu dać sam kołnierzyk i mankiety?

Kuczyński ich godzi. Działając na rzecz Solickiego, wyciąga z zarośli sterczącego tam od rana chłopaka i rozbiera go za cztery bolivary. Za dwa - łuk z twardego drzewa, po jednym - za każdą z dwu strzał z papuzimi bełtami.

Wraca stara kobieta, naszyjników nie ma, niesie więc wiąznię bananów i trzy ananasy. Dostaje trzy bolivary. Wreszcie z wilgotnego lasu wybiegają dwaj mali chłopcy z wydętymi brzuskami, jeszcze nie skalani myślą o dochodach. Co upolowali, ofiarowują z serca: dźwigane za ogony, dwa opasłe szczury. Chcą je wręczyć białym, pokazując menażkę i słońce na niebie, zwracają uwagę, że czas na południowy posiłek. Odmowa ich nie obraża, radośnie pędzą do wioski ze swym łupem. Pas czerwonej materii, z przodu tworzący fartuszek, z tyłu zwisa do ziemi między pośladkami.

Od strony helikoptera dochodzi wołanie pilotów. Widać tylko głowy.

- O co chodzi? Que pasa?

Nie chcą odpowiedzieć, przynaglają gestami. Sądząc, że ma to jakiś związek z maszyną, Kuczyński idzie do nich. Porucznik Avila szepcze tajemniczo:

- Zjawiły się! — i pokazuje oczami w stronę szkoły.

- Kto taki?

- Misjonarki, musisz je zobaczyć... — chichocze i ciągnie za łokieć. Jest już zbyt późno, aby się wycofać. Są dwie, dojrzały gości przez okno, wybiegają im naprzeciw z chaty. Białe, skromne bluzki, długie granatowe spódnice, włosy ulizane, warkocze splecione w



rogale nad uszami.

Blade jakieś, krowiaste, pożerają oczami, do mężczyzn pełne ochoty, z daleka wyciągają ręce, ale uprzedzają na wszelki wypadek:

— Somos religiosas! — to ich pierwsze słowa. — Jesteśmy religijne! — co w hiszpańskim należy rozumieć nie tylko w sensie wiary, ale i zawodu. Francuzki. Zaprasza ją do szkoły. W jednej izbie koszyki i talerze wyplatane z trzciny, na słomkowym tle czarne, geometryczne wzory. Podobno rodzima twórczość Makiritarów. Wysłała się to, przy okazji lotów, do stolicy na sprzedaż. W drugim po mieszczeniu nauka pisania w języku yecuani. Otwarte zeszyty, zostawione przez uczniów na czas przerwy po łudniowej. Książka „Nasz Świat”. Pozostałe przedmioty to rachunki oraz higiena. Tablica z rysunkiem miednicy, mydła, szczotki, kranu... I to w sercu największej łazienki i największej gąbki świata! Parnej, nasiąkniętej wodą gęstwiny, gdzie dość byłoby pozwolić Indianom zdjąć przepoczone łachy, aby znów się stali, jak kiedyś, najlepiej umyтыми ludźmi na tym globie.

Trzynasta zero zero. Warkot samolotu. Jest w górze, czarny krzyżyk. Na wysokości dwóch kilometrów zatacza ciasne koło. Upewnia się o widoczności pozwalającej już na lądowanie i wraca do bazy. Po godzinie znowu słychać motor. Zza wzgórz wyskakuje Otter. Schodzi do lądowania po czubkach drzew, dotyka początku pasa, a w jego połowie, tam gdzie inne maszyny wylatywały w powietrze jak na trampolinie, on już stoi. Nikt z patrzących nie wątpi, że to mistrzowska ręka pułkownika Borrella. Dostarczył 500 litrów z Cacuri. Wyładowuje się beczki, podłącza je do helikoptera i ręczną pompą tankuje. Jedna idzie w całości na płaskowyż, by stworzyć tam stałą rezerwę umożliwiającą bezpośredni przelot do głównego składu w Cacuri. Pułkownik Borrell nawet nie opuszcza cienia pod skrzydłem samolotu, gdzie wysiadł, aby tylko rozprostować nogi. Chce dostarczyć jeszcze jeden rzut paliwa, zaś po południu musi być w Caracas. Przrzeka odwiedzić wyprawę na płaskowyżu. Niebawem startuje. Porucznicy Romero i Avila, siedząc już w fotelach, opuszczają na głowy hełmy, kuliste zielone banie, połączone z maszyną żyłkami przewodów. Biodra przyciągają do foteli ciasnymi pasami. Palce Romero, pierwszego pilota, suną po tablicy, włączając kontakty, ustawiając pokrętła, naciskając guziki. Odzywa się sprężarka, bucząca coraz wyższym tonem.

Japończyk, Urbani i Kuczyński zajmują miejsca za nimi. Na ich prośbę sierżant-

mechanik Flores wyjmuje plexiglasowe okna z obu stron kabiny i wsuwa między bagaże przypięte taśmami do haków w suficie. Surdel podaje 16-milimetrową kamerę filmową, prosi o zdjęcia z lądowania. Zaczyna pracować turbina napędzająca wirnik. Rozlega się przeciągłe wycie, po czym ruszają z miejsca trzy obwisłe łopaty. Zrazu miała powietrze jak wiatrak, lecz gdy przyspieszają, siła odśrodkowa napręża je i prostuje, śmigają nad głowami jak ostrza trzech mieczy.

- Emilio! - woła Urbani. - Dlaczego on jeszcze nie wsiada? - pyta Kuczyńskiego. Ryk silnika głuży już każde wołanie. Odprowadzający, biali i Indianie, cofnęli się daleko, kryją się za chatą, część za pasem krzaków, tylko ich głowy wystają. Są półodwrócenii, bo podmuch wymiata tumany kurzu z gliniastej skorupy. Siedzący w maszynie widzą Emilia z jego zawiniątkiem, jak z niepewną miną szykuje się do skoku, wyraźnie powstrzymywany przez Brewera Carias. Ten coś mu kładzie do uszu, z ruchu jego ręki można wywnioskować, że go uspokaja i zapewnia o czymś. I niespodziewanie Carias sam rzuca się do biegu. Mruży oczy, odruchowo się schyla i skacze do kabiny. Flores, nieświadomy zamiany pasażera, wciąga go za łokieć i zasuwa drzwi za nim. Porucznik Romero, jakby tylko na to czekał, zwiększa ciąg silnika i płozy odrywają się od ziemi. Brewer Carias, nie patrząc na nikogo, przeciska się do płóciennego siodełka na tyle kabiny. Kuczyński z Urbanim spoglądają po sobie. Ze zdumieniem, ze złością, z rezygnacją, wreszcie z rozbawieniem.

### **Sarisarinama**

Godzina 15.10. Helikopter, w głębokim przechyle na prawą burtę, wsuwa się łukiem nad drzewa. Odchodzą w tył chaty Erebató i czarna rzeka w korytarzu lasu, z siwymi warkoczami piany na bystrzynie. Miga przez gałęzie wachlarz indiańskich dżubanek skupionych dziobami u jednego pała. Odtąd - tylko drzewa lub raczej - dach lasu. Liściasty bruk, mozaika z opłatków zieleni. Największe urządzenie Planety do absorpcji energii solarnej transformowanej chemicznie w tlen i cukier. Pasażerowie latającej kabiny dopiero stąd widzą, że selwa nie jest tak jednolita, jak może się wydawać wędrowcowi zaszytemu w gęstwinie. Dzieli się na kopuły o różnej barwie, odcieniu, wysokości, średnicy.

Na tarczy busoli, cylindrze obracającym się w płynie, ustala się kierunek: SE, i tak

pozostaje. Rośnie wysokość lotu. Pod maszynę wpełzają mgły. Wsiąkają w dżunglę jak mleko, które wykopiało. Coraz mniej przejrzyste, coraz bielsze, są już niby płyty śniegu. Pełzają jak wieloramienne polipy, puszcza nakryta ich cieniem ma kolor ponurego granatu.

Wysokość: 4000 stóp, szybkość: 85 węzłów. Wiatr urywa wychylające się głowy, ogłusza i szarpie za włosy. Kuczyński szuka wzrokiem płaskowyżu Jaua - lecą ku niemu, by nad nim przeskoczyć - lecz tym razem nie znajduje tej wyspy na powierzchni ziemi. Tam gdzie widział ją wczoraj, stoi duch płaskowyżu, spowity całunem. Mleczna budowla wzniesiona z oparów. Są dość blisko na to, aby się przekonać, że to nie bezkształtna masa. Widzą mleczną kotarę wysnuwającą się z dżungli i pełzającą wzwyż, rozciągniętą po skałach jak smugi wody na progu wodospadu. Ale ten nie spada, lecz płynie do góry, imoszony ciepłymi prądami. Rozciąga się po kilometrowym urwisku, zaczepia o filary, drze się jak muślin zbyt napinany, znów skleja. Wzniósłszy się nad krawędź płaskowyżu, jakby zabrakło mu siły do dalszego wzlotu, poczyną się zwijać, kłębić i kotłować.

Tę chwilą wybiera Brewer Carias, aby przypomnieć o sobie. Przepycha się między Urbanim a ścianą i przykuca między fotelami pilotów, tuż za oparciami. Trzyma broszurkę, otwartą na schematycznym rysunku terenu, przeniesionym z mapy radarowej. Pochyla się do przodu i podsuwa mapkę przed oczy pilota. Coś do nich wykrzykuje, nie bacząc, że mają słuchawki na uszach. Choć nagabywani, spojrzeń nie odrywają od szyby, za którą majaczy jak cień zarysowana we mgle krawędź płaskowyżu. Tylko sierżant Flores wstaje ze swego miejsca za Urbanim i dotyka ramienia Brewera. Ten odwraca się niecierpliwie, lecz widząc ruch dłoni nakazujący zachowanie spokoju, przysiada tam, gdzie się znalazł.

Szarobiały tuman poczyną smagać szyby. Przez otwory wdziera się do wnętrza mokry pył i wypełnia płuca. Za szybą pod stopami - mleko. Helikopter przebija w ciągu kilku sekund chmurę i wyskakuje nad płaskowyż pod ulewę promieni. Pod kadłubem, miast zielonej otchłani, śmigła bliska skalna krawędź. Wlatują nad kamienistą równinę. Pasażerowie, wychyleni z obu stron, filmują i strzelają zdjęcia tej ziemi, nigdy nie tkniętej przez stopę człowieka. Nie baczą na wichurę urywającą im głowy. Romero dostrzega to w lusterku, obniża lot, niemal muska fioletowe głązy.

One nie są nietknięte... Przypomnienie tego każe Kuczyńskiemu odjąć od' oka wizjer aparatu. Prawda jest jedna. Już dwa lata temu Brewer Carias podczas swej wyprawy założył tutaj obóz i lądował w kilku punktach płaskowyżu, zbierając rośliny. Niczyje pragnienia nie zatrą już tego. On to wszystko widział, chodził po tych kamieniach.

Cień jakby pada na skały. Ręka z ociąganiem się podnosi kamerę... Lecz Brewer Carias nie wie, że w tej sekundzie została mu oddana sprawiedliwość. Czyż nie po to, aby jej żądać, wdarł się do maszyny? Każdy jego ruch krzyczy: „Ja już tutaj byłem!” Nie zniesie zapomnienia. Porucznika Romera nie śmie napastować. Gdyby mógł, wszedłby na kolana Avili, byle zwrócić na siebie uwagę. Wskazuje mu coś, próbuje tłumaczyć, objaśniać, poucza, wymachuje dłonią, aż zawadza o kabel schodzący z sufitu z taką siłą, że wrywa wtyczkę z gniazdka w hełmie porucznika. Avila rzuca ze złością swą głową poczwarnego owada i ręką odgarnia Brewera do tyłu. Pod groźbą utraty orientacji nie wolno mu oderwać spojrzenia od terenu. Cała nawigacja, wobec braku map lotniczych i naziemnych stacji radiowych, odbywa się na oko.

Lecz Brewer Carias nie umie już pozostać w cieniu. Obojętność przygniata go nieznośnym ciężarem. Ktoś musi go słuchać! Wybiera Kuczyńskiego. Obraca się ku niemu ze swoją broszurą. Pokazuje rysunek, krzyczy:

- Jaua! Jaua!

Przerzuca gorączkowo strony szarpane wichurą, wpycha przed nos jakieś fotografie namiotów, każe porównywać z terenem. Wiatr porywa słowa, nim je ktokolwiek usłyszy.

Kuczyński pojmuje, już zna tę chorobę, ten przeszywający serce niepokój Brewera. Zna to zachowanie. Powraca wspomnienie dżungli Lakandonów w Meksyku i Gertrudy Duby. Pamięta. Opisał to w „Czeluści”. Owa stara kobieta nie mogąca się pogodzić z przybyciem nowej wyprawy do lasu, który pierwsza badała.

Ta sama rozpacz przenika Brewera, bo czym, jak nie rozpaczą jest owo uczucie doznawane na myśl o rabunku naszego życiowego dzieła, naszego dziecka? Sarisarińama - to słowo zrodził dla cywilizowanego świata Brewer Carias. To miejsce istnieje w świadomości ludzi opisane jego słowami. Wielka Studnia to Wielki Carias. To on ją zniewolił, wziął na własność, a teraz, zamiast wyłączności - podział?

Inni inaczej o niej opowiedzą, zmienią kształt jego opisu, zaprzeczą mu. Rozmyją i zatrą jego zasługi. Więc klęska, totalne zagrożenie dla chwały dotąd z nikim nie

dzielonej. Wiarygodność poddana próbie, koniec niepowtarzalności wyczynu. Jedynym sposobem, by coś uratować, wydaje mu się obecność na miejscu. Czepia się nowej wyprawy, musi być z nią i za wszelką cenę.

Kuczyński nie czuje współczucia, nie znajduje go w sobie. Uczestniczył w zbyt wielu wyprawach, aby nie pamiętać, jak się rozkładają zasługi. Być może, zwalczył już u siebie pragnienie wyłączności. Człowiek, który by nic nie dzielił z innymi, po prostu by nie żył, nie dokonywał, nie działał. Czuje, że zapewnianie sobie pierwszeństwa nie jest celem godnym najmniejszego działania. Droga do wolności to także uwalnianie się od posiadania w takiej właśnie postaci, od więzów, jakie ono nakłada. Wyprawa, jeżeli uznać ją za symbol ruchu, wyzwolenia od przykucia do miejsca, czy powinna prowadzić do wiązania się z jakimkolwiek innym miejscem na tej ziemi? Dokonać odkrycia! To pewne! Może je opisać... Lecz potem ruszyć naprzód i szukać nowego, nie grzęznąc w tym, co kiedyś zrobione.

Teren uciekający pod płozy maszyny jest jak posiekany nożem w romby i kwadraty. Każdy z nich to oddzielna wysepka: to jakby pęk graniastosłupów zebranych w wiązkę, jeden od drugiego odcięty bezdenną szczeliną. Aby poruszać się po nich, trzeba by nieść ze sobą kładkę, most składany. Na każdym wieloboku, na sinym tle skały, rośnie żółta szczecina. To Brocchinia, liście zwinięte w tuby skierowane ku niebu.

Kończy się obszar potrzaskany. Cień helikoptera śmiga po spłachciach grubej trawy na gliniastym podłożu, nad kępami krzaków i niskiego lasu. Rzeka! Woda. Tu, kilometr nad puszcza, płynie czarna jak smoła, ujęta w różowe niby.lukier obrzeża. Urbani trąca Kuczyńskiego: tak! oczy ich nie mylą! Poprzez łyzy, wyciskane huraganem, widzą lej wypełniony głazami, rzeka znika pod nimi. Zdobywają pierwszy, własny i niezbity dowód istnienia podskalnych kanałów.

Po sześciu minutach lotu ponad płaskowyżem zostaje osiągnięta jego wschodnia krawędź i w ułamku chwili teren pod maszyną zapada znowu o kilometr. Spojrzenie, które go ściga w głębinie, tonie w błękitnej mgiełce przesłaniającej jakby dno oceanu.

Nie ma chmur z tej strony. Helikopter staje się brzęczącym komarem, zagubionym w niebie, dążącym ku drugiemu brzegowi otchłani. Jest nim Sarisarinama, cel ostateczny wyprawy. Odległy o trzydzieści kilometrów, już nic go nie przesłania. Siedmiu ludzi zawieszonych w świetlistym przestworzu widzi naprzeciw siebie...

Bezradni - filmowiec, botanik, geolog, lotnicy - pojmują, że ich sposoby określania, świata, poddawania go sobie, tu nie przydadzą się na nic. Tego nie można opisać, można to tylko chłonąć szeroko otwartymi oczami, oddechem i skórą. Przyjmować ten widok w sobie i całym sobą przenikać do niego, aby się w nim roztopić.

Na krzywiznie Planety, w ulewie słonecznego złota, leży odłam obcego globu strąconego z nieba. Przytłacza świat swym kosmicznym ogromem. Gigantyczna, przewrócona szafa. Skalny blok o rozmiarach na granicy tego, co można ogarnąć spojrzeniem. Ogarnąć tylko po to, by odkryć w nabożnym zdumieniu, olśnieniu, zachwycie, że są rzeczy wykraczające poza rozumienie, przerastające nieskończenie ludzką zdolność tworzenia. Po to, by poddać się - na zbyt krótko, niestety - tym odświętnym uczuciom, zadowolić się samym patrzeniem, jeszcze nie pragnąc gwałcić, wdzierać się, pomniejszać zjawiska do swej własnej miary. By stać się myślącym stworzeniem, w którym wybucha radość uczestniczenia w misterium przyrody, zjawisku planetarnym przerastającym go miliardy razy, a przecież możliwym do podźwignięcia zmysłami. I z tej pewności, że jest się równym między potęgami, że ma się własne miejsce między nimi, brać siłę, która wyzwala od lęków, napełnia lekkością i pozwala odkryć uczucie jedności ze światem, a więc miłość do niego.

Podobnie jak Jaua, płaskowyż Sarisarifiama jest okryty mgłami. Chwilami trudno poznać, czy ten gmach, podpierający niebo, jest ze skały, czy tkany z pary. Mgły są nieruchome, ułożone poziomymi warstwami i jak pierścienie Saturna otaczają masyw, siniejący pod nimi. Tworzą pasy różu, fioletu i bieli, okrążają cienkimi ławicami monolit, jak dziesiątki tarasów. Na ich tle, w połowie wysokości ściany, szybuje eskadra chmurek udających balony: wyciągnięte szeregiem, coraz mniejsze, doskonale okrągłe, kule śnieżnej pary.

Brzęczący okrucz metalu przebija mgliste pierścienie i dopada kwarcytowej ściany. Skały rosną w oczach: wysokość za mała! Porucznik Romero ściąga wolant na siebie i rzuca w ostry skręt maszynę. Kuczyński, wychylony przez okno, dostrzega, jak przegradzająca świat ściana odchyła się od pionu i wali, nakrywa helikopter, zamyka się nad dżunglą jak wieko, które przytrzyma komara. Mdlące ssanie w żołądku, ciężąca głowa, rozmazane spojrzenie. Wyrównanie i ściana znowu się prostuje. Zerwa fioletowego kwarcytu, odległa, zdaje się o rzut kamieniem, zawisa sto metrów nad

głową, w dół spada siedemset. Ku czeluści zbiegają skrzesane filary, rysy pęknięć, czarne smugi zacieków. Odłupane bloki, te drzazgi kamienia rozmiarów drapaczy, odchylają się od cielska monolitu, gotowe runąć za najmniejszym wstrząśnieniem. Widać różowe blizny jak świeżego ciała, tam gdzie odpadły połacie kwarcytu wielkości miejskich placów.

Przed nimi powolną spiralą pełza wzwyż helikopter unoszony, w ogłuszającym ryku turbiny, przezroczystą aureolą wirnika. Obok powiewają rozwiane kity wodospadów. Siwe, miękkie ogony kropel, rozpylonych w atomy, lecą z krawędzi do podnóża, falują węzowo i gną się w powiewie, tulą się do ściany, to znów od niej odstają. Siedzący w kabinie doznają wrażenia, iż wiszą nie przed urwiskiem, lecz z międzygwiazdnej pustki podchodzą doładowania na kosmicznym tworze, odłamie materii, skalanej wieżycy, u której końca doczepiona jest, gdzieś tam, Planeta.

Na wysokości okien pojawia się krawędź. Wał kipiących roślin wywieszonych nawisem nad otchłanią. Spuszczają ku dalekiej ziemi firankę szarych korzeni jak sznury i powojów z nanizanymi kwiatami. Widać szczerbę w zaroślach, wylewa się z niej potok, żyła wodna, mięsista i gruba. Leniwie, ruchem zwolnionym przez odległość, przepętza nad progiem i poczyna spadać, ciągnąc się jak guma, rozbielać, topnieć, znikać.

Ekipa ma już pod sobą powierzchnię płaskowyżu. Teraz się przekonuje, że ten kraj tajemniczy, wyniesiony w pobliże słońca, pod niebo, ma podobnie do tamtego w dole, swoje własne góry z najwyższym kopulastym szczytem, swoje doliny, wąwozy, rozległe płaszczyzny zarośnięte i nagie oraz wodne cieki.

W czterdziestej piątej minucie po starcie z Erebatu, porucznik Romero błyskawicznym, ukośnym nalotem osiąga otwór Sima Mayor - Wielkiej Studni - i okrąża go łukiem. To, co z pewnej odległości wydawało się tylko ciemnym owalem na powierzchni lasu, potem zakłęśta misą, teraz rozwiera się pod maszyną bezdennym kraterem.

Przez kilka sekund Kuczyński i Urbani zaglądną z powietrza w czeluść, gardziel ziejącą, zdaje się, piwnicznym chłodem. Jej mgliste wyobrażenie mieli przed oczami od roku, walcząc o tę wyprawę. Teraz rozwiera się pod nimi prawdziwa, odarta z narosłych wyobrażeń, zniekształcających opisów, naga. Przed kilkunastu jeszcze sekundami oglądany ogrom płaskowyżu zdołał ich znieczulić, tak przynajmniej sądzili, a jednak znów są porażeni nieludzką skalą tego tworu, tej próżni, w niewiadomy sposób

wydrążonej w skale. Dno, przeraźliwie dalekie, utopione w fioletowym cieniu i te ściany cylindra zapadające ku niemu. Nieskończone, coraz dalsze przewieszki, okapy, rysy, żebra, szczeliny, wychylone od pionu i niepojętą siłą utrzymujące nad próżnią miliony ton skały.

Gdzieś w podświadomości rodzi się może cień zwątpienia, jak błyskawice migocą ożywione te wszystkie pytania, które ich tu prowadziły. Lecz nade wszystko radość! To zwycięskie uczucie płynące z pewnością: będą wisieli na linach w tym nieprawdopodobnym otworze! Zdobyli to dla siebie: spotkanie z granicą poznanego świata.

Osiemset metrów ku południowi drugi ciemny owal, Sima Menor - Mała Studnia. Od niej pięćset metrów na zachód plama jasnej gliny w otoczeniu krzaków. Romero ląduje, zawisa pół metra nad gruntem przesiąkniętym wodą. Flores skacze w kałużę i obiega maszynę, próbując podłóża obcasem, daje znaki dłonią, płozy grzęzną w błocie. Silnik nie przestaje pracować. W ciągu kilku minut, w podmuchach wirnika, bagaż zostaje wyrzucony. Nie pada żadne słowo, plan działania do końca dnia dla wszystkich dawno ustalony. Kuczyński odbiega ciągnąc wory. Klęka i filmuje maszynę, już się odrywając od ziemi, i skulone postacie, wskakujące po płozie. Urbaniego przykucniętego w błocie z uniesionym kciukie'm, trawy, podobne do trzciny, kładące się w wichurze. Stalowy kadłub odchodzi ześlizgiem w zagłębienie terenu i za pagórem znika z oczu dwu wysadzonych na Dachy Amazonii ludzi.

### **Campamento Base**

Słabnące echo warkotu tłucze się po głowach, otacza ich świat milczenia i spokoju. Znieruchomiłe rośliny. Upłynie kilkanaście minut, nim usłyszą furkot skrzydeł i skrzeczenie jakichś dużych ptaków, kryjących się przed nimi. Miejsce lądowania otacza wał wysokich krzewów z woskowanymi liśćmi ułożonymi w rozety. Wielkie, białe, pojedyncze kwiaty z różowymi środkami.

Ponad zaroślami dostrzegają na łagodnym zboczu leżącą wyżej nachyloną polanę. rzedzierają się tam, dźwigając bagaże i chlupiąc butami w błocie. Warstwa gliny jest cienka, wychylają się spod niej kamienie i płyty piaskowca. Brodzą w wysokiej, trzciniowatej trawie.



U końca polany, w zakolu kilkumetrowego lasu, dostrzegają kilka podobnych do świeczników wieloramiennych kikutów. Te czarne pnie, o równo obciętych konarach; przypominają im, że nie są pierwszymi ludźmi w tym miejscu. Brewer Carias odleciał, lecz wciąż jeszcze idą jego starymi śladami. Ławka z patyków. Przewrócona. Ogołoczone z roślin placyki pod namioty. Zbutwiała deska z ustawionym na niej rzędkiem puszek po konserwach, pełnych czystej wody. Kuczyński unosi jedną z nich dwoma palcami, denko wylatuje. Rdza obsiadła blachę. Zapuszcza się ścieżką w zarośla, z obu stron są ślady maczety. Ukośnie ścięte gałęzie, blizny poczerńnięte. Odkrywa polankę, niby grotę w lesie. Na wilgotnej ziemi trwa jeszcze zarys namiotu obłożonego kiedyś kamieniami, kołki wystrugane nożem, piecyk do wytwarzania dymu przeciwko komarom: podziurawiona puszka blaszana z przemoczonymi węglami. Na sęku, zapomniany, zwykły miejski wieszak na ubrania, spęczniały od wilgoci.

Wraca.

Urbani pokazuje pień zrąbany siekierą. Przez dwa lata wypuścił zaledwie cztery liście. Tam zaś, gdzie stały namioty, na wygniecionym podłożu ze zbutwiałych liści, gałęzi i trzciny, niewiele co zdołało wykiełkować. To najlepszy dowód, jak ciężkie są tutaj warunki bytowania. Te strumienie wody, nieustannie lejące się z nieba, muszą wypłukiwać i zmywać do szczelin, znosić w dół po ścianach wszelkie odżywcze składniki.

Kuczyński wyjmuje z plecaka radiotelefon, wkręca antenę prętową i o umówionej godzinie poczyną wywoływać Erebato. Robi to bardziej dla doświadczenia niżeli z przekonania. Łączność byłaby zapewne możliwa w szczególnie korzystnych warunkach i dzięki znacznemu wyniesieniu płaskowyzu ponad przeszkody terenu, gdyby nie jedna, potężna przegroda - masyw Jaua. Niepowodzenie nie ma większego znaczenia.

Ustawiają na skrzyni przywieziony w gąbkowej otulinie nadawczo-odbiorczy aparat krótkofalowy, zasilany z dwunastowoltowego akumulatora. Kuczyński znajduje długą tykę, wyciętą dwa lata temu, być może z tym samym przeznaczeniem, i wdrapuje się z nią na okaleczone drzewo. Unosi ją, z przywiązaną do czubka anteną, i mocuje do pionowego konaru. Nim Urbani rozciągnie drut dalej, zmierzy kompasem kierunek na Caracas i zaczepi porcelanowy izolator na sąsiednim drzewie, Kuczyński, w krótkiej chwili bezczynności, rozgląda się dokoła i uświadamia sobie, gdzie się znalazł. Ta myśl

tkwi w nim od pierwszej chwili lądowania. Wpływa na nastrój ciągłego pobudzenia umysłu i ciała. Teraz ją uchwycił. Nie ma wątpliwości: przebywa w innym świecie.

Odkrywa, że prócz tej wyspy na chmurach nic więcej nie istnieje. Dokoła jest tylko niebo. Nad głową, z boków i pod spodem. I jest to obce niebo. Pod takim nigdy nie był. Chwilowo jest oczyszczone z obłoków lub raczej: chemicznie wytrawione. To słowo nasuwa się samo. Bo w niebie Sarisarińamy nie ma nic malarskiego. Żadna farba nie może tych kolorów odtworzyć. Trzeba by na to laboratoryjnego klosza i lampy rtęciowej. Przenikliwe, ostre promieniowanie, w pasmach bardziej fioletu niżeli błękitu. Wyostrzone cienie, surowość konturów. Chłód lampy kwarcowej. Każdy bliski krzak i daleka skała zarysowane w tej poświacie z jednakową precyzją szczegółów, zatopione w najczystszych kryształach.

Z wysokości drzewa widzi fioletową zwierzelinę na skałach, spod niej przegląda miejscami lukrowa różowość. A więc ta gama barw, w jakiej skąpany jest płaskowyż, pochodzi nie tylko z nieba... Dżungla jest w podobnym tonie, zaniebieszczona, grynszpanowa zieleń, liście często granatowe, sine, pnącza o łodygach krwisto-fioletowych.

Nie wie, jak to tłumaczyć. Zna podobne światło z sześć-ciekilometrowych wyżyn, ale tu wysokość zaledwie przekracza 1400 metrów nad poziomem morza. Widocznie nie jest to tak mało, zwłaszcza w połączeniu z wyjątkowym nasyceniem atmosfery parą. A może większe niż gdziekolwiek nasycenie tlenem i małe zapylenie pozwalają przenikać promieniom ze stratosfery?,

Urbani sięga po manierkę z herbatą, gardła mają wyschnięte, nic nie pili od rana. Sączą po kilka łyków. Nigdzie nie znaleźli wody, prócz błotnistych kałuż\* Kuczyński pisze kartkę do Koisara: „Z każdym lotem przysyłaj pełne pojemniki”. Jednakże nie dają się też zwieść zniknięciem obłoków i prawie - upałem. Pamiętają, że roczne opady w tej strefie przekraczają siedem metrów słupa wody. W lutym, wybranym na wyprawę, przypada wprawdzie minimum, lecz oznacza to tylko, że deszcz pada jedynie przez część doby. Biorą się do stawiania namiotu i składają w nim rzeczy, gdy rozlega się warkot silnika. Biegną na lądowisko w cmokającym błocie.

Wyskakują Indianie, Jose Luis i Emilio, z wiązką maczet i siekier zawiniętych w worek. Za nimi poczyna się sypać stos skrzynek, bębnow ładunkowych i plecaków. Kuczyński,

smagany podmuchami pracujących łopat, wspina się na stopień i przez uchylone okienko prosi porucznika Romero, by po starcie poleciał nad Małą Studnię i zatoczył tam koło. Chce wziąć dokładny namiar, gdyż zdjęcie lotnicze nie pozwala z całą pewnością wyznaczyć położenia obozu i mogą być trudności z dotarciem do studni. Oddaje też list do Koisara.

Ledwie ma czas odbiec, maszyna już się unosi i sływa nad wklęśnięcie terenu. Wie od pilotów, że najbezpieczniejszy sposób to nabieranie wysokości nie pionowo, ale z jednoczesnym posuwem. Traci helikopter z oczu na kilkadziesiąt sekund, zanim znów wypłyne nad odległym lasem. Ciemny punkt zatacza dwa koła pozwalając busolom uchwycić azymut.

W obozie jest ich teraz czterech. Kilkoma kursami przenoszą dostarczone bagaże. Jeden po drugim zdejmują koszule. Zachodzące słońce świeci niemal poziomo, żółtym blaskiem sodowego płomienia. Pot sływa po skórze. Maczetnicy swymi długimi nożami poczynają rąbać niskie krzaki i kępy liści przypominających tatarak. Pokrywają grząski grunt grubym materacem. Wznosi się na tym dwa dalsze namioty. Tymczasem Urbani zarzuca płachtę plastikową na obcięte drzewa, naciąga naroża linkami, podiera środek tyką z nadzianym kłębem papieru i stwarza tak półprzejrysty dach o powierzchni szesnastu metrów kwadratowych. Powstaje pod nim kuchnia i magazyn.

O zmroku, gdy słońce zapada już za własny, płaskowyżu horyzont, powraca helikopter z zapalonymi światłami. Wyrzuca Surdela, Dyga i Roberta Herrere. Jest woda w dwudziestolitrowych kanistrach i list od Koisara: „Najdroższa woda, jaką w życiu piłeś. Każdy litr kosztuje litr benzyny. Plus amortyzacja helikoptera i czas pracy załogi”. Odłot, mrugające światełko podobne jest do lampki świetlika.

W zapadających ciemnościach przenoszą rzeczy do obozu. Co tam słyhać na dole? Dyga odpowiada:

- Cóż, pół dnia czekania. Kapaliśmy się nago w rzece.

Zapala się benzynową lampę Colemana. W jej jaskrawym świetle Dyga uruchamia prymusy i gotuje kolację: zupę z torebek, suszone tortellini, kompot truskawkowy i dużo herbaty.

Urbani rozgrzewa radio i o dziewiętnastej poczyną wywoływać:

- Central Caracas! Tu Sierra Victor Eco!

Stolica milczy, lecz ponad zmieszane głosy dobiegające z głośnika, wybijają się słowa:

- S – V - E ! Ciudad Bolivar! Słyszę, macie coś ważnego? Przekażę.

Urbani odpowiada:

- Tu Sarisari, proszę zawiadomić Caracas, że jesteśmy na górze. Wyprawa OCI, Japończycy, jeszcze w Erebatu.

- Odebrałem! - potwierdza operator z Ciudad Bolivar. - Wyłączcie się teraz, bo za dużo rozmów. Akcja ratunkowa w Guatemali. Wczoraj było tam trzęsienie ziemi...

Urbani odkłada mikrofon, lecz pozostawia radio na odbiorze.

- Quidado! Uwaga! - mówi ktoś zmęczonym głosem. - Zaginął helikopter...

- Znaki! - domaga się ktoś drugi.

- Si, si, podaję: zero dwa, zero siedem... odebrałeś?

- Co jeszcze? - rozlega się wezwanie.

- Mówię, chyba stracił drogę. Na pokładzie lekarz i pielęgniarki. Próbujcie go wołać...

Niebo jest czarne i usiane gwiazdami. Emilio i Jose Luis pierwsi wpełzają do swego namiotu. Chłodno, już nie wystarczają koszule. Bzykają komary. Nie ma jeszcze termometrów na górze. Nadmuchuje się materace i rozmieszcza swe rzeczy w namiotach. Kuczyński klęczy na plastikowej, szeleszczącej podłodze, rozwijając śpiwór przy blasku świecy ustawionej na skrzynce z lekami. Rozlega się okrzyk Urbaniego:

- Słuchaj!

Nieruchomieje. Głośnik trzeszczy i szumi, lecz słowa można wyłowić:

- Zero dwa, zero siedem... Rozbity. Uderzył o ziemię, zginęli...

- Przyczyna? - pyta operator.

- Ha dado vuelta - brzmi odpowiedź.

Odwrócił się? Zrobił pętlę? Kuczyński chce wiedzieć, co się stało.

- Ja też nie rozumiem - odpowiada Urbani. Zajmują wspólny namiot. Zasuńawszy suwak, przez kilka minut polują ze świeczką i latarką na komary. Śpią w głębokim spokoju spowijającym płaskowyż. Kilka razy szeleści zewnętrzny dach namiotu, ruszany martwym powiewem. Słyszą u wezglowia tykanie elektrycznego budzika. Raz skrzydełka nocnego motyla, uwięzionego między tropikiem a dachem.

Siódma rano, szóstego lutego. Siadają w śpiworach i pochyleni ku wejściu widzą przez celofanowe okno w przedniej ścianie namiotu znowu czyste niebo. O wschodzie jest ametystowe, podbarwione rozwodnionym różem. Ubierając się, rozmawiają o kłopotach, jakie mogą wyniknąć z braku wody, jeśli pogoda się utrzyma. Tym bardziej że wieczorem może być w bazie już piętnastu ludzi.

Pobudka. O ósmej śniadanie, na stosie jeszcze bezładnie leżących bagaży. Potem podział zadań. Kuczyński pamięta, że z trzydziestu dni, na jakie lotnictwo zapewniło swą pomoc, zostało zaledwie dwadzieścia iosiem. Ani jedna godzina nie może być stracona. Oznacza to, że ekipa powinna nieustannie posuwać się do przodu. Nawet kosztem świadomych zaniedbań w obozie i pewnych niewygód. Nie czekając na przylot ludzi pozostałych jeszcze w Erebatu, wyrusza z Urbanim, by wyszukać drogę do Małej Studni. Emilio i Jose Luis mają na lądowisku wyciąć krzaki w szerokim promieniu, ułatwiając manewry pilotom. Dyga i Herrera chwytają łopaty i kopią studzienki gromadzące wodę. Z lasu położonego na zboczu czysta woda sączy się nieustannie na teren obozu. Lecz tu zabarwia się gliną i studzienki wypełnia żółta zawiesina. Przytaczają beczkę plastikową i czerpią do niej wodę. Wydaje się, że po kilku godzinach mineralny osad opadnie na dno. W ostateczności będzie można jeszcze filtrować przez gazę.

Jest już dziesiąta, kiedy Kuczyński z Urbanim, sprawdziwszy jeszcze raz namiary, zanurzają się w lesie. Co trzydzieści minut mają łączyć się przez radiotelefon z - bazą. Z lekkimi plecakami oraz maczetami w dłoni wchodzi w zarośla ścieżką zaczynającą się w północno-wschodnim zakątku polany.

Zrazu posuwają się szybko, w mokrym i cienistym liściastym kanionie. Lecz po stu metrach przecinka zanika. Przedzierając się w gąszczu, szukają zabliznionych śladów cięć maczetą - tropu, który może zaoszczędzić pracy. Wkrótce dają spokój. Pojmują, że w lesie, inaczej niż na otwartej polanie, zniszczenia zostały zaleczone, a w każdym razie ukryte. Wypatrują więc tylko prześwitów w gęstwinie zgodnych z kierunkiem drogi 4, tam się przebijają. Gdy są wątpliwości, ruszają dwiema drogami.

Kuczyński próbuje marszu ku wschodowi. Grzęźnie po pas w „tataraku”, jak w myśli nazywa roślinę spokrewnioną z ananasem. Wąskie blaszki, długie jak ostrza szabli, łączą się u nasady w wachlarz i tworzą kieszonki pełne wody. Jest zmoczony do pasa.

Nogi więzną nieustannie w rozkisłym podłożu. Lecz drzewa, po dniu i nocy bez deszczu, są suche. Czarna kora łuszczy się i osypuje jak proszek. Cięcia maczetą ukazują czerwone jak rubin rdzenie. Na grubszych konarach orchidee z bulwiastymi kłęczami, z rzadka niepozorny kwiatek. Trochę epifitów, roślin rosnących na drzewach, lecz nie czerpiących ich soków. Odpoczywa. Gdy oddech się ucisza, łowi coraz dalszy chrzęst maczety Urbaniego. Brzęczenie owada, żadnych głosów ptaków. Widzi tuż przed nosem oleiste, owalne liście, łodygę z czerwonymi, wilgotnymi dzwonkami.

Z wolna poczyna rozumieć odmienność tego lasu.. Już wie, skąd to wrażenie jego przyczajenia, uciszonego, skupionego, letargicznego czuwania. To nie ta sama dżungla co na dole, rozpasana, bujna, żywiołowa, hałaśliwa, obfita.

Tu zakonna surowość. Las gęsto splełany, niski, niemal karłowaty. Ciche, utajone życie, melancholijne objęcie się sękatych ramion, nawzajem powczepianych w siebie. Nie po to, by się dławić i wzajemnie obalać, ale podtrzymywać. Razem stawiać opór. Tu, na gołych skałach, pozbawionych gleby, gdzie korzenie mogą tylko pełzać po litym kwarcycie, możliwość przetrwania daje tylko gromada. Przykucnięte stado, splecione pazurami, wiążące własne szczątki, którymi się odżywia. Zlewane potokami wyjąłowanego płynu, trwa w swym półuśpieniu. Kilkusetletnie drzewa są zaledwie tak grube, jak dwudziestolatki w dżungli Erebato.

Kuczyński tkwi przed tym zbiorowiskiem drewnianych istot, w większości nie znanych nawet reszcie świata, i widzi swą bezradność. Brakuje mu wiedzy, pojęć, określeń, terminów, aby to, co widzi, zrozumieć, opisać, a więc złowić i podporządkować sobie. Winien być w tej chwili botanikiem, fizjologiem roślin, by móc rozdzielić, wyodrębnić poszczególne istnienia z tej masy oddychającej gazami, ssącej minerały, wchłaniającej własne, obumarłe kończyny. Nie wie, co tutaj jest kwiatem, co liściem, pękiem lub owocem. Czym które się żywi, od czego pochodzi i jak się rozmnaża: rozsiewa nasiona czy rozrzuca żywe, małe roślinki, czy się rozpełza kłęczami?

Pozostaje odwrócić się tyłem do czegoś tak niepojętego, nie przyjąć do wiadomości takiego istnienia. Zbyt obezwładniające byłoby uznanie takiego zakresu swej własnej niewiedzy. Jeszcze cień nadziei zostaje w fizycznym działaniu, gdy zjawisko wymyka się rozumowi. Siec i rąbać maczetą, rwać, łamać, tratować.

O dwunastej trzydzieści przebijają krzaki i wychylają się z lasu. Stają na brzegu

uskoku, nad dwudziestometrową ścianą, pozbawioną półek, po której trzeba by zjeżdżać na linie. Widzą podchodzący pod stopy przestwór drzew wypełniających zagłębienie terenu. Studni ani śladu. Kuczyński wspina się na drzewo, nic więcej nie dostrzega. Rozwija powiększenie zdjęcia lotniczego i usiłuje porównać je z tym, co ma przed sobą. Dochodzi do wniosku, że trzeba ruszyć bardziej ku wschodowi, by ominąć system zapadlisk i progów.

Schodzi i z małym opóźnieniem nawiązuje łączność z bazą. Otrzymuje wiadomość od Dygi, że przed chwilą pojawił się na niebie Otter. Można stąd wnioskować, że po sprawdzeniu widoczności rozpocznie loty śmigłowiec. Lądowisko już poprawione, obaj maczetnicy przygotowali też dalsze miejsca pod namioty, a obecnie, po zbudowaniu stołu kuchennego, wznoszą stół i ławy w jadalni. Dyga i Herrera urządzą magazyn pod foliowym dachem. Z prawej - pojemniki ze sprzętem, z lewej - żywnościowe. Surdel filmuje prace.

Znów nurkowanie w gąszczu. Nogi wpadają w wilgotne dno lasu. Spod rumowiska zbutwiałych pni, kęp mchu coraz częściej wyglądają skały. Przechodzą po leżącym tramie i odkrywają, stojąc w jego połowie, że pod nimi ziele bezdenne szczelina. Za chwilę, czepiając się konaru, skaczą nad następną. Kładąc się na brzuchu, świecą w głąb latarkami. Widać kopy brunatnego listowia, wbite między ściany, tworzące coraz głębsze balkony. Trzydzieści metrów? W czarnych dziurach promień grzęźnie bez żadnego odbicia. Po ścianach płynie woda. Skaczą przez rozpadliny, nie mając pewności, czy zdoła ich utrzymać kłąb patyków na przeciwnym brzegu.

Las rzędzie, zjawiają się skałki o otwartych ścianach. Z krzykiem zrywa się stadko podobnych do srok ptaków.

Całe są czarne jak smoła. Słońce stoi w zenicie, żar leży na piaskowcach. Po raz pierwszy z bliska Kuczyński widzi tu Brocchinie, rośliny bytujące na skałach z odsłoniętymi korzeniami. Z równym powodzeniem mogłyby trwać zapewne i na płycie stalowej, bez okrusza ziemi. Piramidka korzeni podtrzymuje liście ustawione pionowo i zwinięte w tubę do chwytania kropel. W każdej szklanka wody. Choć rosną w świetle niczym nie przyćmionym, mają barwę piwniczną, białozółte, słomkowe, jakby wymoczone, blade.

O trzynastej Kuczyński opisuje Dydze swoje położenie. Stoi w brunatnym, ciemnym

gąszczu, tak zwartym, iż nie może nawet wziąć zamachu maczetą. Spodnie i koszula są mokre jak szmata, nabite kolcami, pełne nasion. Krwawe pręgi na przedramionach i twarzy. Urbani wlaź na drzewo. Donosi, że nic stamtąd nie widzi. Duszny upał.

W tym położeniu niepewności, trochę zagubienia, gdy nawet odległości pokonanej w dżungli niepodobna zmierzyć, krzepiąco brzmią z głośnika chłodne słowa Dygi o porządkach trwających w magazynie, o przygotowaniach sprzętu, lin, drabinek, haków. Dyga w obozie i Koisar w Erebatu wykonują, jak i poprzednio w Caracas, ową podstawową pracę, bez której musiałoby się rwać działanie wyprawy.

Pół godziny później. Kolejna pustka prześwituje przez krzaki. Tnąc gałęzie zbliżają się do niej. Kuczyński zsuwa plecak z ramion i wspina się po pochyłym drzewie. Gumowe zęby wibramów zdzierają żółte porosty, ślizgają się po korze. Jeszcze niewiele widzi.

- Coś tam jest! - rzuca za siebie.

Urbani wspina się za nim. Pień drga pod zwiększonym ciężarem. Suną do końca konarów, na gałęzie. Zatrzymuje ich dopiero ostrzegawcze trzeszczenie. Coś gnije się i łamie pod butem. Wycierają oczy, mokre, zasypane pokruszoną korą. Uchylają jeszcze jakiś wiecheć, zastaniający im widok, i wreszcie mają to przed sobą: jezioro błękitnej pustki, a za nim przeciwległą krawędź.

Widać tam, pod nawisem lasu, jasne, różowe skały, biegnące półkolem, podcięte jak sznury korzenie. Wzrok opada niżej i tonie w kolistym, fioletowym kraterze, szumiącym jak muszla przyłożona do ucha. Słyszą w nim osobny, niższy szum kaskady, szeleszczące echa. Chcąc zgłębić studnię do dna, patrzą wprost pod nogi, między gałęziami. Przestają oddychać. Pod nimi nic nie ma. Drzewo wychylone poza krawędź wisi nad przepaścią. Trzydzieści pięter pionu.

Rozmowa z bazą. Krótki komunikat o wykonaniu zadania, zapowiedź: „Szukamy miejsca do zjazdu”. Przebijają się wokół studni do jej północnego obrzeża. Znajdują balkon nad przepaścią, pozostałość zrąbanego drzewa. Roztacza się stąd widok niczym już nie przesłaniany. Stumetrowe, przewieszane ściany dzwonu. U dna smolista brama jaskini! Na jej tle smukła palma odcina się jasną rozetą. Urbani wrywa i ciska w dół krewną ananasa. Bromelia leci koziółkując i pryska kroplami z kieszonek. Świst oddala się, długi odstęp ciszy, a potem dziwny dźwięk rozkiszłego uderzenia obija się o mury.

Widzą las na dnie studni, oglądany jakby z samolotu, motyle unoszące się tam nad



drzewami i małe ptaszki śmigające wesoło. Wszystko za mgiełką, zaniebieszczone, utopione w otchłani, w jakimś świetlistym oparze. Nie mogą oderwać się od tego widoku. Jakby im pozwolono zaglądać przez dziurę do podziemnej krainy, do kapsułki czasu żyjącej własnym życiem... - myśl podsuwa określenie, które tyle razy wyśmiali.

Wypatrują ostrogę: stożek lasu i krzewów, który z dna podchodzi do połowy ściany. Nad nim jeszcze szeroki taras z dwiema palmami. Sądzą, że będzie to najłatwiejsza droga zejścia. Chcąc ją zbadać od góry, raz jeszcze okrążają studnię. Wychyleni, znajdują korony palm pod sobą. Sprawdzają, są półki. Postanowienie zapada.

W ciągu czterdziestu pięciu minut wracają do bazy. Piją litry herbaty. Rozminęli się z helikopterem, przywiózł Solickiego, stos bagaży i wodę. Kuczyński ogłasza pogotowie marszowe: z Dyga, Herrera, Solickim zaniósł do studni pierwszy transport sprzętu potrzebnego do przebycia ściany i biwaku na dole. Solicki nabija sprzętem cztery wory, zarazem opowiada zdarzenia w Erebatu. Borrell dostarczył Otterem, w trzech lotach, dalsze dwie tony paliwa. Piloci śmigłowca to klawe chłopaki. Najmłodszy - dwadzieścia dwa lata, najstarszy - dwadzieścia osiem. Dali indiańskiej rodzinie boliwara, by pozwoliła na zdjęcia Polakom. Rodzice, czworo dzieci, gęby wymalowane w magiczne wzory czerwieni. Pies też ma mordę na czerwono. Aż do czternastej nie było warunków do lotu.

Kuczyński poświęca temu drobną część uwagi, dość było upewnić się, że w działaniach tej ostatniej grupy nie ma żadnych zakłóceń. Nie porusza go nawet wiadomość, że Brewer Carias zagarnął następne dwa loty dla swojej ekipy. Nie pyta, jak doszło do tego. Nie ma to wpływu na działania wyprawy. Trwa już marsz do przodu. Zawidzki i Koisar, wprost z helikoptera, będą mogli przesiąść się na linę zjazdową.

O piątej po południu, dwie godziny przed zmrokiem, zarzucają na ramiona plecaki. W bazie jest już chłodno, wieje rześki wiaterek. Lecz wystarczy kilka kroków w głąb lasu, by znaleźć się w dusznym, cieplarnianym upale. Za grupą transportową posuwają się z wolna obaj maczetnicy. Nikłą ścieżkę mają zamienić na drogę. W najbliższych dniach będzie odbywał się po niej szybki ruch ludzi z dużymi ładunkami.

Kuczyński prowadzi wytyczonym szlakiem, jeszcze zbyt wąskim i zawiłym. Wory nieustannie o coś zaczepiają. Ludzie, obciążeni, łamią zbutwiałe tramy i mosty z badyli, wpadają po ramiona. Po drugim dniu suszy już nic tu nie kapie. Głucha cisza, martwota.

Gałęzie, pnie wątłe, łamiące się, kruche, pękające bezgłośnie pod lada dotykiem, zgniłe i zetłate, przy byle kopnięciu wychodzące z ziemi... Ziemi tutaj nie ma! Ten las nie zakorzenił się w żadnym podłożu. Tylko w samym sobie.

Krótki odpoczynek. Solicki odrywa od rękawa wczepiony haczykami pęd jakiejś rośliny. Brudnymi palcami podsuwa pod błyszczący od potu nos botanika - Dygi:

- No, jak się to nazywa? - lekki ton wyzwania słychać w jego głosie.

- Stary... - z odpowiedzią otrzymuje spojrzenie niebieskich oczu, pełne wyrozumiałego współczucia - stary, tu stwierdzono osiemdziesiąt jeden gatunków samych endemitów, nie rosnących nigdzie indziej na świecie. Nie licząc pozostałych sześciuset znanych tylko z płaskowyżów...

Kuczyński słucha i nie powstrzymuje nieco gorzkiego uśmiechu: przecież znów mówią o Brewercie Cariasie... Przecież on to obliczył, sporządził listy gatunków, część z nich sam opisał, nadał nazwy. Nikt lepiej od niego nie zna tego lasu. Wciąż są na jego śladach. Czy warto nadal ukrywać przed sobą, że większość wiedzy o tym płaskowyżu pochodzi od tego człowieka?

Godzinę trwa marsz z ładunkami do drzewa wywieszzonego nad studnią. Niecierpliwie pną się na pochyłe konary. Każdy musi sam przeżyć to spotkanie, zajrzeć w kocioł granatowych cieni. Widzą już noc na dnie, w lesie robi się szaro.

W pospiesznym powrocie zawracają też Emilia i Jose Luisa. Do bazy wiedzie autostrada. Tunel szerokości metra, o dnie wysłanym chodnikiem „tataraku”. Pół kilometra, trzydzieści sześć minut. Mokrzy padają na ławy, kunsztownie uplecione przez macheteros z patyków. Na takich samych stołach buzują prymusy. Surdel tłucze komary.

Niebo wygwieżdżone, przesycone kobaltową poświatą. Zdaje im się, że jeszcze bardziej wzniesli się ku niemu i oddalili od zostawionego na nizinach świata.

Następnego rana, przy bezchmurnej pogodzie, już o 10.45, śmigłowiec wynosi na górę Pawła Zawidzkiego i natychmiast wraca. Na lądowisku samotny Zawidzki zostaje wśród bezładu wyrzuconych z pośpiechem skrzynek, bębnow i kanistrów z rzeczną wodą. Zaledwie spostrzega, że nikt go nie wita. Jeszcze w nim trwa ów lot nad urwiskami - niby senne marzenie, a zarazem coś ja-skrawszego niż jawa. Przeżycie z dziedziny tych dawnych obrazów, na których święci byli żywcem wznoszeni do nieba.

Patrzy z niedowierzaniem na otaczający go półkolem zagon Broechinii, owych tub żółtego kartonu, które wypuściły korzenie, potem zarzuca na plecy swój wór ładunkowy, drugi plecak na ramię, bierze jeszcze paczkę obwiązaną sznurkami i człapie w nie wysychającym błocie na górną polanę. Nie zastaje nikogo w namiotach. Na drągu pośrodku obozu odkrywa kartkę z listem i radiotelefon. „Zakładamy ubezpieczenia w studni. Łączność o godzinie...” Znowu został z tyłu! Nie chce z tym się godzić. Odległość nie jest duża, można by jeszcze dogonić ekipę. Uruchamia radio przed czasem, poczyna niecierpliwie wołać. Doczeka się wreszcie głosu Kuczyńskiego:

- Nad studnią jest już dosyć ludzi. Wieczorem wszyscy wracają do bazy. Trzeba coś dla nich ugotować, na czerpać wody ze studzienek, rozpiąć dach brezentowy nad stołem jadalni. Ciao.

Zawidzki wraca na lądowisko i przez dalszą godzinę dźwiga pięćset kilo bagażu. Lakierowane bębny parzą skórę dłoni. To pozornie zimne, rozcieńczone, błękitne promieniowanie miejscowej gwiazdy, tak inne od ulewy gorącego złota w Erebatu, potrafi jednak rozgrzewać. Wyszukuje w kuchni sproszkowane soki i rozpuszcza w przywiezionej wodzie. Kiedy znów rozlega się warkot, może powitać pilotów naczyniem chłodnego płynu. Wysączają, nie wstając z foteli, i znów odlatują, tym razem już tylko po zapas paliwa. Cały bagaż i ostatni trzej ludzie: geolog Koisar, archeolog Perrera i zoolog Ravelo znaleźli się w bazie.

O szesnastej kolejne połączenie radiowe. Zawidzki znów próbuje:

- Czy możemy dojść do was?

- To nie miałoby celu - słyszy. - Rysiek właśnie dociera do dna i wkrótce kończymy robotę. Przygotujcie obiad. - Trzask rozłączanego aparatu.

Noszą dalej ładunki. Zawidzki, dręczony wyobrażeniem Dygi - pierwszego w otchłani krateru, wylewa swój żal przed Koisarem. Czym jest urządzenie obozu wobec tamtego zadania?! Narzeka na fatum, które obozowym ciurą uczyniło jego, zawsze chcącego znajdować się w przodzie. Sądzi, że przegrywa, jeżeli tak nie jest.

Jednak u Koisara, choć ten jest w podobnym położeniu, nie znajduje zrozumienia.

- Też mentalność, bracie! - dostaje odpowiedź i wykład o niezbędności wyrzeczeń. O jednakowym znaczeniu różnych prac dla wyprawy i równym prawie uczestników do znajdowania się w przodzie.

- Tak jest, stary, masz rację! - Zawidzki się zgadza. - Ja to dobrze rozumiem. Ale nie chcę być w tyle, moja natura się temu sprzeciwia.

Kto wie, czy słuszność nie jest jednak po stronie natury? Wprawdzie społeczność potrzebuje zarówno tych, co umożliwiają działania, jak i tych, co działają, ale... Nie tak. Działają i jedni, i drudzy: zarówno ten dobrze gotujący jedzenie, jak i ten sprawnie wbijający hak w szczelinę. Nie tu leży różnica, ale w tym, być może, iż pierwszy działa na obszarze znanym, zaś drugi wkracza w nowe. Pierwszy nie zna ryzyka, drugi ma świadomość ciągłego zagrożenia. I jeśli zdoła zwycięsko wyjść z niego, ma powód i prawo do kojącego poczucia swej wartości i siły. Tak więc, sama niemożność odbycia tej próby, której się tak szuka, jest czymś, co poniża. Dla tych, co tak czują, ryzyko przesolenia klusek nie jest dostatecznym sprawdzianem.

Podczas tych wydarzeń, o pięćset metrów od bazy, Solicki i Dyga przeprowadzają zjazd na dół. Wycięto platformę w lesie, liny przywiązano do drzewa. Po zimnym poranku, teraz, w suchym upale, wciąga się hełmy na spocone głowy. Zadanie na ten dzień: ubezpieczyć ścianę i rozwiesić do dna drabinki sznurowe. Uznano to za konieczne, by zapewnić zejście do studni wenezuelskim uczestnikom wyprawy, nie obeznanym z wychodzeniem za pomocą jumarów, metalowych zacisków przesuwanych wzdłuż liny.

Pierwszy zjeżdża Solicki, w swym pomarańczowym stroju oplecionym uprzężą z czerwonych taśm gurtowych. Gdy staje na krawędzi, odchylony do tyłu, jest jaskrawą plamą na tle ciemnej otchłani. Kłęb siniego fioletu w najgłębszej części studni tym bardziej gęstnieje, im wyżej wznosi się słońce. Wprost pod Solickim są korony dwu palm rosnących na tarasie. Rozcapierzone, delikatne kity, jak wy strzyżone z zielonej bibuły, drżą blaszkami, chwieją się w powiewie. Mogłoby się wydawać, że wyrosły w tej ścianie tylko po to, by dla swej urody mieć tło jedyne na świecie: głębię, powietrzną przestrzeń aksamitnych, nasyconych granatów, fioletów i różów. Nie one jedne z tego tła korzystają. Z dna zrywa się stadko papużek. Lecą jak garść zielonych klejnotów nad ciemnym atłasem. Wznoszą się, zataczając koła, piszczą radośnie, jakby rozbawione; chwilami podobne do gromady rybek wypływających z głębiny. W tej dżungli, zielonej jak one, nie ma innego miejsca, gdzie mogłyby się wspanialej pokazać.

Za pięć dwunasta, Solicki obciąża linę, wisząc na rolkowym przyrządzie do zjazdu, i

wpada pod nawis. Z trzaskiem łamanych patyków zapada się pod wywieszone za brzeg studni zwały liści, pnączy, suchej trawy, gałęzi butwiejących, świeżych, kolczastych, spróchniałych, zgromadzonych tak obfitym pokładem, jakby las, wszystko, co ma zbędnego, tu właśnie wypychał. Lawina szczątków sypie się na głowę. Zjeżdża pięć metrów z zamkniętymi oczami, na trawiasty balkonik, przyrośnięty do ściany jak huba i mieszczący dwa buty. Tam ściąga do siebie zwijaną drabinę, zwalając na głowę nowy potok śmieci, i wysłała ją dalej, siedemnaście metrów do tarasu z palmami. Potem sam zjeżdża, nie dotknąwszy skały, odchodzi na bok i poczyną wytrzepywać próchno zza kołnierza.

Przekonuje się, że taras jest mocno nachylony ku przepaści, lecz zarazem tak gęsto zarośnięty krzakami, iż można się po nim poruszać bez żadnej obawy spadnięcia. Wzywa do siebie Dygę i obaj przyjmują spuszczone z góry plecaki. Uruchamiają maczetę i przebijają się osiemdziesiąt metrów wzdłuż tarasu, na jego najdalszy cypel, wrastający już w ścianę. Chcą znaleźć tam żeberko, podchodzące stopniami z dna studni, a wypatrzone z przeciwnego brzegu. Zwisając na gałęziach, oglądają skały pod sobą. Żeberko nie istnieje.

Wzywają do pomocy Surdela, który tkwi przy kamerze, w oknie wyciętym właśnie z drugiej strony. Z łatwością mogą się z nim porozumieć okrzykami. Surdel bada wskazany obszar przez lornetę i wspólnie dochodzą do wniosku, że filarek był tylko złudzeniem. To jęzor pnączy wpełzających po szczelinach. Przesuwają się na powrót ku środkowi tarasu i tam, za radą Surdela, zakładają zjazd w sąsiedztwie palmery.

Dalej ruszyć ma Dyga. Dopóki stoi w cieniu palmy, w gąszczu wiszącego ogrodu, może łatwo zapomnieć o tym, gdzie się znalazł. Ale trudno uniknąć spojrzenia za siebie, wzrok sam się tam kieruje, przyciągany raz po raz z magnetyczną siłą. Wyszczерzone przewieszki, nastyrmane okapy, ziejące cieniami i ociekające wilgocią.

Dyga, w pełni świadomy, z czym przyszło mu się zmierzyć, chciałby być pewny człowieka na drugim końcu liny jak samego siebie. Nie zna bliżej Solickiego, w górach nie chodzili razem. Nie mają, jak zgrane zespoły, tego wspólnego, skrótowego języka wzajemnych poleceń, który umożliwia precyzyjne, zgodne i bezpieczne działanie. Nie zna jego nawyków w posługiwaniu się liną, nie wie, czy może polegać na odruchach. To sprawia, że zwyczajny w podobnych chwilach, zaczający wokół serca niepokój jakby się

rozszerza, pęcznieje wewnątrz klatki piersiowej. Dyga poczyną nieznacznie śledzić palce Solickiego, sposób, w jaki liną opasują drzewo, zawiązują węzły, posługują się dodatkowymi pętlami. I przekonuje się, że palce pracują ze spokojem, być może, nieco wymuszonym, co usprawiedliwione, lecz z wyćwiczoną sprawnością, łatwą do odczytania z profesjonalnej niedbałości poruszeń.

Pozbywa się uprzedzeń. Obaj poczynają sprawdzać bez pośpiechu zabezpieczenia na trzech drzewach: lina zjazdowa, lina asekuracyjna, lina do opuszczania drabiny, karabinki, hamulce, odciągi pętlowe, zapobiegające splątaniu się lin, i dodatkowe haki wbite w skałę. W tym czasie Kuczyński pojawia się na stanowisku Surdela. Raz jeszcze przeglądają ścianę. Na lewo od drogi zjazdowej, tam gdzie półkoliste urwisko wchodzi pod okapy dzwonu, dostrzegają, wyraźnie odcięte na zaróżowionych płytach, popielate plamy. Coś, co przypomina bulwy, narośla, może gniazda owadów, choć na te ostatnie wydaje się zbyt duże. Kuczyński wpatruje się uważnie przez lornetę, twory mają kształt rakiet tenisowych, a także ich rozmiary. Zwisają swobodnie rzucając cienie na skałę. Pojmuje na koniec:

- To są plastry z miodem!

- Nie mów! - Surdel nie dowierza.

- Tak... Słuchaj, setki plastrów zwisają z przewieszanej płyty! Wiesz, ile tam miodu? Widać komórki i roje pszczoł latających nad nimi.

Spoglądają po sobie i odgadują bez słowa, co by się tu działo, gdyby złośliwym zrzędzeniem lina zjazdowa została właśnie tam spuszczone.

Obraz studni w szklach lornety odurza jak narkotyk. W soczewkach głębia jest bardziej głęboka, urwiska bardziej strome i wyolbrzymiałe pionym. Na tle głazów, wiszących w pieczarze, jak fioletowe piramidy celujące w dół wierzchołkami - odkrycie. Kaskada! Srebrne pasma pereł w powolnym stumetrowym spadaniu.

Kuczyński zmusza się do podniesienia wzroku, odrywa spojrzenie od studni. Coś jeszcze przecież oprócz niej istnieje! Widzi zalesione grzbiety, a w dali, tam gdzie jest już brzeg płaskowyżu, występującą nad niego rzekę cumulusów. Białosinymi kłębkami kotłują się, rosną, przewalają i suną na zachód, opływając bastion Sarisarińamy. Może się też wydawać, że to z miejsca ruszyła ta samotna skała i pruje ocean obłoków. Lecz powietrze nad nią spoczywa bez drgnienia.

Dyga schodzi z krawędzi tarasu i chce ruszyć na dół, gdy powietrze przeszywa świszczący szum lotu. Coś runęło, spada za jego plecami. Dyga chwytą linę, odwraca głowę i widzi, z drugiej strony przepaści, walące się drzewo, strącone przez maczetników na polecenie Surdela, dla celów filmowych. Leci w zwolnionych obrotach, leniwie, lecz z narastającym hałasem. Sunie rozmazaną smugą na tle ciemnych przewieszek, gubi liście jak ogon komety. Przez mrozącą chwilę Dyga czuje się tak, jakby to on spadał. Czeką, może wbrew świadomej woli, aż uciszy się pod nim łomot, trzask, chrzęst łamiącego się drzewa.

Wyprostowane nogi utrzymują ciało z daleka od ściany. Lina sprężynuje, słychać cienki wizgot sunących po niej rolek. Trzy piętra i półeczka, wąska, lecz w tym zjeździe w nieznane pozwalająca na postój dodający otuchy.

Solicki, czując, że lina asekuracyjna przestaje się wysuwać, blokuje ją sztywno i mówi:

- Dyziu, jesteś na bloku. Co tam?

- Nic! - słyszy. - Teraz rąbię... Sułek! Daj mi trochę luzu!

- Daję luz!

Dyga wciska się za pień drzewa, które jakimś cudem uczepiło się półki. Wydobywa z pochwy umocowanej przy boku maczetę i tnie bujne badyle, na których zawieszałyby się szczeble drabin. Już całą uwagę może zwrócić na swoje zadanie. Współpraca z Solickim biegnie bez zakłóceń. Porozumienie jest pełne.

Gdy opuszcza rękę z maczetą, by chwilę odpocząć, słyszy wołanie Surdela:

- Możesz porąbać jeszcze?

- Mogę! - odpowiada, wyciera twarz ramieniem z zalewającego ją potu. Słońce przygważdża go do rozpalonej skały. Oddycha napływającym z dołu dusznym, roślinnym zapachem.

- Tak żeby coś zleciało na dół! - domaga się reżyser. - Kamera w ruchu, ruszaj się... no, ruszaj!

Gdzieś tam, w głowie Dygi, na skraju uwagi, tli się nieco melancholijne zdziwienie: więc i to można sprzedać... Zdumiewający ci ludzie, gotowi tkwić przed szklanymi pudłami, gapić się na ruchy jego dłoni i takim niesłychanym widokiem zastępować, na te kilka minut, swoje własne życie, zapychać swoją świadomość taką syntetyczną watą.

- Ile masz jeszcze pod sobą? - pyta Solicki, zwisający na pętli z tarasu.

- Wydaje mi się - odpowiada Dyga - że trzydzieści metrów, najwyżej.

W tej samej chwili, z drugiej strony studni, nadbiega też odpowiedź Surdela, który usłyszał pytanie. Krzyczy, rozdzielając słowa, by nie zatarało ich echo:

- Pierwsze - drzewo - trzydzieści - metrów - pod - tobą...

Sucha lina przewija się niemal bez oporu przez rolki umocowane do szelek; trzeba dodatkowo hamować, żeby nie uderzyć o ziemię. Ponadto metal, zbyt rozgrzany tarciem, począłby topić włókna styłonowe. Pion zupełny. Patrząc w dół, między własnymi butami, Dyga się przekonuje, jak pozbawiony szczegółów był obraz dna oglądany z góry. Zielona opona rozpada się na poszczególne liście o różnej barwie i wykroju. Ciemne plamy pod nimi stają się przejrzyste, jak wzierniki w gęstwinę. Dostrzega przez nie omszałe głązy i liście paproci.

Lite płyty kwarcytu uciekają do góry, są tu złocisto-różowe. Miga pozioma szczelina, pełna tłoczących się roślinek. Kwarcyt, w pełnym blasku popołudnia, promieniuje żarem. Suchy, duszny upał wywołuje wrażenie jakby braku tlenu. Chwilami nos, niby zatkany, nie dostarcza powietrza płucom, zmusza do łapczywego oddechu ustami.

Dyga czuje muśnięcie na plecach - to gałąź! Zanurza się w koronie drzewa, przebija dach lasu i opada już w cieniu. Podnóże ściany okryte bluszczami. Staje. Buty toną w wilgotnym miększu, paprocie sięgają od pasa. Cisza i półmrok dokoła. Czeka nieruchomo: może coś się wydarzy, coś wyjdzie mu naprzeciw zza kotar zieleni, aby go upewnić, że naprawdę dotarł do tej studni-zagadki, na dno tajemnicy. Uspokaja oddech, trwa w bezruchu. Zanim włączy radiotelefon wyjęty zza koszuli, nim przystąpi do ściągania drabinek, wpatruje się w nieprzejrzyste listowie.

Wtedy natrętna i zażarta mucha, która przez całe swe życie czekała tu na Dygę, zaprawiona w pijanych lotach między gałęziami i niezdolna już do wyprostowania swych parahtycznych ruchów, wyskakuje z krzaków, i kręcąc zygzaki z rozpędem uderza go w oko.

O zmroku cała ekipa jest w bazie, łącznie z pilotami. Koisar, jak chmura gradowa, gotuje obiad na szesnaście osób. Jednak nie to go wytrąca z równowagi, lecz jak się wyraża: „Totalny bajzel w bazie”. Popsuło mu humor drobne wydarzenie. Był tu sam,



gdy piloci wrócili z Erebato, i na ich pytanie, który namiot mają zająć, nie umiał odpowiedzieć. Zżyma się, że Kuczyński nie zostawił w tej sprawie poleceń.

W istocie, głębszą przyczyną takiego nastroju jest owo uczucie zagubienia, jakiego musi doznawać każdy, kto znalazł się poza głównym nurtem wydarzeń. Dla tych, co zjeżdżali do studni, sprawa przydziału miejsc mogła czekać do wieczora. To, co dla Koisara jest w tej chwili „koszmarnym stosem betów zwalonych na kupę”, dla Solickiego i Dygi jest wynikiem przemyślanej pracy - sprzętem odłożonym do zabrania na dół.

Nim rozlegnie się wezwanie do stołu, Surdel, Urbani i Kuczyński rozstawiają brakujący namiot dla dwu mechaników. Piloci już mieszkają. Przy kolacji, w ogólnym zamieszaniu, brzęku naczyń, mlaskaniu, szumie lampy benzynowej, wzajemnych sprawozdań, oględzinach czerwonego oka Dygi, znajduje się też chwila, by zapytać załogę, co znaczy usłyszane z Guatemali: „ha dado vuelta”, w odniesieniu do helikoptera. Romero krzywi się, jakby połknął cytrynę. Dłoń wyciągniętą nad stołem odwraca w dół grzbietem. Tłumaczy, iż zdarza się to czasem, gdy maszyna weźmie nazbyt ostry wiraż. Jeśli się zbyt szybko przechyli i położy na boku, wówczas wirnik, ustawiony w płaszczyźnie pionowej, przestaje dźwigać ciężar. Śmigłowiec spada jak kamień, zaś pracujące łopaty przewijają się pod spód i poczynają ciągnąć pełną mocą ku ziemi.

Po kolacji do późnego wieczora Kuczyński naradza się w namiocie z Urbanim. Uznają, że dla zyskania na czasie należy podjąć równocześnie wszelkie prace, choćby to było niezgodne z pragnieniami poszczególnych ludzi. Tak więc Solicki z Herrerą dokonają teodolitowych pomiarów studni, zanim ten pierwszy zjedzie na dół z Dyga, kompletującym w tym czasie zielnik. Herrera obejmie wówczas obsługę bazowej stacji meteorologicznej. Zawidzki i Urbani zdejmą profil geologiczny górnej części ściany i dopiero potem dołączą do grupy badającej dno Małej Studni.

W cichym już obozie, pod bezchmurnym niebem, Kuczyński kończy notatki w dzienniku, sporządza spis drobnych spraw i poleceń. Słyszy przez cienkie płótno namiotu chrapanie pilotów wojskowych.

### **Sima Menor**

Na dno Małej Studni zespół dociera ósmego lutego, w dwudziestym drugim dniu

pobytu w Wenezueli oraz pięćdziesiątym siódmym od chwili opuszczenia kraju - według rachuby prowadzonej w dzienniku Bernarda Koisara.

Ostatni zjeżdża Kuczyński, opuściwszy przed sobą Urbaniego, i kiedy sam już uwolni się z liny i poczuje, że nogi grzęzną w butwiejącym pokładzie, podobnie do swych pięciu poprzedników zdejmuje kask i zadziera głowę. Pragnie się przekonać, jak studnia wygląda od dołu. I natychmiast, jak oni, odkrywa nad sobą nieprzejrzyste, liściaste sklepienie. Ledwie się przez nie rysuje jasny krąg, ów wziernik do nieba, które odplynęło na niezmierną wysokość.

Patrzają na swoje twarze, oblane niesamowitą zielenią filtrującą się z góry, i ociekające potem, wydzielanym falami przez rozwarte pory. Powietrze, zgęstniałe wilgocią, klei się do gardła jak syrop. Ravelo próbuje ciąć ścieżkę maczetą; postępują za nim, dźwigając bagaże. Tnie, bierze zamachy, kosi, lawiruje, przecina, stęka, i drogi nie otwiera. Ludzie więzną w gąbczastej tkance. Mchy wchłaniają buty, do ust pchają się paprocie, pnącza, raz rozcięte, wracają zamachem tam, gdzie przedtem wisały. Przydeptane łodygi odnoszą się jak na sprężynie. Czują się jak nurkowie opuszczeni na bujnie rozkrzewioną rafą - w takie wykroty, dziury i kaniony jest ukształtowane podłoże. Zmuszeni są opierać się na czterech odnóżach, pełzać na kolanach, kłaść się na brzuchu i opuszczać nogi. Niewiele więcej przy tym widzą od człowieka, któremu kłęb zielska przytknięto do twarzy.

Panuje co do tego zgoda, że biwak należy założyć w najgłębszym miejscu studni przy ścianie, pod okapem. Spełzają więc w stromym lesie w miarę jak trwa mozolne podawanie nadliczbowych worów, odkrywają pod sobą coraz większe głązy i głębsze szczeliny. Miejscami trzeba się w nich zanurzać, zsuwając jak do lochu, i przepychać zakamarkami jak spleśniałe piwnice cuchnące rozkładem. Widać wówczas nad głową plecionki korzeni jak kraty.

Niepodobna powiedzieć, co w tym lesie żyje, a co jest już martwe. Potężny pień o skórze zielonego jaszczura wali się muśnięty dłonią i zamiast miazdżyć drzewa, rozpada się na kęsy pulchnej i brunatnej waty. Zaś pręt zagradzający drogę, wyschnięty na oko jak słoma, odbija maczetę z siłą stalowego drutu. Palmy i paprocie wplecione w gęstwinę są łatwo dostrzegalnym znakiem pokrewieństwa tego tutaj lasu z dżunglą Erebatu. Zarazem odmienności od tego, co porasta płaskowyż. Drzewa są tu wyższe,

więcej jest owadów. Z pewnością studnia ma swój mikroklimat.

Przepelzają pod kłodą oślizgłą i trędowną od pomarańczowych pleśni, by znaleźć się nad progiem. Sześciometrowa płyta, nieomal pionowa, pozbawiona stopni i pokryta mchami o barwie grynszpanu. Można by ją obejść, ale na to nikt nie ma już siły: cofać się, kłaść się na brzuchu pod kłodą, zataczać łuk, nie wiadomo jak długi...

Ravelo opuszcza się na rękach i wciska w załupę-ko-minek, który płyta tworzy z przypartą do jej boku skałą. Zsuwa się, hamując całym ciałem, zdiera mech i czarną papkę spod niego i zbiera ubraniami. Palce szukające chwytów grzęzną w ciastowatej masie. Staje wreszcie na dole i przerywanym ze zmęczenia głosem prosi o podanie worów. Widząc, jak jest obłożony czarnymi plastrami, pozostali chcą wydobyć linę. Nim ktoś się zabierze do tego, Kuczyński używa innego sposobu:- dwu prostych korzeni zbiegających po płycie. Staje nad nimi okrakiem, chwyta je oburącz i odchylony do tyłu zstępuje do podnóża skały, dotykając jej tylko butami. Nie wszystkich zachęca tym przykładem, część ludzi pozostaje przy pierwszym sposobie, tym bardziej że Ravelo zdał sobą już znaczną część błota. Przy tym każdy jest i tak pokryty papką z soków, grzybów, próchna, nabity haczykami roślin.

Wkrótce stają w miejscu, gdzie gęszcz się przerzedza, w pobliżu środka studni. Przed nimi teren znów zaczyna się wznosić, zaś w lewo i prawo - opada, tworząc rodzaj siodła tym układem. Wybierają kierunek dalszego zejścia na wielkie okapy po północnej stronie. Jednak nie mając pewności, że znajdą tam miejsce odpowiednie na biwak, postanawiają na próżno nie nosić bagaży i zrzucają je z grzbietów. Zawidzki i Kuczyński wbijają się w krzaki już bez obciążenia, pozostali za nimi - w pierwszej chwili jak uskrzydleni, wyrwawszy się spod przygniatających plecaków. Tylko Koisar i Perrera nie dzielają ogólnego zapału. Nie widzą też powodu zbytniego pośpiechu. Wymieniają uszczypliwe uwagi o euforii ogarniającej kolegów i rozsiadają się na papierosa. Jednak, by uczestniczyć we wrażeniach pędzącej naprzód grupy, włączywszy radio i kieszonkowy magnetofon Nagra, odbierają sprawozdanie Kuczyńskiego.

W istocie, najmniej chodzi w tej chwili o znalezienie miejsca na biwak. Po miesiącach oczekiwania i pustych rozważań teraz ma się rozstrzygnąć to, po co przybyli: są jaskinie czy też ich tu nie ma? Mają przed oczami ten jedyny trop - fotografię wykonaną przez Brewera Caria-sa, wycinka ściany z otworem i spływającą zeń wodą. Wiedzą, że

najbliższe minuty wykażą, czy zdjęcie naprawdę stąd pochodzi, czy otwór tu istnieje... A jeśli tak, to czy jest za nim korytarz, do którego nie wszedł - co niepojęte i wprost niezrozumiałe - żaden z ludzi Brewera?

Kuczyński niesie radiotelefon i przekazuje na taśmę swój oddech - odgłos kowalskiego miecha, chrobot drących się kozuchów bluszczu, chrzęst lian rwanych ciężarem tułowia i zmieszane z tym słowa. Brną z Zawidzkim w namokłym poszyciu, wpadają w wilcze doły, przebiegają po pniach, to znów staczają się z głazów lub skaczą - nie wiedząc, czym się skończy lądowanie - na zielone poduchy. Widzą liczne kielki palm pod butami oraz ich wyrośnięte korony i wachlarze, błękitną gąsienicę na liściu z białymi prążkami i drzewiaste paprocie, jak parasole z koronek rozpięte trzy metry nad ziemią.

Wpadają pod prysznic gęstych kropel bębniących po ramionach i głowie. „Jesteśmy pod wodospadem! - idzie w eter zadyszana wiadomość. - Stoimy pod krawędzią okapu!" Wieczny deszcz, padający z zawrotnej wysokości, utworzył polanę. Bicz wody zmywają do czysta kamienie, odrzucają nasiona, zdzierają porosty, młóca kielki, jeśli cokolwiek zdoła tutaj wykiełkować. Błyszczą metalicznie mokre konary drzew, które runęły pod wodospad. Zostały obdarte z kory, a ich drewno polerowane, może i latami, przybrało obłe kształty i kolory odlewów z brązu lub czarnego żeliwa.

Wzdłuż stożka prysznicu mogą wreszcie popatrzeć ku górze. Smuga wody ukazana w niesłychanym skrócie, ginie w fioletowych okapach. Pod ten dach nadwieszony mają teraz wkroczyć. Miliony ton kamienia zwisają gronami wieloboków, tworząc sklepienie zdolne ukryć pod sobą pół piłkarskiego stadionu.

Tu jest też granica lasu. Zaczyna się obszar wiecznej suszy. Przekraczają wał na wiór wyschniętego listowia i wchodzą do skalnej muszli. Tak można by ją nazwać, gdyby nie jej gigantyczne rozmiary. W miejsce zielonej poświaty, ręce i twarze oblewa sinoróżowa, jakby wymieniono szyby reflektorów. Taka jest barwa rozproszonych promieni, odbitych od nagich płyt kwarcytu, wklęsłych jak ekran parabolicznej anteny. Dno ciągle opada, aż do zetknięcia ze ścianą. Zastłane jest brunatnym kurzem. Spod niego wystają głazy, drobny rumosz skalny, być może od tysiącleci nie znający wilgoci.

Siklawy pozostawionej w lesie już nie słyszą. Teraz z dołu, z wnętrza tej olbrzymiej nyży, dobiega pomruk wodospadu. Jeszcze go nie widzą. Kierują się na wypatrzonej w dole blok skalny, podobny do ofiarnego ołtarza ustawionego w tej dzikiej świątyni. Kiedy

stają przy nim, ma już rozmiary piętrowego domu. Na płaskim dachu kilka wątych krzaków. Obchodzą go dokoła, po ruchomych głazach, i wreszcie dostrzegają: smuga białej piany! Jak na fotografii, wypływa z otworu w litej ścianie, spada dziesięć metrów, hucząc i znika wśród kamieni.

Zawidzki nie wytrzyma, ukośną półką wspina się po ścianie na wysokość otworu, trawersuje wokół odpychającego bloku i stawia nogę w łożysku strumienia.

- Jest korytarz! - woła w dół, do Kuczyńskiego, który pod nim opuścił się do stóp kaskady. Nic tam nie znajduje, prócz szczelin w rumowisku wchłaniających wodę. Od razu też pojmuję, że próba posuwania się z biegiem wody strumienia nie daje żadnej nadziei. Żeby się dostać do podskalnych kanałów, drenujących wewnątrz płaskowyzu i odprowadzających wodę poza masyw, trzeba by przekopać może setki ton kamienia.

Zawidzki wchodzi w głąb czarnego chodnika. Posuwa się piętnaście metrów półkami nad łożyskiem bulgocącego potoku, tak długo, dopóki ciemność całkiem nie zgęstnieje. Nie ma z sobą latarki i musi się zatrzymać. Ale już się znalazł na pierwszej linii poznania! Tu gdzie rodzi się wiedza o nowym. Ogląda majaczące przed sobą zarysy z pełnym przekonaniem, że przed nim nikt ich jeszcze nie widział. Czuje, że jeszcze nie dotarł do końca, stoi zwrócony twarzą ku nieznannej przestrzeni, zakrytej mroczną kurtyną. Z łona skał słychać jakieś szmery, wypływa ciemna woda. Stał się pierwszym geologiem--speleologiem na świecie, który kiedykolwiek stanął w grocie kwarcytowej. Teraz już może zawrócić.

Kuczyński posyła przez radio ostatnią wiadomość: „Jest jaskinia!” - i obaj ruszają do porzuconych plecaków. Wdzierają się po zboczu, już uspokojeni. Dokonało się jakby spełnienie. Odpływ rozterek i wahań, chwila uciszenia. Cel wyprawy nie został podważony: obszar nie eksplorowany istnieje.

Spotykają kolegów, zdumionych obecnością jądra suszy w tym kraterze-leju, wchłaniającym wodą. Miejsce jest wymarzone na biwak, bliskość bieżącej wody, sąsiedztwo jaskini, okapy chroniące przed deszczem, suche liście na pośłanie. Zjawiają się Koisar i Perrera, zstępując po wertepach z flegmatycznym spokojem. Przygięci ładunkami, patrzą na powracających z dołu z wyższością i zadowoleniem ze swej własnej rozwagi. Oni nie muszą wracać po plecaki.

A jednak czynią to, bez śladu wahania, gdy się okazuje, że do przeniesienia są

jeszcze nadliczbowe wory. Za ledwie po, upływie kilkunastu minut znów są z Zawidzkim i Kuczyńskim na owej przełęczce w puszczy, blisko środka krateru. Tam rodzi się pomysł, aby z tego miejsca od razu przebić się na drugą stronę i zbadać ścianę południową. Wprowadzają go w życie, dżungla jest tu nieco rzadsza i mniejsze wykroty. Trzydzieści metrów udaje się przejść po pniu leżącym na ziemi, jak po miękkim chodniku. Nie używając maczety rozgarniają liście - pośród nich coraz częstsze palmowe - i wychynawszy z krzaków, stają przed wylotem tunelu.

Ten właśnie korytarz pobudza od dwu lat wyobraźnię speleologów w kilkunastu krajach. Doniesienie brzmiało: „W studni zlokalizowano tunel czy też galerię poziomą, o długości siedemdziesięciu metrów, zamkniętą zawaliskiem bloków”. Koniec. Zdjęcie zrobione przy lampach błyskowych i wzdłuż długiej osi, zniekształciło wymiary, zamieniając tunel we wnękę pod skałą.

Czwórka badaczy wchodzi do otworu. Natychmiast mogą się przekonać, że tunel nie jest wcale poziomy, lecz opada stromo, jak pochylnia schodząca w podziemia. Jest dostatecznie szeroki, by się w nim zmieściły dwa perony metra. Pod łukowym sklepieniem, zdolnym do przeniesienia wielkiego ciężaru, zbiegają po wysuszonym nasypie. Na stromiźnie sterczą z niego głazy niby kazalnice lub progi skoczni narciarskich. Wzrok przyzwyczajają się stopniowo do mroku.

W połowie korytarza Kuczyński skacze z progu, ląduje półtora metra niżej i czuje, że grut ucieka mu spod butów. Nogi zostają wchłonięte do kolan przez ziarnistą masę, która rusza lawiną, wlokąc go za sobą. Walczy o zachowanie równowagi, próbuje wyrwać obcasy. Zatrzymać się nie może, trwa nieubłagane spełzanie z rozpadlinę. Przewraca się i podpira rękami. Ruchomy nasyp wchłania rękę po łokieć. Palce odkrywają gładkie, obtoczone skorupy: to nie są kamienie! Może muszle ślimaków?

Ruch z wolna ustaje, krzepnie szeleszcząca struga. Pochyłe dno jaskini zaścielają zwały pestek palmowych. Wielkości żołądzi, choć bardziej od nich zaokrąglone i baryłkowate, musiały gromadzić się od tysiąclecia. Niektóre kiełkują, dopóki w skorupce starcza pożywienia. Wysuwają listki, jak blade płomyki w półmroku. Tam gdzie ze stropu kapie woda, pędy żyją dłużej. Nim zginą, wyrastają w białą, półmetrową łodygę.

Na dnie odzywa się przenikliwe ćwierkanie, przechodzi w ostre skrzeki. Rozbrzmiewa łopot skrzydeł. Wyjaśnia się zagadka nasion: przyniosły je ptaki guacharo. Ich polska

nazwa brzmi: tłuszczaki. Znane są z wielu jaskiń gorącej Ameryki, szczególnie Indianom, którzy dla wytapiania tłuszczu z grubych piskląt rabują całe kolonie guacharo. Ptaki żyją w wiecznych ciemnościach, nocami żerują w dżungli, łykając oleiste owoce palmowe. Na dzień, objedzone, wracają do podziemi, by w spokoju trawić mięsz nasiąknięty olejkim palmowym. Pestki, nienaruszone, zwracają w postaci wypluwek. Orientację w locie zapewnia im zmysł echolokacji, podobny jak u nietoperzy. Dźwięki, skrzeczące i wysokie, mieszczą się częściowo w paśmie słyszalnym dla człowieka, u jego górnej granicy.

Gdy czterej ludzie zanurzają się w chmurze łopoczących ptaków, zrywających się ze skalnych półek, wypełnia ich uszy burza skrzeków, zgrzytów przenikliwych jak skrobanie ostrzem noża po szybie i terkocących chrobotów.

Czują powiewy na twarzach i muśnięcia skrzydeł na ubraniu. Gdy zwracają się w stronę otworu, widocznego daleko i wysoko za nimi, jak półkolistе okno o zielonej szybie, na jego tle widzą miotające się sylwetki przerażonych ptaków. Jest ich kilkadziesiąt. Po dłuższej chwili ruch ustaje i guacharo wciskają się znów do zakamarków stropu. Z powietrza spływają zgubione kłaczki puchu i szare, pasiaste pióra. Na pokładzie nasion i zeschniętego na proszek guana bieleją skorupki jajek.

Korytarz wydaje się ślepy. U czoła tunelu strop styka się z podłożem. Dopiero gdy oczy na dobre oswoją się z mrokiem, widać, że pozostały szczeliny. Niektóre dość wysokie, by wpuścić człowieka. Kuczyński wpełza do jednej z nich i pod brzuchem wyczuwa kamienie, tu nie wlatują już ptaki. Trafia na zaporę z ostrokrawędzistych głazów, dalej nic nie widzi, tylko ręką rozpoznaje otwory. Wstrzymuje oddech i na twarzy wyczuwa niezwykle słaby, lecz wyraźny powiew. Zachęcony, czołga się do innego otworu. Ruchu powietrza nie odkrywa, ale na twarzy osiada gęsta pajęczyna. Wyciąga stąd wniosek, że okresami także tutaj wieje - pająki rozpinają sieci najchętniej tam, gdzie przepływają strugi zapachów, zwabiających owady.

Zawidzki nie podziela nadziei rozbudzonych w ten sposób, sam nie odkrył przewiewu, a stan zawaliska każe mu wątpić w istnienie dostępnych otworów. Wracają.

Około godziny 17.00 kończy się przenoszenie bagaży na biwak. Wychodzi wówczas na jaw, że jeden z plecaków żywnościowych pozostał na górze. Zawierał tak zwane przez wyprawę - wypełniacze. Makaron, kaszę, płatki ziemniaczane, a ponadto cukier.

Zaalarmowani Solicki i Dyga, jeszcze zajęci nad studnią swoimi pracami, zaczynają szukać i wkrótce podają wiadomość:

- Jest, ukrył się pod liśćmi na stanowisku zjazdowym, w głębokim wykrocie.

To, co najpotrzebniejsze, wkładają w podwójny plastikowy worek i dokonują zrzutu. Wybiera się na to miejsce w pobliżu kaskady spływającej z okapu. Najpierw spada gałąź dla zbadania toru i wokół miejsca jej upadku stają w zaroślach ludzie.

Worek spada z gwizdem, sto metrów, trafia w koronę drzewa i wybucha. Odłamki przeszywają listowie, jakby dreszcz przebiegł krzaki. Zapada cisza i nic już nie spada. Nurkują w poszyciu, na stromych stopniach powleczonych mchami, by cokolwiek znaleźć. Ciężki zapach butwiejących roślin zalega przy ziemi. Koisar odkrywa torebkę soku, wbitą w pęk paproci, potem drugą i trzecią. Kuczyński znajduje trzycentymetrowy, jedyny kawałek kabanosa i na miejscu go zjada. Trafiają na kostki cukru wprasowane w mech, a inne rozbite o kamień, na którym zostawiły białą bliznę uderzenia. Wreszcie odkrywają torbę, z mlekiem i paczkę herbaty. Nic już nie przynosi nawet potrząsanie drzewami ani obserwacja koron.. Zdaje się, że ziemniaki i makaron znikły, nie dolatując do ziemi.

Na płaskim kamieniu ustawiają naczynia i maszyny butanowe. Nim zagotuje się zupa z żółtym serem i mięso w sosie z pomidorów, trwa urządzenie biwaku. Mości się platformy do spania, powyżej kuchni, na wyschniętym stoku. Usuwa się kamienie i nagarnia pod materace brunatne liście pachnące tytoniem.

W górze gaśnie niebo, coraz rzadziej wędrują tam spojrzenia. Oko studni, błękitna źrenica, wydaje się doskonałym kołem. Drzewa rosnące na środku dzwonu, oglądane z dołu, w perspektywie, zdają się niezmiernie wydłużać, wysmuklać i zbiegać ku górze, ku niebieskiemu oknu ponad nimi, wiotkie i utrzymywane, jakby napiętymi nitkami, swoim dążeniem ku tej jaśniejszej plamie.

W czasie posiłku nad głowami kłębią się złowrogo, lecz nie atakują, kolumny drobnych muszek. Surdel opowiada, jak przyniósł wodę. Nie mógł jej nabrać u stóp wodospadu, gdzie rozpryski nie pozwalały się zbliżyć. Musiał, jak uprzednio Zawidzki, wspiąć się półką po ścianie do otworu jaskini.

- Aha! - przypomina sobie jakby od niechcienia, zwracając się do Kuczyńskiego. - Twoja relacja radiowa przejścia studni niestety się nie nagrała. Coś musiało się zaciąć..



## Cueva de la Cascada

O godzinie 19.40 ciemności na dnie są nieprzeniknione. Koisar, Zawidzki, Urbani, Kuczyński wchodzi do jaskini. Nadali jej już nazwę: Cueva de la Cascada, Jaskinia Wodospadu. Niosą na głowach kaski z- latarkami, zapas baterii oraz krótką linę.

Stają w pierwszym, o prostokątnym przekroju, odcinku korytarza. Nie spodziewają się, że ten wiele im powie. Skały są tu zmienione zewnętrznymi wpływami, pokryte czarnofioletową polewą porostów podobnych do twardego laku. Sięga ona tam, dokąd docierają najśłabsze resztki światła słonecznego. Ciekawość zwraca się ku wodzie, temu czynnikowi o podstawowym znaczeniu w speleogenezie. To woda, swym wielorakim działaniem, wydrążyła wapienne jaskinie świata. Jednak nie może się to wprost odnosić i do tego terenu. Wiadomo - bo wykazały to laboratoryjne próby - żadna woda deszczowa, z domieszkami, zaczerpniętymi w naturalny sposób, nie może nadgryźć kwarcytu. Tak więc rola wody w tej jaskini jest niezrozumiała. Można założyć, że korytarz jest dla niej tylko kanałem, korytem, którym spływa.

Światła laterek do dna przenikają nurt, płynący hałaśliwie po drobnych kamieniach. Woda jest czerwona. Na płycznach perli się jak rubinowe wino. W miejscach głębszych ma barwę herbacianą. Nadały ją barwniki roślinne wytlukane z rozkładających się pokładów lasu. Smak nieznacznie cierpki, zaledwie wyczuwalny językiem. Zapachu żadnego.

W nurcie leżą kamienie z lekka obtoczone. W dennych zagłębieniach żwir popychany prądem i ziarna piasku tworzące drobne ławice, pełnzące w dół koryta. Jedno jest więc pewne, woda spełnia tu co najmniej zadania transportowe. Cokolwiek by kruszyło kwarcyt, rozdrobniony materiał wynosi na zewnątrz właśnie woda. Zarówno z chodników jaskini, jak i z samej studni. Inny czynnik transportu jest nie do pomyslenia. Żeby ulotnić się do atmosfery, skała musiałaby przejść w stan gazowy. Gdyby miała spłynąć zamieniona w lawę, jak wytłumaczyć istotę płomienia, który ją roztopił, wydrążył studnię, a potem tunele?

Kuczyński, patrząc na płaskie płyty dna i stropu, na prostopadłe do nich ściany, w świeżej pamięci ma swą poufną rozmowę w Caracas. Taki kształt nadaje się przejściom celowo drążonym w podziemiach. Ale zostają wtedy ślady świdrów albo dłuta. Zaś gdyby posłużono się niewiarygodnie gorącym palnikiem, musiałaby pozostać glazura,

choćby jej ślady.

Do podobnych rozwiązań zniechęca widok dalszej części korytarza. Przybiera on tam wygląd typowy, nieregularnego kanału jaskini, rozwiniętego wzdłuż szczeliny. Ściany są już czyste, bez żadnych nalotów, różowe lub w najdziwaczniejszym połączeniu barw, pomarańczoworóżowe.

Przejście zwęża się, woda wypełnia jego całą szerokość. Nie można jej już prześwietlić latarką, na głębinię stała się ciemna jak kawa. Dalszy pochód możliwy jest tylko butami po jednej, plecami po drugiej ścianie. Gdy staje się szerzej, badacze przechodzą do wspinaczki nad wodą w rozkroku. Lecz gdy ten zmienia się w szpagat, muszą wybrać jedną ze ścian i przyłgnąwszy do niej, przesuwać się wzdłuż nikłych listewek. Wisząc tak, odkrywają, że ciemna toń pod nimi pokryła się, jak kłębamii waty, obfitą, grubości pół metra, delikatną pianą, tak lekką i białą jak wata cukrowa. Nad jej pochodzeniem nikt nie zastanawia się głębiej w tej chwili. Wiadomo, iż potrzebna jest substancja w wodzie, najlepiej organiczna, i jakaś mieszająca siła, która drobiny powietrza zamyka w wodnych balonikach.

Uczepieni skały, kolejno, walczą rozpaczliwie, aby nie spaść do tej balii z mydlinami. Spod grubych butów wykruszają się stopieńki małe jak orzechy, dygoczą palce wbijane do zbyt wąskich szczelin... Zakręt, przewinięcie ciała za filar i na wysokości ramion zjawia się suche dno korytarza. Strumień przebija się dołem, niewidzialną rurą. Powietrze wypełnia głuchy grzmot wodospadu. Kolejny zwrot chodnika i mają go przed sobą. Potok przelewa się po zaokrąglonym progu i spada półtora metra do skalnego moździerza, tam wściekle się kotłuje i wciska z wytworzoną pianą do ukrytego przewodu.

Stoją w niewielkiej sali, otoczeni przez wnęki, filarki, alkowy. Przestrzeń jest rozjaśniona, czyste ściany odbijają światło reflektorów, stwarzając nastrój bezpiecznego zacisza. Kształty skał są obłe, faliste, gładzone, w nich eliptyczne okna jakby wytopione. Ponad studzienką wodospadu - mostek, jak oszlifowany pień wrastający dwoma końcami w litą skałę. W dnie wydrążone misy, niby odciski galaretowatych polipów. W tym wnętrzu uporządkowanym, wymiecionym z kamieni, wśród tych form dużych, płynnie przechodzących w siebie, widnieje pozioma szczelina, półka wcięta w ścianę. Zaś w niej, niby dla żartu, w miniaturowej, wycinek innego krajobrazu: szaleją tam małe

trąby piaskowe, lejki z pyłu porwanego wichurą, cienkie u podstawy, rozszerzające się kielichem ku górze i tak zatrzymane w ruchu. Cały ich zagon podpira swe kamienne niebo. To wszystko w kolorach, najczęstszy jest pomarańczowy w obłąkańczym związku z różem dziecięcego ciała, w tym pasy bieli, jak linie rysowane kredą.

Czterej speleolodzy zdają sobie sprawę, że dane im jest stworzyć pierwszy opis jaskini kwarcytowej. Co prawda w tej chwili nie mogą oprzeć się wrażeniu, że weszli nie do wnętrza pieczary, lecz do rzeźby, że otoczeni są przez wytwór sztuki. Pojmują, iż to, co niegdyś widzieli w muzeach sztuki nowoczesnej i w salach wystawowych, było najdalszym, zniekształconym echem tego, co mają wokół siebie. Tu cała istniejąca przestrzeń jest ukształtowana. Otacza człowieka, stając się wyłącznym światem. Odbiór tego dzieła sztuki nie jest niczym zakłócony, bo tylko ono istnieje. Bezwzględnie doskonale i przedstawiające najwyższą zgodność kształtu z materiałem, a także nieskażoną jednorodność zasad, które je tworzyły. Człowiek, aby to osiągnąć, musiałby utracić świadomość i działać bezwiednie jak siły przyrody. Stać się więc człowiekiem oznaczało, być może, tyle, co pozbawić się zdolności doskonałego tworzenia?

Jaskinię Wodospadu wyrzeźbiła woda. To, co widzą badacze, jest już dostatecznym dowodem. Tylko ruchoma ciecz potrafi nadać takie formy skale. Poszukując dalej, przekraczają misę wodospadu i napotykają jezioro zalewające korytarz, niknące gdzieś w mroku. Strop zbyt nisko zwisa, by pozwolić na wspinaczkę po ścianach. Gdy nie znajdują innego sposobu, nie namyślając się wiele, zdejmują spodnie, koszule i buty. W skarpetkach jedynie wkraczają do wody, brnąc przeciw łagodnemu prądowi, niebawem zanurzeni do pasa.

Korytarz meandruje, widzą rozszerzenie, w nim zaś, w owalnym zakolu ściany, półksiężyc białego piasku. Wychodzą na tę nieznającą słońca plażę, usypaną przy wyższym niegdyś stanie wody. Palcami przesypują drobne, gładkie, półprzezroczyste ziarenka kwarcowe. Będą wymagały mikroskopowego badania, lecz już teraz rysuje się znaczenie odkrycia. Wiadomo, że ten piasek nie mógł być przyniesiony z daleka. Na płaskowyżu nie istnieje „daleko”. W dodatku on cały jest zbudowany z litej skały, nie ma tu luźnych osadów. Nagie twarde bloki, od tysiącleci zmywane przez ulewy. Tak więc znaleziony piasek musiał się tu utworzyć. Na samym płaskowyżu i najpewniej w tej właśnie jaskini. A jeśli tak, to znaczy, że został uwolniony z kwarcytu po jego rozpadzie.

Brną dalej w potoku, sięgającym ramion. Zanurzenie nie jest zbytnio dokuczliwe, gdyż temperatura wysoka. Jak sądzą, osiemnaście stopni Celsjusza. W podłożu zalega piasek. Gdy dno się podnosi, wychodzą do płytkiego strumienia, lecz tu poruszać się można tylko na czworakach. Strop wciąż się obniża, zarazem korytarz stał się tak szeroki, że można by go nazwać salą, gdyby nie to, że człowiek może w nim tylko leżeć. Kuczyński, pełzając na brzuchu, wyrusza na wywiad. Podciąga się na łokciach i kolanach, szoruje gołą skórą po ostrym kamieniu. Stwierdza, że strumień odszedł w prawo, w niedostępne szczeliny więżące promień reflektora. Kieruje się więc w lewo, tam gdzie za głową udaje się precyzyjnie także resztę ciała. Napotyka słupki podpierające płytę stropową lub raczej stwarzające tylko takie wrażenie. W istocie większej siły nie są zdolne przenieść. Pełzając metr za metrem, uświadamia sobie niezwykle rozmiary zawieszonych płyt i przyspiesza ruchy. Mimo woli stara się unikać dotknięcia jej plecami. To się nie udaje, jest coraz ciasniej pod kamienną prasą. Chwilami, przy głębszym oddechu, łopatki przywierają do stropu, zaś żebra wciskają się w podłoże.

Przed spoconym nosem dostrzega poruszenie: ciemna bryłka nie większa od myszy. Kieruje na nią światło, skręcając w bok głowę, kask przeraźliwie chrobocze o sufit. Stwierdza, że to zbłąkany w podziemiu mieszkaniec lasu, wielki szarańczak, krewny konika polnego. Wkrótce odkrywa też inną istotę żyjącą w tej ciemnicy, a nawet niezdolną żyć poza nią. Pod stropem wisi łukiem pojedyncza nić jakby pajęczyny, podwieszona obu końcami. Z niej co kilka milimetrów, tak jak w naszyjniku, zwisają niteczki, każda zakończona perełką przezrystego płynu. Dotyka ich palcem, po to, aby się przekonać, że nie tworzy ich woda. Są lepkie, śluzowate. Wreszcie dostrzega stworzenie, które zbudowało ten łowiecki przyrząd. Po łukowatej nitce przesuwają się mleczne zgrubienie. Patrząc doznaje złudzenia, że to wewnątrz nici, włośskowatym kanałem, rozpychając go, przeciska się krótka gąsienica. Lecz po chwili widzi już półprzezroczystego robaka przylepionego do srebrnego włosa, jak swe workowate ciało skupia, zbiera w kroplę i na przemian wydłuża.

Kuczyński czołga się dalej własnym, nie tak doskonałym sposobem. Trafia na rozlany na płycie naleśnik czerwonego błota, o średnicy i kształcie odwróconego talerza lub spłaszczonego wulkanu o płytkim kraterze. Tuż za nim dociera do rowu, w którym może

usiąść. Rów przechodzi w korytarz, posuwa się nim i prostuje ciało. Czuje mocny przewiew chłodzący mokłą skórę.

Cofa się do wulkanu i wzywa towarzyszy. Bolesne pełzanie szczeliną nie przeszkadza geologom w dokonaniu ważnego odkrycia. Znajdują miejsca, gdzie strop jest jak złuszczony, odstają od niego płyty skały. Udaje się je odłupać dłonią. Spadające plastry, zamiast dźwięczeć jak kwarcyt, stalowo, wydają głucho plaśnięcie. Skała jest zmiękczona, nasiąknięta wodą.

- Zachowuje się jak plastelina...; - zauważa Koisar wciśnięty pod płytę, rozcierając bryłkę palcami. Wniosku ją, że stąd pochodzi piasek widziany poprzednio na podziemnej plaży. Porywa go woda przy wyższych poziomach strumienia, gdy po obfitych opadach wypełnia cały prze krój jaskini. Lecz co zmiękczyło skałę?

Wchodzą do korytarza. Strop wysoko nad głową, ściany odbiegają na boki. Pojawia się też strumień. Idą z jego biegiem, wzdłuż wciętego rowu, po hałdach i usypiskach kamieni, po blokach oderwanych ze stropu, dokoła filarów. Widzą boczne szczeliny, zbyt ciasne, by wejść do nich, bulgocące wodą. Na gzymsach kilkucentymetrowe czarne stalaktyty, na krawędziach kamieni grzybkowate twory z tej samej substancji o krystalicznym przełomie.

- Opal! - stwierdza Urbani. Mijają kolejno dwie sale.

- Może je nazwiemy? - pyta ktoś podniecony odkryciem.

- Tak! - pada odpowiedź. - Imionami Notta i Brewera Cariasa!

Nieustannie przyspieszają kroku, gdyż takie magiczne działanie wywiera nie poznana jaskinia. Wpadają do korytarza biegnącego w dwie strony i w pełni uniesień poznają, że już tutaj byli. W podziemiach zatoczyli koło, są przy wodospadzie. Oceniają długość pokonanej drogi na dwieście pięćdziesiąt metrów. Wciągają ubrania i buty. Po wstępnym rozpoznaniu dalsze badanie jaskini, bez sprzętu pomiarowego, opakowań na próby i kamer, nie miałyby celu.

Gdy stają w otworze, oślepia ich błysk bezgłośnego wybuchu. Na wielkim gładzie naprzeciw Perrera i Ravelo czyhali na ich powrót z aparatem i lampą błyskową.

- Tu będziemy spali! - donoszą, przekrzykując wodospad.

- Jak usniecie w tym ryku? - dziwi się Urbani.

- Za to wężę się tu nie nie dostaną - pociesza się Perrera.

Nadspodziewanie trudne okazuje się nocne zejście ze ściany. Woda leje się strumieniami z odpychających nad przepaść wypukłości skały. Niepodobna uniknąć przyciskania się do nich i moczenia brzucha. Wkrótce staje się jasne, że przezorne zdejmowanie ubrań w jaskini nie przydało się na nic. Jednak nikt nie narzeka. Co więcej, przemoczenie, uczucie zmęczenia w całym ciele, ból pokrwawionych goleni łączą się w osobliwy sposób z tym wewnętrznym stanem zadowolenia i pewności siebie, jaki przenika każdego w chwili dokonania pracy;

Początek nocy spędzają przy ognisku rozpalonym w pobliżu ściany przez Jerzego Surdela. Pościągają wysuszone kłody, płonące jak słoma. Na tyczkach i rusztowaniach z patyków parują spodnie i koszule. Ludzie, rozebrani, popijają herbatę i błędzą spojrzeniami po skałach rozedrganych czerwienią. Słup dymu bije pod okapy. W błyszczących oczach kryje się zdumione pytanie: gdzie ja się znalazłem?

Nie można zaszyć się bardziej na powierzchni Ziemi, niż to uczynili. Osiemset kilometrów dżungli, kilometr urwiska do szczytu, sto metrów w głąb jamy, pięćdziesiąt pod okapy. To jądro kryjówki, matecznik matecznika.

Kuczyńskiemu przychodzi do głowy, że wraz z tymi kilkoma należy do nieodwołalnie ostatniego pokolenia, co tak eksploruje. Dla którego własne ciało jest aparatem służącym poznaniu, sprawnym transporterem dostarczającym w głąb nieznanego terenu ową myślącą maszynę znajdującą się w głowie, wraz z jej czujnikami - wzrokiem, słuchem, dotykiem. W przeciwieństwie do nich, ogół mężczyzn, chodzących na podwyższonych obcasach, w przebraniu dżinsowym, pojmują swe ciała już tylko jako wieszaki do obnoszenia konfekcyjnych plakatów, obwieszczających: nadażam za modą!

Krótko przed północą, siedząc w śpiworze, Kuczyński kończy zapiski w dzienniku. Słyszy szelesty liści powyżej, na zboczu, gdzie wspólne legowisko moszczą sobie Zawidzki z Koisarem. Zbyt jest ciepło, by wejść do śpiwora - uклада się na nim, a przed zaśnięciem patrzy na zygzaki świetlików błędzących pod kamiennym dachem, wiszącym sto metrów nad głową.

W nocy czuje mrówki. Wieczorem widział ich ścieżkę obok materaca, lecz drobne, jak ziarenka maku, wydały mu się nieszkodliwe. W sennym zamroczeniu stwierdza, że się niewiele pomylił. Ostrożne łaskotanie na brzuchu lub szyi nawet go na dobre nie budzi.

Usypia znów głęboko, w łagodnym szumie wodospadu.

O brzasku budzi ekipę hucząca rzeka tryskająca z jaskini. Poranne świsty ptaków ledwo się przebijają przez hałas. Ludzie wstają w ołowianym mroku, z twarzami jakby obsypanymi szarym pyłem. Poznają od razu, co się odmieniło. Wzdłuż linii okapu wiszą sznury wody, jak półokrągła kurtyna. Tam zaś, gdzie jeszcze wczoraj sypały się krople szeleszczącego prysznicy, spada wodna pięść szalejąca po lesie, miażdżąca konary. Zresztą całym okręgiem studni wpada do niej, z metalicznej chmury, hucząca niagara.

Schodząc się na śniadanie, znajdują jeszcze żar w popiołach. Nieco brakuje naczyń, więc puszki po konserwach służą do picia herbaty. Zdumiewa ich trwanie tej kapsułki suszy dokoła biwaku. Dostyc byłoby zatkać sobie uszy, by nic tu nie wiedzieć o szalejącym potopie. Ani kropla nie spływa pochyłym dnem dzwonu. Zamiast rzeki, która już dawno powinna zmyć obóz, nadal suchy kurz wznosi się spod butów. Każda ilość wody jest natychmiast wchłaniana, tam gdzie upadła, jakby dno studni było sitem. Ono jest nim w istocie.

O godzinie dziewiątej zostaje nawiązana radiowa łączność z Solickim i Dyga, którzy na brzeg krateru dotarli „przez selwę jak pulpa” - tak, według ich określenia, nasiąknięta jest płynem. Podobnie jak i oni sami. Do północy ratowali bazę. Donoszą, iż folia plastikowa, kwadrat o sześciometrowym boku, rozłożona w krzakach, w ciągu kilku minut zmieniła się w basen kąpielowy.

Dostają polecenie dołączenia do grupy badającej studnię. Winni zabrać na dół duży zapas jedzenia, sprzęt fotograficzny i własne śpiwory. Solicki przebija się z powrotem do bazy dla uzupełnienia ładunków i tam znów musi walczyć z ulewą, podnosząc podmywany magazyn na rusztowanie z konarów. Wraca po czterech godzinach z maczetnikami Alvisem i Camico, dostarczając plecaki na krawędź.

Zjeżdża z plecakiem na ramionach. Pozostałe cztery zsyła mu kolejno Dyga, zanim sam się opuści na taras z palmami. Teraz dłuższy odcinek. Spod rolek zjazdowych tryskają w twarz siklawy, potoki leją się z palców, uszu, nosa, lina jest żyłą rozpędzonej wody, ściana studni to spieniona fala.

Gdy się to rozgrywa, pozostali członkowie ekipy robią żmudne pomiary i wykreślają plan groty. Gromadzi się też kolekcję fauny i flory z najgłębszych części dzwonu. Korytarz wstępny Jaskini Wodospadu stał się gardzielą wyrzygującą herbacianą rzekę.

Jednak nie na tyle obfitą, by mogła przeszkodzić wejściu do wnętrza korytarzy. Zaś tam, jak się okazuje, wody tylko nieznacznie wezbrały.

W najodleglejszej odnodze, w pobliżu błotnego wulkanu, idąc za tropem wodnego cieką, Kuczyński wciska się w nową szczelinę. Ledwie przepycha ciało między dnem a stropem. Pełza meandrującym rowkiem, spiętrzając piersią wodę. Łyka ją chwilami, musi starać się o to, aby nie zanurzyć nosa. Tuż przed sobą dostrzega kijanki rozmiarów fasoli, ciemno zabarwione, co przyjmuje za dowód, że nie są gatunkiem żyjącym w podziemiach, lecz że one same lub skrzek, lub samica żaby zostały tu z powierzchni splukane.

Po kilkudziesięciu metrach zostaje zatrzymany, niepodobna precyzyjnie dalej nawet głowy przekręconej na bok. Wycofuje się z żalem, gdyż szczelina, choć niska, jest nadal tak szeroka, iż obiecuje połączenie z dostępniejszym kanałem. Próby w innych miejscach również nic nie dają. Możliwości eksploracyjne uznaje za wyczerpane.

Nadal prowadzą pomiary i przenoszą zarysy podziemi na milimetrowy papier. Już pod koniec pracy uwagę Zawidzkiego zatrzymuje zjawisko, które we właściwym czasie stanie się jednym z tych kamyków niezbędnych do złożenia w całość mozaiki spostrzeżeń i postawienia hipotezy. W chwili gdy wisi rozparty między dwoma ścianami wstępnego korytarza, nad wzburzonym strumieniem, jego uwagę zwracają wyraźnie zarysowane na płytach, sino-fioletowe koła.

- Pierścienie Liesegang! - obwieszcza odkrycie, uderzając się po kasku dłonią. Oświetla z bliska skałę: wzór podobny jest do słoików drzewa lub do powiększonych linii papilarnych. Taki właśnie rysunek powstaje zwykle wtedy, gdy do twardej skały przenika inna substancja wtłaczana wielkim ciśnieniem.

### **Cueva de los Guacharos**

Późnym popołudniem deszcz przestaje padać i pękają chmury. Nad studnią przesuwać się strzępy przeraźliwie jasnego błękitu. Przenosi się na biwak wory, dostarczone przez Dygę i Solickiego, brnąc przez kule mchu, spęczniałe wodą jak pęcherze, wśród puszczy parującej jak oranżeria, postrzępionej ulewą.

O dziewiętnastej wyrusza do pracy zespół mający zdjąć plan tunelu nazwanego Jaskinią Guacharos - Cueva de los Guacharos. W zupełnych ciemnościach i w dusznym



upale, Urbani, Dyga, ZaWidzki, Kuczyński i Koisar potrzebują czterdziestu minut dla pokonania dwustumetrowej średnicy krateru. Wikłają się beznadziejnie w wykrotach, linach i korzeniach. Promień światła, więznący w gęstwinie, niczego nie oświetla prócz kropel wiszących, kapiących, sączących się ze srebrnym migotaniem. Jeśli kto żywił obawy co do gryzących owadów, węży, zatrutych kolców, plujących jaszczurek, jadowitych skorpionów, kleszczy, pijawek i cuchnących ropuch, teraz - czołgając się na oślepie, przebijając głową omszałe poduchy, rwąc twarzą zasłony powojów, tarzając się w paprociach tonąc w pełnych zgnilizny dziurach - musi o nich zapomnieć. Choćby po to, by uniknąć rozstroju nerwowego. Stanąwszy przed bramą podziemi zdejmują koszule i wytrzepują, co się w nich zebrało, wytrząsają włosy. Patrząc wzwyż skalnej ściany spostrzegają, że odeszły chmury, niebo jest ręcione, a księżyc, gdzieś schowany, zlewa w dół smugi światła. W tym dziwacznym świecie rozlegają się jak wymyślenia czarownic dzikie skrzeki tłuszczaków.

W nozdrza ludzi uderza fala ozonu, w cuchnącym, zatykającym oddech stężeniu. Nie wiedzą, skąd pochodzi. Zastanawiają się chwilę, czy to nie ozon właśnie był tym, tak wyśmianym gazem, który w Wielkiej Studni odbierał siły towarzyszom Davida Notta. Istotnie, wchłaniany w większych ilościach i przez dłuższy czas, może być szkodliwy.

Zaczyna się pomiary, a przez cały czas ich trwania guacharos nie opuszczają tunelu. Miotają się pod stropem, zamiast wyruszyć jak co nocy do dalekich lub raczej niskich żerowisk u stóp płaskowyżu. Zapewne je wstrzymuje obawa o los piskląt ukrytych w zagłębieniach stropu. Latając, wydają dźwięki dwu rodzajów: skrzeczenie, przechodzące w terkot o wysokiej częstotliwości - dźwięk sonaru, oraz wrzaskliwe i wysokie krzyki. W największym zamieszaniu, wśród powiewu skrzydeł, Ryszard Dyga zbiera do próbek owady żyjące w pokładzie nasion wymieszanych z guanem. Można przyjąć, bez większego ryzyka omyłki, że to endemiczne gatunki - gdzie indziej nie znane. Od setek tysięcy lat grot nie ma połączenia z innymi jaskiniami w tym obszarze.

Długość korytarza ma 160, największa szerokość - 50, zaś różnica poziomów - 70 metrów. Dotarłszy do dna, Kuczyński odszukuje rozpadlinę z przewiewem. Obserwuje parę unoszącą się w promieniu latarki. Widząc, że obłoczki wsiąkają w stromą szczelinę, wiąże krótką linę do występu skały, opuszcza się w głąb i wzywa do siebie Koisara. Ląduje w ciasnej przestrzeni, wciśniętej między strop tunelu a zawalisko, i widzi kolejną

dziurę. Koisar schodzi ubezpieczony z góry. Z dna woła, że jest dalsze przejście, poziome. Paweł Zawidzki dociera do niego.

Cichnie chrobot kamieni. Po trzydziestu minutach dzwoniącej w uszach ciszy Kuczyński słyszy ich głosy:

- Stary, wiadomość za dziesięć punktowi
- Ciasno, pełzanie, ale dotarliśmy do studni przebijającej już nie zawalisko, ale litą skałę! Kamienie spadają przynajmniej dwanaście metrów, w dole słychać wodę!

Powracają tam rano, dziesiątego lutego, i zsuwają się nowo znaną drogą, wlokąc plecak z linami. Zawalisko jest świeże, straszliwie potrzaskany kamień. Może się wydawać, że kataklizm skończył się w tej chwili, a zmiążdżone skały nie zdążyły na dobre znieruchomieć. Odłupane jak wafle, łamią się, szczękają i trąc - sypią iskrami. Są rozszczepione na igły, kolce, drzazgi, metalicznie chrobocą. Ustępują spod nogi, kołyszą się, zsuwają. Nad głową wiszą szafy - dziesięcotonowe graniasto-słupy, półoddzielone od stropu.

W dole słychać daleki ciurkot wody. Nad otworem studni zwisa wał luźnych kamieni. Podejmuje się prace, aby je usunąć. Gdy już nic nie grozi spadnięciem na głowę, zjeżdża Zawidzki. Ubezpieczony drugą liną, zawisa po drodze i oczyszcza półki z rumoszu. Na dnie, schowany pod okapem, czeka na zjazd Solickiego, po czym przez godzinę prowadzą dalsze rozpoznanie.

- Jest przejście! - donoszą na górę. - Zawiła nora pod luźnymi głazami, zacisk, a dalej korytarz...

Dołącza do nich Dyga ze sprzętem pomiarowym i racją żywnościową.

- Ruszamy naprzód! - żegna zostających kolegów. Na powrót tej grupy Kuczyński z Koisarem czekają pięć godzin. W tym czasie towarzyszący im Franco Urbani wychodzi na powierzchnię, aby zgodnie z planem odprowadzić do drabin Odoarda Ravela i Miguela Angela Perrere. Wracają już do bazy z kolekcją botaniczną oraz częścią zbiorów zoologicznych: owadów, żab i jaszczurek. Płynące w oczekiwaniu godziny skraca się gryzieniem herbatników i snuciem coraz śmielszych domysłów co do przebiegu wydarzeń. Dopuszcza się możliwość wyjścia zwiadu na światło dzienne w kanionie obserwowanym ze śmigłowca, w odległości dwustu metrów na południowy zachód od Małej Studni i równie jak ona głębokim. Zaś na wypadek przeniknięcia do

systemu galerii i komór omawia się taktykę dalszych badań. Wreszcie, gdy oczekiwanie nadmiernie się przedłuża - sposoby działania w razie niepojawienia się nikogo po upływie terminu alarmowego. Zwłaszcza prawdopodobne wydaje się uwięzienie po drugiej stronie zawału, do czego wystarczyłoby obsunięcie się jednej płyty kwarcytu.

O godzinie szesnastej ze studni dociera chrzęst kroków. Trzy światła błyskają na dnie mroku.

- Cały czas czołganie... - tak brzmią pierwsze słowa. Prostują obolałe grzbiety.  
- Wyciągać kamienie - polecają, przywiązując do liny plecak z próbami geologicznymi. Nietrudno pojąć, co kryją te pozbawione zapału okrzyki. Również za każdym zdaniem sprawozdania, przekazywanego skalną rurą, czai się rozczarowanie.

Wprawdzie jest jaskinia, prawie pół kilometra chodników, lecz rozwinięta na płaskiej szczelinie. Charakter ma podobny do Jaskini Wodospadu, ale jest już martwa, sucha, w późniejszej fazie rozwoju. Cieki wodne przeniosły się na niższe piętro. Idąc na kolanach, odkrywali wypłukane baseny i biały piaseczek, a także nacieki opałowe i krystalizacje podobne do śniegu. Dotarli do końcowej sali o rozmiarach 20 na 16 metrów, jedyne miejsce, gdzie można było stanąć. Próbowali wciskać się do najciaśniejszych szczelin, wiodących na dolne poziomy korytarzy, do czarnych pustek, z których wiało chłodem. Słyszeli już wodę, duży potok płynący kilka metrów pod nimi. Zawidzki wciskał do otworu nogę, lecz prócz buta nic więcej się tam nie mieściło. Musieli się wycofać, mierząc i rysując.

Słuchając, Kuczyński zauważa w duchu, że jeszcze dwa miesiące temu, samo to sprawozdanie wydawałoby się dostateczną zapłatą za cały wysiłek wyprawy. Jednak zmieniły się odczucia, zwłaszcza po odkryciu Jaskini Wodospadu. Nadzieje są rozbudzone i wzrosły oczekiwania, odkąd zdobyto niemal pewność istnienia rozległych pustek we wnętrzu masywu.

- Jednego nikt nam nie odbierze - stwierdza Paweł

Zawidzki, już jaśniejszym tonem, gdy wyszedłszy ze studni wymotuje się z liny - byliśmy pierwsi w tych dziurach. I mamy dowody, że nie są to zwykłe tektoniczne spękania.

- Zaraz, zaraz... - pyta go Koisar - jak byliście głębo?

Dowiaduje się, że końcowa sala leży 248 metrów poniżej powierzchni płaskowyzu.

- W takim razie - mówi - jak najszybciej trzeba się przenieść do Wielkiej Studni, jej dno

jest prawie o sto metrów niżej! Dopiero tam będzie wejście do tych niższych pięter systemu...

- Do diabła! - wtrąca ktoś inny, tknięty nagłym przypomnieniem. - Jeśli oni...

Ma na myśli Brewera Cariasa, którego niemal już wypchnęli z głowy. Bo jeśli on znalazł w Wielkiej Studni to, czego wyprawa dopiero chce szukać.;

- Trzeba spytać pilotów, co wykosili Japończycy - podsuwa Ryszard Dyga.

Próbują tłumić najgorsze przypuszczenia. Czyż nie można założyć, że tamci przybyli tu powtórnie dlatego, że o czymś wiedzieli, o czymś, co zlekceważyli przed dwoma laty, nie zdając sobie sprawy, czym są w tym terenie jaskinie?

Mimo niecierpliwości, potrzebują jeszcze całej godziny, by dotrzeć do otworu. Następną zajmuje pochód do biwaku. Kuczyński łączy się z bazą. Prosi Roberta Herrere, by wypytał załogę. Niewiele umieją powiedzieć, jak się okazuje. Odwieźli już grupę japońską do Cacuri, skąd ją odbierze samolot. Podobno szczęśliwi.

- Cinco mil metros! Pięć tysięcy metrów!

Głucha cisza zapada na biwaku, gdy z głośnika dochodzą te słowa. Carajo! Więc jednak to zrobili...

- Czego? - pyta Kuczyński.

- Taśmy! - wyjaśnia Herrera. - Tyle nakręcili. Wyszli na jumarach, bez pomocy drabin. Piloci nic więcej nie wiedzą. Nie ma więc innego sposobu jak tylko sprawdzić samemu. Spojrzenia podnoszą się za kolumną dymu z ogniska, jakby tych kilku chciało się przekonać, czy do Wielkiej Studni nie przeniosły ich same pragnienia. Nie byłiby zdziwieni. Od tygodnia są w nierzeczywistym świecie.

Surdel rozstawia na płaskim kamieniu trzy olbrzymie menażki mięsa z makaronem i pomidorami. Rzucają się na nie brudni, z odorem ptasiego guana w ubraniach, z czarnymi rękami. Piją litry wody zabarwionej sokiem.

- I czemu on udawał, że nie umie gotować... - mruczy Koisar z pełnymi ustami. Jerzy Surdel, aby zmienić temat, z ożywieniem wspomina, że przy wodospadzie widział czterdziestocentymetrowego zielonego węża.

Myją się i piorą wśród rozprysków wody, zaś Koisar i Dyga odważają się na nocną kąpiel w wodospadzie. Koisar rezygnuje w połowie. Namydłony, przerywa wspinaczkę i cofa się ze ściany.

- Nie odpowiada mi - mówi - skakanie nago po półce bez chwytów, można się gdzieś zwalić.

Solicki operuje nogę Urbaniego, spuchnięty, obolały paluch, ropne zapalenie z brudu. Rozcina skalpelem, czyści ranę, smaruje oxycortem, bandażuje i posyła Urbaniego do śpiwora. Polacy siedzą jeszcze przy ognisku Wśród głazów. Śpiewają o Janosiku i piosenki słowackich górali. Palą kłody lekkie jak wata, chociaż grube. Dziurawe niby gąbka i wysuszone na papier. W migocącym blasku piszą „kapowniki”, tak Dyga z Koisarem nazywają dzienniczki uczestników.

Wieczorny powrót na biwak jest nie tylko powrotem do domu-schronienia, jakim jest ognisko, lecz także przejściem do innego wymiaru - małego. Do spraw ciała, obolałej stopy, stłuczonego kolana, do leniwego sennego znużenia.

W tym czasie cichnie głowa, dotąd pulsująca myślami. Zmęczeni zaś ludzie doznają uczucia, że dzień przeżyli w wyższej, niefizycznej przestrzeni. Wytężone działania ciała odbywały się nieomal poza ich wiedzą. Świadomi byli tylko czynności kory mózgowej, jakby razem z nią unosili się w jakimś uduchowionym wymiarze, krainie myślenia, gdzie nie ma nic materialnego, gdzie świat jest tylko przekazem i wyobrażeniem. Informacyjną lawiną, którą trzeba przerabiać, oceniać, porównywać, przyjmować, odrzucać i wykorzystywać.

Teraz to z nich opada, staje się wspomnieniem, jakby wygaszano obwody w żywym komputerze. Duch usypia lub raczej zstępuje do ciała i po brudzie pod paznokciami poznaje, że i ciało tam było.

Czwarta doba pobytu na dnie przynosi drobne wydarzenie, które pozwala wreszcie zamknąć ciąg spostrzeżeń i postawić spójną hipotezę tworzenia się jaskiń w kwarcytocznych piaskowcach Roraimy.

Jak każdego rana, ludzie budząc się patrzą w fioletowe okapy wiszące sto metrów nad nimi. Nieco zwlekają ze wstawaniem, gdyż dzień jest poświęcony pracom geodezyjnym i geologicznym na obwodzie studni - niezbędnym, żmudnym i obowiązkowym. Bardziej niż to ciekawia ich w tej chwili korzenie zwisające z przewieszonych dachów. Brunatne, niektóre trzydziestometrowe, podobne do sznurów napiętych swoim własnym ciężarem, zapewne nigdy nie osiągną ziemi. A nawet gdyby się to stało i ta niebывała

napowietrzna odległość została pokonana, trafiłyby na miejsce pozbawione choćby kropli wody. Drzewo, rosnące gdzieś tam, w górze, pod deszczami, musiałyby nadal odżywiać i pić swój korzeń w tym odwróconym porządku natury.

Z kępy zielska uczeplonego wśród przewieszek, spływa na biwak kolorowe pióro. Coś się tam szamoce, słychać ochryple skrzeczenie, na koniec z łopotem zrywają się dwie papugi. Wielkie jak bażanty ptaki, z długimi ogonami, w Wenezueli zwane guacamaya, po łacinie: ara. Do tej chwili to największe zwierzęta spostrzeżone we wnętrzu krateru. O godzinie dziesiątej ekipa jest rozproszona dokoła ścian dzwonu. Jerzy Surdel filmuje w smudze słońca ogródek roślin o zjadliwej, grynszpanowej zieleni. Solicki fografuje skały o dziobatej fakturze, jakby wypalanej żącymi kwasami. Słychać stukania młotków geologów i nawoływania grupy ciągnącej taśmą mierniczą przez krzaki. Chrząszczą pod nogami zwały zeschniętych pnączy spiętrzonych pod ścianami w stogi wielkości stodoły. W tej chwili echo roznosi wezwanie Zawidzkiego.

Skupiają się przy nim. Wskazuje na cienką szczeliną biegnącą poziomo w litej ścianie. Wzdłuż niej, jako osi, ciągną się z obu stron tęczowe pasy. Przy szczelinie biały, za nim są kremowe, dalej jasnorude, potem ceglaste i na koniec różowe.

- Uważajcie, panowie - mówi Zawidzki - twardość też się zmienia.

Podnosi młotek i uderza w różowy piaskowiec. Młotek odskakuje jak od bloku stali, z dźwiękiem już dobrze im znanym: to ten szklisty, twardy, na wszystko odporny kwarcyt, budulec masywu.

- A teraz, patrzcie!

Młotek spada bliżej szczeliny, na ceglastă smugę, i nie odskakuje! Z głuchym, tęnym odgłosem odciska ślad w skale. Zawidzki go odrzuca, otwiera scyzoryk i nie zostawiając towarzyszom wyprawy ani chwili na namysł, wbija go z kolei w smugę jasnorudą. Ostrze zagłębia się bez widocznego oporu. Niżej warstwa kremowa, pociągnięcie noża wysypuje z niej piasek. Wreszcie, przy samej szczelinie, pasek śnieżnobiały. Nie potrzeba już noża. Zawidzki wbija goły palec, wydłubuje bryłkę i rozmazuje na dłoni tak, jak tłusty puder.

- Podobne do talku - zauważa Koisar.

- Wygląda mi na pyrofillit - uzupełnia Urbani.

Wszystkim przychodzą na myśl podobne zjawiska widziane już w Jaskiniach

Wodospadu i Guacharos, choć rozwinięte są tam w nie tak pełnym przekroju. Był i ceglasty piaskowiec, pozwalający się zgniatać niby plastelina, białe żyły w ścianach, ławice sypkiego piasku. Pojmując coraz pełniej znaczenie odkrycia, powtarzają próby. Kawałki wycięte z kolorowych pasów bada się pod lupą. Przynosi to stwierdzenie, że w całym przekroju występuje ten kwarcowy piasek, zmienia się tylko jego spoiwo. Na pamięć przychodzi jeszcze inne odkrycie: pierścieni Lieseganga, będących dowodem przenikania do skały iakiegoś roztworu, i ma to takie samo znaczenie, jak znalezienie odcisków palców sprawcy tego wszystkiego. Teraz, gdy nawet niegeologom poczyna się wydawać, że rozumieją, co się tutaj działo, pada nazwa owego tajemniczego czynnika, wytopionego przez speleo-detektywów: roztwory hydrotermalne.

Wypchnięte z głębokich warstw skorupy ziemskiej, na skutek działalności wulkanicznej, musiały być wtłaczane pod ogromnym ciśnieniem do pęknięć masywu, w owych dawnych czasach, gdy nie istniały jeszcze płaskowyże, a kontynent pokrywała rozległa skorupa różowych kwarcytów. Te gorące, wulkaniczne wody z roztworami mineralnymi rozpuściły spoiwo, uwalniając zlepiony nim piasek. Z czasem zamknęły się kanały i ustał dopływ roztworów. Ale w zdrowej skale pozostały na zawsze już żyły zniszczenia. Teraz mógł zacząć się etap działania chłodnych wód deszczowych. Te atakowały skałę od przeciwnej strony, spływając do pęknięć tylko siłą ciężenia, nasączały rozluźniony piasek i, ziarno za ziarnem, poczynały wynosić go ze szczelin. Tak powstawały jaskinie.

Trwają ożywione rozmowy, choć panuje zgoda co do takiego właśnie przedstawienia procesu. Podkreśla się szczegóły wymagające jeszcze wyjaśnienia i wiele się odkłada do laboratoryjnych badań. On sam, co prawda, już nie wydaje się dziwny ani tajemniczy. Nieubłaganie nadchodzi ta chwila, odkąd zwycięstwo nieuchronnie staje się rozczarowaniem. Po długim oporze coś przestało się bronić, odstaniając nie przeczuwaną prostotę. Odtąd niewiele już trzeba, by zaświtało ożywcze i skromne podejrzenie, iż wielkość dokonania tylko w tym się zawiera, że w studni znaleźli się właściwie poinformowani ludzie.

Późny wieczór spędzają w Jaskini Wodospadu. Raz jeszcze robią zdjęcia piaskowcowych rzeźb, herbacianej wody, kozuchów śnieżnobiałej piany. Chodzą po mostkach, patrzą w wodospady, wreszcie biorą się do prania białym jaskiem spodni i

koszul. To już pożegnanie z jaskinią, ostatnia, podświadoma próba utrwalenia własności odkrycia, umocnienia swej wyłącznej zasługi w stworzeniu jaskini dla cywilizowanego świata.

Pod stropem tłucze się pojedynczy guacharo. Wspinaj się do widocznej tam nyży i znajdują gniazdo, uklepany z wilgotnej, czarnej masy, owalny pagórek z wgłębieniem.

Dzień wyjścia ze studni nie jest tak udany, choć na dno wpada snop promieni słonecznych. Wszystko nagle jakby przestało się kleić. Jakby wyczerpała się w ludziach zdolność sprawnego działania. Usiłują spakować rzeczy porozkładane dokoła biwaku. Wydają się, że jest ich zbyt dużo, półwypełnione worki mylą się z pustymi, przedmiotów nie ubywa.

Kuczyński, chcąc uporządkować pracę, zaleca wynoszenie spakowanych plecaków na ścieżkę poza obóz. Wytrąca tym z równowagi poczucie porządku Koisara, który określa metodę jako bałaganiarską. Według niego - jak ze wzburzeniem tłumaczy - jeśli się bierze wór, to się go niesie do końca, pod drabiny albo na przełączkę w środku studni, a nie rozkłada po lesie.

Chwilę potem Roberto Herrera opuszcza z okapów linkę z uwiązany kamieniem, celem dokładnego zmierzenia głębokości studni. Sto trzysta metrów, odczytu 2 na górze i wynik podaje przez radiotelefon. Ekipa na dole winna teraz umieścić punkt pomiaru na planie dni studni. Niezbędna jest więc busola dla zdjęcia azymutów. Wychodzi wówczas na jaw, że nikt nie pamiętał, by je przygotować. Koisar nie omieszkuję wygłosić uwag o tym, jak nie znosi braku odpowiedzialności i stałego improwizowania.

- Raz zapominacie kątomierza, teraz znów nie wia domo, kto miał przygotować busolę! A co zrobili wczorajsi mierniczy? Cholera może wziąć człowieka...

Gdy przypominają sobie, że busola została już zapakowana, lecz nie wiadomo dokładnie, gdzie leży zawierający ją worek, Koisar złowieszczo dodaje:

- Oto macie waszą technikę noszenia plecaków byle jak i byle gdzie! - i rusza ze swym ładunkiem, by go od nieść do drabin.

Przejście studni ze znacznym ciężarem, po dzikich wertepach, nie wpływa na uspokojenie nastrojów. Ogromny wysiłek, kilkudniowe znużenie wilgotnym upałem, niewyspanie, powodują czysto fizjologiczne przyczyny rozdrażnienia i zmniejszają



zdolność do współpracy.

U stóp drabin Koisar spotyka się z Zawidzkim, który poszukuje busoli w dostarczonych już tutaj plecakach, i ciągnie swą przemowę:

- Chętnie bym cisnął taki zespół! - mówi. -- Zaczy na się entuzjastycznie każdą sprawę, ale już nie do końca, bo po co? Przyjdzie jakiś ciul, to dokończy, a my, dzielni, do nowych czynów.

Zawidzki, biorąc to do siebie, przestaje się odzywać do Koisara. W milczeniu kryje swe wzburzenie i rusza ze znaną busolą na biwak. Milczącym świadkiem sceny jest także Ryszard Dyga. Mogłoby się wydawać, że nie uczestniczy w tych nastrojach. Lecz naprawdę swój udział wniósł już poprzedniego wieczoru, podczas przyrządzania zupy. Urażony czyjąś niewinną uwagą, ze złością porzucił gotowanie.

- Gdybym ja tak robił - usłyszał od Koisara nie po zbawioną słuszności i melancholijną uwagą, - to co drugi dzień byłibyście bez żarcia.

Studzi co nieco nastroje pomysł Jerzego Surdela, by sfilmować kąpiących się pod stumetrowym prysznicem. Reżyser wpędza pod kaskadę nagich Koisara i Dygę, w chwili gdy pada tam smuga promieni, rozjaśniając zbrązowiałe ciała. Na tle ciemnej zieleni i brunatnych głazów lśniących mokrą glazurą, komponuje filmowy obraz pełen miękkości, nasyconych kolorów, romantycznej mgiełki z rozpylonych kropel, sypiących się diamentową smugą. Już tylko Tadeusz Solicki pozostaje na opustoszałym biwaku. Wciąż siedzi na swym materacu pośród rozłożonych filmów, kaset, żarówek, statywów. Przekłada je i pakuje, oznacza, zapada w zamyślenie, znów wypakowuje, zmienia, zapada w trans jakiś, wyłączający go ze świata.

Kuczyński to widzi, zjawiając się w pobliżu w ciągu mijających godzin, lecz nie próbuje wpłynąć na najmniejszą zmianę. Też coś w niego wstępuje, coś się w nim zacina i ilekroć tu wraca, znajduje ciemne zadowolenie w stwierdzeniu, że nic się nie zmieniło. Że upłynęły dwie, trzy, cztery godziny, worki przeniesione, a Solicki, zapomniawszy o całej wyprawie, rozwija papierki, patrzy na okapy, pogwizduje pod nosem, beztroski, wyłączony, wolny od obowiązków i nie podlegający upływowi czasu.

Kuczyński wie, że powinien przerwać mu to letargiczne trwanie, lecz znów go tak zostawia, sam idzie z kolejnym plecakiem, jakby z mściwym zamiarem, by ta niesłychana wina Solickiego jeszcze nabrała ciężaru, urosła jak góra, by kiedy ten ją

wreszcie pojmie, został nią zmiażdżony. Czyha na tę chwilę, spogląda na zegarek, daje się zatruwać czekaniu, aż w końcu nie umie już się zdobyć na najmniejszą uwagę, gdy Solicki po sześciu godzinach, niczego nieświadomy, dociera do podnóża liny, gdzie trwa wychodzenie.

Można by przypuszczać, że tą siłą rozstrajającą zdrowy rozsądek uczestników wyprawy jest zbytnia prostota zadania stojącego przed nimi - tylko powrót do bazy! Kto wie, czy intelekt po dniach gorącej pracy nie poczuł się nie zatrudniony, odsunięty na bok, tak dotkliwie, że teraz używa swych nie wykorzystanych mocy, by komplikując rzeczywistość, wywołując sztuczne powikłania, móc je rozwiązywać, uzasadniając tak niezbędną własnego istnienia.

Jakby potwierdzając takie tłumaczenie, gdy tylko ekipa wchodzi w ścianę, wszystko się ucisza. Ludzie zawieszani na linach i przesuający się wzwyż na jumarach, zmuszeni do uwagi i czuwania nad bezpieczeństwem zespołu - stają się znów sobą. Kiedy o zmroku docierają z całym sprzętem do bazy, wspomagani przez maczetników dźwigających potrójne ciężary, nie pamiętają już o niczym. Już wyrasta przed nimi to największe zadanie, do którego pobyt w Małej Studni był tylko zaprawą: zjazd do trzystumetrowej Sima Mayor - Wielkiej Studni.

Wkrótce, przy nocnym obiedzie, zaczyna się omawiać taktykę ataku i rozdzielać zadania. Koisar bierze na siebie przygotowanie racji żywnościowych; Solicki i Dyga - sprzętu technicznego. Zamierza się opuszczenie do studni najmniejszej liczby ludzi, dla zyskania w ten sposób na czasie. Czteroosobowy zespół otrzyma posiłki dopiero w przypadku odkrycia rozległej jaskini. To postanowienie wypływa z pamięci o wciąż czekającym, najważniejszym celu wyprawy: eksploracji nowego terenu. Choć to najbardziej pociąga ekipę, panuje zgoda, że przyjęta kolejność musi zostać zachowana. Wielka Studnia, choć już dwukrotnie zdobyta, nadal pozostaje najgłębszym tworem tego rodzaju na całym płaskowyżu, a z jej dna raportowano obecność tunelu z ptakami guacharo. Wreszcie pewną rolę grają też ambicje sportowe. Sima Mayor zajmuje czwarte miejsce na liście najgłębszych studni świata. Na koniec jest też cichy zamiar, by zmierzyć się z Brewerem Cariasem na tej samej ścianie, która więziła go kiedyś przez tydzień.

Podniecenie w obliczu tej próby nie udziela się już Wenezuelczykom. Nie wezmą w

niej udziału, gdyż nazajutrz mają odlecieć do Cacuri. Na ich miejsce ma przybyć druga zmiana. Kuczyński nie zna nowych ludzi. Ich charakterystyki przedstawia mu Urbani. Nazwiska na liście zaopatruje w numery, by wskazać kolejność, w jakiej, jego zdaniem, można ich brać pod uwagę przy wyznaczaniu zespołu schodzącego do krateru. Druga kolumna cyfr obok szereguje te same osoby według ich przydatności do kierowania samodzielnie grupami. Cyfry w kolumnach się nie pokrywają. Nie udaje się ustawić w pary sprawności fizycznej z dorównującą jej odpowiedzialnością.

Lotnicy dla uczczenia pożegnalnego wieczoru wyszuka, w sobie tylko znanej skrytce, helikoptera, butelkę rumu Bacardię. To skłania Kuczyńskiego do wyjęcia skrzynki, strzeżonej w namiocie u wezglowia, flaszki Bison Vodka - żubrówki, przywiezionej z kraju. Koisar

Dyga rozgrywają z lotnikami partyjkę domina. U ich boku Herrera porządkuje zapiski meteorologiczne. Ogłasza najniższą temperaturę notowaną w nocy: 14°C.

W dzień ciepłota powietrza waha się od 20° do 23°C. Wydaje się to niedorzecznie mało w porównaniu z odczuciami ludzi, zwłaszcza w chwilach gdy wystawiają na piekące słońce nagą skórę.

Radio jest włączone. Wezwania o pomoc dla gwatemalskich dzieci dotkniętych trzęsieniem ziemi. Niezbędne są ciepłe ubrania, koce i wszelkie okrycia. I znowu komunikat: helikopter Organizacji Narodów Zjednoczonych uległ katastrofie na stoku zalesionej góry.

Do późna trwa w namiotach, obsypanych rosą, pisanie do kraju. Kuczyński, gdy się upora z listami do Troncho-niego, do ambasadora, do ministra, do władz sportowych, prezesa, wreszcie do rodziny, rozmawia jeszcze z półsennym Urbanim, przygnębnionym koniecznością powrotu, zarazem niecierpliwym, by rozpocząć w uniwersyteckim laboratorium analizy próbek minerałów.

Tylko w ich namiocie można by odnaleźć, jeśliby ktoś szukał, cień żalu przed jutrzejszym rozstaniem. Zresztą nie mówi się o tym. Obaj czują, że te dwie ekipy, choć ich współpraca była bez zarzutu, nie żyły się z sobą. Franco Urbani, Włoch z pochodzenia, zapewne lepiej to pojmuje niż jego trzej koledzy z hiszpańskich, zasiedziały w Ameryce rodzin. Mniej chętni do poddania się potrzebom grupy, przedkładający nad to niezawisłość działania, widzący, już tradycyjnie, w gładkich

stosunkach z innymi bardziej sprawę etykiety i układnej mowy, właściwego gestu niż rzeczywistego przeżycia. Lub może tylko mniej od innych mający praktyki w tego typu wyprawach?

Usypiając w głębokim milczeniu spowijającym Sarisariñamę słyszą kroki Roberta Herrery, jak w rozkiszłym błocie powraca z ostatniej obserwacji w stacyjce meteo. Jeszcze klaśnięcie dłoni na szyi, zgrzyt zamka namiotu.

### **Sima Mayor**

O szarym świcie, czternastego lutego, Emilio Alvis i Jose Luis Camico zaczynają rozmawiać w namiocie. Obaj przywykli do wstawania przed wschodem i zaczynania pracy z pierwszymi promieniami, w tych najlepszych godzinach porannego chłodu, nim spłynie na selwę słoneczny, obezwładniający syrop. Nie mogąc uleżeć, wstają i ostrzą maczety.

Zbudzony Kuczyński wypełza ze śpiwora, opiera się łokciem na pudle apteki. Plastikowe okno jest pokryte rosą, stuka w nie, otrząsając z kropel. Widzi grząskie błoto wymieszane butami i liście w nie wtłoczone. Niebo jest oblane zimnym, rozwodnionym różem. Nisko kłębią się sinawe chmury. Opodal zagon Brocchinii, owych pożółkłych tub papierowych, o wierzchołkach ostrych jak rapiery. Sterczą nieruchomo, zastygłe w półksiężycu. Zdaje mu się, że przez noc przystąpiły bliżej, podeszły, wspięte na swe nibynóżki-korzenie, oskrzydłając namioty.

Idzie przez opustoszały obóz. Czterech ludzi odleciało do Cacuri, na ich miejsce jeszcze nikt nie przybył. Ogłasza pobudkę, trąca linki namiotów jak struny. Za namiotem botanika Dygi spostrzega w powietrzu ciemną plamę, podrygującą jak strzępek tkaniny. Nie widać, co ją podtrzymuje. Wydaje się, że to ptak zawisający w miejscu trzepotem skrzydełek. Ale gdy ich ruch ustaje, plama nie spada na ziemię. Podchodzi do namiotu. Z wnętrza rozlega się pytanie: - Coś się tam złapało?

Teraz dopiero dostrzega niemal niewidzialne nici japońskiej sieci na nietoperze, rozpiętej wieczorem przez Dygę. W nich zamotana brunatna ćma - nocny motyl, o skrzydłach jak dwie dziecinne dłonie. Piętnaście minut zajmie Dydze wyplątanie z sieci nie uszkodzonego połowu, zanim będzie mógł go przynieść do zatruwaczki - słoika z cyjankali.

W nieco złowieszczej poświacie tego rana Kuczyński znał wrażenia, iż nad ziemią unosi się czerwona mgiełka. Tak jest ulotna, iż sądzi przez chwilę, że to z niewyspania, przeciera więc oczy, dopiero po chwili odkrywa czerwony odblask gęstniejący nad ziemią. Pochyla się, odgarnia długie liście porastające polanę. Cały obóz podszyty jest krwistym dywanem mięsożernych roślin z rodzaju Drosera. Widzi kilkucentymetrowe pieńki pokryte tkanką zgrubiałą jak kora. Z nich wyrasta dziesięć, dwadzieścia mięsistych łyżeczek o rubinowym kolorze krwistego befsztyka lub krwią opitego komara.

Na łyżeczkach, jak na poduszczykach do szpilek, jeżą się włoski zakończone jasnymi kroplami. Chcąc się przekonać o rodzaju cieczy, dotyka ich palcem i rozciąga lepkie czterocentymetrowe nici. Nie dostrzega schwytych przez rośliny owadów, tylko odrzucone, wysrane już szczątki chitynowe muchy. Po ziemi biega wiele mrówek, lecz im, jak się zdaje, doświadczenie dało dość rozumu, aby się nie wspinać do lepkich pułapek.

O godzinie 9.03 śmigłowiec startuje, mając na pokładzie, prócz pełnej załogi, obu maczetników, Kuczyńskiego i bagaż. Dźwignąwszy się trzy metry nad ziemię, nad błotniste kałuże z odcisniętymi płożami, maszyna odpywa ukosem na zachód, ponad wklęsłość terenu, nabierając w ten sposób więcej powietrza pod płaty wirnika. Odpełzają do tyłu i zapadają w głąb drzewka podobne do rododendronów, ubrane w białe i żółte pojedyncze kwiaty. Są też i różowe, lecz złożone z pęku drobnych kielichów.

Pierścień chmur zamyka się dokoła. Podbarwione jak opary nad kadzią z szafirowym płynem, ponure, sine od dołu, z góry oblane zimnym, przenikliwym świeceniem. Zaledwie zostawiają dostęp do kraterów. Po trzech minutach lotu nad zwałonym lasem, śmigłowiec wystrzela nad ziejącą czeluść Sima Mayor.

Kuczyński, choć mu się zdawało, że zdążył się oswoić z takim widokiem, doznaje wstrząsu jak za pierwszym razem. I tak jak pozostali w kabinie, przywiera plecami do fotela. Widzi zapadające w czeluść, oberwane piony kolistej gardzieli, ponurą paszczę Ziemi. Spojrzenie tonie, obsuwa się za smugami zacieków, nie kończących się spływów, i nie zaczepiając o nic, grzęźnie na dnie w buro-fioletowej wacie.

Dotyka ramienia porucznika Romero i wykonuje kolisty ruch palcem zwróconym ku dołowi. Helikopter kładzie się na bok i zatacza koło. Kuczyński, przypięty pasem, zwisa całym ciężarem nad odsuniętymi drzwiami. Ma teraz wprost pod sobą Wielką Studnię,

niczym nie przesłonięty wgląd w trzewia tego tworu, cylindra wybitego w łonie góry ciosem, zdaje się, kosmicznego pała. Nie umie tego zjawiska ogarnąć i wchłonąć bez porównań, tworzonych wciąż na nowo.

A jednak właśnie w tej chwili zdaje sobie sprawę z całej bezpodstawności nazywania krateru wyspą w czasie czy światem zatrzymanym w rozwoju. Ażeby tak było, co najmniej dwa warunki musiałyby być spełnione. Po pierwsze: niezmiennosc klimatu, ciepłoty, nawodnienia, składu atmosfery, nasłonecznienia... To nie zostało dotrzymane - płaskowyż i studnie nie były pod kloszem, wraz z całą Amazonią podlegały zmianom. Po drugie: uniemożliwienie zwierzętom spotykania się z osobnikami tego samego gatunku, lecz z innego terenu, tak by nie dochodziło do wymiany genów.

I to nie nastąpiło. Urwiska nie są przeszkodą dla ptaków. I one, i owady są codziennymi gośćmi między dnem studni a dżunglą dokoła. Płazy i gady dostają się na płaskowyż po licznych osypiskach i połogich filarach otaczających Sarisarińamę. Na dno studni Spęłzają szczelinami albo zmyte wodą. Niektóre zapewne w postaci skrzeku, jaj, a może kijanek. Liczne z nich mogą z dna wychodzić: dla jaszczurek i nadrzewnych żab wspinaczka nie jest, utrudnieniem. Wreszcie świat roślin: nasiona wędrują na płaskowyż przenoszone wiatrem i przez ptaki. Zaś w przeciwną stronę, do dżungli, nawet z zakamarków studni, podróżują z wodą. Wprawdzie studnie i jaskinie, jak każde miejsce o tak szczególnych warunkach bytowania, mają swoje gatunki endemiczne, ale to nie znaczy, że one są takie jak miliony lat temu.

Wielka Studnia tak dalece związuje spojrzenia, iż niemal nie zwraca już uwagi studnia sąsiadująca z nią, nieco mniejszej średnicy i nie tak głęboka. Oba te otwory dzieli skalna przegroda grubości zaledwie stu metrów. Z pokładu śmigłowca wydaje się tak cienka, że Kuczyński zaczyna w niej szukać przebicia, okna lub tunelu. Nie dostrzega nic z góry, jednak postanawia, że równocześnie z atakiem na Wielką Studnię, będzie się torować zejście do tej drugiej. Nadaje jej imię Studni Północnej, Sima del Norte. Jest jeszcze dziewicza. Z lotu widzą, jak jest osobiwa: częścią swego obwodu otwiera się, wydłuża i kilometrowym kanionem sięga do krawędzi płaskowyżu.

W łoskocie silnika maczetnicy otrzymują objaśnienia, częściowo na migi, gdzie wyciąć

ścieżkę dokoła Wielkiej Studni, a potem w poprzek zalesionego grzebienia, by dotrzeć nią nad Studnię Północną. By im ułatwić to przyszłe zadanie, dokonuje się nalotu po osi obu kraterów i odczytuje na busoli kierunek: 28°NE. On będzie jedynym wskaźnikiem dla ludzi zaszytych na dnie lasu. Śmigłowiec przeskakuje przegrodę i zawraca ostrym skrętem nad wypełnioną mgłami otchłanią Sima del Norte. Para podnosi się z niziny, bucha jak z wrzącego naczynia.

Krótki nalot i lądowanie na polance wykarczowanej na brzegu Wielkiej Studni. Rurowe płozy opadają na nierówną podłogę z drzew i gałęzi. Jedna opiera się na okrągłaku, druga nie dosięga ziemi. Romero nie zmienia położenia maszyny, zwiększa tylko obroty i ręką daje znak, by prędzej wyskakiwać. Alvis i Camico w podmuchu tracą z głów sombrera, wbite przez wicher w krzaki. Odbierają bagaże wyrzucane z maszyny. Tuż za ich plecami czai się krawędź studni. Gdy rozładunek jest już skończony, porucznik Avila Wystawia przez okienko głowę i daje maczetnikom znaki, by niezwłocznie ścinając nowe drzewa poprawili pomost.

Śmigłowiec unosi się w górę i po trzyminutowym locie siada w' bazie. I znów, bez gaszenia silnika, następuje załadunek grupy szturmowej z jej wyposażeniem. Kuczyński pozostaje. Sądzi, że tu winien oczekiwać przybycia nowej zmiany Wenezuelczyków. Zdaje sobie sprawę, że ostanowienie atakowania Wielkiej Studni bez czekania na nich, jeśli od razu nie będzie właściwie wyjaśnione, mogłoby prowadzić do nieporozumień.

Lecz gdy maszyna wraca z drugiego przelotu nad studnią, nadal wał chmur otacza Sarisarinamę i nie może być mowy o skoku do Cacuri. Turbina gaśnie z łagodnym gwizdaniem. Odtąd tylko radiotelefony pozwalają śledzić akcję w Sima Mayor.

O godzinie 10.00 Zawidzki donosi do bazy, że prace na lądowisku są na ukończeniu. Prowadzi się też, w dwu zespołach, wywiad nad brzegiem krateru dla znalezienia miejsca zjazdu.

- Czekaj! - woła Zawidzki. - Właśnie wracają. Bebi z Ryśkiem! Zaraz ci ich dają.

Z głośnika rozlega się zdyszany głos Koisara:

- Jest kawałek ścieżki i świeżo połamane krzaki, znaleźliśmy szpulę po linie, ślady Japończyków. Zeszliśmy bardzo stromo w zaroślach, jak po ścianie leja, na sam brzeg krateru. Chyba tam zjeżdżali. Zagląaliśmy w ścianę: trzydzieści metrów pionu, pierwszy odcinek, potem półka zjazd, chyba drugie tyle, w krzaki. Zdaje się, że dalej będzie

można schodzić stromym stożkiem w lesie...

- A nie lepiej zjechać z przewieszek? - przerywa Za widzki. - Ćwierć kilometra pionu, to jest coś, panowie!

- Paweł... - w głosie Koisara brzmi powątpiewanie. - Zaraz, zaraz! - przerywa Kuczyński. - A co o tym wiecie?

Koisar odpowiada:

- Przed chwilą rozmawiałem z Sułkiem przez Echo, dotarli z Surdelem do otwartego balkonu wiszącego nad studnią i wyjrzeni na dół. Wymarzone stanowisko do spuszczenia bagażu, worki w ogóle nie dotkną do ściany.

- I tam najlepiej zjechać! - Zawidzki nie daje za wygraną.

Jednak po krótkiej naradzie wybiera się inne rozwiązanie. Kuczyński jest zdania, że w tej chwili ambicje sportowe należy odłożyć, by zyskać na czasie i unikać wszelkiego ryzyka. Dwieście metrów ma najdłuższa posiadana lina, trzeba by dowieźć drugą. Zjeżdżający mieliby do pokonania węzeł, a to by zmuszało do przejścia w powietrzu na drugi aparat zjazdowy. Lecz, co znacznie trudniejsze, przy powrocie do góry, wymagałoby to przekładania ponad węzeł jumarów. Wynikła stąd strata czasu i znaczny wzrost ryzyka, nie przyniosłyby przy tym rekordowego wyniku. 333 metry zjeżdżali już, na pojedynczej linie, Amerykanie w Studni Jaskółek w Meksyku.

Postanowienie zapada, że ekipa opuści się łatwiejszą drogą „Japończyków”, korzystając z pośrednich półek i tylko z lekkim, osobistym bagażem. Zaś główna część wyposażenia będzie opuszczona z przewieszki na związanej linie.

Przed zakończeniem rozmowy, radio przynosi ożywione okrzyki:

- Patrzcie, dwa kondory!

- Twierdzą, że jastrzębie... - poprawia ktoś drugi.

- Z dwumetrowymi skrzydłami?

- Maciek, słyszysz? - pytają Kuczyńskiego.

- Słyszę - odpowiada. - Z pewnością nie kondory, one nie żyją na zalesionym terenie. Na jastrzębie za duże. Raczej orły leśne - harpie, żywiące się małpami. Musicie uważać.

Godzina 12.00, kolejne połączenie. Koisar:

- Lądowisko gotowe. Właśnie deszcz zaczął padać, kazaliśmy maczetnikom postawić namioty. Znaleźliśmy rów ze strumykiem w pobliżu obozu, więc z wodą nie będzie



kłopotu. Sprzęt przeniesiony na stanowisko zjazdowe i wiesz się liny. W tej chwili Dyzio pakuje wory dla kolejnych zjeżdżających, sprzęt osobisty i trochę jedzenia. Ja zostanę na górze, żeby zesaść im potem z przewieszek właściwy bagaż i sam zjadę wieczorem. Koniec.

W bazie słońce prześwieca fiołkowo przez chmury. Nadal nie można myśleć o przelocie. Kuczyński zabiera się do prania. Zapas pitnej deszczówki w foliowym basenie jest na ukończeniu. Czerpie więc ze studzienki, dającej na dobę pięćdziesiąt litrów mętnej cieczy. Pod dachem jadalni piloci grają w domino. Potem zabierają się do przygotowania obiadu. Z mąki kukurydzianej smażą placki arepa, tak grube jak lekko spłaszczone pączki. Gotują makaron włoski z ostrym sosem pomidorowym. Godzina 15.00, łączność, Jerzy Surdel donosi:

- Prace obozowe skończone. Maczetnicy tną ścieżkę dokoła studni i okna do pomiarów, a chłopcy są już w ścianie. Widzę ich dobrze, filmuję - mówi. - Stoję z kamerą na balkonie nad przewieszkami. Najniżej jest Paweł, mam z nim łączność przez Echo. Chcesz z nim porozmawiać? - pyta Kuczyńskiego.

By umożliwić takie połączenie, Surdel improwizuje stację przekaźnikową. Styka głośnikami radiotelefon Klimek ze słabszym aparatem Echo, który go łączy z kraterem. Odpowiednio naciska guziki: odbiór - nadawanie. Tą drogą dociera do bazy, nieznacznie tylko zniekształcony głos Pawła Zawidzkiego:

- Byłem już na samym dole. Słuchaj, to bardzo po dołne do Małej Studni, zjazdy takie same, tylko potem trzeba dużo głębiej schodzić, już w lesie, przez progi. Pomogłem sobie pętlami. Rysiek i Tadek są jeszcze na półce w połowie ściany. Spuszczają mi teraz plecaki.

- Jesteś rozczarowany? - pyta Kuczyński.

- No, wiesz, dziura fantastyczna i ogrom niesamowity! Ale już czujemy się na tej ścianie tak swojsko, jakby się tu od dawna siedziało... Te mrożące krew w żyłach opisy

Jotta, to oszustwo i zwykłe zawracanie głowy. Traciliśmy tylko czas na zakładanie stanowiska pośredniego na półce, można zjeżdżać wprost z góry. Pierwszy odcinek 35 metrów, drugi 30 i dalej piechotą... Do usłyszenia wieczorem.

Godzina 16.10. Chmury się roztapiają, wsiąkają w ametystowe niebo. Załoga wkłada kombinezony i wsiada do Raszyny. Noszą oplecione dokoła kołnierzyków i naszyjniki z

nasion i białych paciorków, kupione od Makiritarów. śmigłowiec odlatuje w dziwnej, niebieskiej bańce-aureoli i znika w świetlistych przestworzach.

Godzina 18.00. Rozmowa z dnem studni przez dwa aparaty. Zawidzki przy mikrofonie:

- Zjazd dawno zakończony, jesteśmy na biwaku pod okapami, około dwustu metrów poniżej krawędzi studni. Japończycy tu spali. Znaleźliśmy folię, kanister, hak japoński, w folii trochę wody. Ze ścian kapie co nieco. Studnia nie jest zbyt głęboka, na pewno nie tyle, ile podawali, trzystu metrów nie przekracza, to się jeszcze okaże... Aha, Sułek i Dyzio już odbadali tę rzekomą jaskinię guacharos. Nasion istotnie jest dużo, cała góra wysypująca się ze szczelin w ścianie, ale nie ma żadnego tunelu. Kilka wielkich, idących pod górę otworów, ślepo zakończonych... Znaleźliśmy jeszcze ciepły popiół po ognisku Brewera, teraz sami palimy. Tu już zupełne ciemności na dole. Nie martwcie się o jaskinię, jutro ją znajdziemy! Oddaję głos na górę... Odzywa się Koisar:

- Tu góra, jestem z Jurkiem na balkonie, skończyliśmy przed chwilą opuszczanie z przewieszki bagażu. Lądował na dnie, trzydzieści metrów poniżej biwaku. Ręk teraz nie czuję. Sam zjadę już rano. Zmontowałem windę z automatycznym rozwijaniem liny przez bloczki, z hamulcami. Jurek filmował i nagrywał rozmowy radiowe, a ja ganiałem jak w ukropie: przypinanie worów, zwalnianie blokady, hamulec... Wysłałem cztery razy po dwa plecaki, to znaczy cztery razy po 230 metrów na dół i 920 metrów liny wyjętej rękami. Jurkowi wysiadł magnetofon i musiał go rozgrzebać, dopiero przy ostatnim ładunku pomagał mi z maczetnikami...

Łączność poczyna się zrywać, słychać trzaski i szумы, urywane słowa. Kuczyński pyta, co się dzieje. Surdel odpowiada:

- Komary atakują. Nie mogę utrzymać już tych aparatów.

Kilka minut potem, gdy Kuczyński jest już przekonany, że spędzi noc samotnie w bazie, łowi uchem dalekie terkotanie silnika. Wieczór jest bezwietrzny, cichy i różowy. Daleki grzebień skalny, leżący w środku płaskowyżu, ma kolor szafirowy. W szarym lesie słychać pogodne, czyste głosy ptaków. Śmigłowiec leci niąko i pomimo zmroku kieruje się do Wielkiej Studni, odgłosy świadczą, że zahacza tam koło, można więc wnioskować, iż na pokładzie są już nowi ludzie.

Kuczyński czeka na lądowisku w dolnej części polany. Maszyna, z zapalonymi światłami pozycyjnymi, wisi jeszcze trzydzieści metrów nad ziemią, gdy na płożę wychodzi już sierżant Ruiz. Potem, z wysokości dwóch metrów skacze, wybiega przed kabinę i ruchami rąk naprowadza pilota. Płoży grzęzną w piaszczystych kałużach.

Żaden z trzech przybyszów nie jest znany Kuczyńskiemu; Dwaj są biologami z Uniwersytetu Andyjskiego w Meridzie. Omar Linares, krępy, ruchliwy, gadatliwy, z rozwichrzoną brodą, chętny do roboty, roztargniony i nieco kłótlivy. Pascual Soriano, wysoki, tyczkowaty, chudy, ze zdziczałą brodą, hałaśliwy, też pełen zapału, ale rozproszony. By się o tym przekonać, wystarczy kilka minut spędzonych z nimi dwoma na rozładunku śmigłowca i przydzielaniu miejsc w obozie. Trzeci to Pedro Aso, pracownik Wenezuelskiego Instytutu Badań Naukowych w Caracas. Przeciwnieństwo swych towarzyszy, niski, spokojny, milczący, rzeczowy, bez brody. Zaraz po wylądowaniu zabiera się do wymiany pasków w samopisach meteo.

Do czasu kolacji Kuczyński odkłada niepokojące go trochę zadanie - wyjaśnienie przybyłym, że ich zejście do studni nie byłoby celowe. Nie chce być źle zrozumiany i wzbudzić podejrzenia, iż pragnie zachować wyłączność dla swej grupy. W istocie chodzi mu o sprawne działanie i maksymalne skrócenie pobytu na dole. Zdaje sobie sprawę, że upłynęła już jedna trzecia czasu i, być może, wyczerpał się limit nie najgorszej pogody. Zaś dłuższe zachmurzenia, gdyby się zdarzyły, mogłyby wręcz uniemożliwić badania środkowych, całkowicie dziewiczych okolic Sarisarinamy. Inne zagrożenie stanowi zawsze prawdopodobny wypadek, spowodowany przez kogoś niedostatecznie wprawnego w posługiwaniu się liną.

Porusza ten temat, przy obficie zastawionym przez lotników stole, mając nadzieję, że sprawioną przykrość choć w części nagrodzą plastry smażonej szynki z arepą i sałata z groszku zielonego, cebuli i sardynek. Łatwo się przekonuje, że żywił niepotrzebne obawy. Dowiaduje się, że nie wszyscy na świecie uważają za niezbędny zjazd do Sima Mayor. Wenezuelczycy zajrzeli tam już z lotu ptaka. Znają swoje braki w technice wspinaczkowej, a materiałów do badań znajdą dosyć, jak sądzą, także i na górze. Porucznik Romero zmienia temat.

- Maczej - zwraca się do Kuczyńskiego - jeszcze jedna sprawa... - wyjmując ze skrzynki pod stołem butelkę anyżkowego, likieru. - To na pożegnanie. Dla nas jutro już

koniec, wracamy do domu.

Zostaje tak przypomniany rozkaz dowództwa bazy lotniczej, niemal przeoczony w wirze działań. Zgodnie z planem służby, 15 lutego załoga ma się znaleźć w Cacuri, dokąd przyleci po nią samolot, przywożąc zarazem nową załogę.

Podczas omawiania tej sprawy w Caracas z pułkownikiem Borrellem Kuczyński nie przywiązywał do niej większego znaczenia, ale teraz widzi, jak niekorzystne jest to dla wyprawy. Ledwie piloci poznali co nieco niebezpieczny teren i oswoili się ze szczególnymi warunkami lotów, mają być zmienieni. W dodatku, mijając się z następcami, nie będą mieli nawet dosyć czasu, żeby podzielić się z nimi doświadczeniami. Zmiana budzi opory jeszcze z innego powodu: nastąpiło zżycie się załogi z pozostałą grupą.

Jednak nie może być mowy o zmianie rozkazu. Ustala się, iż nazajutrz rano załoga porucznika Romero przerzuci na brzeg Sima Mayor Kuczyńskiego, Linaresa i Soriano, po czym ostatecznie odleci. Opracowuje się na użytek nowej załogi instrukcję pisaną i oznacza na zdjęciu lotniczym miejsca lądowania i pobytu ludzi; podaje się godziny łączności radiowej oraz przewidywane w najbliższych dniach działania.

Przy kieliszku likieru zapada chwila milczenia. W taki tylko sposób wyraża się sprzeciw wobec konieczności podziału. Czują, że każda ze stron wniosła do wspólnego dzieła ten sam, doskonały stopień wtajemniczenia w zawodzie. Eksploracja dzisiaj tak tylko może się odbywać.

A jednak więź, już utrwalona, musi być zerwana przed osiągnięciem ostatecznych wyników. Rozchodzą się do namiotów, gdy radio znów podaje wiadomości o trzęsieniu ziemi w Gwatemali. Do dwudziestu tysięcy zabitych. Stacje sejsmograficzne stwierdzają, iż był szereg wstrząsów narastających stopniowo.

Z charakteru zjawiska oraz korelacji w czasie grupa gwatemalskich uczonych wysnuła przypuszczenie, publicznie wyrażone, iż katastrofę wywołał podziemny wybuch nuklearny w Stanach Zjednoczonych. Uważa się za możliwe, iż wyzwolił on napięcia w skorupie ziemskiej, które bez takiego bodźca, być może, rozładowałyby się łagodniejszymi wstrząsami.

Szesnastego lutego cała ekipa jest nad Wielką Studnią albo w jej głębinie, z wyjątkiem. Pedra Aso, który został w bazie. Helikopter nie wrócił w przewidzianym czasie ze swą

nową załogą. Nie zaprzęta to zbytnio uwagi uczestników, cała jest zwrócona ku tajemnicom krateru.

W obozie na krawędzi spędza noc sześciu ludzi. W ciemnościach słyszą deszcz, budzący ich kilka razy, a gdy ustaje siąpienie, grube krople z liści robią jeszcze więcej hałasu na płótnie tropików. Rano brudna mgła zwisa z konarów, ledwo w niej mającą czarne pnie i wciśnięte w las namioty. Ale gdy słońce wdziera się w gęstwinę, obraz się odmienia. Mroczną, brunatną - pieczarę rozświetlają cienkie, oślepiające promienie. Jej ściany i sklepienia są uplecione z pni, korzeni, lian, gałęzi i tramów. Wycięto podszybie. Namioty stoją we wnękach i niszach, pośród plam słońca rozlanych w tajemniczym półmroku jak gorące kałuże. Pod przybraniem z czerwonych liści płonących jak kwiaty. I pośród mgiełek wplecionych w gałęzie jak pajęczyny cukrowe.

Kilka minut przed ósmą Kuczyński opuszcza to leśne schronienie i dociera do balkonu nad brzegiem otchłani. Chce zajrzeć w głąb krateru, jak to wielokrotnie czynił w Małej Studni. Tu się przekonuje, że to niemożliwe. Bez stanięcia na pochyłych, obrywających się brzegach – dna nie można zobaczyć. Przed sobą ma skalny kocioł, powietrzne jezioro, wypełnione o tej wczesnej porze szafirowym cieniem i dźwięczące przytłumionym szumem. Woła, składając dłonie. Głos wraca echem tak słabym, jak syk fali wsiąkającej w piasek. Czeką, aż z ćwierćkilometrowej głębiny, poprzez mgiełki wiszące na różnych poziomach, nadbiega drgnięcie powietrza - odpowiedź. Włącza radiotelefon.

- Halo, góra, góra! – słyszy Solickiego tak wyraźnie, jakby ten stał przy nim.

Cześć, panie Sułku, jak się spało? - pyta.

- Dziękuję, nie narzekam...

Poranna wymiana grzeczności na tym się urywa. Myśli obu znów pochłania wczorajsze odkrycie otworu wśród kamieni.

- Teraz jemy -śniadanie - donosi Solicki - i zaraz tam ruszamy. Właściwie... to zwyczajna dziura - ostrożnie nie dodaje - ale to jedyne miejsce, gdzie można wetknąć głowę. Cześć, do usłyszenia!

Dla tkwiących na górze zaczyna się czekanie. Godziny wypełnione drugorzędowymi pracami. Myślami są na dole, tam skąd przyjdzie wiadomość.

Kilka metrów od brzegu balkonu, pod pierwszymi drzewami wisi tropikalny hamak Jerzego Surdela. By nie mieć zbyt bliskiego sąsiedztwa w nocy, reżyser zawisa tu nad

urwiskiem, niby w gnieździe ptasim. Hamak jest wiszącym namiotem. Ma nieprzemakalny daszek z szerokim okapem, boczne ścianki z moskitiery siatkowej, dno z płótna, a pod nim wszytą kieszeń na ubranie i cenniejszy dobytek. Na ziemi kurzy się ognisko przeciwko komarom.

- Po zmroku - opowiada Kuczyńskiemu reżyser - kiedy się już kładę, słyszę nurkujące ptaki. To niesamo wite wrażenie: z narastającym gwizdem, niewidzialne, wypadają z nieba i z wibrującym wyciem nurkują aż do dna krateru. To chyba papugi... Chodź, to ci coś jeszcze pokażę!

Prowadzi kilka kroków lasem, ścieżką w stronę obozu i schyla się nad progiem zarośniętym zielskami, zdeptanym przez ludzi. W norce pod korzeniem, tuż obok stopnia, na którym kilkaset razy w ciągu doby stają grube buty, rozdziawia się szeroko żółty dziobek pisklaka. Gdzieś w pobliżu furkocą skrzydełka zaniepokojonych ro dziców.

Przynoszę mu komary - mówi Surdel. – Chyba mnie poznaje.

Godzina 9.00, trwa oczekiwanie. Na balkonie Kuczyński i Omar Linares przed teodolitem. Słońce spoza pleców oblewa półokrągłą ścianę cylindra wydrążonego w kwar-cycie. Rozżarzona wysyła ku górze słup drgającego powietrza. Na ścianie gardzieli rysują się warstwy, jak studzienne kręgi, o coraz mniejszej, za sprawą perspektywy, średnicy. Brak skali porównawczej sprawia, iż trudno patrzącym uwierzyć, że 305-metrowa wieża Eiffla ustawiona na dnie, zaledwie by sięgała poziomu ich oczu. Zaś czubek piramidy Cheopsa, ze swymi 146 metrami, tylko do połowy krateru.

Co chwila nadśluchują, gdy się komuś wydaje, że złowił nadpływający z dołu cień okrzyku. Skaczą przez krzaki do radiotelefonu. Eter milczy głucho.

- Hay macheteros! - odzywa się Linares. - Są maczetnicy!

Ręką wyciągniętą poziomo wskazuje przeciwległą krawędź. Dwie drobne postacie ukazują się tam w wyciętym prześwicie. Kuczyński przykładą oko do lunetki teodolitu. Widzi mężczyzn w sombrerach, podnoszących do pionu biało-czarno-czerwona łątę. Bierze namiar kątowy, dyktuje Linaresowi, potem odczytuje odległość na skali: 350 metrów. To największa średnica krateru i kolejna poprawiona nieścisłość poprzedników; podawali 400 metrów. Zmiana przy instrumencie - Omar Linares powtarza polary. Kilkakrotne skrzyżowanie rąk nad głową powiadamia Emilia i Josego Luisa, że mogą już ruszyć z łątą kolejnego prześwitu na obrzeżu. Stworzony tak obrys otworu połączy się w

całość z ciągiem poligonalnym dnałzwonu. Nałożone na siebie, dadzą pojęcie o wysięgu przewieszek i przestrzennym kształcie wydrążenia, które nie ma równego sobie na całej Planecie.

Widziana w pełnym blasku studnia jest jak stary kociół z zaciekami brudu; po jej ścianach spływają zapieczone smugi syropu, na brzegach przypalona piana i zzieleniałe języki pleśni żywiącej się resztkami.

Godzina 10.00, jest wiadomość z dołu.

- Stoimy nad dziurą, tyle czasu zajęło nam przejście z biwaku. Nie macie pojęcia, jakie tu wertepy, a dżungla nieprawdopodobnie splątana. Otwór nawet spory. Próg, trzeba zjechać. Koisar zakłada linę. Bądźcie na nasłuchu!

Po trzydziestu minutach brzęczyk podrywa czekających na balkonie. Słyszą, jeszcze zadyszany, głos Zawidzkiego:

- Zszedłem szczeliną, dalej nie ma mowy. Po prostu, dziura Wśród głązów...

- Paweł - przerywa mu Koisar - może ja spróbuję?

- Stary, to nie dla ciebie, ja się ledwo zmieściłem . - Zawidzki urywa, jak gdyby, spoglądając po sobie, oceniał własną chudość i krytycznym okiem obwód w pasie Koisara. - Ledwo stamtąd, wylazłem - ciągnie - to jest bezcelowe...

- Trudno. A ile tego zrobiłeś? - pada pytanie z góry. Pomiar liny wskazuje, że Zawidzki pokonał 32 metry w pionie, co pogłębia studnię do 314-metrów. Wynik znowu mniejszy od 350 metrów podawanych przez Brewera Cariasa, lecz wciąż Sima Mayor pozostaje czwartą co do głębokości studnią naturalną świata.

Pojmują, że trzeba już poprzestać na tym. Nie mówi się o doznanym zawodzie. Zawidzki zadaje Kuczyńskiemu pytanie:

- ak mamy wychodzić? Czy na jumarach, dwieście trzydzieści metrów przez przewieszkę, wprost do wasze go balkonu, czy też drogą zjazdu? U nas zdania są podzielone. Chcemy wiedzieć, czy dla wyników sportowych wy prawy będzie to miało znaczenie?

Z napięcia, łatwo wyczuwalnego w głosie Zawidzkiego, i ciszy, jaka panuje w głośnie, Kuczyński poznaje, co kryje się za zwrotem „zdania podzielone”. Odpowiada, zgodnie z

raz już podjętym postanowieniem:

- Po odesłaniu przez przewieszkę worów wychodzić tam gdzie był zjazd, najłatwiejszą drogą.

- W porządku! - zgadzają się na dole. – Około czternastej bądźcie gotowi do wyciągania plecaków. Muimy jeszcze zamknąć ciąg poligonalny ściany i zbadać ostatni jej odcinek.

O godzinie 14.00 studnia jest tygłem pełnym rozpylonego złota. Świetlisty proszek unosi się tumanem w tym potwornym szybie przebitym, zdaje się, na przestrzał globu. Spojrzenie zapuszczone w głębinę więźnie tam w seledynowym oparze, przesłaniającym widok na drugą stronę świata.

Nieruchomy żar zalega płaskowyz, ustało brzęczenie owadów. Wśród czekających na balkonie panuje pewność, że nic się już nie może zmienić. Trwają niefrasobliwe rozmowy. Zaszyty w cieniu Surdel, z teleobiektywem przy oku, odzywa się:

- Znow widzę tego ptaka, siedzi na gałęzi... - urywa, strzela migawką. - Słuchaj - mówi dalej zdławionym głosem - on jest wielkości człowieka. Mam porównanie, bo Emilio właśnie się tam pokazał z łatą.

Kuczyński chwytą lornetkę, opiera się o pień plecami. Mruży oczy oślepienie jasnością obrazu. Widzi przeciwległy brzeg studni rozmazany upałem. W szarym wale dżungli świeci jak biała kość obdarte z kory drzewo. Z wyciągniętego niby piszczel konara zrywa się do lotu olbrzym. Rozpościera skrzydła, a ich końce wychodzą z pola widzenia lornety. Płyną, leniwie falując, miękkie, szare płyty o rozpiętości skrzydeł samolotu. Taki musiał być ptak Rok z podróży Sindbada. I powraca do życia legenda Makiritarów o orle-olbrzymie, ulatującym w niebo z paszczy Sarisari. Ptak odpływa nad lasem i znika. Pascual Soriano fotografuje drapieżne krzaczkę Drosera. Znajduje pieniek z białym kwiatkiem, jedyny dotąd spostrzeżony. Kuczyński, proszony o pomoc, odgarnia wyższe rośliny. Na piętnastocentymetrowym słupku doliczają się trzydziestu mięsistych, czerwonych łyżeczek-pułapek z lepкими włoskami. - Drosera mogą wegetować nawet nie chwytając owadów - mówi Pascual Soriano - ale do zakwitnięcia potrzebny im azot, którego nie mają w podłożu. Muszą wyssać go z muchy. Pułapka tak działa - objaśnia - że pod wpływem ruchów przylepionego owada zaczynają rosnać komórki z jednej strony włosa i ten się zagina.

O godzinie 14.30 dociera na górę elektryzująca wiadomość:



- Panowie, fantastyczne odkrycie! - donosi Solicki. - Minerale! Pełno kryształów w szczelinach! Mamy absolutne dowody działania roztworów hydrotermalnych - nie do podważenia! I to w takiej postaci, że będzie można publikować natychmiast w Caracas.

- A poziomy osadowe? Powiedziałaś? - słychać z głośnika podpowiadającego Koisara.

- Właśnie! - podchwytuje Solicki. - To też coś nowego: kamienie i piasek przylepione do ścian, na różnych poziomach w miejscu dawnych przepływów... Możemy wam już powiedzieć, jak studnie powstały! Szczegóły na górze... Dziś nie wychodzimy, zbieramy okazy i próby. Szykujcie się, będzie sto kilo kamieni!

### **Sima del Norte**

Niezwłocznie po rozmowie, tak odmieniającej nastroje i ukazującej w nowym świetle akcję w Sima Mayor, którą już uważano niemal za chybioną, Kuczyński wyrusza do Studni Północnej. Posuwa się ścieżką za maczetnikami, za nim postępuje Jerzy Surdel z kamerą i dwaj zoolodzy, Linares i Soriano. Okrążają Wielką Studnię i wchodząc na przegrodę między dwoma kraterami, w jej środku przyjmują kierunek 28°NE i wciskają się w nacięcie puszczy, zrobione już przed dwoma dniami.

Zanurzony w masie tej roślinnej piany, która zewsząd napiera, muszą porzucić twarde gruntu pod nogami. Wspinają się po pniach dawno przewróconych, zarośniętych, obsypanych próchnicą, nie zawsze wiedząc, na czym staje noga. Coś się pod nimi kołysze, drga, czasem przytrzymuje buty i oplata kolana. Suną wysokim piętrzem lasu, kilka metrów nad ziemią. Nad ziejącymi wyrwami przenoszą się szympansimi ruchami, chwytając gałęzie nad głową.

Emilio Alvis, prowadząc, przerzuca maczetę z ręki do ręki, tnie z obu stron ciała, przed, nad i pod sobą. Cienkie ostrze wibruje, zatacza świetliste półkola. Emilio z przepaską w kruczoczarnych włosach w ogóle nie przystaje - płynie przez drzewa, nie siłą, lecz sztuką wystrzygując tunel. Korytarz pogłębia się, ustępuje przed maczetą, jakby roślinna masa była wytapiana, tak płynne i niewymuszone z pozoru jest to ustępowanie gęstwiny. Jose Luis poprawia, docina, poszerza. Zdaje się, że maczety nie mają ciężaru i tną materię nie stawiającą oporu. Ichokrężne ruchy, bez zatrzymania i wahań, przebiegają po krzywych nigdy nie urywających się ślepo, lecz płynnie przenikających jedna w drugą.

Z głuchym trzaskiem i łomotem spróchniałego drzewa Camico i Kuczyński zapadają w głąb lasu. Obsuwają się wolno i nieubłaganie, jak pochłaniani przez bagno, nogami naprzód i z rękami nad głową wjeżdżają butami w dolne piętro podszycia i grzęzną w lepkiej ściółce, pośród walących się zewsząd zetłanych odłamów, kęsów próchna, głowiastych porostów, wiechci epifitów. Widzą dokoła smoliste pieczary, obwieszane popielatymi brodami, wdychają zgęstniałe, zapachy rozkładającego się lasu, duszne i słodka we. Nad nimi sklepienie korzeni, sieci przerastające puszcę, która sama dla siebie musiała stać się glebą, by się utrzymać na tej kwarcytowej płycie. Jose Luis przerąbuje się w górę, obnaża zrosnięte skrzyżowania korzeni, po nich wspina się jak po drabinie.

Znowu są na górze, w średnim poziomie lasu. By wyrzeć ponad drzewa, Kuczyński wchodzi po pniu nieco nachylonym i, jak mu się wydaje, suchym, wolnym od lian powojów. Wspina się do rozgałęzienia korony, na trzeszczące złowrogo badyle i tam, u ich końca dopiero, odbywa, że jednak są żywe. Znajduje parasol liści, cienki, jednowarstwowy, wydęty jak kopuła. Wystawia z niej głowę, widzi kwiaty wielkie, chwiejące się, białe, a dokoła siebie dach puszczy. Falisty, zwałniony i ogromne niebo. Mruży oczy w ulewie fiołkowych promieni. Oddycha głęboko.

Słyszysz świst powietrza, wachlowanie hamujących skrzydeł. Nieruchomieje i niemal w zasięgu ramienia dostrzega turkawkę lądującą na sterczącym patyku. Ptak wydaje okrzyk radosnego zdumienia. Wyciąga ze zdziwienia szyję i obracając głowę, to lewym, to prawym okiem śledzi nieznaną istotę łązącą po drzewach. Rozpiera go ciekawość, dziób ma rozchylony, tułów podany do przodu, skrzydła odstawione, jakby jeszcze bardziej zamierzał się zbliżyć. Ma grafitowe upierzenie i półksiężyc na szyi.

Kiedy odlatuje, Kuczyński też schodzi. Wywiad nic nie przynosi, prócz tego spotkania. Nawet nie uprzedza o bliskości krateru. Zapowiadają go dopiero tatarakowate liście, coraz liczniejsze w rzadniejącym lesie. Emilio Alvis kosi je wiązkami, odgarnia pęki ramieniem i na koniec, po osiemdziesięciometrowej przeprawie, odsłania nieobjęty widok.

Stają nad otchłanią. Studnię Północną mają wprost pod sobą. Dwieście metrów pionu. Dno jest zakłębła misą wysłaną drzewami. Studnia uchodzi kanionem, jak zielonym korytem, do brzegu płaskowyżu i przez szczybę, jaką w nim czyni, pozwala wyrzeć

poza tę wyspę w przestworzach.

Wydaje się, że to świeży oddech dla oczu. Błękitna dal bez granic. O kilometr niżej przymglone zakola rzek w selwie i cienie obłoków.

Kuczyński opuszcza się na pętli z krawędzi i zwisając w dół głową, robi przegląd ściany. Studnia ma dwieście metrów średnicy. Wybrzuszenie skały nie pozwala obejrzeć jej podnóża, stwierdzić, czy nie kryją się tam wejścia korytarzy. Zjazd wprost jest możliwy, lecz pochłonąłby zbyt wiele pracy. Najprostszym sposobem dotarcia na dół wydaje się okrążenie studni, po czym zejście po zboczu kanionu. W wybranym kierunku, od zachodniej strony, niezwłocznie ruszają maczetnicy.

Pochód rusza za nimi. Emilio Alyis, choć nie widzi dalej niż koniec maczety, bez kontaktu z krawędzią obrywu, zdany na własne wyczucie, prowadzi po łuku i nieomylnie kończy w wybranym miejscu na brzegu kanionu.

Niebo już gaśnie, gdy tam wychylają głowy. Rów pod nimi pograżony jest w liliowym cieniu. Po jego drugiej stronie, za obszarem lasu, widzą kopulastą górę, najwyższe, jak sądzą, wzniesienie Sarisariñamy. Wokół kwarcytowego hełmu kondensuje się para i okrywa go czapą, powiew wyciąga z niej mgły, odpływające smugami jak wiejące na wietrze sztandary.

Sima del Norte stoi otworem, wystarczy zejść po zboczu, by dotrzeć pod amfiteatralną ścianę. Muszą to odłożyć wobec zapadającego zmroku. O godzinie 20.00 wracają do obozu i nawiązują łączność z dnem Wielkiej Studni.

- Wody! - rozlega się błaganie Solickiego. - Ześlijcie nam wodę. Nie piliśmy nic od południa, nic się nie złapało w podstawione naczynie, kilka marnych kropel... Za to co za zbiory mamy! I błagam o papierosy, pożyczcie od Omara!

Noc z szesnastego, na siedemnastego lutego upływa w księżycowej ciszy, pod czystym jak czarny kryształ niebem. W bazie samotny Pedro Aso. Helikopter nie wraca. O 6.30 dzwoni budzik. Ranek jest pogodny, całą noc deszcz nie padał, obsycha nawet obóz ukryty wewnątrz lasu. Akcja w Studni Północnej musi ulec zwłoce. Najpilniejszym zadaniem jest wydobywanie ekipy z Sima Mayor.

O 8.00 zaczyna się wyciąganie bagażu i trwa do południa, wiążąc wszystkie siły. Kilometry liny przechodzą przez ręce rozstawionych na balkonie ludzi. Operację niezmiernie przedłuża każdorazowe przekładanie przez rolki wężła na związanych

linach. W tym czasie gdy na górze ludzie, zrani potem, odliczają zachrypłymi głosami kolejne pociągnięcia liny, na dnie Ryszard Dyga zbiera ostatnie botaniczne okazy, przyklękając w zaroślach, niezręcznie ścina twarde badyl, nóż się ześlizguje i głęboko podcina nasadę kciuka prawej dłoni. Dyga wzywa pomocy, lecz robi to zbyt cicho. Zajęci wysyłką worów i filmowaniem powietrznego transportu, koledzy nie rozumieją, o co może chodzić. Toteż gdy Solicki dociera tam bez pośpiechu przez krzaki, zastaje skropiony krwią biwak. Po dłuższej chwili powstrzymuje krwawienie, zakłada opatrunek. Powstają obawy, czy Dyga będzie zdolny do użycia jumarów.

On sam rozprasza obawy kilka godzin potem, gdy wisząc już na linie, bez widocznych trudności przesuwając się ku górze. Oglądany nie uzbrojonym okiem z balkonu, na tle różowej ściany, wydaje się w swym kasku i stroju pomarańczowym pajęczkiem z białą głową, pełznącym po niedostrzegalnej nici. Dyga, w obawie przed otwarciem się bolącej rany, podsuwa klamrę jumara końcami palców, i tak pokonuje dolny odcinek, do półki w ciągu dwudziestu pięciu minut. Tyle samo zabiera mu górny. Opuszcza studnię i czeka na wychodzącego za nim Koisara.

Chwilę po tej parze rozpoczynają wspinaczkę, swoją własną drogą, Zawidzki z Solickim. Po gorączkowej naradzie przez radiotelefon Zawidzkiemu udaje się wszystkich przekonać, że wyjście winno mieć charakter wyczynu. Skoro nie można już zostać pierwszym zdobywcą krateru, przynajmniej należy dokonać czegoś, co będzie niezatartym śladem działania tu ludzi o określonych zaletach ducha oraz ciała. Może to być wyjście wspinaczkowe bez pomocy liny. Droga zostaje wybrana po urwisku, kilkadziesiąt metrów ku północy od trasy zjazdu.

Sportowy duch udziela się całej ekipie, jednak wyrazić się może tylko w towarzystwie wspinaczom z odległości balkonu. Przebieg wyjścia jest filmowany. Wychynawszy z lasu, dwa kaski, jak białe ziarenka maku, pną się pasem krzaków pełznących wzdłuż ściany. Zawidzki, przepasany liną, niebawem odkrywa, że listewki, dobre dla roślin, są zbyt wąskie dla buta. Zarazem brak szczelin uniemożliwia wbicie haka. Zsuwają się krzaki, objeżdżają płaty darni i kępy porostów spadają na głowę.

Wejście się przedłuża. Patrzącym po cięciwie studni postępy wydają się małe. Na domiar wszyscy, także i wspinacze, skłonni są uważać ten odcinek za wstęp za ledwie, za dojście pod ścianę z litego, nie zarośniętego kwarcytu. Z niecierpliwością oczekują,

by się „wreszcie zaczęło”. W ten sposób ulegają osobliwemu złudzeniu: mimo iż mają przed sobą tę ścianę, wciąż działa jak zaćma na oczach, przywieziony z kraju mit o niedostępności krateru. Toteż gdy Zawidzki dociera na koniec do czystej już skały, wciska się w zacięcie, ściąga do siebie Solickiego i obaj zadzierają głowy - ogarnia ich zdumienie. Droga niemal skończona. Mają nie więcej jak trzydzieści metrów nad sobą. Zarazem język roślin, nieznacznie trawersując, wyprowadził ich nad przewieszane płyty. Strącony kamień spada niemal dwieście metrów, nim uderzy o skałę. Nadal nie ma w co wbić haka.

Na prowadzenie wychodzi Solicki. Ma do pokonania pionowy obelisk odpęknięty od ściany. Jego wierzchołek sięga już nawisu dżungli. Tadeusz Solicki atakuje krawędź graniastostupa, lecz monolityczny kwarcyt jest gładki jak odlany ze szkliwa. Cofa się i raz jeszcze próbuje: wciska się w szczelinę między obeliskiem a ścianą. Ciemnym, zarośniętym i wilgotnym kominem, wyrывая kępy roślin znad głowy, rozpierając łokcie i kolana, by nie zjechać na dół, dociera na wierzchołek bloku. Siada na czubku, już pod gałęziami wywieszającymi się z lasu, i wybiera linę, na której drugim końcu niewidzialny Zawidzki pokonuje komin. Wspinaczce towarzyszą papugi. Dwie pary a r- guacmaya - zjawiają się, nie wiadomo kiedy, zapewne powróciwszy z dżungli po śniadaniu. W pewnej chwili są wewnątrz studni, nurkują w tym jeziorze fioletu, jak czowe ryby z rozpostartymi płetwami. Ich upierzenie, oglądane z góry, układa się w półkoliste pasy coraz ciemniejszych błękitów. Szeroką spiralą schodzą w dół, ku zewom, gdy nagle spostrzegają, że nie są w studni same. Wrzeszcząc przeraźliwie, zaczynają odrabiać wysokość. Ochrypte skrzeczenie jest w zupełnej niezgodzie uchemi. W miarowym wachlowaniu skrzydeł nie ma śladu popłochu. Wznoszą się, lecąc niezmiennie parami, bok przy boku, muskając się końcami lotek i jakby związane, zataczają koła nigdy nie wychodząc z szyku. Za sobą niosą, niby pęki wstążek, swe ciężkie, wspaniałe ogony.

Gdy są znów na górze i zdaje się, że odlecą, niespodziewanie załamują tor lotu i akrobatyczną parą, przewrotem na skrzydło, ześlizgiem, znów wchodzą w spadanie, nabierają szybkości, wyrównują i tak rozpędzone raz jeszcze zaczynają spiralne, majestatyczne sływanie w pokłady fioletu. Ten widok nie pozwala oderwać spojrzenia, tyle jest w nim siły. Doskonałość, pełnia, nasycenie barwą, światłem, ruchem, ogromem, czystością i niezmiernym spokojem.

Ze szczytu obelisku Zawidzki przechodzi na ścianę. Do pokonania dwie wysokości człowieka. Po centymetrze wznosi się wśród zwisających korzeni i błota ciekącego po skale. Pod okapem nadwieszonych krzaków wbija hak w szczelinę, by móc na nim stanąć. Obwiązuje się liną, zrzuconą przez Koisara, i ubezpieczony z góry przebija się głową przez rozchwiany, drapiący kolcami i ociekający wilgocią zwał gałęzi i starego listowia. Solicki idzie w jego ślady. Po chwili dociera tam też wysłany naprzeciw Emilio Alvis i toruje im ścieżkę do obozu.

O godzinie 16.30, kiedy na balkonie trwa jeszcze zwijanie wyciągu linowego, rozlega się warkot motoru. Helikopter pojawia się nad płaskowyżem, zatacza koła w oddali, a gdy załoga dostrzega studnię, nadlatuje. Po dwu okrążeniach pilot wysuwa dłoń z okienka. Już łatwo odnajduje bazę, ląduje i stamtąd odbywa z Kuczyńskim rozmowę radiową. Dowódca załogi - porucznik pilot Richard Jose Hernandez Tovar, Grupa Powietrzna Operacji Specjalnych Numer Jeden. Kuczyński prosi o niezwłoczny przylot, wymianę Linaresa i Soriano na Pedra Aso oraz dostawę zaopatrzenia.

Już w zapadającym mroku maszyna przysiada na belkach. Wyskakują sierżanci mechanicy, Kuczyński podbiega, ściskają sobie dłonie. Richard Hernandez, nie gasząc silnika, przez okno podaje też swoją. Wyładowuje się Pedro Aso ze śpiworem pod pachą, pasażerowie wskakują - i już idą w górę.

W obozie pod drzewami pali się ognisko do późnego wieczora. Na dwie patelnie odbywa się smażenie racuchów. Około północy, gdy wszyscy już leżą w śpiworach, z kuchni dobiega szczęk menażek. Powtarza się tak uporczywie, iż wreszcie nakłania Koisara i Dygę do wyrzenia z namiotu. Rzucają saopy światła z latarek i widzą nieznane im zwierzę, o rozmiarach kota, lecz z pyskiem zaostrzonym i z zawiniętym, jakby chwytnym ogonem. Światło go nie płoszy, dopiero gdy Dyga próbuje się zbliżyć, zwierzak wydaje pomruk i niechętnie odchodzi. Kuczyński dowiaduje się o tym nie opuszczając śpiwora, sądzi zrazu, że to ostronos, lecz gdy się okazuje, że ów kręcący się jak sprężyna ogon był zupełnie nagi, nie a już wątpliwości, że chodzi o oposa.

Do Sima del Norte zejście zaczyna się z krawędzi kaionu, dokąd poprzednio wycięto już szlak w lesie. Od-ywa się powoli, gdyż Jerzy Surdel filmuje pracę mazetników i przedzieranie się ekipy w gęstwinie. Niebawem się przekonują, że jest ona najdziksza z tych, które idzieli. Pod gałęziami spoczywa ogromne zawalisko, głązy niby domy.

Pomiędzy blokami zieją czarne dziury. Pochód, za plecami Emilia rąbiącego krzaki, jest staczaniem się, zsuwaniem po roślinnym materacu, z kamienia na kamień. Szlak przecina pionowa ściana wysokości dwóch pięter. Jose Luis chwyta oburącz splezające po niej korzenie i zaczyna schodzić, zanurzając stopy w mchu okrywającym skałę. Pod jego ciężarem puszyste łaty poczynają się zwijać jak odlepiona tapeta, rozpadać a plastry i spadać. Korzenie, zbyt wątle, rwą się, prują, obsuwają, nim pękną na dobre i Jose Luis runie plecami w paprocie.

Nikt więcej nie zejdzie tym sposobem. Wyjmuje się linę. Dla czekających takie chwile postoją są czasem zyskamy na uspokojenie oddechu i na własne odkrycia: olbrzymia mrówka, z łbem jak ziarno grochu, pnie się po łodydze; przez korzeń przewija się bez końca tysiącnożyca skolopendra. Napływają zapachy, raz słodkawe-zgniłe, to znów cuchnące odory. W takiej minucie puszcza przestaje być bezkształtną masą, w błyskawicznych zbliżeniach pozwala wejrzeć w siebie.

Są w niej pierwszymi ludźmi od stworzenia świata. Zdaje się, że ta chwila pierwszego naruszenia coś powinna objawić. I objawia – doskonałą niewzruszoność przyrody wobec tego zdarzenia.

Zjeżdżają ze skały we francuskim kluczu, z liną biegnącą przez plecy, pod pachami, trzymaną oburącz. Ruszają znów dalej, przy wtórze maczet siekących zieleninę. Rozlega się okrzyk:

- Owoc! Co za owoc, panowie!
- Zerwij go!
- Jadalny?

Zejdźcie z kolejnego progu i wątpliwe spojrzenie za siebie: „Czy puściłby do góry?” Zresztą, już postanowione, że odwrót będzie się odbywał inną drogą, dnem, wzdłuż osi kanionu.

- Słuchajcie! - głos Jerzego Surdela jest pełen zdumienia. - Koliber znów mnie atakuje! Tak samo jak wczoraj. Myślałem, że to brzęczy mucha, bąk jakiś... Bzyczy, furka i zawisa przed twarzą.

Po dwugodzinnym pochodzie w dół leja i pod skalne ściany, stwierdzają, że całe podnóże cyrku jest zasypane złomami. Brak wnęk i większych szczelin, którymi można by wejść do jaskini, jeśli taka istnieje. Poszukiwanie otworów w rumowisku uznaje się za

bezczelowe. Postanowienie zapada, by z tą chwilą zakończyć badania studzien w tej części płaskowyżu i przenieść działania do jego okolic nigdy nie eksplorowanych. Schodzą na płaskie dno krateru i zrzucają plecaki z ramion. Siadają lub kładą się na omszałych kamieniach. Deszcz zaczyna padać w zielonym półmroku; nikogo to nie płoszy. Krople sączą się przez listowie, jak ciężkie zielone kamyki, wsiąkają w ubrania zmięte, poczernione błotem i smolistą sadzą startą z kory, żółkłe od roślinnych soków.. Opróżnia się puszkami z konserwami i pije przyniesioną wodę. Gdy wszyscy oswoją się z myślą, że nic tu więcej nie ma do zdziałania, opada napięcie i rodzi się nastrój beztroskiego pikniku. Tak jakby tym sposobem chciano uczcić punkt zwrotny wyprawy.

Patrzają między gałęziami na stojące w niebie różowe ściany studni.

- Właściwie - odzywa się Zawidzki - studnie to są jednak kratery! A przynajmniej coś bardzo im bliskiego... Uzasadnia swe zdanie, które w świetle zdobytej już wiedzy nie wzbudza sprzeciwów. Trzeba też oddać honor dziennikarzom, którzy jako pierwsi użyli tego określenia, wywołując burzę protestów u znawców przedmiotu. Twierdzono, że słowa „krater”, określającego otwór wylotowy wulkanu, nie można" używać w odniesieniu do studni, którymi, bez wątplenia, nigdy nie wylała się lawa. Co więcej, stan wiedzy o tym obszarze do chwili przybycia wyprawy był taki, iż żadna praca geologiczna nie wspominała nawet o działalności wulkanicznej w obrębie górnych warstw osadowych formacji Roraima. Wie dziano jedynie, że pod piaskowcami, w podłożu, leżą skały ogniowe. Są dobrze widoczne wszędzie tam, gdzie erozja zdarła całkowicie kapę Roraimy.

Po odkryciach wyprawy w dwu studniach, Sima Mefior i Sima Mayor, oraz w dwu jaskiniach, Cueva de la Cascada i Cueva Guacharos, pogląd trzeba zmienić. Roztwory hydrotermalne, tryskające z gorących głębin skorupy ziemskiej, wydostawały się nie całą powierzchnią podłoża, lecz tylko kanałami. Musiały istnieć żyły, którymi dopływał roztwór, i właśnie bezpośrednio nad nimi największa ilość płynu najgwałtowniej była włączana do szczelin w kwarcycie. Najsilniejsze było tam krążenie, największa szybkość i temperatura przepływu, a zatem i najmocniej rozpuszczające działanie roztworów na spoiwo kwarcytu.

Być może taki był początek studzien. W takim razie, jako miejsca obfitego dopływu roztworów, można by je nazwać kraterami. Co prawda, roztwory hydrotermalne to nie



lawa, lecz i one są ściśle związane ze zjawiskami wulkanicznymi. Są wytworem ich ostatniej fazy, tworzą się ze stygnącej magmy. Woda w tych roztworach jest pochodzenia nie atmosferycznego, lecz w procesie chemicznym wydziela się z lawy.

Pedro Aso słysząc, że tworzenie się studni i jaskini zostało wyjaśnione, pyta z całą prostotą:

- To dlaczego nie wracamy do domu? Otrzymuje odpowiedź:

- Nie odkryliśmy jeszcze największej jaskini piasko wcowej świata!

Ktoś wstaje z mokrego kamienia i stwierdza, że za nim las się zapada do ciemnego leja. Schodzi tam kilka metrów i wzywa towarzyszy. Przekonują się, że Studnia Północna jest głębsza, niż sądzili. W zgęstniałej zieleni twarze wydają się trupio blade. Znowu splezają ze stopnia na stopień. Do szczelin spadają kamienie, słychać, jak się tłuką coraz głębiej.

Ubrania nasiąkają nową, chłodną wilgocią. Krzaki rzednieją - im niżej w głąb leja. Wydaje się, że skały niedawno potrzaskały. Spod mchów wyzierają cienkie krawędzie, wyostrome, odpęknięcia jak brzytwy i noże.

Kuczyński skacze do ostatniej dziury i wchodzi pod leżący poziomo, jak u stropu grobowca faraonów, blok skały o gładkich płaszczyznach i rozmiarach wagonu. Staje pod nim, w krypcie, w ciemnozielonym półmroku. Wejście przegradza jak krata pięć grubych korzeni spływających z dżungli i obrośniętych mchem jak puszystymi mufkami. Biała pajęczyna wielkości koła u wozu. Powietrze nieruchome, zdaje się, nie drgnęło tutaj od stworzenia świata. Pod nogami czysty, biały piaseczek. Ziarenka - świadkowie. To one się kąpały w owych gorących roztworach, może miliard lat temu.

### **III EXPLORAR**

#### **El „Lapiaz”**

Podczas powrotu ekipy do bazy helikopter jak zwykle podpełza do lądowania od zachodu znad wklęsłości terenu. Kuczyński raz jeszcze wpatruje się w obrzeże misy, szereg wyszczerbionych skałek. Sądzi, iż mogą się tam znajdować otwory. Już nazajutrz rano organizuje szybki wypad w tamtą stronę. Wyrusza z Dyga i Koisarem. I, jak czasem się zdarza, zamiast oczekiwanego odkrycia znajdują coś niespodziewanego. W zasięgu krzyku od namiotów zjawia się przed nimi kraina, której istnienia pośród krajobrazów Ziemi nikt nie podejrzewał.

Po deszczu, jaki przeszedł o świcie, ranek jest zamglony, ale chmury topnieją i słońce rozpala metalicznym lśnieniem mokre liście bezimiennych krzewów. Schodzą przez lądowisko nasiąknięte wodą. Po kilkudziesięciu krokach ku północnemu zachodowi wkraczają na powierzchnie skalne. Idą po wielobokach, oddzielonych od siebie zczelinami i schodzącymi stopniami, jak coraz niżej ustawione klocki. Skaczą z jednego na drugi poprzez rozpadliny, z których wyrastają drzewa. Ale gdy odstępy zwiększają się, skok z plecakiem na grzbiecie i w grubych butach staje się zbyt ryzykowny. Wyszukują zwężenia. Spada szybkość pochodu. Po upływie godziny stwierdzają, że niewiele posunęli się naprzód. Znaleźli się za to pośród tablic pokrytych rządkami hieroglifów. Cienkie płyty kwarcytu sterczą ukośnie, jakby nachylone dla łatwiejszego odczytania, lub tworzą poziome stoły. Odkąd słońce roztopiło chmury, twarde, przenikliwe promienie stro podkreślają zawiły rysunek drobnych znaków na tacach. Widać, że były chemicznie trawione, są śladami działania tych samych roztworów hydrotermalnych, które utworzyły studnie. Obtłuczona młotkiem, pęka krawędź płyty i ukazuje w przekroju różową skałę, z dwu stron impregnowaną cienkimi warstewkami kwarcu.

Staje się jasne, że roztwory nie zawsze działały niszcząco, czasem przeciwnie, utwardzały powierzchnie szczelin i tak umocniona płyta wynurzała się spośród

niszczonego dokoła piaskowca. Widzą głązy z rozpostartymi skrzydłami, jak u ptaków zrywających się do lotu. Gdyby przyspieszyć bieg czasu milion razy, wynurzenie się, wyrastanie tych skrzydeł ze skały zjadanej erozją istotnie byłoby podobne do wlotu.

Trzej ludzie wciąż łapią się na tym, że próbują odczytywać hieroglify, jakby to chemiczne pismo było świadectwem nieznanego ludu na obcej planecie.

W pełnym, zimnym blasku fiołkowego nieba skały ukazują swą zwietrzelinę o barwie zgęstniałego fioletu, w cieniu są czarne jak sadza. Po kamieniach wiją się porosty, jak rozgałęzione robaki, o żółtym, chorobliwym kolorze, gdyż na tej fioletowej polewie nie może urodzić się prawdziwa zieleń. Na środku romboidalnej wyspy wyżłobiony basen, owalny, napełniony jest krystalicznym płynem, który w tym wynaturzonym krajobrazie wydaje się nie wodą, ale żrącą cieczą.

W miarę jak wznosi się słońce, nad płaskowyżem poczynają się kłębić białe i ametystowe opary. Słychać skrzek czarnych ptaków. Nieco mniejsze niż sroki, z długimi ogonami, przelatują po kilka, kryjąc się za krzakami, jakby towarzyszyły z dala oględzinom. Powietrze gęstnieje od żaru.

Zbyt szerokie rozpadliny zatrzymują pochód. Boki graniastosłupów są podobne do ścian gmachów z balkonami, i kipią na nich bogate ogródki botaniczne, pełne stłoczonych liści, niebieskich, grubych, grynszpanowych i błękitnoszarych. Rozety palemek i liście sercowate. Zgrzybiałe drzewka, schowane w załomach nie wiadomo od ilu już wieków i niezdolne wyjść nigdy z dzieciennego wzrostu, pokryte są jakąś srebrną sadzią, jakby ich poskręcane konarki były misternie odkute z metalu.

Dla badaczy w ulicach tego kamiennego miasta, pośród jego wykuszy, zaułków, tarasów, staje się jasną sprawą że taki krajobraz wyrzeźbiony w kwarcycie musi być nazwany inaczej niż „lapiaz”. „Lapiaz” - słowo, jakie się narzuciło patrzącym z helikoptera, nie jest tu właściwe i nie może być tutaj przeniesione. Odnosi się ono do powierzchni wapiennych niszczonego chemicznym działaniem wody deszczowej bogatej w dwutlenek węgla. Jasny wapień, miękki i łatwo się rozpuszczający, tworzy inne kształty. Powstają w nim rowki, wklęsłości, koliste otwory, tysiące studzienek, spływów, koryt, basenów, żłobków, rynien i rynienek. Na to, co tu się znajduje, w obrębie płaskowyżu, ktoś musi ukuć nowe określenie.

Po czterech godzinach pochód na dobre utyka, zaledwie w połowie drogi. Rozpadliny,

coraz szersze, wypełnia skłębiona dżungla tak sprężystych krzewów, iż niepodobna się przez nie przebijać. Zaś powierzchnie skalne nie są już tu nagie. Zostały opanowane przez łany Brocchinii. Zapada decyzja odwrotu. Urządza się postój na wypicie przyniesionej wody i krótki posiłek. Daje to sposobność do bliższego zapoznania się z Brocchinia, owymi liśćmi zwiniętymi w tuby, stojącymi pionowo, łanami o równej wysokości. Tkwią sztywno jak wojsko na piramidkach korzeni. Te spletają się z sobą, by łatwiej zatrzymać martwe szczątki roślinne, kamyki i pyły. Jednak chwytając za liście można unieść roślinę do góry, gdyż kwarcyt, tak jak odlew szklany, nie daje zaczepienia korzeniom. Jeśli nie zdołały wpełznąć do żadnej szczeliny, krzak można przestawiać z miejsca na miejsce, nie czyniąc mu szkody. Brocchinia może żyć bez gleby. Składniki odżywcze chwyta z deszczu lub przyswaja je wprost z atmosfery.

Wewnątrz zwiniętych liści są zbiorniki wody. Z niektórych tub wystają łodyżki zakończone modrymi kwiatkami. To nie kwiat Brocchinii, lecz obcej rośliny, która wykorzystwała naturalny wazon, aby wykiełkować. Wyciągnięta z wody, ukazuje pajęczą siateczkę korzeni i wplecione do nich przezroczyste pęcherzyki. Mają wielość groszków, są lekko spłaszczone, prześwitują pod światło i są napełnione wodą. Te małe bukłaki zapewniają niezależność modremu kwiatkowi. Gdy woda wycieknie z Brocchinii, on pije z własnego zapasu.

Ruszają z powrotem, lecz bez uczucia porażki. Z głowami pełnymi tego krajobrazu utkanego ze zgęstniałych granatów i lepkiego rózu, ze zdziwaczałych roślin, ze skał tatuowanych i udających, że mogą zerwać się do lotu.

## **El Rio Purpureo**

Całą noc z dziewiętnastego na dwudziestego lutego trwa grzmiąca ulewa i biją pioruny. Kuczyński budzi się wiele razy, słysząc bulgot strumienia. Zapala latarkę i wodzi ręką dokoła materaca. W namiocie jest sucho, lecz podłoga pulsuje - płynie pod nią rzeka. Do rana trwa bębnienie po dachu, dopiero o szarym świcie przechodzi w sianienie. Zwleka się o ósmej i w kuchni, pod dachem z plastyku, zastaje już obu Indian i Surdela, piekących placki ziemniaczane.

Zarośla są nasiąknięte, ociekają wodą. Zamienione w gąbkę, pęcznieją, rosną, parują i dyszą wilgocią. W bazie grunt jest rozkisły, strugi płyną po błocie, zatapiają chodniki z

patyków i trzciny. Z wolna schodzą się zabłoceni ludzie, mokrzy, niewyspani, zmęczeni. Na wilgotnych ubraniach pełno przylepionych nasion, zdaje się, że wykiełkują w zagięciach rękawów. Płachta plastikowa, rozłożona na ziemi i podparta kijami, jest wypełniona tysiącem litrów krystalicznej wody.

Ten i ów bierze się do mycia. Piszą listy i parzą kawę. Jest pierwsza sposobność, by z nową załogą śmigłowca omówić dalsze działania. Porucznik Richard Hernandez, dowódca, wpisuje do notesu Kuczyńskiego nazwiska swych ludzi. Zastępca: porucznik Roberto Williams Duran. Mechanicy: starszy sierżant technik Hermes Hernandez Falcón i starszy sierżant Douglas Chacón. Tkwią potem nad zdjęciem lotniczym, określając trasę lotu do dwu czarnych plamek, które, jak można przypuszczać, są dwiema nikomu nie znanymi studniami.

Surdel woła Kuczyńskiego do swego namiotu. Ten idzie bez zapachu za obóz, na ubocze, gdzie pośród łądyg Bromelii, pod skarłatym drzewem i poza zasięgiem chrapania lotników, biwakuje reżyser. Idąc, nie przerywa golenia zarostu baterijną maszynką, człapie w błocie powoli, schylając się po drodze nad krwistymi koloniami drapieżnej Drosery, nie dając się ponaglić okrzykiem Surdela.

Wtyka wreszcie głowę do jego namiotu i zostaje zmuszony do oględzin wielkiego palca u nogi.

- Stary - słyszy - widziałeś coś takiego?

- Tylko w podręczniku medycyny tropikalnej! - Odpowiada z pełnym przekonaniem.

Pęcherz na palcu Surdela, rozerwany igłą, ukazuje kłębiące się rojem białawe larwy.

- Wiem, jak to się stało! - opowiada z przejęciem zjadana żywcem ofiara. - Chyba w czasie kąpieli w rzece Erebató. Jakieś bydlę mnie nakłuło i złożyło jaja, a te raz się wykluły... Dlaczego to nie boli? W ogóle nic nie czuję! - dziwi się.

Wypala się igłą w płomieniu, palec dezynfekuje spirytusem i Surdel sam rozpoczyna operację oczyszczenia rany. Tymczasem wiadomość rozchodzi się po bazie i kto tylko brał udział w kąpielach, ściąga buty i ogląda stopy. Drugą ofiarą jest Dyga.

- Białe gniazdo - mówi - na palcu lewej nogi.

Operuje go Solicki z pomocą scyzoryka i igły. Ranki, choć głębokie, bo w każdej znajduje się kilkadziesiąt owadów, oczyszcza się bez bólu. Zresztą całe palce są jakby zdrętwiałe. Pasożytnicze larwy wydzielają substancję, która paraliżuje komórki nerwowe.

Poszkodowani nie ubolewają nad sobą. Przeciwnie, gdy rozprawiają szeroko o tym, co ich dotknęło, czynią to z pewną wyższością wyczuwalną w głosie: oto jednak zostali naznaczeni przez tropiki! Pozostali, cóż.. Powróciwszy z Amazonii do domu, będą mogli wspominać co najwyżej ukąszenia komarów.

Około południa niebo zaczyna się przejaśniać. O godzinie 14.40 grupa zwiadowcza startuje. W planie pobranie prób geologicznych z centrum płaskowyżu i dokonanie z powietrza wyboru studni, tej, w której podejmie się próbę znalezienia wejścia do wydrążonego wnętrza Sarisarinamy.

Okna wyjęto z obu stron śmigłowca i wiatr przewiewa na wylot kabinę. U obu burt zwisają ludzie z kamerami. Od Małej Studni maszyna kieruje się na południe, nad systemem głęboko wciętych rowów. Po czterech kilometrach skręca razem z nimi ku południowemu wschodowi. Po ośmiu pod brzuchem śmigłowca zjawiają się dwie studnie o kształcie ziarn fasoli, oddalone około 700 metrów jedna od drugiej.

Porucznik Hernandez kładzie helikopter na boku i okrąża otwory. Powierzchnia selwy podnosi się do pionu, pod nogami zieje pustka nieba. Wystarczy na ułamek sekundy zamknąć oczy, aby otworzywszy je nic już nie rozumieć. Podział świata na ziemię i niebo przebiega po linii pionowej. Stroma, leśna ściana stoi obok maszyny, wybite w niej okna są właśnie studniami. Pasażerowie, wtłaczani do siedzeń siłą odśrodkową, widzą, że studnie nie są tak głębokie, jak mogło się wydawać ze zdjęcia. Ich dno porośnięte jest lasem, czarne cienie kryją, być może, otwory korytarzy. Las wokół studni wydaje się rzadszy niż gdzie indziej, prześwituje w nim jakby podszycie. Mogłoby to ułatwić desant z wiszącego śmigłowca i później wyrąbanie lądowiska.

Lecą dalej ku południowi nad wklęsłą, wydłużoną doliną, zajmującą środek płaskowyżu. Obszar porośnięty lasem ustępuje miejsca nagim skałom. Pocięte są na romby głębokimi szczelinami, niby kra spękana. Na ich powierzchniach, zmytych przez ulewy, stoją, jak rzadka szczecina, żółtawe tuby Brocchinii.

Wysokie zbocza zamykają tę wewnętrzną dolinę. Spływają z nich ku środkowi masywu strumienie o czerwonej wodzie, lejące się z progów, na których spieniony nurt zmienia kolor w śnieżnobiały. Na lądowanie wybiera się najgłębsze miejsce doliny. Porucznik Hernandez sprowadza śmigłowca na dwa metry nad ziemię. Przez okna w podłodze widać mulisty teren, nasiąknięty wodą, porośły łanami „tataraku”. Ostre liście kładą się i

łamią uderzane powiewem. Na rozkaz dowódcy sierżant Chacón wyskakuje z kabiny. Bada grunt obcasem i dłońmi daje znaki, że podłoże jest niepewne. Jednak pilot postanawia spróbować. Poleca, by wszyscy opuścili pokład, odciążając maszynę. Skaczą, smagani wichurą spod łopat, na uginającą się ziemię.

Jedna płoza dotyka lekko nachylonego terenu, śmigłowiec nieznacznie się skłania, opada druga, stalowa rura jeżyna grzęznąć, wyciskając wodę, oblewa ją lepka masa. Turbina poczyna ryczeć o ton głośniejszej, natęża się wichura i płozy wyrwywają się z błota. Pada sygnał odwrotu. Ludzie wskakują do wiszącej na wysokości metra maszyny.

W tej chwili na środku tablicy kontrolnej rozjarza się czerwienią pulsujący napis: MASTER ATTENTION! Kuczyński, wciągający właśnie na głowę jeden z hełmów ze słuchawkami włączonymi do wewnętrznego obwodu komunikacyjnego, słyszy zduszone: „Carajo!” Hernandeza. „Que diablo? Roberto!” - brzmi polecenie dla drugiego pilota. Porucznik Duran pochyla się natychmiast nad podłużną tabliczką, umieszczoną poziomo między fotelami pilotów, i z twarzą oblewaną raz po raz krwawą łuną alarmowego sygnału naciska klawisze urządzenia kontroli. W tabliczce, jak czułe wiązki nerwowe, zbiegają się przewody sięgające do żywotnych mechanizmów latającej maszyny. Tam, u ich końców, umieszczone są wrażliwe czujniki, sygnalizujące zakłócenia w pracy.

-Cinturones! Pasy! - poleca dowódca. Rozlega się szcęk klamer przygważdżających pasażerów do płóciennych foteli. Upływa kilkanaście sekund, gdy palec porucznika Durana naciska wreszcie właściwą kombinację klawiszy i pośród szeregu okienek na tablicy zapala się sdnó z żółtym, podświetlonym napisem CAJA DE 90 GRADOS - PRZEKŁADNIA 90-STOPNIOWA. Informację otrzymuje porucznik Hernandez i natychmiast postanawia:

- Aterrizamos! Lądujemy!

Zdaje się, że głucha cisza zapada w huczącej kabinie. Ludzie, zamartwsi w fotelach, jakby się bali poruszeniem przyspieszyć katastrofę, starają się złowić poprzez ryk turbiny odgłos uszkodzenia. Siedzą kątem oka skalisty teren gnający pod nimi, herbaciane strumienie, małe wodospady. Spojrzenia przykuwa wciąż ten czerwony napis, to świetlne, krwawe i bezgłośnie wołanie, którego nie można wyłączyć: PILOT UWAGA!

Szybkość zwiększa bezpieczeństwo, zmniejsza ryzyko przepadnięcia maszyny w

powietrznej dziurze, więc śmigłowiec idzie koszącym lotem nad szczyrkami kwarcytu, nie dającymi najmniejszej nadziei udanego lądowania, tak są postrzępione, powygryzane lub zasłane spiętrzonymi głazami. Przy pięciometrowym wysięgu wirnika nieznaczny tylko przechył mógłby spowodować zawadzenie o kamień końcem rozpędzonej do 200 kilometrów na godzinę łopaty.

Hernandez dokonuje błyskawicznego wyboru, wstrzymuje lot maszyny, zawiesza ją na mgnienie oka i opuszcza w łożysko potoku. Płózy okrywa purpurowa woda. Kuczyński, skacząc w płytki nurt, smagany huraganem, widzi poprzez włosy siekące po twarzy, iż nie można było znaleźć lepszego miejsca lądowania. Woda rozlewa się po płaskiej płycie, na progu wodospadu. Tuż przed nosem kabiny, pod dwoma wypukłymi jak oczy ważki oknami, obrywa się metrowy próg kaskady.

Milknie dudniąca turbina, zatrzymuje się wirnik. Ciszę dzwoniącą w uszach poczyną wypełniać plusk wody. Załoga i pozostali gromadzą się przy ogonie maszyny. Tylko Surdel z buczącą kamerą krąży dookoła, jakby ten przyrząd z soczewek i metalu z niego jednego zdejmował ciężar obaw, czynił go nietykalnym, a nawet wyjmował spod tego zagrożenia, jakiemu inni podlegają. Jedyłą jego myślą jest - utrwalić sytuację zagrożenia. Mogłoby się zdawać, że tą jego tarczą, tą siłą, zdolną jego jednego ochronić, jest oczekiwanie na „materiał filmowy” osób, które go tutaj wysłały.

- Wreszcie coś się dzieje! - wykrzykuje, rozchlapując butami wodę.

Caja de 90 grados - jak dowiadują się Polacy od załogi - to przekładnia zębata, w której wałek napędowy, idący wzdłuż kadłuba, załamuje się pod kątem prostym, aby przekazać obroty silnika do ogonowego śmigielka. Jest ono jednym z tych urządzeń, bez których lot jest niemożliwy. Gdy śmigielko staje, maszyna zaczyna wirować dookoła własnej osi.

Skupiają się za plecami mechaników i stając na palcach zaglądają do otworu w kadłubie. Prostokątna blacha została wyjęta z poszycia, pod nią otwierający się wziernik pozwala stwierdzić, że w przekładni, która zbytnio się grzeje, jest dostateczna ilość oleju. Także żaden z zębów nie został wyłamany. Musiało więc, jak sądzą, wystąpić jakieś naprężenie pomiędzy zazębiającymi się kółkami, co przy wysokich obrotach powoduje rozgrzewanie się metalu.

- Powinniśmy dolecieć do bazy - uspokaja porucznik Hernandez.



Kuczyński przypomina sobie, że atest śmigłowca na dwieście godzin lotu jest niemal wyczerpany. Pozostało zaledwie kilkanaście godzin, potem maszyna musi się znaleźć w warsztatach i pilotom pod żadnym pozorem nie wolno przekroczyć limitu. Gdyby więc uszkodzenie okazało się czymś poważnym, mogłoby to oznaczać natychmiastowe zakończenie wyprawy.

Z zamknięcia załogi, spojrzeń nagle odrywających się od maszyny i błądzących po okolicy w nieświadomym jakby pożegnaniu, łatwo poznać, że ta sama myśl zaświtała im w głowach.

Kuczyński schodzi pod próg wodospadu. Widzi geologów wykuwających próby w łóżysku potoku. Zdaje mu się, że cień klęski zawisł nad wyprawą, tak jakby dotychczasowe odkrycia straciły całe swe znaczenie. Jakby Wszystko, co ma się wydarzyć, dopiero czekało w nowych studniach.

Pożegnalne spojrzenia pospiesznie omiatają ten skrat świata, dotąd nie oglądany przez ludzi. Jeziorko pod progiem pełne jest ciemnej purpury, jak musującego wina, zanurzone w nim kamienie mają kolor granatu. Naprogu, tam gdzie woda przelewa się łukiem, szorując po skale z największą szybkością, tak że nie utrzyma się kamień, przywarła dywanem podwodna roślina. Tylko cienkie łodyżki zakończone kwiatkami wystają nad wodę i tkwią w prądzie, nad połyskliwym lustrem rozpędzonej cieczy, sztywno jak szczecina.

Helikopter startuje i najkrótszą trasą zmierza do krawędzi płaskowyżu.

- Chcę mieć więcej powietrza pod sobą - krótko tłumaczy Hernandez.

Wprost znad wierzchołków drzew wyskakują w przestwór, w otchłań błękitnobiałą, nad kilometrową przepaść, gdzie zapadły w mgnieniu oka ukwiecone drzewa. Białe obłoczki fruwią jak kłębki waty bez konturów, rozłazą się, przenikają w powietrze, topnieją, jakby rozmoczone. Ich kształt można najlepiej odczytać z ich cieni na dżungli, tam, daleko w dole.

- Teraz nawet gdyby silnik stanął - wrzeszczy Kuczyńskiemu w ucho sierżant Duran - zdolamy wylądować!

Widząc pytające spojrzenie, tłumaczy:

- Jest awaryjna butla ze sprężonym powietrzem, która przez kilkanaście sekund może napędzać wirnik. To dosyć, żeby sięść łagodnie na drzewach. Aby ją uruchomić,

po trzeba kilku sekund, przy małej wysokości jest to nie możliwe, ale tutaj...

Niespodziewanie, jakby grożąc zderzeniem, obok kadłuba zawieszanej w przestworzu maszyny pojawia się skalny masyw. Gigantyczne filary z wolna przepływają w leniwym obrocie, jakby to był asteroid spotkany w kosmosie. Wzrok spada wzdłuż pionów, poprzez żółte plamy, wzdłuż wodospadów lejących się jak sznury. Jeden z nich rozbieloną smugą opada ze stopnia na stopień, po stromych tarasach. Nagle, tuż za oknem, potężna rzeka przelewa się przez krawędź, grubą, taśmowatą żyłą ścieka jak zgęstniała ciemnoczerwona melasa, rozciąga się dwustumetrowym pionem i wali w wiszący skalny kocioł pośród chmury pyłu.

Następuje pomyślne lądowanie w bazie. Wobec niepotórzenia się alarmowego sygnału załoga jest zdania, iż nie przekroczy się dopuszczalnego ryzyka, wysadzając z powietrza desant na brzegu nowej studni. Postanowienie zapada, by wobec dobrej pogody natychmiast przetrzucić na wybrane miejsce Emilia i Jose Luisa, aby rozpoczęli wycinanie lądowiska w lesie. Gdy mechanicy zmieniają olej w „skrzynce 90 stopni”, gotuje się pospiesznie obiad i przygotowuje żywność oraz ekwipunek dla grupy desantowej.

Jose Luis uczy się obsługi radiotelefonu. Łączność ma być nawiązywana o każdej parzystej godzinie. - Nie mamy zegarka - przypomina Jose. Solicki biegnie do namiotu, przynosi i wręcza mu swoją „cebule” po dziadku, zegar w srebrnej kopercie, z rzymskimi cyframi. Otrzymują też apteczkę ze szczególnym zwróceniem uwagi na hemostatyn w aerozolu, środek eatrzymujący silne krwawienie. To na wypadek zranienia siekierą lub maczetą. Oxycort, przy drobnych zadrapaniach, ma chronić przed infekcjami bakteryjnymi i wirusowymi, pospolitymi w tropikalnym lesie.

Porucznik Hernandez prosi, by prócz obu Indian leciała tylko jedna osoba dla asekurowania ich z góry. Zejście po drabince do lasu może się odbyć tylko przy nieruchomym zawiśnięciu maszyny, a to wymaga szczególnie wyjątkowej pracy zespołów napędowych. Wobec groźby uszkodzenia ciężar helikoptera i czas operacji powinny być skrócone do minimum. Kuczyński chce sam lecieć, Jednak ustępuje miejsca Linaresowi, gdy ten, podniecony, w hałasie silnika, gdy piloci wzywają już do wsiadania, a Indianie są na pokładzie, gorąco prosi o danie mu ostatniej już sposobności działania. On bowiem, Soriano i Aso, mają być lada dzień zastąpieni przez

kolejną zmianę i nie wezmą udziału w badaniu nowej studni.

Omar Linares wskakuje do kabiny. Świst łopaty mielącej powietrze zmienia się w przeciągłe wycie, drgają płozy zanurzone w błocie, odchylają się .krzaki. Kuczyński łowi jeszcze pożegnalne spojrzenie pierwszego pilota, rzucone przez boczną szybę, i uświadamia sobie, że porucznik Hernandez właściwie nie został dokładnie objaśniony, przy której z dwu sąsiadujących studni ma wysadzić ludzi. Sarn nie zapytał o to, gdyż zapewne podczas omawiania celów uznał, iż jest to wyjaśnione. Jednak Kuczyński nie ma żadnej pewności, iż zdanie porucznika pokrywa się z jego własnym. Mógłby jeszcze zrobić ruch ręką, powstrzymując maszynę, i nie czyni tego. Zdaje sobie sprawę, iż wszelkie przewidywania oparte na obserwacji z powietrza nie mają większego znaczenia tu, gdzie chodzi o znalezienie pod skałami otworu, może nie większego od średnicy ludzkiego ciała, mogącego przepuścić do poszukiwanych podziemnych przestrzeni.

Tak pozostawia wybór jakby przypadkowi, mając nadzieję, iż porucznik Hernandez będzie narzędziem szczęśliwego losu. Maszyna startuje, a gdy znika za lesistym grzbietem, nie można nic już zmienić. Nie można też odwołać Linaresa, choć jego wysłanie wydaje się coraz bardziej jaskrawą nierozwagą. Wiadomo, że jest początkujący w sztuce posługiwania się liną. Pozostaje czekanie.

Obliczają czas: dolot i powrót - po pięć minut w każdą stronę, zejście po drabince - dziesięć, opuszczanie bagażu - pięć, razem - dwadzieścia pięć minut. Gdy mija pół godziny i zza wzgórza nie słychać warkotu, sierżant Chacón, pozostawiony przez dowódcę na ziemi dla odciążenia maszyny, wstaje z beczki po paliwie, na której dotąd siedział wpatrzony w horyzont, wbija ręce do kieszeni i spluwa w kałużę z odcisniętymi śladami płóz.

Jednak powracają. Płozy grzęzną w swej bezpiecznej kałuży. Hernandez wyłączając kontakty tylko kręci głową.

- Znowu coś się psuło - mówi wysiadając.

- Bo zejście trwało za długo - dorzuca Duran, zastępca.

Ruszają z lądowiska wzwyż zбочa do obozu, człapiąc butami w błocie.

- Zostało coś anyżówki? - pytają. - Trzeba łyknąć po tym...

Pod dachem jadalni pojawia się butelka ulubionego przez wenezuelskich pilotów

likieru „Anis”, cuchnącego słodkim alkoholem i anyżem, a zamówionego przez załogę jeszcze w Caracas. Zaczynają mówić:

- Zawisnęliśmy przy zachodniej studni, możliwie blisko brzegu. Źle rzucono sznurową drabinę...

Piloci widzieli przez okna pod stopami, jak kłęb szczebli wpada w koronę drzewa. Należało opuszczać ją rozwiniętą. Potem dopiero Indianie zaczęli wiązać się do liny ubezpieczającej i trwało to zbyt długo. Emilio zszedł dziesięć metrów do drzewa, potem długo walczył z kłębem gałęzi i szczebli, nim je zrzucił niżej. Wreszcie przeszedł na drzewo i po pniu na ziemię. Kiedy już tam stanął, znów zbyt długo trwało wyciąganie liny i opuszczanie Jose Luisa. Wiatr nieco przesunął helikopter i drabina ponownie się wplątała w konary. Gdy był wreszcie na ziemi i zaczęto opuszczać bagaże, nastąpiły zakłócenia w pracy silnika. Przy najwyższych obrotach, jakie są niezbędne dla nieruchomego utrzymania helikoptera, jakieś drobne zanieczyszczenia przytknęły nieco filtr paliwa i pompa zaczęła podawać zmniejszony strumień płynu. Spadły od razu obroty i maszyna zaczęła przepadać. Aby się utrzymać w powietrzu, musiała odlecieć, bowiem ruch do przodu wytwarza podtrzymującą poduszkę powietrza pod wirnikiem. Natychmiast zrzuciono linę z uwiązany plecakiem, a potem, w trakcie dwóch kolejnych nalotów, już bez liny, bombardowano dżunglę namiotem, workiem z żywnością, zapominając w końcu o bańce z paliwem.

- Z tym nie ma kłopotu - przypomina Zawidzki - napełniłem im zbiornik prymusa. Zresztą mogą palić ogisko. O godzinie osiemnastej, gdy słońce już zachodzi, przez dwadzieścia minut wywołuje się radiotelefonem Jose Luisa, lecz ten się nie odzywa. Kuczyński. zapędza Omara Linaresa do ugotowania ryżu. Polacy gromadzą się w namiocie i omawiają wyniki rozmowy z załogą. Rano mechanicy oczyszczą filtr paliwa, po czym w dwu lotach przerzuci się ekipę do nowej studni. Należy liczyć się z tym, że lądowisko jeszcze nie będzie gotowe i przygotować się do zjazdu po linie. Następnie śmigłowiec odleci do Cacuri, by wymienić grupę wenezuelską.

Gdy w dalszym ciągu narady omawia się nad zdjęciem lotniczym przebieg dokonanego tego dnia wywiadu, geolodzy nie ukrywają swych nie najlepszych rokowań. Sądzą, iż studnie są zbyt płytkie, by się w nich spodziewać wejść do korytarzy. Zresztą, ich zdaniem, charakter poznanych już jaskiń, a także kwarcytowego „lapiazu”, powinny

wykluczać istnienie wielkich próżni podziemnych. Ludzie są już nieco znużeni, znęcani wilgocią i zmęczeni obcowaniem z sobą. Planowana operacja ma być ostatnią na płaskowyżu; studnie muszą być zbadane i cztery do pięciu dni trzeba na to przeznaczyć. Natychmiast potem nastąpi likwidacja bazy i przez Cacuri lot do Manapiare, gdzie ma się znajdować dziewicza jaskinia z ośmiusetmetrowym przepływem rzeki. Tak więc, po raz pierwszy od przybycia na płaskowyż, zachętę do działania czerpie się z nadziei bliskiego odwrotu i przeniesienia wyprawy na inny teren.

Jednak i bez tego nastroje się ożywiają, gdy przychodzi do omówienia akcji na dzień następny i desantu z powietrza. Jak w pierwszych dniach wyprawy, przez namiot przechodzi znowu dreszcz oczekiwania.

Wszystko deszcz zatapia. Ulewa zaczyna się ze zmrokiem, a razem z bulgotem wody lejącej się z nieba i ciemnościami, do głów wsączają się drobne obozowe sprawy, małe niepowodzenia i ciche urazy. Polacy i Wenezuelezycy gromadzą się wokół lampy benzynowej Colemana pod dachem jadalni. Płachty nad głowami grzmia pod gradem kropel, zagłuszając rozmowy. Strumień, lejący się z dachu, w ciągu pół godziny napełnia deszczówką 150-litrową beczkę plastikową. Pod stołami i ławami woda płynie jednolitą falą i poczyną zatapiać pomosty z gałęzi, na których opiera się buty.

Paweł Zawidzki przetyka i czyści prymusy. Bernard Koisar wydobywa zatopione w smalcu ostatnie kabanosy, polewa je wrzątkiem i oskrobuje z zielonawej pleśni. Smaży się banany w plasterkach i podaje z ryżem Lina-resa.

Przy jedzeniu zaczyna się nalot nocnych motyli, które w pogodnej nocy niezbyt licznie dawały się zwabić światłem lampy. Teraz, w ucieczce przed wodą, zbierają się chmurami, wirując przesłaniają lampę i obsiadają puszystym podbiciem płótno dachu. Dyga łowi kolekcją do zatruwaczki z cyjankali. Pozostali, tonąc w roju trzepocących owadów, też dają się pochłonać jego niezwykłościom. Śledząc i tropiąc dziwactwa i odmiany, przekonują się, że obok nich, w tym lesie, nie zauważona dotąd, żyje złożona społeczność, bujna i ciekawa, warta wysiłków badawczych nie mniej niż jaskinie.

Odkrywają ćmy z błyszczącymi jak bryłki złota oczami, inne ze świecącymi jak pomarańczowe żaróweczki. Są anteny tak rozbudowane, że sterczą przed głową jak para odatkowych skrzydełek. Są ćmy małe jak mole, a obok ich wielkie jak dwie dłonie. Ubarwione całą gamą kolorów i maskującymi wzorami. Jest taka, której skrzydła są

porośnięte jakby zielonym mchem, inna podobna do zeschniętego i żółtego liścia, jeszcze inna jak czerwony listek z żyłkami lub nierówna, kostropata i postrzępiona jak kawałek kory. Niektóre mają na skrzydłach i grzbiecie rysunek ptasich wytrzeszczonych oczu. I jest wreszcie aka, u której pomysłowość przyrody pobiła dotychczasowe sposoby oszukiwania napastników. W tło jej szarych skrzydełek, nie rzucających się w oczy, wrysowana jest druga ćma, jaskrawa, czerwonożółta, mniejsza o połowę, z głową odwróconą w kierunku odwłoku, a więc ku tej części ciała nosicielki obrazu, która jest mniej czuła na ataki aniżeli głowa.

O kilka kroków dalej, przy kuchennym stole, sierżant Chacón sięga po jeden z kanistrów, napełnia czajnik, wrzuca od razu herbatę i stawia na prymusie. Po kilku sekundach z dziobka ukazuje się płomień. Chacón go zdmuchuje, lecz płomień jest już znowu. Rozbawiony woła:

- Patrzcie!

Zebrani przy stole widzą, jak w ich oczach płomień się wydłuża. Machanie ścierką niewiele pomaga.. Na pomoc i rusza Solicki. Zatyka dziobek szmatą, ale gdy ją cofa, płomień znów wyskakuje. Powtarza próbę. Płomień wraca, długi już na pół metra.

- Panowie, czajnik się pali - mówi zdziwiony, ale ze spokojem.

Wreszcie, gdy hucząca smuga ognia tryskająca z dziobka sięga plastikowego dachu. Solicki tłumi ją szmatą i zakręca płomień pod czajnikiem. Ogień gaśnie od razu. Zdejmuje pokrywkę. Czajnik pełen jest wrzącej benzyny.

Po herbacie Wenezuelczycy zaczynają śpiewy, część Polaków pisze listy, by je oddać odlatującej wkrótce zmianie. Koisar rusza do namiotu, by sobie przygotować spanie. Zastaje rozpaczliwą powódź. Rzeka płynie pod podłogą, a jedna jej odnoga - po niej, w miejscu gdzie chciał rozłożyć materac. Łowi rozmoczone zdjęcia, książeczkę szczepień Solickiego, pływający notatnik. Próbuje okopać namiot i obniżyć poziom wody przynajmniej na tyle, by woda nie zalewała mu materaca. Przy latarce, w deszczu, kopie łopata pod uniesioną podłogą namiotu, trzymając ją na głowie. Od stóp do głów ochlapany błotem, chce wezwać pomocy, ale wielokrotne wołanie zostaje bez echa. Śpiewający nie bardzo wiedzą, o co chodzi. Koisar, wściekły na pozostałych mieszkańców namiotu, bierze pod pachę śpiwór i w jadalni, przy stole, układa się na ławce z tyczek. Jej dwudziestocentymetrowa szerokość wystarcza za ledwie na

podparcie pleców między łopatkami. Jest tu jednak sucho.

O 21.00 obóz pustoszeje i cichnie. Ekipa znika w namiotach. Kuczyński jeszcze próbuje wywoływać co pół godziny Jose Luisa, ale bezskutecznie. Indianie śpią zapewne głęboko po dniu pełnym wrażeń. Pojawia się Solicki i spomiędzy kuchennych garnków wydobywa ocalałego jeszcze ananasa. Wcinają go z Koisarem. Walczą z komarami, słuchają wiadomości radiowych. W wyniku trzęsienia ziemi w Gwatemali - 17 tysięcy zabitych. W Caracas policja zabiła dwu studentów, zajęcia na uczelniach wstrzymane. W Kolumbii publiczne samospalenie trzech studentów, jako wyraz sprzeciwu wobec polityki USA. Od stacyjki meteo człapie jeszcze Pedro Aso. Okryty peleryną, wyłania się z deszczu. Temperatura gruntu 18°C. Najwyższa w dzień wynosiła aż 27°C.

„Dear Mr. X...” - Kuczyński, oczyściwszy swój namiot z komarów, zabiera się do listu, który z czystym sumieniem mógł napisać już od chwili powrotu grupy z dna Wielkiej Studni. „Niestety, pochodzenie kraterów jest całkiem wyjaśnione i w zupełnej niezgodzie z wysuniętą przez Pana hipotezą. Niestety, gdyż jej potwierdzenie otworzyłoby może nieoczekiwane horyzonty przed nami. Tymczasem jednak wciąż się okazuje, tak jak i tym razem, że to, co najcudowniejsze i godne najbardziej uwagi badaczy, zostało stworzone jednak przez siły przyrody, bez świadomego udziału myślącej istoty”.

### **Sima de la Lluvia**

Dwudziestego pierwszego lutego, o godzinie 16.00, lecąc wąską szczeliną między wierzchołkami drzew a niskimi chmurami, rwąc strzępy oparu, helikopter dociera nad studnię. Okrąża w głębokim przechyle półkole skalnej ściany, płat selwy wdeptany kilkadziesiąt metrów, jak stopą olbrzyma. Jest wyrąb pod kadłubem! Powalone pnie i kiście gałęzi leżące w jedną stronę. Posrod nich tratwa selwy - kwadrat ułożony z bali. Ale ściana lasu jest zbyt blisko niego, aby helikopter mógł tam wylądować.

Hernandez powtórnie naprowadza maszynę, zatrzymuje w powietrzu, dwadzieścia metrów nad pomostem i daje znak dłonią. Lina spada na dół. Paweł Zawidzki już w uprząży zjazdowej, zapina tylko rolki Petzla na linie i wychodzi na płożę. Jerzy Surdel, klęcząc w otwartych drzwiach, wychyla się za nim z kamerą. Zawidzki maleje spadając, wbija się w drzewka i szamoce z liną. Z wysokości maszyny widać Emilia, jak wychynął

z lasu i biegnie z maczetą, pnie się przez krzaki i zwalone hałdy gałęzi, przewraca. Dopiero teraz można poznać, jak nierówny jest ten teren, który oglądany wprost z góry wydaje się gładką polaną. Emilio dopada Pawła, pomaga mu znaleźć oparcie i uwolnić się od liny.

Nie wyciągając jej na pokład, Kuczyński zawiązuje pętlę, zapina na niej karabinek, na nim wiesza worek i wyrzuca za burtę, hamując dwukrotnym owinięciem liny wokół jakiejś rury. Opuszczają z sierżantem Chaconena bęben, jeden, drugi i znowu dwa wory. Konieczne jest już podciąganie opuszczanej liny.

Kątem oka łowią nerwowe ruchy pilotów, odwróconych tyłem i pochylonych ku sobie nad tablicą wskaźników. Hernandez raz po raz ogląda się i patrzy na zegarek. To już siedem minut. Nie widać wyrazu jego twarzy, przesłoniętej kaskiem z mikrofonem, tylko brwi ściągnięte na czole. Helikopter kołysze się w miejscu, miękko, jakby zawieszony na gumie. Ostatni wór spada niemal nie powstrzymywany.

- Szykuj się! - krzyczy Kuczyński do Surdela. Ten wiesza kamerę na ramieniu i wpycha linę do swych rąk- lek zjazdowych, klęka i schodzi na płożę. Kuczyński wy chyla się za nim w strudze huraganu bijącego z góry. Widzi, że helikopter poczyną lekko dryfować. Lądowisko na trawie z bali przesuwą się w stronę ogona. Zawidzki ciągnie w bok koniec liny, by pomóc Surdelowi ominąć gałęzie. Potem będzie opowiadał, iż mu się zdawało, że mocniejszym pociągnięciem mógłby cofnąć helikopter do tyłu.

Gdy lina jest znów wolna, Kuczyński cofa się do kabiny i zakłada swój przyrząd zjazdowy. W tej chwili na tablicy kontrolnej, między pilotami, zaczyna pulsować złowrogą purpurą ów napis MASTER ATTENTION!

- Przerwać zjazd! - rozkazuje Hernandez. - Muszę natychmiast lądować, wracamy do bazy!

W ułamku sekundy Kuczyński pojmuje, że to może oznaczać zupełny koniec eksploracji. Jeśli inny śmigłowiec przyleci, by zabrać wysadzoną grupę, nie będzie już mowy o dalszych badaniach. Za wszelką cenę trzeba zrobić to, co jeszcze możliwe. Nie ma czasu na namysły, jednak podświadomie czuje, że nie może porzucić tych tam w dole ich własnemu losowi, musi zostać z nimi.

- Trzy sekundy! - krzyczy poprzez ryk dławiącego się silnika i nie zważając na nic skacze.



Szarpięcie liny. Tornado spada mu na głowę. Rozszalałe powietrze biczuje twarz włosami i targa ubranie. Oddala się ryk turbiny, rośnie w uszach gwizd rolek, w nozdrza uderza swąd palonych nylonowych splotów. Uderzenie gałęzi, liście zamykają się nad głową. Upada na plecy i nie próbując się podnosić, parząc palce, wypina z rozgrzanych rolek linę.

Teraz dopiero dostrzega Surdela mocującego się z kamerą; Emilia znoszącego worki na pomost i zdziwionego Zawidzkiego z luźnym końcem liny w dłoni. Zrywa się i podnosi oczy ku maszynie, wciąż wiszącej nad nimi. Widzi twarz Chaveza wychyloną z kadłuba. Daje mu znak ręką, by wyciągał linę, by odlatywali, lecz maszyna wciąż jeszcze tam wisi. Nagle lina spada odwiązana, choć miała służyć do desantu drugiej grupie!

Śmigłowiec odlatuje koszącym lotem ponad wierzchołkami, znika i cichnie w oddali. Kuczyński stoi na zwale gałęzi i z otwartymi ustami nadśluchuje, czy krótki grzmot nie nadbiegnie zza lasu. Po chwili dopiero objaśnia, co się stało. Po kilkunastu minutach próbują nawiązać kontakt z bazą, ale radio milczy.

- Nasze też nie pracowało! - przypomina Emilio. Teraz staje się jasne, że pomimo odległości zaledwie ośmiokilometrowej łączności nie będzie. Sądzą, iż winien jest poprzeczny grzbiet skalny, który ekranuje fale. Zaczynają się kwadransy oczekiwania na przyłot maszyny. Ale ta nie wraca.

Dokoła cisza dziewiczego lasu. Kwilenie i poskrzekiwanie obojętnych ptaków. Ściana drzew i pnączy wokół polanki wyciętej maczetami. Słońce przedziera się jakąś szparą i rozjaśnia mglisty obraz, nalewając go ciepłem i spokojem przedwieczoru. Tym ciemniejsze są jednak niebieskie chmury wiszące nad drzewami. Stawia się daszek plastikowy na tykach. Trzej ludzie, przeniesieni nagle z gwarnego obozu, poczynają organizować swe życie z uczuciem, iż są rozbitkami. Jerzy Surdel rozpala ognisko z patyków. Kuczyński, stojąc na tratwie z drągów, bez skutku ponawia wezwania radiowe. Śmigłowca też nie słychać. Bierze więc Jose Luisa i rusza z nim w stronę wyższego terenu, by założyć obóz. Pną się na skarpę przez krzaki, wciągają po korzeniach i zwalają sobie na głowy mokre poduchy mchu. Liście i próchnica sypią się za koszule, nogi wpadają w dziury po pachwinę, ubranie przemaka, nasiąknięte paprocie lepią się do twarzy.

Jose zaczyna ciąć i wykrawa sklepioną jaskinię na dnie broczącego kroplami lasu.

Udeptują gnące się podłoże. Brunatnozielone ściany tej pieczary to zbity materac liści, kory, pnączy, gąbczastych narośli, omszałych bród. Zwisa skądś bulwiaste kłacze storczyka z pojedynczym zielonym kwiatem, sypią się jakieś białe płatki, długonogie owady spadają na szyję. Dołącza Emilio i swą wielką maczetą docina kikuty, potem zaczyna jeszcze siec dno lasu. Nie wiadomo, gdzie jest właściwe podłoże. Kroci i przecina warstwy brązowych liści. To one właśnie dają czerwony kolor wodzie. Ostrze warczy tępo po korzeniach, gdzieś zadźwięczał kamień. Wreszcie stawiają namiot i wracają na polanę.

Zapada zmrok, nie ma już nadziei, by śmigłowiec wrócił. Mgły wypełzają z lasu i niżej osiadają ponure obłoki. Ludzie gromadzą się przy pełgającym płomyku, na pomoście z bali. W morzu drzew ów prostokąt z drągów to jedyny ratunek, miejsce ucieczki dla rozbitków, nie wolno im stąd odejść. Piechotą niepodobna opuścić płaskowyżu. Gdy zapada cisza, słychać szum wodospadu, gdzieś od strony studni. Zjawiają się komary. Indianie, wypiwszy herbatę, znikają w swoim małym namiocie, rozpiętym pod wykrotem. Polacy jeszcze siedzą, zastanawiają się nad powodem zniknięcia maszyny. Czy ciężka awaria, czy doleciał do bazy? Może nie wrócił tylko z powodu niskiego pułapu?

Gdy ustaje rozmowa, dokoła tratwy oświetlonej ogniem słychać, jak trzeszczą i strzelają gałęzie. Świeże wyrąbi-sko układa się i osiada. Pękają przygniecione gałązki, pękają i skrzypią odcięte konary. Płat dżungli, powalony pokotem, niespodziewanie napadnięty, podcięty ostrzami i poćwiartowany - pierwszy raz po tysiącwiekowym trwaniu. Cięte rany na korze jak zraniona skóra podbiegają fioletem. Z przekrojonych słoików odrąbanego różowego drewna wysączają się rubinowe krople. Obok cienki pień wylewa z obciętych kikutów białe mleczko kauczukowe. Wybroczyna krzepnie, ciągnie się i lepi. W masie posiekanych roślin słychać szepty, jęklive skrzypienie i tłumione westchnienia. Dopiero deszcz je głuszy.

Zaczyna siec płachtę plastikową. Pod jej krawędzią, na ziemi, w dołku między kamieniami, zostaje ułożona druga i z dachu spływa do niej strumień. Wkrótce zbiera się kilkudniowy zapas. Gdy deszcz nieco ustaje, w zupełnych już ciemnościach, świecąc latarkami, wspinają się a skarpę i wpełzają do namiotu. Pod ciężarem ludzi podłoże jeszcze osiada i wyłaniają się z niego korzenie. Wypychają podłogę namiotu, ale nikomu nie chce się już o nich dostawać, podcinać, stawiać namiot na nowo. Kładają się bok

przy boku, w poprzek, pod biodrami materacyk piankowy, pod ramionami śpiwór Pawła Zawidzkiego, jedyny, gdyż pozostałe osobiste bagaże miały być dostarczone w drugim, nie odbytym locie. Pod głowami zwinięte worki i części ubrania. Nakrywają się małym namiotem. Jego sztywna plastikowa podłoga szeleści jak papier. Gdy już zasypiają, za siatką moskitiery rozlega się brzęczenie skłębionych komarów, usiłujących pokonać przeszkodę. - Krwiożercze... - mruczy Surdel.

Niepewność co do losu załogi śmigłowca, poczucie odcięcia od świata i jakby oblężenia w samotnym namiocie, niewygody sprawiają, że trzech ludzi usypia z lekkim uciskiem w piersiach, śpią w wilgotnych ubraniach, lepiących się do ciała. W nocy korzenie coraz bardziej uwierają, wciskają się pod potylicę, jak japońska podpórka, biodra grzęzną w dołku, zmuszając do trwania w nie zmienionej pozycji. Deszcz bębni o płótno nad ranem. O świcie ustaje.

Ranek jest pochmurny. Schodzą się na pomoście i gotują na ogniu śniadanie. Bańka z benzyną też została w bazie.

- Teraz sami widzicie - zauważa Kuczyński - przygody mają tylko ci, co je sami zawinili! Nie trzeba było lecieć z niekompletnym ładunkiem, choć to tylko osiem kilometrów.

Są jednak zapałki i duży zapas żywności. Po płatkach owsianych na mleku, Emilio i Jose Luis już nie czekają na herbatę i odchodzą w krzaki z narzędziami. Rozlega się kilkanaście uderzeń siekiery, po czym pas lasu przewraca się jak rażony piorunem. Jedno drzewo pada na drugie, już podcięte, i zwała je swoim ciężarem. Pięćdziesięciometrowy pas dżungli składa się tak łatwo jak domek z kart. Pogoda jest słoneczna i helikopter może się zjawić lada chwila. Zostało tylko jedno wielkie drzewo, górujące nad lądowiskiem i broniące dostępu do niego. Jest stare i omszałe, ubrane w epifity, dźwigające na ramionach napowietrzne ogrody. Z konarów zwisają urwane liany i strzępy powojów, resztki więzów, które jeszcze wczoraj łączyły drzewo ze wspólnym ciałem lasu.

Przyjmuje się zakłady, gdzie drzewo upadnie. Nachylone w stronę lądowiska, musi runąć, jak się wydaje, na ów pomost z drągów. Emilio pokazuje przeciwny kierunek, lecz to musiałoby zaprzeczyć zasadom fizyki. Obaj Indianie długo rąbią siekierami. Czerwone drewno zaledwie odpryskuje, dźwięczy stalowym odgłosem i twardo odbija

ostrza. Zaczyna broczyć krwawym sokiem z rany. Krople pryskają w twarze drwali. Emilio podpira pień zaostrzonym drągiem. Znów rąbią, nagle rozlega się trzeszczenie. Z korony zrywa się para ptaków i odlatuje w popłochu. Jose Luis rzuca swą siekierę i skacząc jak zając umyka na bok. Tam gdzie stał, wali się podpora. Olbrzym chwieje się, skręca, drży, szumi gałęziami, dokonuje obrotu, jak pchany niewidzialną dłonią, i pada w przeciwną stronę, niż był pochylony. Lądowisko otwarte.

Do południa trwa poszukiwanie drogi zejściowej do studni. Karczowisko dosięga krawędzi i od tej strony otwiera się rozległe pole dolotu dla śmigłowca. Teren ku studni opada lejąco, umyka gdzieś w głąb pod zwalone drzewa. Zawidzki, Surdel i Kuczyński opuszczają się połamszonych konarach, wśród obwisłych już liści, przebijają przez warstwy dogorywającego lasu, pośród obrazu zniszczenia, wśród mrówek szukających gorączkowo swych ścieżek na korze, termitów pospiesznie łątających dziury w zmiżdżonych pniach. Lazurkowe ważki siadają przy krwawych kroplach żywicy.

Stromy próg, raczej rynna, wycięta już w skale, wyprowadza w ścianę studni. Dalej niepodobna schodzić. Zjazd z jedyną posiadaną liną też nie jest możliwy. Ruszają wzdłuż brzegu ku południowi. Potężny blok skalny odstrzelony od ściany studni. Za nim powstał wąwozek wypełniony szczątkami roślin. Schodzą do niego. Pod okapem piaskowca, na wyschniętej ziemi, odcisk wielkiej łapy. - Kot! - woła Surdel.

Ale ślad to tylko przypadkowo ułożone kilkakrotne odbicie stopy małego zwierzątka. Widać wydeptaną ścieżkę, mech zdarty przy wejściu do niedużej norki. Wąwozek wisi nad przepaścią. Tu też zejścia nie ma.

Wracają do obozu. Indianie docinają już ostatnie drzewa. Gotuje się obiad. Chmury wiszą nisko, dotykają wierzchołków lasu. Nie ma warunków do lotu. Kuczyński z Zawidzkim biorą linę i ruszają dokoła studni, ku jej wschodniemu obrzeżu. Na zmianę wycinają maczetą szczelinę w gęstwinie i w kilku miejscach starają się dotrzeć do krawędzi. Wciąż jest zbyt wysoko, a spod kożucha lasu zlewają się do studni strugi wody. Dalej okrążają łukiem, przebijając się po butwiejących zwałach, pomostach martwych roślin i spiętrzeniach korzeni. Czasem tylko w głębokich wykrotach, stopa dotyka twardego podłoża. Przechodzą po leżących pniach, wycinają bramy w kotarach mchów wiszących na plecionkach pnączy. Drzewa są coraz wyższe. Tam gdzie więcej światła dociera na dno lasu, w podszyciu pojawiają się szablaste liście „tataraku”.

Nieoczekiwanie puszcza się deszcz. Słysząc nad głowami jego grzmiący odgłos, gdy wali się, spada, leje na sklepienie lasu. Kuczyński dostrzega skośny pień, ruszają, by się pod nim schować, nim dosięgnie ich woda. Po drodze cienkie, poziome pręty jakichś zbytnio wybijałych drzewek, które w końcu nie mogły unieść własnego ciężaru i zgięły się ku ziemi. Chcąc nie chcąc, wchodzą na nie i kroczą jak po chwiejnych szczeblach do upatrzonego schronienia, gdy liście w górze puszczaają i ulewa spada na głowy. Od razu twarze są zalane, zimne strugi biegną po ciele. Jakaś gałązka się odgina, uderza Zawidzkiego po twarzy i łamie mu okulary w miejscu naprawianego już wielokrotnie spojenia. Zawidzki chwytą tę połowę, która szczęśliwie zawisała na uchu, lecz druga znika bez śladu. Ma tubkę kleju w kieszeni, ale na razie nie ma czego sklejać. Kuczyński stoi krok za nim, na uginających się tykach, z trudem zachowując równowagę.

- Tylko nie schodź! - woła, uprzedzając ruch nogi Zawidzkiego.

Pod nimi dwa lub trzy metry gąszczu, płatanina gałązek, liści, chrustu, witek, korzeni. Jeśli się poruszą i okulary spadną gdzieś w głąb, nikt ich już nie odszuka. Tkwią więc obaj zawieszeni jak papugi na drążkach. Woda leje się po nich. Kuczyński schylony, nie bacząc na strumienie spływające z nosa, brody i uszu, świdruje wzrokiem gęstwinę pod sobą. Gdy już traci nadzieję i prostuje się, nagle je dostrzega: wiszą na gałązce, tuż nad głową Zawidzkiego!

Robią skok naprzód, pod drzewo. Okazuje się nieco za małe. Ulewa przybiera na sile, wydaje się, że to oberwanie chmury. Zalewa strumieniami, przemacza, obrzuca liśćmi i korą. Stoją pod pnem jak w huczącym wodospadzie. Ponure ciemności nie dają żadnej nadziei na poprawę. Nie ma co przeczekiwać. Ruszają z powrotem zachłystując się deszczem. Brną przez podwodne zarośla, przez pulpę ukwiałów. Fontanny tryskają z butów.

Wpadają pod dach kuchenny. Jerzy Surdel zdołał już rozpalić ogień. Rozbierają się i suszą spodnie i koszule. Niczego więcej nie mają do spania. Trwa to długo, drzewo rozpala się z trudem. Wciąż leje. Zarośla dokoła huczają od ulewy. Dym kłębi się pod dachem, szczypie w oczy i zatyka oddech, ale impregnuje skórę przeciwko komarom. Ustaje dopiero o 23.00. Mokrym tunelem po wykrotach ruszają do namiotu. Ciemności są smoliste. W promieniu latarki pojedyncze, błyszczące wodą liście wychylają się z mroku jak plastikowe dekoracje. Bez światła znalezienie drogi byłoby całkiem

niemożliwe.

Po zaciągnięciu moskitiery znów rusza straszliwa ulewa. Bębni, rżnie, rąbie całą noc, do świtu. Jest tak głośna, że nie pozwala spać, ogłusza i wstrząsa nerwami, tłucze dżunglę i szarpie namiotem.

Dwudziestego trzeciego lutego, około południa, kiedy deszcz ustaje i słońce zaczyna przygrzewać, Kuczyński rusza z Zawidzkim i Emiliem Alvaro, przetartą już ścieżką. Jerzy Surdel zostaje na lądowisku, by porozumieć się z załogą, gdyby przyleciał helikopter. Brzeg studni zostaje osiągnięty w miejscu, gdzie spada do niej wodospad. Widać stąd wierzchołki drzew w dole. Głębokość nie przekracza kilkudziesięciu metrów. Widać też, wzdłuż długiej osi, przeciwległą ścianę, nadwieszoną okapem.

Ruszają dalej, ku wschodowi, stwierdzając, że odtąd z każdym metrem ściana się obniża. Gdy na wysokości oczu mają już wierzchołki drzew rosnących na dnie, poczynają się tam zsuwać, wciąż za Emiliem, rąbiącym maczetą. Bez potrzeby rozwijania liny, zjeżdżają po pniach i korzeniach.

Stają na dole, między ścianą a odpęknętym od niej głazem. Sączy się tam migocący strumyk, różowieje naga skała. Wysoki most ze zwalonego pnia dźwiga wiszący gród. Dociera tu promyk słońca, jasna smuga budząca lśnienia na liściach i kamieniach. Patrzą na ten romantyczny obrazek, na delikatne paprocie i korzenie ubrane w mufki mchu, myśląc o tym, że ów zakątek po raz pierwszy gości istoty zdolne go opisać. Schodzą dalej, w stronę dna studni, trzymając się różowej ściany. Wodospad. Obchodzą go dokoła i podnoszą głowy. Z krawędzi studni, z szerokiej, płaskiej płyty spada kurtyna wody. Przelewa się jak arkusz połyskliwej blachy, niżej rozdziela się na srebrne sznury. Nad nią stoi słońce w zenicie i łączy swe promienie z przejrzystością kropel. Sypią się one z całego obwodu krateru.

- Studnia Deszczu! - mówi Paweł Zawidzki.

Nazwa pozostaje.

Chwilę potem stają przed bramą jaskini. Szeroki tnel o łukowatym sklepieniu zapada stromo w głąb skały. Porucznik Hernandez miał szczęśliwą rękę. Zaczynają zbiegać po głazach, zrazu zasłanych liśćmi, niżej suchym pyłem. Zwalniają kroku, by przyzwyczaić oczy do ciemności. Kuczyński słyszy pisk nietoperza i szelest jego skrzydeł. Z głębi

tunelu dochodzi wrzask tłuszczaków.

Do tej chwili wszystko jest łądząco podobne do tunelu w Małej Studni. Lecz ta, Sima de la Lluvia, dopiero przed chwilą ochrzczona, wydaje się młodsza od tamtej i we wcześniejszej fazie rozwoju. Można stąd czerpać nadzieję, że obwały stropu nie zdążyły w niej jeszcze zamknąć wszystkich ciasnych przełazów.

Emilio Al vis pozostaje na zewnątrz, grzeje się w promieniu słońca. Zawidzki z Kuczyńskim, zanurzeni już w mroku, starają się tłumić gorączkę pobudzaną tym wejściem w nieznanne. Nie mają nawet latarek. Sądzi, że cały dzień upłynie na torowaniu zejścia. Nie mogą się jednak powstrzymać. Omackiem schodzą po ruchomych gładkach, w stronę skąd dobiegają coraz liczniejsze skrzeki obudzonych ptaków.

Strop niemal się styka z podłożem. Zawidzki wpełza w głąb szczeliny. Kuczyński przesuwa się ku drugiej stronie tunelu. Już niemal nic nie widzi. Czuje tylko, iż stopy grzęzną w hałdzie nasion palmowych. Na oślep zjeżdża i zsuwa się po ruchomym podłożu. Chwytając strop nad głową, zatrzymuje się na skraju pionowego otworu. Słyszy wodę w dole. Rzuca tam kamienie i słyszy, jak spadają kilka metrów. Musi się wycofać. Spotyka Zawidzkiego, który również zawrócił, nie dotarłszy do końca swojej dziury.

Powracają na światło i przedzierając się przez krzaki, systematycznie badają podstawę ściany. Nie ma drugiej jaskini. Jedynie w najdalszym, południowym krańcu wydłużonej studni, dno zapada głęboko pod okap.

O godzinie 15.00 słyszą warkot silnika. Nadsluchując, poznają z odgłosów, że helikopter ląduje, choć nie wyłącza turbiny. Po pięciu minutach wznosi się i odlatuje. Godzinę później wracają do obozu. Zastają tu Koisara, Solickiego i Dygę, moszczących sobie miejsca pod namioty. Na trawie stos dostarczonych ładunków. Ekipa znów w komplecie, a każda, z grup przekonuje się, że niepokój o drugą był bezprzedmiotowy. Mechanicy naprawili defekt układu zasilania. Zarazem wyszło na jaw, że podczas manewru nieruchomego zawisania, śmigłowiec zużył zbyt wiele paliwa. Nie mógł przylecieć po raz drugi. Pozostały zapas wystarczał jedynie, aby dotrzeć do składu w Cacuri. Poleciał tam i wrócił z czterema beczkami.

Kuczyński dostaje list od pierwszego pilota. Odczytuje a głos. „Maczej, musicie się pośpieszyć, maszyna wylatała swoje... Wolałbym, żeby to była już ostatnia akcja”. Po

krótkiej naradzie zapada więc postanowienie - drugiej studni nie będzie się już badać. Eksploracja Studni Deszczu, potem powrót do bazy i na dół. Wieczór upływa na ożywionych rozmowach, relacjach ze studni i przewidywaniach. Geolodzy wyrażają zdanie, że okapy w studniach powstają na przecięciu pionowych i poziomych warstw rozmiękczonej skały. Prostokątny pierwotnie kształt studni pochodzi z przecięcia się pionowych płaszczyzn penetracji roztworów hydrotermalnych. Dopiero w dalszym procesie jest zaokrąglany przez erozję.

O godzinie 20.45 deszcz jeszcze nie pada. Z głębokich ciemności nadlatują komary, jednak dym ogniska stanowi skuteczną zaporę. Przy czerwonym drgającym blasku płomieni uzupełnia się notatniki. Trwa pieczenie placków z mąki, mleka oraz wody. Wieczór się przedłuża, riikt nie odchodzi do namiotu, jakby w ludziach obudziła się nagle potrzeba przebywania ze sobą, po dwu dniach zaledwie rozdzielenia zespołu. Zresztą, może to przewidywanie tego, co ma nastąpić nazajutrz? Wieczór jak przed bitwą, zbieranie sił do przeczuwanego odkrycia.

Rozlega się głuche tapnięcie, ognisko nagle przygasa, płonące bierwiona gdzieś się zapadają. W ich miejscu zieje dziura, bucha z niej słup dymu. Gdy nieco się zmniejsza, można dostrzec przez otwór ognisko, leżące o dwa metry niżej. Miejsce wybrane na kuchnię okazuje się wiszącym na korzeniach pokładem ściółki leśnej.

## **El Balcón**

Noc upływa bez deszczu, tylko kilka razy jakby dreszcz przechodzi po lesie, jakby się drzewa otrząsały z chłodu, grad drobnych kropel spada na namioty. Ranek dwudziestego czwartego lutego jest biały, mglisty, cichy. Słońce przegląda zza mlecznych welonów.

Już o 10.00 cała ekipa jest na dole, frwa filmowanie, pomiary i fotografowanie. Kuczyński, Koisar i Zawidzki z pełnym ekwipunkiem wchodzą do jaskini. Niebawem stwierdzają, że szczelina odkryta przez Kuczyńskiego, z małym ciekim wody, zakończona jest ślepo. Próbę zejścia ponawia się w szczelinie Zawidzkiego. Po kilku metrach obniżenia przestrzeń się rozszerza. Pośród wrzasków guacharos schodzą po usypisku tak daleko, jak tylko można bez użycia liny. Na koniec stają nad pionowym progiem. Pod nogami otwiera się czarna pustka. Strącane kamienie toczą się, jak



można wnosić z odgłosów, co najmniej trzydzieści metrów. Wyjmuje się linę i wiąże do głazu. Schodzi Paweł Zawidzki. Próg kilkumetrowy.

- Niezbyt trudno! - woła.

Słychać, jak grzechocą strącane przez niego kamienie. Zsuwa się w głąb, jego światło znika. Coraz cichsze, nieokreślone chroboty też w końcu ustają. Po kilkunastu minutach wraca stłumione wołanie.

- Jest pewna nadzieja! -echo rozbija słowa. - Stu dzienka i woda!

Koisar i Kuczyński schodzą kolejno z progu i zsuwają się dalej po stożku luźnych kamieni. Sto dziesięć metrów poniżej otworu jaskini stają na dnie leja. Dalej w głąb prowadzi już tylko studzienka pionowa, zagłębiająca się w nastyrmanyh blokaoh. Trudno z nią wiązać jakieś większe nadzieje. Podobna w Małej Studni prowadziła do labiryntu ciasnych i niskich przełazów. Jednak Zawidzki próbuje. Ubezpieczony liną, schodzi dziesięć metrów i wciska się w poziomy korytarzyk. Znajduje tam ciek wody wpływający do tak ciasnego otworu, iż niepodobna wsadzić tam chociażby głowy.

„Trudno! - mówią sobie w duchu. - Kiedyś musiało się skończyć”.

W niewyraźnych nastrojach, czekając, aż Zawidzki powróci, Kuczyński i Koisar podnoszą głowy znad leja i oświetlają ścianę. Dopatrują się tam kształtu jak gdyby balkonu i cienia ponad nim. Postanawiają tam zajrzeć, choćby tylko dla spokoju sumienia, że wszystko zostało sprawdzone.

Wspinają się. Na skraju balkonu coś pęka pod butami. Schyleni, badają podłoże w krążkach światła. Stoją na połamanych skorupach podobnych do cienkiego lodu. Leżą ponasuwane na siebie, całymi stosami, na nich zaś... Całą powierzchnię skorup z jednej strony porasta las nacieków grzybkowych z opalu. Staje się jasne od razu, że to najwspanialsze twory naciekowe znane z grot piaskowcowych świata.

Kłęcząc jeszcze na ziemi, podnoszą oczy na ścianę. Czernieje w niej zarys otworu. Pną się po nachylonym balkonie. Korytarz. Płaski strop. Bez namysłu ruszają poziomym tunelem, coraz szybciej, potykając się na rozrzuconych kamieniach. Po kilkudziesięciu metrach wreszcie mogą uwierzyć: to nie skończy się zaraz! Rzut oka dokoła. Wysokość pięć metrów, podobna szerokość. Pagórek pod ścianą pocięty w poziome tarasy, jakby miniatura indyjskich pól ryżowych. Taka postać nacieku, tworzonego z węglanu wapnia

przez płynącą wodę, jest dobrze znana z jaskiń wapiennych. W piaskowcowych nikt jej dotąd nie widział. Trudno odgadnąć, jaki minerał ją tworzy.

Teraz już nic ich nie może zatrzymać. Wszyscy trzej rzucają się do biegu, z głowami pełnymi postrzępionych wrażeń i urywanych myśli: o dokonywaniu odkrycia, o spełnieniu marzeń, o „wielkich próżniach wewnątrz Sarisarińamy”.

Widzą wznoszący się korytarz i jego przełamanie, jakby oś przesunięto kilka metrów w prawo. To jeszcze nie koniec, idzie dalej. Z ciemności dobiega szmer wody. Zastona ciemności cofa się pod naciskiem latarek i odsłania koryto strumyka. Od ściany do ściany wije się woda, czerwona jak wino, pluska po kamykach, na zakolach odkłada śnieżnobiały piasek, wycina pod skałami głębokie kieszenie.

Znów biegną, mimo woli wydłużając kroki. Są w tym stanie ducha, który każe połykać i wchłaniać świat otaczający całymi kęsami. Zbudzona niecierpliwość nie zgadza się na powolne przyswajanie wiedzy o odkrytym terenie. Zaraz, już, wszystko musi być wiadome. Oddech jest zdyszany, twarze czerwone, skóra spływa potem.

Odkrywca jest chory i zgorączkowany. Odkrywanie jest majaczeniem - jest przecież spotkaniem z czymś, co nie istniało. Trzeba w to uwierzyć i z tym się pogodzić. Jest darowizną dla odkrywcy, z którą coś trzeba uczynić. Przyjąć jej bogactwo, używać go i korzystać z niego. Jest to chwila gwałtownego wybuchowego wprost wzrostu człowieka. Dokonując odkrycia, przyłącza nowy obszar do siebie, wzrasta o nową wiedzę, jego świadomość pęcznieje i nabrzmiewa informacjami o nowym. Tylko on je posiada, a więc rośnie w siłę i jest świadom tego.

Zarazem świadomość jest zachwiana. Tak rozległe zmiany nie mogą się odbyć w spokoju, umysł musi się uporać z nową wizją świata. A nade wszystko chce poznać jak najprędzej rozmiary odkrycia. Przeczuwa, że nie jest ono nieskończone, lecz jeszcze ma nadzieję. Myśl o ograniczeniu wzrostu, o jego przerwaniu ledwie się rozpoczął, jest nieznośna. To popycha do biegu w głąb podziemi i naprzeciw mroku..

Z rozległej czarnej przestrzeni wyłania się jasna skała. Kontury zmiękczone, jakby cała była bladą poświatą, wznosi się jak pylon świątyni nad głowami. Dotykają: jest miękka! Palce wykruszają piasek. Blok wielkości domu, przecięty w pół przez strumień. Połowa wyniesiona przez wodę i uprzątnięta do ostatniego ziarna, do granicy nienaruszalnego różowego kwarcytu. Druga tkwi w korytarzu, jak tkwiła już w tych niepamiętnych cza-

sach, gdy ciepłe roztwory nasączały skałę, odbierając jej spoistość.

W dolnej części bloku Kuczyński dostrzega śnieżnobiałą żyłę. Klęka przy niej; jakby tłusta masa, daje się rozcierać palcami. Pyrofilit, podobny do talku minerał. Nic podobnego dotąd nie znaleziono w jaskiniach. W białej prędze, grubości dziesięciu centymetrów, tkwi owalny kształt wielkości orzecha, miodowy, z ciemniejszą jak gdyby źrenicą, jak oko byka odlane z kryształu. Przywołuje Koisara, wyłuskują to nożem. Zabarwienie świadczy, że twór nie jest kwarcowy. Wyjmują z plecaka woreczki na próby. Staje się jasne, że to jaskinia, której nie wystarczy przebiec, trzeba ją przestudiować.

To, co już im wiadomo o jaskiniach Sarisarińamy, pozwala przypuszczać, iż tutaj właśnie zachowały się ślady wszystkich kolejnych faz rozwoju tych unikalnych tworów, jakimi są jaskinie w kwarcycie.

Wszyscy trzej suną dalej po czystych, różowych wielobokach. Nad głową widzą miejsca, gdzie te wypadły ze stropu, odsłaniając reliefy drobnych zmarszczek prądowych. Chwilami zwalnia się kroku dla nabrania oddechu i wymiany okrzyków. Upewniają się nimi nawzajem o wartości odkrycia. Znajdują obły głaz o pasiastej strukturze, jak kawał drewna ze słojami: różowe i ceglaste na przemian.

- Pierścienie Lieseganga - stwierdzają geolodzy. - Podręcznikowy okaz przesiąkania roztworów.

Dno usypane płytami wyrzeźbionymi przez zmarszczki prądowe. Ich negatywy zostały na stropie. Widać je tu wszędzie, świadczą o narodzinach tej skały z osadu w płytkim, prekambryjskim morzu. I nagle, jakby dla żywego przykładu - na białym piasku u brzegu strumienia, spłacheć takich samych falistych karbów, ułożonych przez czerwoną wodę. Odstęp dwu miliardów lat niewiele tu znaczy. Ten sam materiał, poddany takim samym wpływom, ułoży się zawsze tak samo, w każdym czasie i na każdej planecie.

Podziemia wznoszą się nieznacznie, lecz stale. Zawidzki mierzy azymuty, kierunek korytarza niemal dokładnie ku północy, odcinkami z odchyleniem sześciu stopni ku wschodowi. Prowadzi tak wzdłuż jednego pęknięcia masywu.

Zamyka drogę oderwana od stropu płyta grubości dwu metrów. Wczołgują się na nią, próbują też z boków. Dalszego przejścia nie ma. Człowiek stojący na niej znajduje się w prostokątnej komnatce utworzonej w stropie przez wypadnięcie płyty - jakby w kasetonie.

Wreszcie mogą się zatrzymać, zachłyśnięci. Wierzą, że to jeszcze nie koniec. Nie zbadane zostały odnogi korytarza. Pot leje się ciurkiem wzdłuż nosa.

Odkrywca w tym stanie fizycznego i umysłowego wrzenia poznaje, iż ono jest szczęściem i spełnieniem, jest przeżyciem odkrycia, a więc aktu stworzenia. Myśląca istota nie może doznać niczego większego. Następstwem tego stanu jest stwierdzenie badacza, iż tym, co go napędza, co ludziom daje siłę działania, jest nadrzędne, wbudowane w komórki ich ciała pragnienie nieograniczonego poznania, dążenie ku nowemu. Jest zadane marzenie o jakiejś fantastycznej przestrzeni, gdzie umysł mógłby się żywić wyłącznie nieznanym, pławić w oceanie nowego i znajdować spełnienie w rozszerzaniu swej wiedzy wybuchowym, bez granic.

Wtedy jednak, poddany nieustannej odmianie, nie mógłby być sobą. Każdy wchłonięty kęs wiedzy i każde odkrycie czynią odkrywcę kimś nowym. Dążenie do wszechwiedzy jest biegiem ku zupełnej przemianie. Więc jeśli istnieje ten popęd w człowieku, to znaczy, że jest w nim pragnienie i biologiczna, wrodzona potrzeba przeistoczenia. Wracają trzystumetrowym korytarzem, którego przebiegnięcie było wiecznością i chwilą. Droga, oglądana od przeciwnej strony, jest jak odkrywana na nowo. Jak najprędzej chcą się podzielić wiadomością z resztą towarzyszy. Z pierwszego balkonu u początku tunelu zabierają dwie ciężkie płyty z krzaczastymi, opałowymi grzybkami i niosąc je w rękach, dźwigają sto metrów wzwyż usypiska, przez próg z liną, do wyjścia z jaskini.

W szarym mroku wstępnej komory uderza w nozdrza zapach butwiejących roślin i guana guacharos. Ostry promień dnia, gdzieś w dali, każe mrużyć oczy. Dyga klęczy, szukając pod głazem owadów. U wejścia Surdel podsyca ogieniek z badyli. Jeszcze nic nie wiedzą.

### **Cueva de los Cristales**

Dwudziestego piątego lutego Kuczyński schodzi jako pierwszy do jaskini. Opuszcza się po wstępnym rumowisku do leja pod balkonem. Jak wszyscy, jest już nieco znużony. Niesie przybory miernicze i z niechęcią myśli o monotonnym rozciąganiu taśmy w jaskini. Zastanawia się, czy do piątej zdążą skończyć pracę. W obozie zostawił list, który Jose Luis ma wręczyć pilotom, gdyby się zjawili. „Hemos descubierto ayer, una cueva grandę...” Odkryliśmy wczoraj wielką jaskinię. Potrzebujemy jeszcze całego dnia, by

skończyć eksplorację i pobrać z niej próby, prosimy zabrać nas o piątej po południu...

Schodząc po rumowisku, patrząc więcej pod nogi, niż rozglądając się dokoła, bezwiednie skręca w lewo od wejścia na balkon i stwierdza, że stoi wobec czarnej przestrzeni, z której promień jego lampy niczego nie wyłania. Idzie więc w tę stronę, czując, jak serce przyspiesza. Teren się obniża, rumowisko się kończy, zastępuje je gładka polepa. W mroku majaczy coś podobnego do pnia drzewa, do obelisku. Kuczyński przeczuwa, czym się to może okazać, i tłumi podniecenie. Niemożliwe, by to było tutaj... Podchodzi. Przed nim słup naciekowy, potężny stalagmit, co najmniej trzymetrowy. Jest czerwono-czarny. Substancja kapiąca nań ze stropu, na obły łeb, układa się po bokach w zwisające, płaskie, płetwiaste palety. Z wierzchu smoliście czarne, podszyte są cynobrem. Masa jest elastyczna i łatwo się łamie. W przekroju widać warstewki, dwumilimetrowe czarne i na przemian, cieńsze od nich, czerwone.

Prowadzeni światłem, nadchodzą pozostali członkowie ekipy. W to, co widzą, trudno im uwierzyć, choć znają lasy stalagmitów z jaskiń wapiennych. Geolodzy sądzą, iż czarne zabarwienie pochodzi ze związków manganu. Elastyczna substancja wydaje się getytem. Dokoła słupa kilka mniejszych pachołków, wyrosłych na ciemnoczerwonej miękkiej glince.

W końcu zwraca się uwagę i na to, co dokoła. Stalagmity stoją w środku rozległej przestrzeni. Nie można jej już nazwać korytarzem ani nawet tunelem. Jej wysokość, około dwudziestu metrów, pozwoliłaby ustawić pod stropem dom pięciopiętrowy. Długość, według pomiaru taśmą, 110 metrów, szerokość 20 do 50 metrów. Tak po raz pierwszy znajduje się odpowiedź na pytanie, czy istnieją rozległe wydrążenia wewnątrz płaskowyżu.

Dla wykonania niezbędnej pracy pomiarowej w korytarzu odkrytym dnia poprzedniego, Kuczyński wspina się do balkonu. Próbuje uczynić to inną drogą, półkami, wzdłuż ściany komory. Gdy jest już na górze, stwierdza, iż stoi u wejścia do nieznanego tunelu. Tym razem pod nogami chrupią olbrzymie, cienkie jak wafle, ceramiczne jak gdyby skorupy, o kolorze popielatosiwym, błękitnawym, o chropowatej powierzchni pokrytej glazurą. Rusza naprzód z Surdelem, Zawidzkim i Dyga. Koisar, który bardziej zaufał starej, znanej drodze, prowadząc Solickiego przez balkon, znika z nim w tunelu, nie wiedząc o odkryciu.

Czterej pozostali, choć przekonani, że to, co robią, jest tylko stratą czasu, gdyż najpierw winno się sprawdzić od końca plan znanych części jaskini i cofając się mierzyć i badać wszelkie nowe odnogi, dają się ponieść duchowi eksploracji. Przechodzą trzydziestometrowym zwężeniem.

Notują obecność nad głowami czerwonych stalaktytów, zwisających kilkunastocentymetrowymi soplami wzdłuż szczeliny stropu, i po raz drugi tego rana wkraczają do nieobjętej przestrzeni. Cztery połączone snopy reflektorów grzęzną w czarnej mgle. Opuszczone na dół, pozwalają się przekonać badaczom, że ci stoją na wyniosłym progu, a pod nimi rozpościera się wklęsłe jak misa stadionu, jak górską dolina, dno komory. Zasłane jest blokami kwarcytu o rozmiarach lokomotyw.

Zstępują tam i przez pół godziny posuwają się naprzód, wspinając się na torosy głazów i schodząc w głębokie rozpadliny. Doznają wrażenia, iż wyszli na powierzchnię ziemi i w głębokiej nocy suną wśródgórskim kanionem. Nad głowami zaledwie coś szarzeje, jak pułap chmur przesłaniających gwiazdy, jak katedralne sklepienie.

Odkrywają kryształki. Całe głązy, wielometrowe płaszczyzny wielościanów błyszczą, najeżone szczotkami kwarcowymi. Pola przejrzystych ostrosłupów osiadły na skałach i krawędziach, wyrosły zwartym lasem, nie zostawiając pustego kamienia.

- Jesteśmy w domu, panowie! - zauważa Zawidzki. - Tego było potrzeba. Z kryształów kwarcu można będzie odczytać temperaturę roztworów.

Wyszukuje się najlepsze okazy, by je zabrać do badań. Kuczyński, sunąc dalej, znajduje szczeliny z innym minerałem, zielonym. Gdzieś tam są też gniazda kryształków czerwonych, błyszczą jak drobne rubiny. Tadeusz Dyga zanurza się w rozpadlinach w podłożu i nurkuje w odkrytym tam labiryncie przełazów, z nadzieją odkrycia przejścia na niższy poziom jaskini - ten, który odprowadza wodę do stóp płaskowyżu. Znajduje kanały i słyszy w nich wodę, jednak wszystkie zbyt ciasne, by przepuścić człowieka.

Sto dziewięćdziesiąt metrów długości. Czterdzieści szerokości, ponad dwadzieścia wysokości. Największa kwarcytowa grota świata.

Po kilku godzinach Jerzy Surdel z częścią zebranych okazów wychodzi na powierzchnię i wraca do obozu. Ma zawiadomić pilotów, iż winni przylecieć po ekipę dopieronażajutrz. Pięciu pozostałych dopiero po dwudziestu czterech godzinach

spędzonych w podziemiach cofa się do otworu. Zgięci pod kamiennym ciężarem plecaków, niosąc przed sobą zawinięte w koszule największe okazy, piastowane jak dzieci, pną się po rumowisku. Kaleczą kolana i rozbijają golenie. Niosą płyty z grzybkami, kwiaty z ciemnego opalu i biały opal ze stropu, stalaktyty z agatu, biały piasek i śnieżny pyrofilit, różowy kwarcyt i szczotki kryształów kwarcowych, próbówki z czerwoną wodą.

Studnię noc już zalewa. Wyjście na powierzchnię poznają po zapachu roślin, po szeleście krzewów i lśnieniu mokrych liści. Słyszą werbel kropel lejących się z okapów. Tłuszczaków nie słyszą, wyleciały na żer do lasu już o zmroku. Na czubku głazu siedzi tarantula.

Chrzęst kroków i rozmowy docierają w nocnej ciszy do obozu nad studnią. Emilio, czuwający przy ogniu, zrywa się i przykładając do ust dłoń pyta:

- Czy przyjść po bagaże?

- Mañana! - odkrzykuje Kuczyński.

Zostawiając część rzeczy, wracają przez mokry las do obozu. Wikłają się w mchach, korzeniach, wpadają w wykroty, przechodzą po pniach, nosem trafiają na błotniste progi, cofają się, by jeszcze raz spróbować. Ukośnie ścięte maczetą łodygi wyznaczają drogę, bielejąc jak owalne lusterka odblaskowe.

W kuchni płonie biała lampa Colemana, pełga ogień po bierwionach. Nadchodzącym kolejno Jerzy Surdel podaje wodę z sokiem cytrusowym. Jose Luis z tajemniczym wyrazem twarzy wystruguje z drzewa samolocik. W ciągu dnia Indianie zdążyli urządzić kuchnię, zbudować ławki z drągów i półki na naczynia.

## **Nueve Quatro Siete Uno**

Drugiego marca deszcz leje w obozie bazowym. Cały wieczór poprzedni zbierała się burza i dawały się słyszeć jej delikatne pomruki. Około północy błysnęło potężnie kilka razy i fiołkowy blask elektrycznego łuku wyrwał z ciemności blade szeregi Brocchinii, zeszywniałych dokoła namiotów. Puścił się deszcz i szumiął do rana.

Kuczyński budzi się i po raz pierwszy znajduje w namiocie kałużę. Woda zalewa materac Carlosa Bordona. Budzi go. Wstają na śniadanie w ponurym półmroku. W deszczu i człapiąc po błocie nadchodzi do kuchni Dyga.

- Bebi śpi, zrezygnował ze śniadania - mówi o Koisarze.

Nadchodzą jeszcze dwaj Wenezuelczycy z trzeciej zmiany, przybyli tu z Bor donem. Wyglądają trochę jak uczniowie zmoknięci na szkolnej wycieczce. Obaj znaleźli się tu chyba przez przypadek. Po kawie Kuczyński włącza radiostację i wywołuje stolicę. Gdy odzywa się Central Caracas, prosi o połączenie z Trońchonim. Chce, by ten odszukał telefonami pułkownika Borrella i załatwił z nim sprawę przelotu ekipy w rejon Manapiare. Od dnia poprzedniego połowa wyprawy jest już na dole w Cacuri. Do wieczora znajdują się tam wszyscy, jeśli będą warunki do lotu. Helikopter też został tam na noc.

Deszcz bębniący po płóciennym dachu zagłusza słowa operatora płynące z głośnika.

- Z panem Trońchonim nie można rozmawiać.

- Dlaczego? - chce wiedzieć Kuczyński. - Chyba jeszcze jest w domu?

Operator rozmawia ze służącą:

- Pan śpi jeszcze.

- Muy bien! To niech ona go zbudzi - nalega Kuczyński. - Odpowiadam za to.

Po kilku minutach ciszy odzywa się znów operator. Rozmawiał z Trońchonim, dowiedział się, że pułkownik Borrell powinien przylecieć dziś sam do Cacuri, by zorganizować wycofanie wyprawy z płaskowyżu i dalej. Kuczyński będzie więc mógł sam z nim porozmawiać. Koniec połączenia.

Deszcz znów się nasila. Czy helikopter w ogóle dziś przyleci? Dwaj Wenezuelczycy już się niecierpliwią. Dosyć mają tego. Zobaczyli namioty, połazili po krzakach na słynnym płaskowyżu, zmokli już dostatecznie. Chcą wracać na wykłady.

- Gdyby się teraz zdarzył zamach stanu - odzywa się Bordon - przypomnieliby sobie tam o nas nie wiadomo kiedy...

Tadeusz Dyga wraca do swego namiotu, brnąc po kosfki, i bierze się do cerowania dresu. Kuczyński kopie rowki dokoła namiotu. Niewiele to jednak pomaga, woda płynie całą powierzchnią pod podłogą. Siada w przedsionku, na skrzynce aptecznej, przed celofanową szybą. Na daszku zbiera się jezioro, płótno poczyną przeciekać, kapie na głowę i kartki papieru.

Przez szybę widać smugi kropel, za nimi majaczą rośliny. Zdaje się, że mogłyby żyć równie dobrze całkiem zanurzone w wodzie. Grube liście pęcznieją opite, prężą się, podnoszą naprzeciw ulewy. Żółte tuby Brocchinii są nienasycone, zawsze zwrócone ku



górze, jak otwarte gardziele. Bulgoce w nich, przelewa się, a wciąż jeszcze łykają. Owady znikły. Jeszcze dwa dni temu, gdy opuszczała bazę pierwsza grupa, pełno było pszczoł, małych i czarnych jak muchy. Słońce łagodnie mżyło, a one latały wolno, jak gdyby leniwie, z ledwo dosłyszalnym buczeniem. Zawisały nieruchomo, by coś zbadać, a ich tylne, kosmate kończyny zwisały nisko i ciężko, obciążone jakimiś ładunkami.

Helikopter odstawił do Cacuri Emilia i Jose Luisa z częścią ogólnego bagażu, a gdy wrócił po następnych, podchodząc do lądowania w swej kałuży w bazie, przepadł niespodziewanie i z wysokości dwu metrów runął na beczkę z paliwem. Zgniół ją i uszkodził ramę. Zdołał się jeszcze raz unieść i wylądować obok cieknącej beczki. W czasie lotu odnowiło się także uszkodzenie śmigielka ogonowego. Odkryto opiłki w oleju. Zdaniem mechaników pękła panewka wału napędzającego. Postanowiono wezwać do Cacuri samolot naprawczy z bazy w Paño Negro. Do odlotu zostali wyznaczeni Surdel, Zawidzki i Solicki. Dwaj ostatni nie mieli na to najmniejszej ochoty. Trudno było powiedzieć, z jakiego powodu. Odstraszył ich uszkodzony śmigłowiec? Czy może obecność w maszynie przynoszącego nieszczęście reżysera? Co prawda, skoro on sam miał się znajdować na pokładzie, nic się nie powinno wydarzyć. Zresztą w tak daleko idące rozważania nikt się w duchu nie wdawał. Zawidzki wymawiał się bólem głowy. Solicki tym, że się nie zdąży spakować. Kuczyński wysłuchiwał ich, ale postanowienia nie zmieniał. Za niezbędną przy ostatecznej likwidacji bazy uważał obecność Dygi i Koisara. Nie mógł też odesłać Wenezuelczyków, którzy przed chwilą dopiero zjawili się na górze.

W końcu wyznaczona trójka zajęła miejsca w kabinie z niewyraźnymi minami. Oni i ci zostający żegnali się energicznym kiwaniem, jakby się nigdy już nie mieli zobaczyć. Ten i ów myślał skrycie, może z pewną uciechą, że w końcu dopadło też Surdela. Coś z tych katastroficznych myśli udzieliło się i jemu samemu. Poprosił przed startem pilotów, by w razie konieczności odciążenia maszyny, zachowali do końca nakręconą taśmę filmową, a wcześniej wyrzucili jego. Wreszcie maszyna znikła za krawędzią płaskowyżu. Kuczyński wrócił do kuchni, by gotować obiad, niezbyt zadowolony, że dał się wciągnąć, chociażby półżartem, w coś graniczącego z czarami, z odczynianiem uroków, bo w końcu temu celowi służyły i takie myśli, i sama rozmowa.

O godzinie 11.00 ulewa przybiera na mocy. Carlos Bordon wciska się do namiotu w

ociekającym strumieniami płaszczu. Zostawia go w przedsionku, wyciera krople z okularów i rozkłada na skrzynce swój połów. On jeden zdołał zrobić coś tego rana, próbówki ma pełne owadów. Jedną z nich, z bezskrzydłymi chrząszczami, najpewniej nie znanymi dotychczas nauce, przeznacza do opisanie przez polskiego entomologa, specjalistę od tej grupy.

- Oddaj to Szymczakowskiemu - prosi. - Kiedy będziesz w Polsce? Pocztą wolę nie wysyłać.

Wymyka się do kuchni, otwiera i odgrzewa puszkę polskiej kapusty z kiełbasą. Za takim przykładem, dwaj jego młodszy koledzy wypełzają z namiotu i zgłodniali, biorą się do smażenia arepy. W południe deszcz niemal ustaje i niebawem rozlega się warkot silnika. Helikopter nadlatuje nad niskim pułapem.

- Co się tutaj dzieje? - pyta wysiadając Hernandez zgromadzonych na lądowisku ludzi. - Tak jeszcze nie było!

Strumień szoruje po płozach maszyny. Gdzieś w pobliżu, w krzakach słychać szum kaskady. Skakanie po kępach niewiele pomaga, niepodobna dotrzeć do namiotów bez zupełnego przemoczenia butów.

- Może się poprawi, zrobimy dwa loty - ma nadzieję pilot.

Carlos Bordon i dwaj studenci zostają wyznaczeni do pierwszego lotu. O godzinie 15.00 siedzą w kabinie na mokrych i zabłoconych tobołach. Zwinięto część namiotów, odlatują okazy nacieków z jaskini. Kuczyński umawia się z Richardem Hernandezem na łączność radiową o 16.30. Ten ma zawiadomić, że jest już w powietrzu. O ile warunki pogody i stan techniczny maszyny pozwolą na ponowny start z Cacuri. Śmigłowiec idzie w górę i Znika w pasmach mgły strzępiących się na drzewach. Ostatni trzej mieszkańcy płaskowyżu kierują swe kroki do kuchni i zjadają obiad przygotowany przez tych, co właśnie odlecieli. W siąpiącym deszczyku zwijają namioty i znoszą na lądowisko. W pewnej chwili robi się tak mroczno, iż Koisar rezygnuje z przeniesienia tam swych osobistych rzeczy, składa je pod dachem jadalni, który do końca ma pozostać rozbity. Wydaje się niemożliwe, by śmigłowiec wrócił. Chmury spowijają bazę, pułap jest niższy od krawędzi płaskowyżu, a obłoki rozlane po jego powierzchni toczą się i pełzają przez wszystkie zagłębienia terenu.

Zostaje tylko czekanie. Baza bez kolorowych namiotów i ludzi, pozbawiona życia, jest

smutnym pobojuwiskiem. Wdeptane w błoto „tataraki”, opustoszała polana, zmywana strugami. A jednak Kuczyński z niechęcią myśli

O powrocie do świata „na dole”. Do sprawozdań, relacji, wywiadów, sporów o pierwszeństwo i wykazywania zasługi. Do tego wszystkiego, co z odkrycia robi tylko towar, a. jego uczestnikom i sprawcom każe zapomnieć, że dla nich było też przygodą i nawet przeżyciem. Chce uniknąć tego i sądzi, że mu się to uda choć w części, jeśli jeszcze tutaj prawda o płaskowyżu zostanie do końca powiedziana i każdemu oddane to, co jego.

To Charles Brewer Carias był pierwszym badaczem w kwarcytocznych jaskiniach formacji Roraima, w jaskini na Cerro Autana. A później to on stwierdził na dnie Sima Menor istnienie tunelu guacharos i odkrył otwór Jaskini Wodospadu. On pierwszy szukał też w studniach przejścia na niższe poziomy z przepływami wody. Eugenio de Bellard Pietri jako pierwszy porównał zjawiska powierzchniowe Sarisarifiamy z krasem wapiennym i uzasadnił pogląd, iż są tam podziemne przepływy.

Radio rozgrzewa się. Przez trzaski głośnika słychać czyjeś niewyraźne pytanie:

- Co się stało z samolotem?

- Niczego nie wiemy - udziela ktoś odpowiedzi - prócz tego, że nad dolną Caurą spadł jakiś samolot...

Szumy i gwizdy połykają słowa. Godzina 16.35, przez zakłócenia przebija się jedno tylko słowo:

-Sarisarinama...

Kuczyński odczekuje kilkanaście sekund, przełącza na nadawanie i woła:

- Nueve Quatro Sieto Uno! Aqui Sarisari! Cambio! Dziewięć Cztery Siedem Jeden!

Tutaj Sarisari! Odbiór!

Nikt nie odpowiada. Powtarza kilkakrotnie wezwanie, wreszcie daje spokój. Wiadomo już jednak, że maszyna leci na płaskowyż, bo radiostacja działa tylko w locie. Spoglądają w niebo. Pułap podniósł się do pięćdziesięciu metrów, deszcz chwilami ustaje. Mgły ciągną się po lesie. Nagle rozlega się znowu:

- Sarisari... Dziesięć minut...

Nic więcej nie słychać. Rozchlapując błoto, Kuczyński dopada aparatu stojącego na pustej beczce pod dachem, chwyta za mikrofon i bez skutku ponawia wołanie. Gdy już

go odkłada, niespodziewanie słyszy:

- Sarisari, tu Central Caracas! Odbiór!
- Central Caracas! - woła. - Słyszę cię, odbiór!
  - Nueve Quatro Siete Uno - donosi operator - chce cię zawiadomić, że za dziesięć minut będzie już w obozie.
  - Dobrze! Usłyszałem, dziękuję! - to już koniec rozmowy.

Dyga wątpi w odlot, nawet jeśli piloci odszukają bazę. Po chwilowych przejaśnieniach niebo zaciąga się na nowo. Jak przy tej pogodzie, bez żadnych namiarów, znaleźć pod chmurami jedną płachtę brezentową?

Rozlega się łomot turbiny. Zbliża się. Kuczyński woła przez radio, nie odpowiadają. Przelatują gdzieś w górze, ukryci w obłokach, warkot poczyna cichnąć.

- Nueve Quatro Siete Uno! - jeszcze raz próbuje i tym razem dostaje odpowiedź. Musi odsunąć się od aparatu, tak głośny i wyraźny jest głos porucznika Roberto Durana:

- Baza? Maciej, podawaj, gdzie nas słyszysz! Odbiór!
  - Jesteście na północny wschód od bazy! - Kuczyński powtarza informację kilka razy. Wychodzi spod tfechu, aby lepiej słyszeć śmigłowiec.

Ten wkrótce powraca, warkot anów się nasila. Trzej ludzie tkwią pó kostki w błocie z zadartymi głowami, usiłują wypatrzeć cień maszyny w chmurach. Zdaje się, że to beznadziejne zadanie. Brudne strzępy mgły czepiają się tyki z anteną.

- Zbliżacie się, tak trzymać... Słyszę was na północ od bazy, na północ! Za daleko!
- Słyszę, naprowadzaj znowu! - odzywa się Duran.
- Północny zachód, jesteście gdzieś nad Wielkim Rowem...

Dalekie, rytmiczne terkotanie przesuwają się ku południowi, słabe, jakby stłumione przeszkodą terenu, i nagle bez żadnego przejścia, rozbrzmiewa o kilka tonów głośniejsze. Nad słuchujący już wiedzą, nieraz to słyszeli, wyleciał z za osłony grzbietu, jest nad doliną tablic z hieroglifami.

- Leć prosto na wschód! - płynie w eter wezwanie.

Po kilku sekundach ciemna plama majaczy w obłoku, zbliża się, leca nisko i wolno, dziesięć metrów nad ziemią.

- Widzę żółty dach! Koniec! - zawiadamia Duran.

Śmigłowiec odpełza nad lądowisko i siada w rozkiśnionym błocie. Ostatni dach zostaje

pospiesznie zdarty z kijów. Radiostacja i akumulator - do skrzyni. Ktoś wkręcił kabel anteny do radia z taką siłą, że gwint chyba zerwany. Nie daje się odkręcić. Zrobi się to potem. Biegiem do maszyny. Piloci nawet nie chcą wysiąść na ulewę. Ścieżka do bazy to rów wypełniony błotem. Dyga mocuje się jeszcze z basenem. Płachta plastikowa o sześciometrowym boku, ułożona w dołku, wypełniona jest tysiącami litrów krystalicznej wody. Niepodobna wyrwać plastyku spod tego ciężaru, a zostać tu nie może. Leżałby tak pewnie przez całe stulecia. Na koniec udaje się go zwinąć. Biegną po raz ostatni, ochlapani błotem, przemoczeni do nitki. Ostatnie bagaże spiętrzone w kabinie. Wsiadają.

Start natychmiastowy. Richard Hernandez zatacza ciasne koła nad bazą. Chce nabrać większej wysokości nad znanym terenem. Kuczyński widzi, jak z butów wylewa mu się woda na stalową podłogę. Do pasa pokryty jest błotem. Dokoła mokre toboły, namioty pospiesznie zwinięte, nasiąknięte wodą. Ale to już inny świat w uszczelnionej kabinie. Świecą tarcze zegarów. Ciepło, zapach smaru. Przytyka czoło do szyby, kopułki drzew majaczą w dole.

Jeszcze chce się coś zobaczyć. Trudno tak odlecieć. Zbyt szybkie pożegnanie. Co prawda, nic w tym nie ma nowego, każda sekunda jest pożegnaniem poprzedniego życia. Ale też rzadko kiedy, jak tutaj, ważny, wyjątkowy, jedyny i niezapomniany okres kończy się tak nieodwołalnie i w jednym mgnieniu oka. I zaczął się tak samo. Zamknięty na zawsze między dwoma lotami powietrznej maszyny.

Rozpływa się w chmurach Sarisarińama, a ludzie... Nigdy już nie będzie się tym, kim się tam było, w tajemniczych kraterach i różowych labiryntach kwarcytu.

## SPIS TREŚCI

### I. VENIR

La Guaira  
Las Acacias  
El Mapa  
La Aduana  
Los Japoneses  
El Coronel  
La Ilusión

### II. VER

4 de Febrero  
Cacuri  
Santa Maria de Erebató  
Sarisariñama  
Campamento Base  
Sima Menor  
Cueva de la Cascada  
Cueva de los Guacharos  
Sima Mayor  
Sima del Norte

### III. EXPLORAR

El „Lapiaz“  
El Río Purpureo  
Sima de la Lluvia  
El Balcón  
Cueva de los Cristales  
Nueve Quatro Siete Uno